



SHANA
GALEN

Alfabet miłości



Romans historyczny

G SHANA GALEN

Alfabet miłości

Przekład
Aleksandra Januszewska
Katarzyna Przybyś-Preiskorn



Korekta
Kamila Skotnicka

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© epicurean/iStock

Tytuł oryginału
Earls Just Want to Have Fun

Copyright © 2015 by Shana Galen
First published in English by Sourcebooks Casablanca,
an imprint of Sourcebooks, Inc. www.sourcebooks.com

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5987-1

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydanie elektronicznego
P.U.OPCJA
juras@evbox.pl

*Danielle Dresser: eleganckiej kobiecie, niezwykle pracowitemu wydawcy i wspaniałemu
człowiekowi*

*Niebezpieczeństwo
to najbardziej zajmująca rozrywka.*

1

Miała pięć lat. Lubiła swój wiek, bo kiedy jakiś dorosły pytał ją, ile ma lat, mogła podnieść palce jednej dłoni i rozłożyć je szeroko. Dorośli zawsze pytali, ile ma lat i jak ma na imię. Czasami pytali, jaki jest jej ulubiony kolor. Łatwe pytania. Miała na imię Elizabeth i najbardziej lubiła kolor różowy.

Lubiła kandyzowane fiołki i szczeniaczki, a nie znosiła kłaść się spać i swojej niani. Niania zawsze kazała jej trzymać się prosto, nie brudzić sukienki i szczotkować włosy. Jasnobrązowe włosy Elizabeth łatwo się plątały. Musiała je szczotkować trzy razy dziennie. Co najmniej. Niania zadawała trudne pytania. Kazała Elizabeth literować swoje imię. Elizabeth powiedziała kiedyś mamie, że wolałaby się nazywać Jane, tak jak niania, bo Elizabeth jest o wiele za długie.

Mama roześmiała się. Mama zawsze się śmiała; Elizabeth chciałaby zawsze być z mamą i nigdy nie musieć widzieć niani. Ale mama i papa musieli chodzić na bale, bo był sezon. A to znaczyło, że wkładali ubrania, których Elizabeth nie mogła dotknąć, chyba że miała ręce wyszorowane do czysta, kładli się bardzo późno i spali cały dzień. Elizabeth musiała być cichutko.

Nienawidziła być cicho prawie równie mocno, jak kłaść się spać przy niani, która krzyczała, jeśli Elizabeth nie chciała leżeć w łóżku, albo paplała i paplała i buzia jej się nie zamykała. Elizabeth uwielbiała, kiedy to mama tuliła ją do snu, ponieważ mama zawsze śpiewała jej kołysanki. Jej ulubiona zaczynała się od słów: Lawenda jest niebieska, ale mama zmieniła słowa.

Elizabeth, ma dziewczynka, zawsze słodka jak rodzynka...

Dam jej buzi na powitanie.

Gdy znów zobaczę moje kochanie.

Dzisiaj mamy przy niej nie było. W słoneczny, ciepły dzień niania zabrała ją do parku. Elizabeth nie posiadała się ze szczęścia. Mogła biegać – kiedy niania nie patrzyła – wirować i tańczyć i zrywać polne kwiatki dla mamy. Niania nakrzyczała na nią wcześniej, że ubłociła fartuszek, ale nie dało się przecież tego uniknąć, skoro wszystko, co interesujące, znajdowało się obok błota albo w błocie.

Elizabeth schyliła się, żeby popatrzeć na śliczny, różowy kwiatusek i podskoczyła, kiedy piłka, która toczyła się po trawie, zatrzymała się u jej stóp. Podniosła głowę, szukając właściciela. Chłopiec, mniej więcej w jej wieku, machnął do niej ręką i zawołał:

– Kopnij ją z powrotem!

Elizabeth zamrugła i zerknęła przez ramię na nianię. Ale niania wcale na nią nie patrzyła. Rozmawiała z jakimś panem, którego Elizabeth nie знаła. Niania uśmiechała się i bez przerwy mrugała. Elizabeth zastanawiała się, czy niani coś nie wpadło do oka.

– Kop! – ponaglił ją chłopiec.

Elizabeth chciała kopnąć piłkę, ale nie była pewna, czy niani by się to spodobało. Oczywiście, w tej chwili niania jej nie widziała. Zerknąwszy jeszcze raz przelotnie przez ramię, Elizabeth kopnęła piłkę. Piłka pomknęła po trawie i po niskim zboczku pagórka. Chłopiec wydał radosny okrzyk i pobiegł za nią.

– Chodź! – zawołał, machając ręką. Wyglądało na to, że świetnie się bawi, więc Elizabeth pobiegła.

Kopnął piłkę i pozwolił jej kopnąć ją po raz drugi. Potem znowu on, potem znowu ona. Roześmiana dziewczynka biegała, marząc, żeby zabawa nigdy się nie skończyła. Była ciekawa, czy niania widzi, jak wspaniale się bawi, ale kiedy się odwróciła, nigdzie jej nie było widać. Niczego nie poznawała. Nadal była w parku, ale odbiegła daleko od dróżki, gdzie niania i inni spacerowicze cieszyli się pięknym dniem.

– Chodź! – krzyknął chłopiec i ponownie kopnął piłkę.

Elizabeth potrząsnęła głową.

– Nie mogę. Muszę znaleźć nianię. – Spojrzała w lewo i w prawo, zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, dokąd pójść. Warga jej zadrżała i poczuła łzy w oczach.

Nagle zza drzewa wyszedł mężczyzna. Chłopiec musiał go znać, bo natychmiast do niego podszedł, ale mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi.

– Nie płacz, dziewczusko – powiedział. – Pomogę ci znaleźć nianię.

Wyciągnął rękę i Elizabeth zrobiła krok do przodu. Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć i zawahała się. Miał małe, dziwne oczy – jedno zielone, drugie niebieskie – i ostre, krzywe zęby, a pomimo porządnego ubrania czarne włosy wisiały mu w brudnych strąkach. Uśmiechał się, ale oczy pozostały zimne. Elizabeth w milczeniu potrząsnęła głową i cofnęła się.

– Dokąd to, dziewczusko?

Potrząsnęła głową i odwróciła się, żeby odbiec, kiedy jego ręce chwyciły ją powyżej pasa.

Marlowe patrzyła, jak Gap idzie Piccadilly, jakby nic na świecie go nie obchodziło. Trudna sztuka, w gruncie rzeczy przez tłum na Piccadilly najsilniejsi mężczyźni przedzierali się z trudem. I ten hałas. Wszyscy mówili naraz, usiłując przekrzyczeć gazeciarzy i wszelkiego rodzaju przekupniów. Gap sprawiał wrażenie, że czuje się jak w domu i tak było. Z rękami w kieszeniach, pogwizdując jakąś melodyjkę przez szparę w zębach, wydawał się błędzić bez celu. Mężczyźni i kobiety zerkali na niego bacznie, podejrzliwie. Wyglądał jak typowy złodziejaszek, gotów lada moment zanurzyć rękę w cudzej kieszeni.

Dlatego tego nie robił.

Zbliżał się powoli do rogu, na którym stała, udając na przemian, że przygląda się, jak czyszczą buty dżentelmenowi, albo studiuje ogłoszenia pokrywające wszelkie ściany i rusztowania. Marlowe wsunęła zbłąkany kosmyk włosów pod czapkę. Tak mocno ścisnęła piersi, że ledwie oddychała. Miała szczupłe nogi i biodra, ale długie włosy i pełny biust zdradziłyby ją, gdyby nie uważała. Z piersiami nie dało się nic zrobić, ale żałowała, że Satin nie pozwala jej obciąć włosów. Chciał, żeby je zachowała na okoliczność większego skoku.

Gap dał jej znak, wskazując cel kiwnięciem głowy. Marlowe w oskubywaniu gości nie ustępowała nikomu z gangu, a nawet od wielu była lepsza, dzięki dużej wprawie. Potrafiła mówić z różnym akcentem, i dlatego mogła wydawać się lepiej urodzona, niż była. Z tego powodu i dzięki słodkiej, niewinnej buzi ludzie z klas wyższych jej ufali. Brali ją za swoją albo kogoś z klasy tylko odrobinę niższej. Swoich nigdy nie podejrzewali.

Stuknęła w daszek czapki, dając znak, że widzi gościa i przyjmuje zadanie. To był wysoki mężczyzna o szerokich ramionach i czystych, jasnobrązowych włosach pod cylindrem. Sprawiał wrażenie nadzianego, ale nie durnia, dlatego zawahała się na chwilę – dlaczego akurat ten? To nie była zwykła, łatwa zdobycz. Widocznie za coś płacił i Gapowi wpadły w oko grubsze pieniądze. A jeśli nadarzał się jakiś grosz, to należało go zgarnąć i zanieść do meliny. Nie miała ochoty narażać się na złość Satina.

Odwróciła się od czyścibuta i jego dżentelmena, doskonale zgrywając swoje ruchy w czasie. Kiedy zanurzyła się w tłum, przelewający się Piccadilly, była prawie tuż obok upatrzonej ofiary. Jego oczy, bystre, przejrzysto niebieskie, na moment spotkały się z jej oczami i Marlowe przemknęło przez głowę:

To błąd. Za późno – właśnie na niego wpadła, a jej zręczne ręce wykonały zadanie.

Z jego portfelem w ręku cofnęła się, skłaniając lekko.

– Pan wybaczy. Taki ze mnie niezgrabiasz.

Jedną ręką pakując pieniądze do kieszeni, drugą uchyliła lekko czapki. Teraz powinien powiedzieć: Nic się nie stało, drogi chłopcze. A potem każde poszłoby w swoją stronę.

Ale nie wypowiedział swojej kwestii. W istocie, nie spojrział nawet na rękę, którą podniosła do czapki. Jego wzrok powędrował wprost do dłoni, którą chowała pieniądze do kieszeni. Wygiął usta w uśmiechu.

– Dzień dobry, Elizabeth. Czekałem na ciebie.

Wpadła do meliny, klnąc pod nosem. Spóźniła się i Satin się na niej wyżyje. Dziwne, ale w tej chwili akurat to ją najmniej martwiło. Raz jeden miała większe problemy niż Satin, a Satin zwykle stanowił potężny problem.

– Włóczyłaś się – warknął Satin z kąta dużego pokoju, gdzie gang zbierał się, żeby jeść i spędzać czas towarzysko. Gryzł tłustą nóżkę kurczaka, czarne kudły spadały mu na twarz.

– Przepraszam.

– Gap mówił, że cię przyłapali.

Potrząsnęła głową, rzucając szybkie spojrzenie na Gapa. Kapuś. Później pożałuje.

– Nie, wracałam dłuższą drogą. Mam forszę. – Podeszła ostrożnie do Satina i wrzuciła zdobycz do kapelusza między jego stopami. Czują, bardziej niż widziała, jak chłopcy wykręcają szyje, żeby spojrzeć na jej łup. Był imponujący, ale nie czekała na pochwałę Satina. Chciała umknąć z zasięgu jego wzroku najszybciej, jak się dało. Chciała zostać sama, ale nie mogła tak szybko zniknąć.

Gideon siedział na prawo od Satina, zauważyła pytanie w jego oczach. Wiedział, że coś jest nie tak. Modliła się, żeby Satin nie zwrócił na to uwagi.

Satin kiwnął głową i mruknął, po czym spojrział na nią.

– To wszystko?

– Tak. – Wywróciła kieszenie i rzuciła pustą sakiewkę na podłogę. Raz powiedziała prawdę. Nic dla siebie nie zatrzymała.

– Dobra. Idź się przebierz. Dzisiaj mamy większy skok.

– Co? Dlaczego?

Czarne oczy spoczęły na jej twarzy, zacisnęła usta.

– Bo ja tak mówię. Jeszcze jakieś pytania?

Potrząsnęła głową.

– Dobrze. Gid chętnie cię zabierze. – Skinął w stronę Gideona, którego twarz pozostała bez wyrazu.

Marlowe nie spierała się. Na to była za mądra. Poszła do swojego pokoju – kawałka przestrzeni oddzielonej zasłoną od głównego pokoju. Było tam zimno, a przez szpary w drewnie widziała świat na zewnątrz. Dach przeciekał i kiedy padało, wszystko i wszyscy w pokoju mokli. Była jedyną dziewczyną w grupie, poza paroma prostytutkami, które Satin czasami wykorzystywał przy napadach. Ponieważ była jedyną dziewczyną i potrzebowała trochę kobiecych strojów na okazje takie, jak dzisiejsza, miała także mały kuferek. Zaciągnęła zasłonę i otworzyła kuferek, wycierając ręce o spodnie, żeby na pewno były czyste. Nie chciała pobrudzić muślinu sukni.

Marlowe nienawidziła ubierać się jak dziewczyna. Nienawidziła, ponieważ w tym stroju nie było jej wygodnie, a poza tym chłopcy patrzyli na nią inaczej. Pracowała ciężko na to, żeby stać się jedną z nich. Mówiła jak oni, ubierała się jak oni, spluwała jak oni. Nie chciała, żeby widzieli w niej dziewczynę – nie tylko dlatego, że coś głupiego mogłoby im przyjść do głowy; chciała się dopasować. Być jednym z chłopaków z Covent Garden, jak nazywano ich gang. Jak by ją kto pytał, to był najlepszy gang w

Londynie.

Ale dzisiejszy dzień dowiódł, że do nich nie pasuje. Ten gość na Piccadilly nazwał ją Elizabeth. Nie była Elizabeth. Próbowwała mu to powiedzieć, ale on wiedział, że kłamie. Zwykle świetnie kłamała, ale tym razem ją zaskoczył. Tamten powinien się z tego cieszyć. Nigdy nie traciła czujności.

– Marlowe? – odezwał się cichy głos zza zasłony.

Podskoczyła.

– Jestem prawie gotowa. – Nie była prawie gotowa; szybko ściągnęła męskie ubranie, naciągnęła koszulę i zaczęła szukać w kuferku halki, gorsetu i pantofli. Nazywa się Marlowe, powtórzyła w duchu. Nie Elizabeth. To była tylko dziecinna fantazja, którą się pocieszała, kiedy Satin ją pobił, albo kiedy – nowa wśród chłopaków – bała się strasznie i marzła.

Już nie była szczeniakiem. Miała dwadzieścia lat. I nazywała się Marlowe. Narzuciła gorset, walczyła z nim przez chwilę, ale się poddała.

– Jest Barbara? – zapytała, wiedząc, że Gideon wciąż czeka po drugiej stronie.

– Nie. Przyniosła kolację i poszła. Zawołać ją?

Barbara była żoną właściciela Piwnicy pod Czerwonym Jednorożcem, szynku po drugiej stronie ulicy, w tej części Seven Dials, gdzie urzędował gang. Satin zawarł swego rodzaju układ z tą parą. Pewnie obiecał, jak podejrzewała Marlowe, że nie okradnie szynku, a Barbara w zamian zobowiązała się przynosić ciepły posiłek raz dziennie i sprzątała po chłopakach. Barbara także pomagała Marlowe ubierać się przy rzadkich okazjach, kiedy ta musiała wyglądać jak dama. Ale Gideon też potrafił ubrać kobietę. Ostatecznie, sporo z nich zapewne rozebrał.

– Nie, daj spokój – powiedziała Marlowe, odsuwając zasłonę. Wiedziała, że Gideon chce już ruszać. I nie miała nic przeciwko temu, żeby zawiązał jej gorset. Traktowała go jak przyjaciela. Pocałowali się parę razy, kiedy byli młodszy, ale żadne nie poczuło niczego szczególnego. Nie było iskry – nie to, żeby Marlowe wiedziała, na czym ta iskra polega, ale Gideon twierdził, że wie i żadne z nich tego nie ma. Pewnie lepiej dla nich, bo Satin zabiłby oboje, gdyby zanadto dokazywali.

Gideon wszedł, a Marlowe się odwróciła. Nie zaczął od razu, więc zerknęła przez ramię. Wskazał na jej piersi.

– Chyba powinnaś je najpierw rozwiązać.

Popatrzyła na swoją mocno spłaszczoną pierś pod koszulą.

– Racja.

Koszula była luźna, więc opuściła ją do łokci, żeby móc rozwiązać supeł. Potem zaczęła odwijać pasek materiału, co było trudnym zadaniem, tyle tego było. Kiedy odwinęła materiał parę razy, piersi zaczęły ją boleć, napłynęła do nich krew. Nie znosiła tego, jakie były ciężkie i jak jej przeszkadzały. Zerknęła na Gideona; odwrócił wzrok.

– Gideon – powiedziała. – Przecież lubisz cycki.

Roześmiał się i potrząsnął głową, wciąż na nią nie patrząc.

– Dlaczego tak przy nich głupiejesz? Dla mnie to tylko kłopot.

– Marlowe, nie będę teraz o tym z tobą rozmawiał. Włóż koszulę i odwróć się.

Zrobiła, jak kazał, nakładając gorset. Zasznurował go zręcznie. Układał jej piersi bezceremonialnie, wypychając je do góry; westchnęła, zdając sobie sprawę, że będzie musiała wytrzymać obnażona w ten sposób przez parę godzin.

Interesujące, że Gideon nie chciał spojrzeć na jej piersi i czegoś na ich temat powiedzieć. Widziała jego kluchę. Nie miała na ten temat wiele do powiedzenia, poza tym, że wyglądała zupełnie tak samo, jak wszystkie inne. Przypuszczała, że Gideon chce się zachować jak dżentelmen. Dlaczego, skoro ona nie była damą?

Gideon dokończył sznurowania, a ona zawiązała halkę i nałożyła suknię. Gideon pomógł jej ją pozapinać i pozawiązywać. Potem jeszcze buty i włosy, a do tego zapomniała przywiązać kieszeni.

Potrzebowała jej na nóż. Wreszcie skończyła. Co za męka!

Marlowe wysunęła się zza zasłony i przeszła do głównej części pokoju. Gideon i chłopcy – Tiny, Stub i Joe – byli gotowi. Tiny i Stub, mimo szczenięcego wieku, działali szybko i pewnie. Joe był jeszcze szybszy i Satin nazywał go czasami Pędziwiatrem. Miał stać na straży i dać im biegiem znać, jeśli działoby się coś podejrzanego. Ona miała uważać, żeby chłopcy nie wpadli.

Kiedy weszła do pokoju, wszystkie oczy zwróciły się na nią. Nie na nią, ściśle rzecz ujmując, na jej biust. Dlatego nienawidziła dziewczęcych strojów. Chłopcy zapominali, że może im podbić oko i ślinili się na widok kobiecych części jej ciała. Marlowe położyła ręce na biodrach.

– Na co się gapicie? Cycków nie widzieliście?

Paru chłopaków spuściło wzrok, ale niektórzy wyszczerzyli zęby. Jeden z nich dołączył do gangu parę lat później niż ona. Nie znała jego prawdziwego imienia, mówiono na niego Beezle. Wzrostem niemal dorównywał Gideonowi i był silny. Marlowe nie była pewna, czy dałaby mu radę w bójce. Prostytutki go omijały; Marlowe słyszała, że chętnie używa siły. Wgapił się w nią długo po tym, jak ich złe spojrzenia się spotkały. Każdy inny chłopak odwróciłby wzrok.

Satin stanął między nimi.

– Dość. Chcę porządnego łupu. Spotkamy się przy magazynie.

Gideon wręczył Marlowe duży jutowy worek i cała gromadka wyszła na zewnątrz.

Seven Dials w nocy budziło się do życia. W dzień wydawało się, że gnieźdzą się w nim tylko dziwki najniższej kategorii i kalecy, którzy chowali się w każdej sieni. Domy publiczne i szynki zamierały i pogrążały się w mroku za zasłoniętymi oknami, chociaż sprzedaż dżinu trwała w najlepsze i w tego rodzaju sklepach pełno było pijaków. W słabym świetle dnia snuły się dzieciaki i kalecy żołnierze; niektórzy siedzieli w kątach, zapomniani i opuszczeni, wyciągając rękę. Ale teraz nastąpiła ciemność, a wraz z nią pojawili się mężczyźni, kobiety i dzieci, które ożywały po zmierzchu. Ulice zaroily się, ludzie wysypywali się z rzęście oświetlonych domów publicznych. Marlowe widziała zataczających się po pijanemu dżentelmenów z Mayfair. Stanowiliby łatwe ofiary.

– Bardziej się opłaci, jak obrobimy dom – zauważył Gideon, chowając wytrych pod marynarką. Miał go użyć, żeby otworzyć drzwi. Szedł obok niej, niemal tak, jakby ją chronił. W sukience przyciągała większą uwagę, niż miała ochotę. Skinęła głową na znak, że się z nim zgadza. Poza tym nie paliła się, żeby spotkać więcej dżentelmenów tego wieczoru. Nie zapomniwała spotkania z tym, który nazwał siebie sir Brookiem. Złapała się na tym, że przygląda się podejrzliwie każdemu mijanemu mężczyźnie w obawie, że to może być tamten. Ale on powiedział, że ona sama może przyjść do niego. Podał jej adres swojego biura. A nawet próbował wręczyć jej wizytówkę. Głupi, czy co? Nie mogła jej przyjąć. A gdyby Satin ją znalazł?

– Wiecie, jaki jest plan – powiedział Gideon, kiedy zbliżali się do zegara słonecznego, znaczącego wejście do Seven Dials, kawałka miasta niemal kolistego kształtu w Covent Garden, gdzie zbiegało się siedem dróg. Tędy także wychodzili. Marlowe słuchała uważnie Gideona, woląc nie myśleć o wydarzeniach tego popołudnia. Nie mogła sobie pozwolić na roztargnienie.

– Marlowe zapuka do drzwi i opowie swoją historyjkę. – Gideon podał jej pergamin. Rozwinęła go i westchnęła. Potrafiła przeczytać parę słów, chodziło o katastrofę morską. Opowiadała tę bajkę setki razy. Miała podrobiony paszport dla Theodosii Buckley. Pokazywała go, żeby nadać swoim słowom jakąś wiarygodność. Prosiła o pieniądze, żeby wrócić dylizansem do domu, do Shropshire. Pewnie nie dostanie dużo, jeśli w ogóle, ale nie o to chodzi. Kiedy ona odciągnie uwagę właścicieli, Gideon, Stub i Tiny obrobią dom do czysta. Joe miał stać na warcie na wypadek, gdyby przechodziła straż albo przejeżdżał powóz. Chłopcy upewnią się, że wszystko gra, a potem wymkną się przez okna. Joe da sygnał, ona dopowie bajeczkę o nieszczęśliwej królownie i pójdzie na miejsce spotkania.

– Gdzie się spotykamy? – zapytała, kiedy Gideon skończył odprawę. Wszyscy wiedzieli, co robić, ale Gideon zawsze wolał dwa razy sprawdzić, czy wszyscy wszystko pamiętają.

– Dom jest w Cheapside, koło księgarni – odparł Gideon. – Tam się spotkamy. Pokażę ci, jak będziemy go mijać.

Opuścili Seven Dials i Gideon zaproponował, żeby się podzielili. W piątkę wyglądali podejrzanie. Marlowe przysunęła się do Tiny’ego. Zwykle szła z najmniejszym chłopcem, bo ludzie często brali ich za matkę i syna, ale Gideon położył jej rękę na ramieniu.

– Chodź ze mną. – Wsunął sobie jej rękę pod ramię i ruszyli razem, jak para kochanków na spacerze. – Co jest nie tak? – zapytał, kiedy zostawili chłopców z tyłu.

– Nic – odpowiedziała szybko.

– Marlowe, znam cię. Co się stało?

Włożyła kciuk do ust i zacisnęła na nim zęby. Jasne, przed Gideonem nie była w stanie niczego ukryć.

– Ja i Gap pracowaliśmy na Piccadilly. Gap wybrał jednego gościa, a jak go obrobiłam, złapał mnie i nazwał Elizabeth. – Wyszepiała imię, choć nikt nie mógł jej usłyszeć.

– Pewnie przypominasz kogoś, kogo zna – powiedział Gideon.

Marlowe potrząsnęła głową.

– Byłam ubrana jak chłopak, ale nawet jakby przejrzał przebranie, to i tak to właśnie mnie szukał. Powiedział, że na mnie czekał.

– Ale to Gap go wypatrzył.

– Wiem. – Inspektor musiał ich obserwować od paru dni, śledzić ich ruchy. To ją martwiło, ale nie tak, jak to, co powiedział, kiedy ją wciągnął do jakiejś sieni. – Mówił, że moi rodzice go wynajęli, żeby mnie znalazł. Chcą, żebym wróciła do domu.

– Satin mówił...

– Wiem, co powiedział Satin. Znalazł mnie biedną, porzuconą w parku. Uratował mnie. – Ale jeśli to prawda, to skąd u niej wspomnienie miłości, szczęścia? Satin twierdził, że nie znała swojego imienia, pewnie w ogóle żadnego nie miała. Że jest córką pół żebraczki, pół dziwki. Ale ona pamiętała matkę, która była miękka i słodko pachniała. Pamiętała, że jej śpiewała, tuliła ją i nazywała Elizabeth.

– Czy to są wspomnienia, czy... – Gideon jakby czytał w jej myślach. Urwał, a ona dopowiedziała sobie resztę. Zastanawiała się często, czy te obrazki to tylko jej niespełnione tęsknoty i fantazje. Ale jeśli tak, to skąd znała kołysankę *dilly, dilly*? W St. Giles raczej jej nie usłyszała.

– Sir Brook nie mógł tego wiedzieć – odezwała się.

– Sir Brook?

– Powiedział, że tak się nazywa. Jest śledczym.

– Bow Street? Albo cię oszukuje, albo to jakiś podły żart. – Przyspieszył. – Tu jest księgarnia.

Schronili się w sieni i Marlowe zrozumiała, że to koniec rozmowy. Gideon miał pewnie rację. Ostatecznie, czy to prawdopodobne, że jest córką jakiejś bogatej damulki? Porzuciła ją pewnie żebraczka, która nie dałaby rady jej wykarmić. Brook sobie zazartował, a ona wpadła w pułapkę. Ale jeśli to tylko gra, to wiedział, jak ją prowadzić. Wiedział nawet, kiedy odejść. Namieszał jej w głowie, a potem powiedział, że może do niego przyjść, jeśli chce poznać swoich rodziców. A potem poszedł sobie, zostawiając ją na Piccadilly ze szczęką, która opadła jej do pasa. Nawet nie poprosił, żeby mu oddała pieniądze.

– No, więc co zrobisz? – zapytał Gideon, kiedy czekali na chłopców.

– Nic. – Ścisłe mówiąc, nie podjęła jeszcze decyzji, ale gdyby powiedziała Gideonowi, że zastanawia się nad propozycją sir Brooka, wyśmiałby ją i wytłumaczył, jaka to głupota. I Gideon miałby rację. Satin, jak im często powtarzał, wkładał mnóstwo czasu i wysiłku w kształcenie jej i chłopaków. Ponadto karmił ich, ubierał, dawał dach nad głową. Traktował to bardzo osobiście, kiedy któryś z chłopaków uciekł. Rzadko który próbował tego po raz drugi. A jeśli już, to potem na ogół znajdowano go pływającego w Tamizie brzuchem do góry.

Marlowe próbowała uciec jeden raz, kiedy miała około dwunastu lat. Satin pobił ją tak, że ledwie

przeżyła. Kiedy płakała, zakrwawiona, Satin pochylił się i szepnął jej do ucha:

– Nigdy cię nie puszcze, Marlowe. Jesteś dla mnie zbyt cenna. Wolę, żebyś umarła niż uciekła.

– Satin nigdy nie pozwoli mi odejść.

– Ma jakieś plany co do ciebie – stwierdził Gideon, nie patrząc na nią. Wsadził ręce do kieszeni; miał taką minę, jakby nic go to nie obchodziło, ale Marlowe czuła, że nie pochwała pomysłów Satina. – Duże włamy. Bez ciebie musiałby przyhamować, a za dużo go to kosztowało.

Marlowe podejrzewała, że Satin trzyma ją na jakąś szczególną okazję. Parę razy widziała, jak szeptał z Beezle'em. Raz czy dwa zerknął w jej stronę. Nic dziwnego. Była najlepszym złodziejem gangu z Covent Street. Ale im większe ryzyko, tym większa szansa, że ją złapią i wtrącą do Newgate. Nie miała ochoty przez resztę życia korzystać z królewskiej gościny.

Ale nie chciała też całe życie kraść dla Satina. Co mogłaby teraz powiedzieć swoim rodzicom? Jeśli stać ich było, żeby wynająć kogoś takiego, jak sir Brook, to byli bogaci – przynajmniej jak dla niej. Spojrzą na nią raz i każą jej się wynosić. W gangu przynajmniej jej chcą i potrzebują.

– Są – powiedział Gideon, zwracając jej uwagę, że chłopcy stawili się na miejsce. – Jesteś gotowa, Marlowe?

– Zawsze. – Mówiła szczerze. Odsunęła na bok wszelkie myśli o matkach i ojcach. Nie mogła się teraz rozklejać ani martwić, czy ktoś by ją pokochał, czy nie. Jeśli nic tym razem nie zgarną, będzie miała większe zmartwienia, niż to, czy ptaszki ćwierkają miłośnie wśród drzew, albo czy mamusia utuli ją do snu.

Wyprostowała się, kiwnęła głową Gideonowi i chłopakom, po czym obeszała dom, który mieli obrobić. Dała im chwilę, żeby zajęli pozycje, a potem przeszła przez ulicę, w stronę drzwi. Usłyszała za plecami stukot końskich kopyt, ale o tej porze nie było w tym nic niezwykłego. Zerknęła na Joe, który stał w cieniu, na rogu; dał jej znak, że wszystko w porządku. Po prostu przejeżdża jakiś powóz. Nie ma się czym martwić. Nic w tym złego, że się puka do drzwi, a pasażerowie powozu tylko tyle zobaczą.

Ruszyła po schodkach frontowych i za późno zwróciła uwagę na ruch na prowadzących do piwnicy schodach dla służby. Zanim zdążyła zareagować, mężczyzna złapał ją, podniósł do góry jak worek kartofli i zarzucił sobie na ramię. Walczyła i krzyczała, drapała i tłukła pięściami, ale to nie robiło na nim wrażenia. Joe ją uratuje. Jak nie on, to Gideon. Nie zgarną jej tak po prostu. Tego była pewna.

A potem wepchnięto ją do powozu i naciągnięto worek na głowę. Nastąpiła ciemność.

2

Dane wyglądał przez okno swojego własnego powozu i zastanawiał się, co takiego w niego wstąpiło, że pożyczył go Brookowi. Dlaczego gapienie się na ulicę w Cheapside miałyoby być ciekawsze od wieczorku u lady Yorke?

Och, doskonale. Już chyba wszystko było ciekawsze od wieczorku u lady Yorke. Przyglądanie się, jak trawa rośnie, było ciekawsze, a siedzenie w powozie przez ostatnią godzinę i krążenie po tej samej ulicy było tak samo interesujące, jak obserwowanie, jak trawa rośnie. Westchnął i rozmasował sobie skronie. Równie dobrze mógł tu siedzieć. Nie miał nic lepszego do roboty, skoro Parlament dzisiaj nie obraduje. Uśmiechnął się na myśl o mowie, jaką wygłosił na ostatniej sesji. Była to miażdżąca krytyka zgłoszonej ustawy, wedle której miano przeznaczyć większe sumy pieniędzy na pomoc dla biednych.

Biedni! A co z żołnierzami albo chłopstwem? A ta przekłeta Irlandia? Dane argumentował z powodzeniem – ustawę skreślono – że biedni zasługują na swój los. Są leniwi i wolą gnuśnieć w nieróbstwie zamiast ciężko pracować. Brudni, ciemni, zepsuci – klasy niższe ledwie zasługują na miano ludzi. Lepiej, żeby kraj zwrócił się ku przyszłości – karmiąc naród i go broniąc.

Będąc hrabią, Dane miał obowiązki nie tylko jako właściciel ziemski, par Anglii i członek Parlamentu, miał także obowiązki towarzyskie. Nie cierpiał balów, z których każdy przypominał łądząco poprzedni, bezbarwnych debiutantek, nic nie znaczących rozmów o pogodzie. Nienawidził Londynu podczas sezonu. A sezon właśnie się zaczął. Obowiązki bywały piekielnie nudne.

Sądził, że jeśli przyjmie parę zaproszeń i pojawi się tu i tam, jego matka, wdowa, hrabina Dane, przestanie wygłaszać kazania o tym, że musi znaleźć żonę. Z każdym rokiem było coraz gorzej, matka dręczyła go coraz bardziej. Powinien wziąć jakąś dziewczynę i mieć to za sobą. Ostatecznie, wszystkie były do siebie podobne.

Jeśli Brook by tu siedział, przewróciłby oczami i powiedział Dane'owi, że być hrabią to widocznie wyjątkowo ciężki kawałek chleba. Ale nie każdy może być bohaterem jak Brook. Nie każdy może ratować ludzi. Ktoś musi być zwyczajny.

Ale niech go diabli, skoro takie życie sobie wybrał, niech sobie dokonuje tych bohaterskich czynów. Dane o mało nie zasypiał z nudów.

Powóz ruszył i Dane zmarszczył brwi. Nie polecił woźnicy jechać. Czyżby napadli na nich jacyś zbóje? Wieczór stałby się dzięki temu nieco bardziej interesujący.

A potem usłyszał krzyk.

Podskoczył i rozsunął zasłony. Akurat wtedy rozległ się głos brata:

– Otwórz drzwi! Otwieraj te przekłete drzwi!

Dane pchnął drzwi, choć powóz był w ruchu. Zwolnił lekko, a Brook wrzucił do środka dzikie zwierzę. Dane cofnął się gwałtownie, z daleka od jego pazurów, a Brook wskoczył do środka i zatrzasnął drzwi.

– Jedź! – wrzasnął na woźnicę.

Powóz szarpnęła, pędząc z prędkością, która nie mogła być bezpieczna, i to nie tylko na ulicach zatłoczonego Londynu. Nie miał jednak czasu się o to akurat martwić. Stworzenie rzuciło się na niego,

podrapało mu nogę i mocno ugryzło w łydkę.

– Au! – krzyknął, strząsając je z siebie.

Cofnęło się, a Brook założył mu kaptur na głowę. Dzięki temu straciło orientację, a Brook zdołał związać mu ręce.

Ręce? To była istota ludzka?

– Co to jest, do diabła? – zapytał.

– To jest ktoś i ma na imię Elizabeth – oznajmił Brook, zaciskając zęby z wysiłku, jakiego wymagało umocowanie więzów na rękach stworzenia – na jej rękach.

– To kobieta? – Kobieta właśnie go ugryzła? Niech to, noga go bolała, jak wszyscy diabli. Przyjrzał się uważnie i dostrzegł brudną sukienkę. Podniósł wzrok, tak... niewątpliwie kobieta.

– To – powiedział Brook, opadając ze zmęczenia na poduszki – jest lady Elizabeth Grafton.

Dane zawsze myślał, że kiedy nadejdzie taki dzień, kiedy jego brat popełni błąd – koszmarny błąd z gatunku takich, jakich Dane starannie unikał – to odczuje zadowolenie. Ale teraz wściekle bolała go noga i bardziej niepokoił się o zdrowie umysłowe brata – i prawdę mówiąc, o własne bezpieczeństwo – niż cieszył, że miałyby okazję powiedzieć: A nie mówiłem.

Dane ponownie zerknął w stronę kobiety. Nie miał pojęcia, kim jest, ale na pewno nie córką markiza Lyndona. Była ulicznicą. Sam jej zapach świadczył dobitnie, że kąpiel nie była luksusem, z którego korzystała często, jeśli w ogóle. I jej język. Dama nie znała słów, jakimi obrzucała Brooka. Nawet Dane nie znał niektórych przekleństw. I brud. Będzie musiał kazać kamerdynerowi natychmiast wyprać te bryczesy.

– Czy dobrze się czujesz? Uderzyłeś się ostatnio w głowę?

Brook posłał mu wściekle spojrzenie.

– To ona.

Zanim jednak Dane zdążył zakwestionować to stwierdzenie, dzikie stworzenie – kobieta, jak upierał się Brook – zaczęło się znowu rzucać, widocznie nabrawszy na nowo sił. Z workiem na głowie nic nie widziała i, mając związane ręce, nie mogła używać pazurów, ale kopań mogła. Dane przesunął się w drugi koniec ławki, żeby uniknąć jej stóp. Budziłaby grozę jako pięściarz, gdyby jej pięści poruszały się równie szybko jak stopy.

– Nie mogę jej zabrać do lorda Lyndona w takim stanie – stwierdził Brook.

Dane zmarszczył brwi. Nie podobało mu się to, co z tego zdania mogło wynikać.

– Możesz ją wyrzucić z powrotem na ulicę – zasugerował, ponieważ Brook się nie odzywał. Wyjrzał przez okno – akurat przejeżdżali przez Mayfair. Może nie powinni takiego stworzenia wypuszczać w Mayfair. Powinni jechać dalej i zostawić ją w jakimś bezpieczniejszym miejscu. Gdzieś w Szkocji. Albo którejś z Ameryk.

– Nie wyrzucę jej z powrotem na ulicę.

Kobieta uspokoiła się, ciekawa widocznie, co ją czeka.

– Moglibyśmy ją wsadzić na statek. Australia jest dostatecznie daleko.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna i zaczęła się znowu miotać. Dane zasłonił się ręką.

Brook przewrócił oczami.

– Dane.

Dane rozłożył ręce.

– Sam mówiłeś, że to złodziejka. To najmniejsza kara, jaka mogłaby ją spotkać.

– Prawda, ale myślałem o tym, żeby ją zreformować.

Dane zmrużył oczy, a dziewczyna odezwała się po raz pierwszy.

– Nie chcę żadnego przeformowania. – Jej głos dobiegał stłumiony spod kaptura.

Dane wycełował w nią oskarżycielsko palcem.

– Sam słyszałeś. Nie chce żadnego przeformowania.

– Jednak zabierzemy ją do domu...

– Do domu!

– Umyjemy ją i doprowadzimy do porządku, a potem oddamy lady i lordowi Lyndon.

– Nie! – To znowu ryknęło stworzenie.

Tym razem Dane nie uniknął kopnięcia i jego kolano ucierpiało.

– Do diabła! – Bryczesów zapewne nie da się uratować.

– Puść mnie! – wrzasnęła, ponownie kopiąc na oślep. – Zafajdany łajdaku! Wypuść mnie, szatański wypierdku! – Ciągnęła dalej w tym duchu, a Dane spojrzał na brata z niedowierzaniem. Nigdy nie słyszał takich słów z ust kobiety.

– Mam wrażenie, że powinienem notować – powiedział, przekrzykując hałas. – Mógłbym zrobić wrażenie na dżentelmenach w Klubie Jacksona.

– Mogliby cię wyrzucić – zauważył Brook. – Tak czy inaczej, zabieram ją do domu Derring.

Dane stracił cierpliwość.

– Nie, nie zrobisz tego. W domu jest Susanna i matka. Nie możemy narażać ich na spotkanie – machnął pogardliwie ręką na kobietę – z tym.

– Nonsens – oświadczył Brook, krzyżując ręce na piersi w geście, który, z czego Dane zdawał sobie sprawę, oznaczał, że podjął już decyzję. – W przeciwieństwie do ciebie wierzą w dobroczynność. A tobie nie zaszkodzi, jak sobie czasem ubrudzisz te liliowo białe rączki.

Dane zerknął na swoje rękawiczki bez jednej plamki. Może nie zaszkodzi, ale sprawi ból.

– Sądziłem, że hołotę i przestępców trzymamy z daleka od domu Derring. Dość już tego, że nie można przejść ulicą, żeby ci nie wypatroszyli kieszeni, a bandyci niemal objęli drogi w posiadanie. Przynajmniej dom powinien być bezpiecznym miejscem.

Brook skrzywił się.

– Mówisz jak ojciec.

– I popatrz, co się z nim stało. Ostatnie włamanie do domu go zabiło.

– Był już wtedy chory i gasł powoli.

– To, że mu obrabowano dom z pewnością przyspieszyło koniec.

Brook nie zaprzeczył i Dane uznał milczenie brata za milczące przyznanie racji. Całe życie część roku spędzał w Londynie i wiedział o wszelkich wybrykach i występkach przestępczego półświatka. Niezliczoną ilość razy padał ofiarą napadów. Ale nosił przy sobie ciężką laskę i pistolet, jeśli uznał za stosowne, i potrafił się obronić. Jednak śmierć ojca rozbudziła w nim gniew i nienawiść do klas niższych, które uważał na klasy przestępcze.

Kiedy zajechali przed miejską rezydencję przy Berkeley Square, Dane postanowił być twardy. Był hrabią, o czym jego brat chętnie zapominał i nie miał zamiaru wpuścić – jedyne w miarę uprzejme słowo, jakie przychodziło mu do głowy to dziewczucha – jej do domu. W przeciwieństwie do wielu starszych domów, kuchnię i pomywalnię domu Derring umieszczono na tylnym podwórzu i można było się do nich dostać albo przez pokoje służby, albo obchodząc dom. Taki układ zmniejszał ryzyko, że dom się spali, jeśli w kuchni wybuchnie pożar i, ponadto osobny budynek więcej pokoi gospodarczych. Matka i Susanna pewnie nie wróciły jeszcze do domu, większość służby o tej porze znajdowała się w swoich kwaterach. Kuchnia była pusta.

Dane poinstruował woźnicę, żeby zatrzymał się przy schodach dla służby, zanim zauważy go kamerdyner, który z pewnością wypatrywał ich powrotu.

Dane spojrzał na Brooka ponad ciskającą się wściekle dziewczyną.

– Czy to dziewczuszyśko nigdy się nie zmęczy? Jak ją stąd wydostaniemy?

– Będziemy ją nieść.

Inaczej by się chyba nie dało, ale to nie znaczy, że Dane był zachwycony.

– Jeśli wniesiemy ją do domu...

Dane podniósł rękę, przerywając bratu. Z westchnieniem zdjął rękawiczki i kubrak i gestami pokazał Brookowi, co robią. Jeśli kobieta nie będzie świadoma, co ją czeka, nie zbierze się do ataku. Brook skinął głową, sam wykonał parę gestów dłonią, wywołując raczej niezbyt uprzejmy odzew ze strony Dane'a, który następnie otworzył drzwi powozu i wyskoczył na zewnątrz. Brook, na dany znak, wypchnął kobietę przez drzwi, w ramiona Dane'a.

Wiedział, że nie należy jej trzymać zbyt blisko. Podobnie jak wcześniej Brook, zarzucił ją sobie na ramię, przyciskając jej kolana do piersi, tak żeby nie mogła go mocno kopnąć ani uderzyć w jakieś wrażliwe miejsce. Skrzywił się, czując bijący od niej smród; koszulę pewnie trzeba będzie później spalić. Spojrzał na woźnicę, który gapił się na nich z otwartymi ustami.

– Ani słowa.

– Tak, jasnie panie.

Była lżejsza, niż Dane się spodziewał; zniósł ją bez trudu po schodach i do kuchni. Brook szedł przed nimi, otwierając drzwi i świecąc lampą. Obok właściwej kuchni znajdował się niewielki pokój, gdzie służba jadła, szyła albo zbierała się w czasie wolnym. Dane posadził dziewczynę na jednym z krzeseł w owej świetlicy. Z daleka od noży i innych przedmiotów, których można by użyć w charakterze broni.

Posadził ją i odskoczył. Natychmiast zaczęła się rzucać i spadła z krzesła.

Brook wskazał ją brodą.

– Musisz ją rozwiązać. Nie może używać rąk, żeby się przytrzymać.

– Sam ją rozwiąż – odparł Dane. Wiedział jednak, że trzeba to zrobić. Choćby chciał bardzo, nie mógł zostawić jej związanej. To byłoby nieludzkie. Podeszedł do niej ostrożnie. Wydawała się wyczuwać, gdzie jest, bo kaptur zwrócił się w jego stronę; wierzgnęła nogą w jego kierunku. Uniknął kopnięcia i zdołał wślizgnąć się za nią. Chwycił jej nadgarstki, próbując poluzować sznur. Nie dał rady. Supły zacisnęły się, kiedy walczyła. Dane poszedł do kuchni i wrócił z małym ostrym nożem.

Nie mógł jednak przeciąć sznura, nie raniąc jej, jeśli by się nadal wierciła.

– Słuchaj – powiedział, cofając się, kiedy odwróciła się na dźwięk jego głosu, wymierzając kopniaka. – Przetnę więzy, ale musisz się uspokoić, inaczej niechcący cię pokaleczę. – Mówił cicho i spokojnie, jak do płochliwej klaczy.

– Zabiję cię – zaskrzeczała.

Brook uniósł brwi. Dane usiłował zachować spokój.

– Dużo łatwiej ci będzie tego dokonać z wolnymi rękami.

Przestała wierzgać, zastanawiając się nad jego słowami.

– Jeśli będziesz czegoś próbować... – odezwała się w końcu.

– Kobieto, zapewniam cię, że twoja cnota jest przy mnie bezpieczna. Nie zdołałabyś mnie skusić w żaden sposób. – W świetle lampy jeszcze wyraźniej widział plamy na jej sukience, brud na nadgarstkach i czarne półksiężycy za paznokciami. I ten odór niemytego ciała. Nie miał najmniejszej ochoty się do niej zbliżyć.

Wyciągnęła ręce jak najdalej od pleców. Dane, ostrożnie, ukląkł obok niej. Nie ruszała się, więc wsunął nóż pod więzy. Ciął raz i była wolna. Odkoczyli jednocześnie. Ściągnęła kaptur i ukucnęła, rozglądając się badawczo.

Dane patrzył zdumiony.

– Jesteś tylko dziewczyną.

Machnęła gwałtownie głową w jego stronę, ciemne włosy opadły jej na twarz.

– Jestem dziewczyną, ale mogę ci dołożyć.

Dane podniósł ręce obronnym gestem.

– Nie wątpię, że chciałabyś spróbować.

– Nie skrzywdzimy cię – powiedział Brook.

– Ty? – parsknęła szyderczo. – To ty mnie złapałeś. Co to za miejsce? – Rozejrzała się. – Burdel?

Dane uniósł brew.

– To kuchnia.

Nie wydawała się przekonana. Kręciła głową, podskakując na każdy najlżejszy dźwięk. Dane był zaintrygowany. Spodziewał się kobiety trzydziestoletniej albo i starszej. Przy ciele dojrzałej kobiety miała dziewczęcą twarz. Na pewno nie przekroczyła dwudziestki albo bardzo niewiele. I choć włosy miała nieco skołtunione, twarz była czysta. Przynajmniej stosunkowo czysta. Więc może nie przepadała za brudem. Miała wielkie, niebieskie oczy, które lśniły gniewem i nienawiścią. To nie była mała kokietka. Panie z Almacku zemdlałyby na jej widok.

Rozległo się pukanie, dziewczyna podskoczyła, zwracając się ku drzwiom i podniosła ręce, jakby szykowała się do odparcia ataku.

– Co to jest?

– Nazywamy to pukaniem – odparł Dane. – Uprzejmy, zwyczajowo przyjęty sposób zawiadamiania innych, że chcemy wejść do środka.

Brook otworzył, na progu stał woźnica rodziny Derring.

– Tak, Ezekielu?

– Jest list do pana. Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeśli sam go przyniosę. – Odszukał wzrokiem dziewczynę, wydawał się uspokojony, widząc, że nic jej się nie stało. – Nie chciałem, żeby służba zadawała pytania.

– Dziękuję. – Brook zamknął drzwi i złamał pieczęć. – A niech to.

– O co chodzi? – zapytał Dane.

– Muszę iść. Bow Street...

– Nie. – Dane potrząsnął głową. – W żaden sposób. Zabraniam ci.

Brook wzruszył ramionami.

– Nie masz takiej władzy. Muszę iść. – Ruszył do drzwi, ale Dane stanął mu na drodze, przytrzymując drzwi ręką.

– Teraz? W tej chwili?

– To pilne.

Dane posłał mu wściekłe spojrzenie.

– A co mam z nią zrobić? – wydusił przez zaciśnięte zęby.

Brook obejrzał się, jakby przez chwilę o niej zapomniał.

– Wyszoruj ją. Jutro zabiorę ją do lorda Lyndona.

– Jeśli naprawdę chcesz ją przedstawić lordowi Lyndonowi jako jego córkę, to brak ci piątej klepki.

– Zobaczymy – odparł Brook. Zrobił krok i spojrzał na Dane'a znacząco, kiedy ten nie cofał ręki.

Klnąc, Dane odstąpił na bok i Brook wyszedł.

Dane odwrócił się i popatrzył na dziewczynę. Odwzajemniła spojrzenie z wyzwaniem i groźbą w oczach. Boże, miej go w swojej opiece. Chciał tylko ucieczki od zwykłej nudy sezonu. Nie chciał walczyć z jakąś diabolicą. Brook powiedział, żeby ją wyszorować. To się chyba odnosiło do ubrania. Ale nie ma sensu zakładać czystego ubrania na brudne ciało. Trzeba ją zmusić, żeby się umyła.

Wanna, której używała służba, stała w kącie pokoju. Musi tylko nagrzać trochę wody na piecu. Nie miał pojęcia, jak używać pieca. Po to miał kucharza. Musi sprowadzić kucharza. A kiedy wróci, po dziewczynie nie będzie śladu. Czy to tak źle? Dane sądził, że nie, ale brat by się z nim nie zgodził. Dane nie miałby nic przeciwko temu, żeby utrzyć Brookowi nosa, ale był ciekaw, dlaczego brat sądzi, że ta dziewczyna może być lady Elizabeth Grafton, córką markiza Lyndona. Znał historię małej lady Elizabeth. Zniknęła pewnego dnia w parku i mimo usilnych poszukiwań, nigdy jej nie odnaleziono. Oskarżono, a potem wtrącono do więzienia niańkę, ale Dane podejrzewał, że nieszczęsna kobieta była niewinna. Dzieci porywano, żeby je wysłać do kolonii, albo w jeszcze innych, mrocznych celach. Dane starał się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły. Miał wówczas dziesięć lat, a dziewczynka około pięciu. Więc

teraz miałyby dwadzieścia. Spojrzał na dziewczynę przed sobą. Była w odpowiednim wieku.

– Jeśli masz spotkać swoich rodziców, musisz się umyć i przebrać.

– Nie mam rodziców – oznajmiła. Nie zdziwił się. Była pomiotem szatana.

A jednak interesujące. Jako przedsiębiorcza złodziejka, jaką wydawała się być, mogłaby dostrzec szansę w udawaniu córki markiza.

– Zatem nie jesteś lady Elizabeth Grafton?

– Nazywam się Marlowe.

Dane czekał.

– Po prostu Marlowe – dodała.

– I nie jesteś córką markiza Lyndona?

– Nie znam żadnego głupiego markiza. Jeśli dasz mi odejść... – Usiłowała go minąć, ale Dane, przemógłszy wstręt wobec brudu, jaki ją pokrywał, ujął ją w pasie. Odskoczyła, a on odsunął się na bok, zanim zdołała go uderzyć. Wydawało się, że ma także niezły prawy sierpowy.

– Obawiam się, że nie mogę pozwolić ci odejść.

Spojrzała gniewnie.

– Dlaczego?

– Jak miło, że pytasz. Otóż, z dwóch powodów. Po pierwsze, mój brat jest doskonałym detektywem. Nie wiem, jak on to robi, ale ma pewne informacje. A z tego wynika drugi powód. Jeśli sądzi, że jesteś lady Elizabeth Grafton, to muszę uznać, że coś w tym może być.

– Pokrętny sposób, żeby mi powiedzieć, że kłamię.

Dane rozłożył ręce.

– Ależ nic podobnego.

Skrzyżowała ramiona pod bujnym biustem.

– Naprawdę? Nie sądzisz, że wiem, kim jestem? Powiedziałam ci, że mam na imię Marlowe. Nie znam tej damy, o której mówiłeś. A teraz nazwij mnie Elizabeth, a to tyle, jakbyś mówił, że łzę.

Dane patrzył na nią dłuższą chwilę. Szokujące, ale dziewczyna miała swoje racje. W istocie traktował ją jak kłamczuchę.

– Nie chciałem cię obrazić.

– Możesz przebrać świnię, jak ci się podoba, a to i tak świnią.

Mówili o zwierzętach? Czy dziewczyna była bystrzejsza, niż podejrzewał?

– Czy użyłaś metafory?

– Dość fikuśnych słów. Puść mnie!

Postanowił nie zniżać się do jej poziomu i nie odkrzyknął.

– Nie ma sensu cię teraz wypuszczać. Mój brat i tak cię znajdzie. – A Dane będzie musiał wysłuchać kazania o tym, jak to pozwolił dziewczynie uciec.

– Nieprawda. Mogę się tak schować, że nigdy mnie nie znajdzie.

Nie znała Brooka. Potrafił znaleźć każdego, a był cierpliwy. Mógł latami czekać na jakiś ślad kobiety czy mężczyzny. Ale Dane nie zamierzał z nią o tym dyskutować. Były inne tematy.

– Może i tak – zgodził się. – Nie pozwolę ci odejść. Tak, jak ja to widzę, masz wybór: albo dobrowolnie umyjesz się, włożysz czyste ubranie i zjesz gorący posiłek...

– Albo? – Tupnęła niecierpliwie nogą.

– Albo zrobisz to – pomijając, być może, posiłek – pod przymusem.

– Pod przymusem?

Uśmiechnął się blado.

– Zmuszę cię.

– Myślisz, że możesz mnie zmusić do czegoś, czego nie chcę? – Podniosła wyzywająco brodę.

– Tak.

Patrzyła na niego długą chwilę. Nie wiedział, co zobaczyła w jego oczach, ale w końcu kiwnęła głową.

– Dobrze, ale nie będziesz patrzył, jak się kąpię.

– Droga pani, zapewniam cię, że nie mam takiego zamiaru. Będę stał w kuchni, odwrócony plecami. Daję ci słowo dżentelmena.

Przewróciła oczami.

– Ale mi dżentelmen, co mnie zmusza do kąpieli wbrew mojej woli.

– Tak, wiem. Przerazające.

– I jeszcze jedno.

Westchnął.

– Co znowu?

– Nie włożę sukienki.

Uniósł brwi.

– Chcę spodnie i koszulę, jak ty masz.

– Chcesz się ubrać jak mężczyzna? Dlaczego?

– Bo tak.

– Dziwne – mruknął pod nosem, ale w tej chwili o to nie dbał. Matka i siostra miały wkrótce wrócić, a on chciał do tego czasu jakoś się z tą dziewczyną uporać. Dane podszedł do drzwi i zawołał:

– Ezekiel! Chodź tutaj!

Wóznica musiał się kręcić w pobliżu, bo zjawił się w parę sekund.

– Sprowadź Crawforda.

Słowa padły jak kamienie. Wóznica złożył nerwowo dłonie.

– Crawforda, panie? – Zerknął Dane'owi przez ramię na dziewczynę. – Jest pan pewien?

Nie. Dane nie był pewien. Od razu podejrzewał, że pożałuje wplątania Crawforda w tę historię, ale niewiele było rzeczy, których nie żałował, jeśli chodzi o tę noc, a i tak wydawało się mało prawdopodobne, żeby zdołał dłużej utrzymać tajemnicę. W każdym razie najpewniej spali kuchnię, jeśli spróbuje choćby podgrzać wodę. Może udałoby mu się znaleźć jakieś jedzenie, ale nie miał pojęcia, skąd wytrzasnąć ubranie, które by na nią pasowało, zwłaszcza, że musiał jej ciągle pilnować, żeby nie uciekła.

Dane westchnął i zamknął oczy.

– Po prostu go przyprowadź, Ezekiel.

– Tak, jaśnie panie.

Za plecami usłyszał głos dziewczyny.

– Kto to jest Crawford?

– Zobaczysz.

Po pięciu długich minutach do kuchni uroczyście wkroczył niski, łysiejący mężczyzna o zakrzywionym nosie; taki nos potęgował wrażenie, że Crawford na wszystkich patrzy z góry – choć na ogół był niższy od innych. Dane pomyślał o królu powracającym do swego zamku, a w pewnym sensie kuchnia i kwatery służby stanowiły zamek Crawforda.

– Panie. – Crawford skłonił się. Jego wzrok natychmiast skupił się na dziewczynie. Nic nie uchodziło jego uwagi. – Pan mnie wzywał?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Oczywiście, jaśnie panie. – Ton głosu Crawforda wskazywał jasno, że nikt nigdy nie zdołał niczego dokonać bez jego pomocy.

– Potrzebuję ciepłej wody na kąpiel, jedzenia i chłopięcego stroju dla tej dziewczyny. – Wskazał ręką Marlowe.

Crawford nawet nie mrugnął okiem na te dziwne życzenia.

– Oczywiście, jaśnie panie. Mogę zapytać, dlaczego mamy umyć, nakarmić i ubrać... tę ulicznicę?

– Nie jestem ulicznica! – ryknęła dziewczyna.

Crawford nie spuszczał wzroku z Dane'a.

– To jedno z zadań Brooka. To wszystko, co musisz wiedzieć.

– Oczywiście, jasnie panie. – Odwrócił się, chcąc zapewne odprawić swoje czary i spełnić wszystkie życzenia Dane'a, ale po chwili znowu się odwrócił.

– Nie zostawimy tego stworzenia na noc w domu, jasnie panie.

Dane oblizwał wargi. Chętnie łyknąłby teraz brandy.

– Jeszcze nie wiem, Crawford.

– Oczywiście, jasnie panie. Proszę wybaczyć, jasnie panie. – Ruszył do drzwi, zapewne po to, żeby wykonać rozkazy Dane'a.

– Crawford, czy moja matka i siostra są już w domu?

– Spodziewam się ich w każdej chwili, jasnie panie. – Dane wiedział, jak bardzo Crawford nie znosi, żeby mu zwracano głowę wtedy, kiedy miała się zjawić hrabina wdowa. Crawford miał bardzo określone poglądy na to, jak należy zarządzać domem Derring. Dane mógł być kapitanem, ale to Crawford trzymał stery i obracał statek. Robił to dłużej, niż trwało całe życie Dane'a. I pewnie zostanie na stanowisku po jego śmierci.

Crawford wskazał ręką dziewczynę.

– Nie wspomnę... o tym hrabinie ani lady Susannie.

– Tak będzie najlepiej – zgodził się Dane.

– Pański ojciec przewróci się w grobie – mruknął Crawford.

– Co takiego?

– Jeśli to wszystko, jasnie panie...

Dane kiwnął głową. Trudno mu było winić sługę. Ojciec przewróciłby się w grobie. To przez rzezimieszków, takich jak ta dziewczyna, hrabia trafił szybciej do grobu.

Crawford wyszedł; Dane wiedział, że za chwilę kuchnia zaroi się służbą, która wcieli w życie jego polecenia. Odsunął się od drzwi i wyszedł z właściwej kuchni, żeby nie stać im na drodze. W ten sposób znalazł się ponownie w jednym pokoju z dziewczyną. Patrzyła na niego gniewnie, wykrzywiając małą twarz w gniewnym grymasie. Nie zwracała na nią uwagi. Zawarli umowę i spodziewał się, że dziewczyna jej dotrzyma. Złodzieje nie znają honoru, ale głupia nie była. Nie chciała, żeby trzymał ją siłą w wodzie i szorował.

Jak przewidział, rój służby się pojawił. Służący zerkali na gościa ze zdziwieniem, niektórzy marszczyli nos, czując bijący od niej smród, ale nikt nie odezwał się ani słowem, chyba że chodziło o jakieś polecenie. Połowa z nich musiała zerwać się z łóżka, ale zachowywali się tak, jakby całą noc stali na baczność, czekając na rozkazy. Na to, że jednak zakłócił im nocny spoczynek, wskazywało jedynie to, że spod czepków niektórych panien służących wystawały szmatki zawiązane we włosach, żeby rano mieć loki.

Gospodyni i Crawford nie bardzo się nawzajem znosili, jako że ona, będąc na służbie zaledwie szesnaście lat, w oczach Crawforda wciąż była intruzką; toteż Dane nie zdziwił się, że Crawford jej nie obudził. Zamiast niej, kucharka przejęła dowodzenie. Wydała rozkazy co do ciepłej wody; wannę przeniesiono do małego pomieszczenia, o istnieniu którego Dane nawet nie wiedział. Tam się widocznie kąpała służba. Przyjemny zapach świeżego mięsa i rosołu sprawił, że ślinka napłynęła mu do ust; zauważył, że dziewczyna także zwróciła głowę w stronę kuchni.

– Kąpiel gotowa, jasnie panie – oznajmiła jedna ze służących. Trzymała chłopięce ubranie. – To Jimmy'ego. Trochę postrzępione, ale czyste. – Wręczyła mu zawiniątko. Jimmy był najpierw woźnicą, a teraz starał się o pozycję niższego lokaja. – Crawford kazał przynieść więcej mydła. Jest go tam dużo i ręczniki też. – Dygnęła i odeszła.

W kuchni pozostał tylko Crawford, służąca kuchenna, lokaj i kucharka.

– Proszę. – Dane podał dziewczynie ubranie. – Załóż je, jak się wykąpiesz. I używaj mydła, dużo mydła.

Zajrzała do pokoju. Był mały i ciemny, bez okna. Wiedział, że nie może uciec. Było w nim akurat tyle miejsca, żeby zmieścić wannę i jedną osobę. Na haku w ścianie wisiała lampa, obok wanny złożono stos ręczników.

– Rozchoruję się i umrę, siedząc w takiej ilości wody. To nienaturalne.

– Przeżyłem tę mękę setki razy.

Zmrużyła oczy, jakby zastanawiając się nad czymś usilnie.

– Skąd mam wiedzieć, że nie wejdiesz, kiedy się rozbiorę?

– Daję ci słowo, jako dżentelmen.

Parsknęła krótko. Widocznie znała wartość obietnic większości dżentelmenów. Wskazał kamerdynera.

– Crawford będzie mnie pilnował na wypadek, gdybym nie mógł sobie poradzić z palącym pożądaniem na myśl o tobie bez ubrania.

– Co?

Potrząsnął głową, nie odpowiadając. W kuchni kucharka postawiła miskę gęstej zupy, kromkę chleba i kubek wina, które piła służba.

– Nie uważałem za stosowne, żeby jadła przy stole, jaśnie panie – poinformował go Crawford. – Może stać tutaj i jeść.

Dane wzruszył ramionami. Mało go to obchodziło.

– Czy mój brat już wrócił?

– Nie, jaśnie panie, ale twoja matka i siostra szykują się do snu. Tak mi powiedziano. – W jego głosie brzmiała pewna uraza i Dane uświadomił sobie, że będzie musiał mu zadośćuczynić za przerwanie wieczornego rytuału. – Mam tylko nadzieję, że Lloyd zdołał dopilnować, żeby wszystko było, jak należy.

Lloyd piastował stanowisko naczelnego lokaja.

– Jestem pewien, że wszystko poszło zgodnie z twoimi wskazówkami, Crawford. Pani Worthing, czy mogę cię prosić o odrobinę tego sherry do gotowania? – Skinął na butelkę, która stała za nią na półce. To nie było brandy, ale na razie musiało wystarczyć.

– Oczywiście, jaśnie panie. Się robi, jaśnie panie. – Nie żałowała mu trunku, wychylił go duszkiem.

– Czy życzysz sobie jeszcze czegoś, jaśnie panie? – zapytał Crawford.

Dane przesunął ręką po twarzy. Jeśli Brook jeszcze nie wrócił, musi coś zrobić z dziewczyną. Nie mógł zostawić jej w którejś z sypialni domu. Nawet gdyby nie przypuszczał, że ich okradnie i ucieknie przy pierwszej sposobności, Crawford nigdy by na to nie przystał.

Trzeba ją umieścić tam, gdzie będzie miał na nią oko. W jego garderobie? Dane zamknął oczy. Nie mógł wykluczyć, że to jednak lady Elizabeth, choć w tej chwili trudno by mu było w to uwierzyć. Gdyby rozniosła się plotka, że spędziła z nim noc, byłaby zrujnowana. Ale czy już nie była zrujnowana? Bogu jedynie wiadomo, gdzie żyła i co robiła przez te wszystkie lata. Crawford był w stanie zachować dyskrecję, nawet jeśli absolutnie się z czymś nie zgadzał. Lojalność wobec rodziny zwykle przeważała nad jego osobistym poczuciem, co właściwe, a co nie. Dane, który z jego dyskrecji skorzystał raz czy dwa, wiedział o tym z pierwszej ręki. Crawford ponadto potrafił stłamsić każdego innego służącego i zmusić go do milczenia, gdyby tamten zorientował się, że dziewczyna spała w jego pokoju.

– Crawford, potrzebuję twojej pomocy w bardzo delikatnej kwestii. – Odciągnął kamerdynera na bok i cicho wyjaśnił, o co chodzi. Crawford odął usta, ale to był jedyny wyraźny sygnał dezaprobaty.

Dane wysłał Crawforda, żeby wykonał jego zalecenia, a sam spojrzął na zegarek kieszonkowy. Późno. Bardzo późno. Podszedł do drzwi, za którymi dziewczyna brała kąpiel.

– Kończysz już?

– Nie waż się tu wejść!

Dane w milczeniu podniósł oczy do nieba i cofnął się. Udusi Brooka, jak tylko go zobaczy. Nie mógł

uwierzyć, że przemycą dziewczynę do swojego pokoju. Poczłł się znowu jak za czasów bujnej młodości. Przynajmniej kiedy wyjdzie, nie będzie wyglądała jak dziewczyna.

A potem drzwi się otworzyły i Dane zdał sobie sprawę, że bardzo się mylił.

3

Marlowe nigdy nie lubiła kąpieli, ale nie wiedziała, że można je brać w ciepłej, czystej wodzie z pachnącym mydłem. Niekoniecznie chciała pachnieć jak kwiatek, ale to nie był najgorszy zapach, jaki zdarzało jej się wydzielać. Ręczniki, którymi się wycierała, były miękkie i puszyste. Nigdy dotąd nie miała własnego ręcznika. Używała szorstkiej szmatki do wycierania twarzy, która jednak obcierała jej skórę. Te ręczniki były tak miękkie, że miała ochotę owinać się nimi i chodzić tak cały dzień.

Zamiast tego zawinęła jednym swoje ociekające wodą włosy. Prawdopodobnie czeka ją śmierć na skutek wychłodzenia, ale kiedy zaczęła szorować ciało, nie mogła na tym poprzestać. Miała wrażenie, że włosy ma ciężkie od brudu, więc umyła je i wypłukała do czysta. Kiedy wyszła, woda w wannie była czarna. Nie miała pojęcia, że nosi na sobie taką ilość brudu. Ubierając się, zauważyła, że jej palce, przy paznokciach, mają na końcu białe półksiężycy, a skóra różowy odcień.

Ubranie, które drań jej dostarczył, było trochę za mocno dopasowane. Nie miała pasków materiału, żeby przewiązać piersi i nie potrafiła sama założyć gorsetu, nawet gdyby chciała. Spojrzała na niego, był szary od brudu; wcale nie żałowała, że się go pozbyła. Ale jej piersi, niczym nie osłonięte pod spodem, naciągały materiał koszuli. Spodnie także były ciasnawe, ale koszula przynajmniej zakrywała jej biodra i siedzenie. W jej kieszeni znalazła czapkę, więc kiedy wytarła włosy najlepiej, jak się dało, zebrała je na głowie i przykryła czapką.

Wtedy łajdak zapukał do drzwi. Podskoczyła przestraszona i nie pozwoliła mu wejść, chociaż była ubrana. Potrzebowała jeszcze chwili. Musiała włożyć własne buty, wyjąć nóż ukryty w kieszeni sukienki i włożyć go do buta, jak zwykle robiła. Chciała być przygotowana na to, co porywaczowi chodziło po głowie.

Ale porywacz to było najmniejsze z jej zmartwień. Satin ją zabije. Nieważne, czy ją porwano, obwini ją o utratę łupu, jaki mógłby przynieść ostatni skok. Gideon... co on sobie pomyślał? Czy Joe mu powiedział, że ją porwano i zabrano siłą?

Musi się stąd wydostać i wrócić do swoich. Przyjmie karę i obieca, że wynagrodzi stratę następnym razem. Następnym razem pójdzie lepiej. Ale najpierw musi uciec, a draniowi trudno się wymknąć. On i jego brat wydawali się myśleć, że jest córką jakiegoś paniska – lorda Lyndona czy kogoś tam. Bawiło ją to, ale także budziło dziwny niepokój, nad którym nie chciała się bliżej zastanawiać. Najwyraźniej ten jakiś tam pan – Lyndon – szukał dziewczyny o imieniu Elizabeth. Ciekawe, że tamta dziewczyna nosiła imię, którego Marlowe używała w tajemnicy, ale to nie znaczy przecież, że Marlowe jest akurat tamtą dziewczyną.

Jest bękartem jakiejś dziwki, a nie małą księżniczką możnego pana. A nawet jeśli kiedyś nazywała się Elizabeth, to jeszcze nie znaczy, że jest tą samą dziewczyną. To dość pospolite imię.

Więc dlaczego Satin nadał jej inne?

Potrząsnęła głową. Lepiej się nie zastanawiać. Jeśli Satin nadał ci imię w gangu, to tak się nazywasz. Ona była Marlowe i nigdy nie powiedziała nikomu, poza Gideonem, że pamięta, jak zwracano się do niej Elizabeth.

Nie mogła w nieskończoność odwlekać tego, co nieuniknione. Z głębokim westchnieniem otworzyła

drzwi i wyszła z pokoiku. Łajdak czekał na zewnątrz. Stał tyłem do drzwi; ramiona miał szerokie, a talię wąską w dopasowanym kubraku. Przystojniak był z niego, to pewne. Przyjrzała się uważnie ubraniu; znakomity krój i materiał, na co dzień takich nie widywała. Fircyk jak spod igły, jakby powiedział Gideon, i do tego z długimi nogami. Znała wysokich mężczyzn, ale wszyscy byli chuderlawi. Ten miał ciało na kościach.

Odwrócił się i Marlowe wstrzymała oddech. Nie podobało jej się to, jak na nią działał – sprawiał, że ścisnęło ją w gardle i serce przyspieszało gwałtownie. Ale był przystojny – o wiele za przystojny. Gęste, ciemne włosy opadały w lokach na jedną stronę twarzy. Jego brwi tworzyły ciemne krechy nad brązowymi, dużymi oczami. Znała mnóstwo ludzi o brązowych oczach, ale żaden nie miał oczu jak ten. Nie wiedziała, jak je opisać, poza tym, że były łagodne i piękne. Były prawie kobiece – ale ten mężczyzna nie był wcale kobiecy. Był starannie ogolony, ale miał mocną szczękę i była w nim siła. Żelazna siła – czuła ją, kiedy ją nosił. Jego ciało składało się jedynie z twardych mięśni.

Przyglądała się jego oczom, więc zauważyła, że kiedy napotkał jej wzrok, oczy mu się powiększyły. Niemal spojrziała w dół, na ubranie, żeby sprawdzić, co jest nie w porządku, ale uznała, że chyba wie. Mężczyźni zawsze okazali zainteresowanie jej cyckami.

– Nie mam niczego, żeby je przewiązać – oznajmiła. – Jakbyś dał mi to, co masz pod szyją, użyłabym tego.

Odstąpił w tył, jakby się oparzył.

– Krawat zostaje tam, gdzie jest.

– Jeśli nie dasz mi swojego krawata – przedrzeźniała sposób, w jaki wymówił to dziwaczne słowo – to potrzebuję czegoś innego.

Wciągnął głęboko powietrze.

– Nie będę o tym rozmawiać. Chcesz jeść?

Nie rozumiała, dlaczego zadał to pytanie. Oczywiście, że chciała jeść. Chyba słyszał, jak jej burczy w brzuchu na sam zapach jedzenia. Poszła za nim do kuchni, na pół zmieszana, na pół rozbawiona, że nie chciał mówić o przewiązywaniu jej piersi. Te paniczki mają swoje własne zasady.

Weszła do kuchni i starsza kobieta w czepku i czystym fartuchu uśmiechnęła się do niej. To był miły uśmiech, ale Marlowe nie odwzajemniła go. Nie ufała tym ludziom. Kobieta – pewnie kucharka – wskazała jedzenie na stole obok. Marlowe nie potrzebowała zachęty. Zauważyła jedzenie, jak tylko weszła. Ale uznała ten gest za zaproszenie, żeby zacząć i zaatakowała jedzenie jak kundel kość. Podniosła miseczkę i wypła zupę, a potem wzięła kawałek chleba i wytarła naczynie do czysta. Wpakowała chleb do ust, przeżuwając pospiesznie i pijąc jednocześnie wino. Dobre wino; wypła całe.

Wzięła kolejny kawałek chleba i wyciągnęła rękę z kubkiem.

– Więcej wina? – wymamrotała z pełnymi ustami.

Drań i kucharka gapili się na nią, jakby nigdy nie widzieli, jak ktoś je. Pomachała kubkiem, żeby zwrócić uwagę kucharki i w końcu kobieta zamrugnęła i nalała jej więcej.

– Eee..., jeszcze zupy, kochana?

Marlowe skinęła głową. Mogłaby zjeść dziesięć misek. To była najlepsza rzecz, jaką jadła, odkąd... hm, jak daleko sięgała pamięcią. Pewnie nie powinna niczego przyjmować od drania, ale doszła do wniosku, że jest jej coś winien. Nie prosiła się o porwanie.

Zjadła jeszcze dwie miski, i zaczęła się bać, że trzeba ją będzie z kuchni wyturlać. Jej brzuch, zwykle pusty, bolał z przejedzenia. Ale to był dobry ból i teraz poczuła się śpiąca. Ziewnęła.

– Połóżmy się teraz do łóżka – odezwał się drań. Z jakiegoś powodu dreszcz przebiegł jej po plecach. Otrząsnęła się.

– Nie będę z tobą spać! Spróbuj tylko mnie dotknąć, a rękę ci utnę!

Kucharka wydała stłumiony jęk, a potem zajęła się gorliwie zmywaniem. Było jasne jednak, że wciąż słuchała. Drań otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale właśnie wtedy weszła służba. Coś robili

wcześniej w drugim pokoju, a teraz pokojówka przyniosła ubranie Marlowe.

– Przepraszam, jaśnie panie, że przeszkadzam – powiedziała z ukłonem. Marlowe przewróciła oczami. Jakby drań był wart, żeby skakać wokół niego na dwóch łapkach. – Co mam z... tym zrobić?

– Spal.

– Hej! – Marlowe usiłowała wyrwać sukienkę. – To moje!

Paniczyk stanął przed nią, a pokojówka cofnęła się, jakby w obawie, że Marlowe się na nią rzuci.

– Możecie odejść – oznajmił Dane, a służba się rozpierzchła, jakby Bóg przemówił.

Wciąż stał przed nią i czuła jego czysty zapach. Nie pachniał jak kwiatek. Jego zapach był męski i świeży. Miała ochotę podejść bliżej i głębiej wciągnąć powietrze. Zamiast tego podniosła oczy i nagle zakręciło jej się w głowie. Patrzył na nią, czuła jego brązowe oczy na swojej twarzy, zrobiło jej się gorąco i zabrakło tchu. Może do zupy dolano truciznę.

– Chodź za mną – rzucił krótko.

Położyła ręce na biodrach. Śledził wzrokiem jej ruch i widziała, jak poruszyło mu się gardło, kiedy przełknął ślinę.

– Nigdzie z tobą nie pójdę.

Dane westchnął.

– Marlowe, można to zrobić w łatwy sposób i w trudny sposób. Rozumiem, że wolisz ten trudny.

Zmarszczyła brwi. Kiedy mówił, miała wrażenie, że za słowami kryje się coś więcej. Prawie tak, jakby się z niej śmiał. Często wydawało się, że nie ma dobrej odpowiedzi na jego pytania, więc wołała milczeć.

– W tym wypadku łatwy sposób to pójść za mną do mojego pokoju.

– Nie – odparła bezbarwnym tonem. Nie pójdzie do pokoju tego mężczyzny.

– Trudny sposób jest taki. – Wyciągnął ręce i zanim zdążyła odskoczyć, chwycił ją w ramiona. Walczyła; w męskim ubraniu miała większą swobodę ruchów, ale był przygotowany. Przerzucił ją sobie przez ramię, przyciskając za kolana, żeby nie mogła kopać. Zdążyła jeszcze zauważyć zaszokowaną minę kucharki, zanim wyszli z kuchni. Marlowe nie zwracała specjalnie uwagi na to, gdzie są, tylko szarpała się i krzyczała; w końcu przeszli do właściwego domu i musiała zaczerpnąć tchu.

– Masz wybór – powiedział ponuro. – Wrzeszcz dalej, a cię zaknebluję, albo uspokój się, a będziesz wolna.

Zastanowiła się chwilę. Z jednej strony chciała krzyczeć, żeby mu zrobić na złość i postawić cały dom na nogi. Z drugiej strony nie miała ochoty robić widowiska i nie chciała, żeby ją związano. Zrobiłby to. Na tyle go już poznała.

– Dobrze – powiedziała cicho.

Ku jej zaskoczeniu postawił ją na ziemi.

– Masz ochotę pochodzić?

Ale Marlowe zaniemówiła. Przedtem patrzyła na lśniąca marmurową podłogę, teraz rozejrzała się wokół i otworzyła usta ze zdumienia. Hol był najwspanialszym pomieszczeniem, jakie widziała w życiu. Sufit ginął gdzieś w górze, wysoko i jeszcze wyżej. Przed nimi wznosiły się ogromne schody, wyginające się wdzięcznie ku górze. Nad jej głową lśnił żyrandol, jakby zrobiony z brylantów. Nie był zapalony, ale lampa na stoliku przy wejściu ukazywała całą jego krasę. A kiedy go zapalano? Musiało tu być jasno jak w dzień.

Długi, przestronny hol prowadził do innych pokoi. Zerknęła w głąb, ale nie widziała końca. Ten dom był jak zamek. Kim był ten człowiek? Jakimś królem?

Wskazał schody.

– Tędy – powiedział cicho i ruszył pod górę. Poszła za nim, przystając na chwilę, kiedy stanęła na chodniku. Dywan był tak miękki i puchaty, że prawie się w nim zapadła. W końcu zaczęła wchodzić, rozglądając się cały czas. Na ścianach wisały portrety starych kobiet i mężczyzn, a także obrazy pól.

Kiedy zerknęła przez kamienną balustradę, zobaczyła rośliny i duże drewniane drzwi. Kamerdyner, którego wcześniej widziała, teraz je zamykał. Podniósł lampę i ruszył za nimi w dyskretnej odległości.

Bywała w domach bogatych. Była w stanie się rozejrzeć i od razu zorientować, które przedmioty przyniosłyby największy zysk – srebrne świeczniki, pozłacane ramy, marmurowe popiersia. Ale w takim domu nie była nigdy. Gdyby ona i Gideon zdołali obrobić taki dom, jak ten, byłiby urzędzeni na całe życie.

Drań doszedł do półpiętra, o mało na niego nie wpadła. Wyraźnie na nią czekał. Spojrzał na nią znacząco.

– Szacujesz wartość?

Skrzywiła się. Miał denerwujący zwyczaj czytania w jej myślach.

– Nie.

Roześmiał się.

– Jeszcze kawałek.

– Ile tu jest pięter?

– Chciałabyś wiedzieć? Może po prostu powinienem zostawić drzwi otwarte i dać ci plany domu.

– To by była duża pomoc – przyznała.

Ruszył znowu po schodach.

– Widocznie dzisiaj jestem wyjątkowo pomocny.

Doszli do kolejnego piętra, tym razem nie trzeba było pokonać aż tylu stopni. Na górze skręcił w prawo i dał jej znak, żeby poszła za nim. Domyśliła się, że to sypialnie. Wydawało się, że za zamkniętymi drzwiami wszyscy śpią. Ilu ludzi tu mieszkało? Wiedziała dość, żeby zgadnąć, że służba zajmuje pokoje na strychu. To nie mógł być ten poziom. Ale ilu ludzi dzieliło ten wielki dom? W Covent Garden cały czas dziesięciu do dwunastu chłopaków zajmowało przestrzeń mniejszą niż hol tego domu. Czy ten człowiek mieszkał tu sam? Nie... wspomniał siostrę i matkę. I jeszcze brat. Jeśli sir Brook tu mieszkał, to tę całą przestrzeń zajmowało czworo ludzi.

Dziwiło ją to i trochę gniewało. W czym był taki wyjątkowy, że miał to wszystko, podczas gdy ona musiała się zadowolić kątem w zimnej, wilgotnej ruderze?

Dotarli do celu i Dane otworzył drzwi. W środku było ciemno, ale weszła, bo nie chciała, żeby ją niosł. Kamerdyner, który szedł za nimi, podał mu lampę i mruknął coś, czego nie usłyszała.

Drań w czymś tam odmówił kamerdynerowi i zamknął drzwi. Podszedł do stolika przy drzwiach, wyciągnął szufladę i wyjął klucz. Wsadził go w zamek i przekręcił dwa razy. A potem schował do kieszeni.

Była z nim sama w jego sypialni.

Dane schował klucz w kieszeni i patrzył, jak dziewczyna otwiera szeroko oczy. Niech to diabli, jeśli zaczniesz znowu wrzeszczeć. Żeby temu zapobiec, odezwał się pierwszy:

– Nie dotknę cię. Chcę tylko spać. – Podniósł rękę, jakby na znak, że nie ma złych zamiarów i interesuje go tylko spanie. Dziewczyna, sądząc po jej manierach, nie różniła się wiele od zwierzęcia. A jednak...

Kiedy przyszło mu do głowy, żeby zamknąć się z nią w sypialni, nie miał żadnych zdrożnych zamiarów, ale to było, zanim wyszła z wanny. Natychmiast pożałował, że przystał na jej prośbę, żeby dać jej męski strój. Ubranie przylegało do jej ciała, układając się zupełnie inaczej niż na ciele mężczyzny. Jej piersi wypychały materiał koszuli, tak że widział zarys jej sutków. Zrozumiał, że dziewczyna nie nosi żadnej bielizny. Ten fakt stał się jeszcze bardziej oczywisty, kiedy zaczęła mówić o przewiązywaniu piersi. Natychmiast przerwał ten wątek. Nie miał ochoty rozprawiać o jej anatomii, zwłaszcza że jego ciało reagowało na nią wbrew jego woli.

Starał się odwracać wzrok od jej piersi i żałował, że zmusił ją do kąpieli. Jedno spojrzenie na jej twarz wystarczyło, żeby przekonać się ponad wszelką wątpliwość, że nie jest chłopcem. Zastarzały brud skrywał bladą, delikatną cerę, białą jak mleko i promienną. Schowała włosy pod czapkę, ale widział już przedtem, jakie były długie. Czy opadały kusząco na jej piersi, kiedy się rozbierała?

Potrząsnął głową i siłą woli skupił się na bieżących kłopotach. Był w tym dobry. Wychowano go tak, żeby umiał stawiać własne pragnienia i potrzeby na drugim miejscu. Zdobył się na to, żeby nie zwracać uwagi na jej kuszące ciało przez parę minut – do chwili, kiedy położyła ręce na biodrach, podnosząc w ten sposób materiał koszuli. Spodnie opinały jej biodra w sposób niesłychanie erotyczny. Mógł sobie wyobrazić słodki kształt jej siedzenia i miał ochotę ją obrócić, żeby obejrzeć również tę część jej ciała. Co gorsza, jeden z guzików przy jej koszuli oderwał się na skutek ruchu i odsłonił kremowe ciało przy obojczyku.

A teraz stała przed nim, patrząc na niego, jakby on był wilkiem, a ona owcą. Choćby przekonywał ją najgoręcej, miała rację, nie ufając mu. Cały czas, kiedy niósł ją z kuchni, a jej miękkie, pełne piersi wciskały się w jego ramię, myślał tylko o tym, żeby ją rozebrać.

– Nie dotknę cię – powtórzył, bardziej dla siebie niż dla niej. – Po prostu pójdziemy spać.

Przyglądała mu się nieufnie.

– Możesz spać tam. – Wskazał wygodny fotel obok łóżka.

– Ale jaśnie pan – parsknęła. – Daje damie krzesło.

– Nie wiem jeszcze, czy jesteś damą, Marlowe – odparł. – Jeśli okaże się, że jesteś lady Elizabeth, przeproszę cię użenienie. – Mogła sobie mówić, co chciała. Nie odda własnego łóżka małej chuligance, którą Brook porwał w Cheapside.

I nie zamierzał czuć się z tego powodu winny.

W każdym razie, nie bardzo winny.

Niech to diabli! Fotel był wygodny! Zasnął w nim raz czy dwa razy, kiedy czytał. Nie będzie miała powodu do narzekania.

A co z nim? Poczekaj, aż on zaśnie, ukradnie klucz i ucieknie? A może poderżnie mu przedtem gardło?

Nie miał w pokoju żadnej broni, ale taka przedsiębiorcza dziewczyna znajdzie coś, co się nada do tego celu. Na przykład nóż do otwierania korespondencji. Przełknął ślinę.

Czując przypływ determinacji, podszedł do zasłon i poluzował sznur, jaki je przytrzymał za dnia. Dzięki Bogu, dał swojemu pokojowemu dwa dni wolnego, żeby odwiedził matkę. Nie chciał się rano tłumaczyć, co robi w jego pokoju przywiązana do krzesła, przebrana za chłopaka dziewczyna.

– Co chcesz z tym zrobić? – zapytała, cofając się. Cofała się aż do drzwi jego garderoby.

– Daj mi ręce.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Nie chcę być związana.

– Nie mogę ci ufać. Przywiążę cię tylko do krzesła, żebyś nie mogła uciec. Ale zostawię ci dużo luzu.

– Nie!

Wzruszył ramionami.

– Marlowe, łatwy sposób czy trudny sposób? Ustaliliśmy chyba, że mam więcej siły od ciebie. Tak czy inaczej, zwiążę cię.

Mógłby przysiąc, że w jej oku błysnęła łza, ale otarła policzek ręką i potem nic tam nie było. Czyżby to sobie wyobraził?

Wyciągnęła ręce – z brzydkim, upartym wyrazem twarzy – i związał je ciasno. A potem popchnął ją delikatnie do fotela i przywiązał do ciężkiego stołu obok. Nigdzie nie pójdzie. Kiedy położył jej ręce na ramionach, żeby ją posadzić, poczuł, że drży.

– Zimno? – zapytał. – Dam ci koc.

– Nie jest mi zimno – burknęła gniewnie. Ale, w takim razie, dlaczego drżała? Znalazł koc w komodzie

i przykrył ją starannie. Zrzuciła go jednym kopniakiem. Wzruszył ramionami i zdjął kubrak. Normalnie poprosiłby Crawforda, żeby mu służył za pokojowego, ale kiedy szef służby zapytał go o to, odmówił. Dane sięgnął po krawat, żeby go zdjąć i zorientował się, że ma widownię. Może nie powinien się przy niej rozbierać. Zazwyczaj spał nago, ale teraz, kiedy ona siedziała obok?

Postanowił, że będzie spać w luźnej koszuli i spodniach i wyszedł z garderoby tak ubrany. Nie miał właściwego stroju na noc. Zawsze miał wrażenie, że za bardzo przypomina sukienkę i mężczyźnie niezręcznie go nosić.

Zgasił lampę i wsunął się do łóżka; zmarszczył brwi, takie było zimne. Niczego do ogrzania. Ucieszył się, kiedy noc się skończy, dziewczyna sobie pójdzie, a on wróci do swojego normalnego życia. Wzburzył poduszkę i ułożył się wygodnie.

Ale słyszał oddech dziewczyny. Mógłby przysiąc, że słyszy również, jak drży.

– Chcesz koc z powrotem? – zapytał, świadomy, że pewnie może go osiągnąć bez jego pomocy. – Jeśli ci zimno...

– Zamknij się! – warknęła.

Powinien jej złoić skórę za to, że tak się do niego odzywa, ale była związana i nie mógł wykorzystywać przewagi.

Zanurzył się znowu w pościeli i naciągnął poduszkę na głowę. Miał wrażenie, że potrzebuje jakiejś bariery, żeby się od niej odgradzić. Zaczynał drzemać, kiedy usłyszał, jak się porusza. Usiłował to zignorować. Pewnie próbowała po prostu ułożyć się wygodniej.

Poruszyła się znowu, usłyszał wyraźny odgłos uderzenia.

– Co się, do czarta, dzieje? – zapytał, siadając.

– Nic.

Okazało się, że przewróciła fotel i znalazła się pod spodem. Powinien ją tak zostawić. A jednak wstał, podniósł fotel i z powrotem ją na nim umieścił. Trzymał ją w ramionach odrobinę dłużej, niż to było konieczne. Wydawało się, że zmarzła i instynktownie chciał ją ogrzać. Ale ponadto pod palcami czuł jej miękką skórę, a jej ciało było kusząco zaokrąglone tam, gdzie się stykali. Miał ochotę przesunąć dłoń po tych okrągłościach, ale opanował się, mówiąc pierwsze, co przyszło mu do głowy:

– Próbowłaś sięgnąć po koc?

Milczenie.

Owinął ją kocem w równym stopniu po to, żeby ukryć jej bujne kształty, jak i po to, żeby zapewnić jej ciepło. Tym razem go nie zrzuciła. Widział jej twarz w słabym świetle z kominka; w migotliwym blasku ognia wydawała się mokra od łez. Przyjrzał się jej uważniej.

– Co chcesz ze mną zrobić?

– To zależy od mojego brata.

Podniósł się, bo mimo że jej ciało było ukryte pod kocem, jej zapach drażnił mu zmysły. Pachniała czystością i kwiatowym mydłem i – kobietą. Ten zapach go przyciągał, sprawiał, że chciał zanurzyć twarz w jej włosach i położyć dłonie na jej ciele.

– Chcę wrócić do domu – powiedziała.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Dlaczego?

– Jak to, dlaczego?

– Dlaczego, to znaczy – co cię czeka w domu? Wyobrażam sobie, że to jakaś nora, którą dzielisz z bandą kieszonkowców i złodziei. Jeśli jesteś lady Elizabeth, to dlaczego miałabyś wracać?

Pociągnęła nosem i odwróciła wzrok. To był gest, jaki mogłaby wykonać prawdziwa, obrażona księżniczka. Zamyślił się. Ale jeśli nie chciała mówić, nie miał nic przeciwko temu. Był wyczerpany. Nie ważyła dużo, ale zmęczyła go ta cała szarpanina i to, że musiał ją nosić.

Zrobiło się cicho i usłyszał tykanie zegara. Próbował zasnąć, nawet zamknął oczy.

– Nie zrozumiałbyś – powiedziała w końcu, przerywając milczenie.

– Przekonaj się.

– Moi kumple to moja rodzina.

– Istnieje lojalność nawet wśród złodziei, tak?

– Lojalność, tak. – Słyszał w jej głosie, że jest coś więcej.

Uniósł się na łokciu; zainteresowała go, choć zamierzał ją zignorować i spać.

– A zastanawiałeś się nad tym, że jeśli mnie nie puścisz, oni mogą przyjść tu po mnie?

– A pomyślałaś, że może ich to nie obchodzić?

– Och, obchodzi – odparła dziwnym, bezbarwnym głosem. – I jeśli dbasz o swoją rodzinę i swój

śliczny dom, to lepiej pozwól mi odejść, zanim Satin po mnie przyjdzie. – Głos jej się zacinał. – Zanim będzie za późno dla nas obojga.

4

Obudziła się nagle i sięgnęła po nóż. Coś przytrzymało jej ramię i zajęło jej chwilę, zanim uświadomiła sobie, że jest związana. Drugą chwilę zajęło jej przypomnienie sobie, gdzie jest. Nie w melinie. W Seven Dials nigdy nie było tak cicho. Płakało dziecko, dziwka kłóciła się z klientem, sprzedawca ballad skrzeczał o ostatnich chwilach skazanych z Newgate. Nie, tu było o wiele za cicho, jak na melinę. Tkwiła w zamku drania. W jego sypialni. Ogień na kominku ledwo się tlił, ale jej ciało wydawało się ciężkie i rozgrzane. Musiała spać parę godzin, chociaż zamierzała czuwać i bronić się, gdyby zaszła potrzeba.

Zerknęła na łóżko, patrzyła tak długo, aż dostrzegła zarys jego postaci. Chrapał cicho, widocznie spał. Może naprawdę nie chciał jej skrzywdzić. Ha! A kiedy mu zaufa, wprowadzi w życie swój diabelski plan. Nie może sobie pozwolić na zaufanie. I nie może zostać w jego zamku.

Trochę to trwało, bo drań był lepszy w wiązaniu węzłów, niż się spodziewała, ale zdołała się uwolnić. Mogła wyciągnąć sztylet z buta, ale gdyby przecięła sznur, drań by się zorientował, że go ma. Lepiej nie ujawniać swoich sekretów. Poza tym sznury od zasłon były zbyt jedwabiste i grube, żeby skutecznie krępować. Jednak, kiedy się uwolniła, jakiś ciężar spadł jej z piersi. Ustąpiła panika.

Po cichu wstała z fotela i na palcach podeszła do łóżka. W mroku nie widziała rysów jego twarzy. W końcu dostrzegła jego ciemne włosy na białej poduszce. Ramię przerzucił obok głowy; nie drgnął, kiedy na niego patrzyła. Jego pierś wznosiła się w równym rytmie. Nie widziała jego twarzy, ale wyobrażała sobie, że złągodniała we śnie. Jak to jest, spać tak mocno i głęboko? Ona zawsze spała z palcami zaciśniętymi na sztylcie, nasłuchując podejrzanych dźwięków, gotowa zerwać się w każdej chwili. Znowu zastanowiła się, czy czegoś jej nie dosypano do zupy. Nigdy nie zasypiała tak łatwo i tak głęboko.

Ale też nigdy nie miała pełnego żołądka. Dziwne – obudzić się i nie czuć męczącego ssania w środku.

Jeśli ma uciec, potrzebuje klucza od sypialni. Usiłowała sobie przypomnieć, co z nim zrobił, kiedy zamknął drzwi. Miał na sobie kubrak. Może tam go wetknął. Zdjął kubrak, zanim się położył. Pamiętała, że nosił tylko koszulę, kiedy poprawił jej fotel i okrywał ją kocem.

Nie wiedziała, dlaczego był taki dobry. Może poczuł się winny, kiedy pomyślał, co z nią zrobi, kiedy zdobędzie jej zaufanie. Sprzeda ją do burdelu? Ześle? Niezależnie, jaki ma plan, nie będzie czekać, aż zacznie go wprowadzać w życie. Dobroć to manipulacja, a ci, którzy w nią wierzą, to najgorszy rodzaj durnia.

Spojrzała za siebie, na drzwi, przez które przeszedł, jak już ją związał. Nie miała świeczki, więc ostrożnie przeszła przez pokój i otworzyła je. W pomieszczeniu panowała ciemność, ale czuła zapach wełny i płótna. Widocznie trzymał tam swoje ubrania. Cały pokój na ubrania! Jak ona zdoła znaleźć tam jego kubrak? Po ciemku i pewnie wśród dziesiątków innych kubraków.

Myśląc gorączkowo, ugryzła kciuk. To było stare przyzwyczajenie i czuła się z tego powodu odrobinę winna, chociaż ani Satin, ani chłopcy nie wspomnieli o tym słowem. Tak czy inaczej, ich złe nawyki były dużo gorsze niż jej – dłubanie w zębach, puszczenie bąków, smarkanie. Paniczyk miał rację, że gdyby miała wybór, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby tu zostać parę dni.

Ale ona nie miała wyboru.

Znowu ugryzła kciuk i spojrzała na łóżko. Skoro zamknął drzwi, chciał mieć klucz przy sobie. Pewnie włożył go do kieszeni... nosił bryczesy i luźną koszulę. Nie miał kieszeni. No, więc pewnie położył go na stoliku obok łóżka. Podeszła do stolika i przesunęła ręką po powierzchni. Znalazła książkę, kieliszek, który pachniał trunkiem i zgaszoną lampę.

Znowu ścisnęła kciuk zębami. Może trzymał klucz w dłoni albo umocował go sobie na szyi. Nie pamiętała, żeby tam wisiał, ale nie myślała jasno, kiedy obok niej ukląkł. Myślała o tym, żeby się z nim całować. Ugryzła się mocno za karę. Co się z nią dzieje? Zamieniała się w głupawą dziewczkę, z jakich śmiali się wszyscy chłopcy z gangu. Oczywiście widywała przedtem przystojniaków, podobnie jak chłopaki zauważali ładne dziewczyny. Myślała nawet o tym, żeby jednego, czy dwóch takich, pocałować. Takie myśli skłoniły ją do całowania się z Gideonem. Ale to była tylko fantazja, rodzaj rozrywki, kiedy czekała na nową robotę. Tak naprawdę nie zbliżała się do tych mężczyzn, których miała ochotę pocałować. Ale z tym było inaczej. Była bardzo blisko niego. Blisko jego ust. I tak ładnie pachniał. Sądziła, że nic nie pachnie piękniej niż mięso, ale on pachniał prawie równie dobrze.

Gdyby go pocałowała, czy pojawiłaby się między nimi iskra, o której mówił Gideon? Bała się, że tak, ale nigdy nie miała się o tym przekonać. Ukradnie klucz i ukryje się potem tak, że sir Brook nigdy jej nie znajdzie. Satin może ją wysłać do Bath na parę miesięcy. Tam jej nie będą szukać.

Ale jeśli ma otworzyć mu dłoń albo zdjąć coś z szyi, musi przygotować się do walki na wypadek, gdyby się obudził. Potrafiła obrobić cudzą kieszeń, ale to było coś zupełnie innego. Schyliła się i sięgnęła do buta, wyciągając sztylet. Znajomy ciężar wydawał się porządkować świat we właściwy sposób i znowu poczuła się spokojna i gotowa na wszystko. Najpierw sprawdzi dłoń. Ściskając sztylet w zębach, pochyliła się nad łóżkiem. To było wysokie łóżko, ze stosem materacy. Nie mogła znaleźć wygodnej pozycji, żeby rozewrzeć mu palce. W dłoni, którą położył nad głową. A jeśli trzymał klucz w ręce pod pościelą?

Wciąż ze sztyletem między zębami położyła ostrożnie dłonie na pościeli. I natychmiast je podniosła. Żółtoczerwony materiał był miękki i jakby pluszowy. Dotknęła go znowu, przesuwając po nim palcami ze zdumieniem. Nie miała jednak czasu, żeby gapić się na luksusy, więc wcisnęła dłonie w pościel, podniosła kolano i ostrożnie wciągnęła się na materac. Podniosła także drugie kolano i uklękła obok mężczyzny na łóżku. To musiało być najmniejsze łóżko, jakiego w życiu dotykała. Oczywiście, nigdy nie spała w prawdziwym łóżku, ale była w pokoju Barbary na zapleczu Piwnicy pod Czerwonym Jednorożcem. Stało tam szerokie łoże, ale w porównaniu z tym – małe i byle jakie. Marlowe spała na szorstkim kocu na podłodze i zawsze zazdrościła Barbarze łóżka. Ale materac Barbary był z kamienia wobec tego, na którym teraz klęczała. Czy ludzie naprawdę śpią na czymś tak miękkim? Nawet sobie nie wyobrażała, że takie wspaniałości istnieją.

Pochyliła się w stronę poduszki i jego ręki, ale poczuła, że zapada się w zagłębienie obok jego ciała. Był niezwykle ciepły; takie ciepło czuła tylko w kuchni albo podczas szczególnie łagodnego lata. Marlowe była ciekawa, jaką kołdrą jest przykryty, ale nie mogła teraz tego zbadać. Próbowwała pochylić się bliżej jego ręki i o mało się na niego nie przewróciła. Musiała jakoś zapewnić sobie równowagę.

Znalazła rozwiązanie natychmiast, choć niezbyt jej się podobało. Ale nie była tchórzem. Powolutku przerzuciła nad nim nogę, unosząc się lekko nad jego brzuchem. Dlatego nie noszę spódnicy, pomyślała, sprawdzając równowagę. Nigdy nie dokonałaby tego w spódnicy. W końcu pochyliła się, sięgając w stronę jego spoczywającej na poduszce dłoni. Jego palce zgięły się lekko we śnie. Otworzyła je delikatnie. Niemal zakłęta, stwierdziwszy, że dłoń jest pusta, ale ugryzła się w język. Musi sprawdzić w drugiej ręce. Przedtem przechyliła głowę na bok, mając nadzieję, że trochę światła z kominka oświetli jego szyję. W ciemności nie była pewna, ale klucza raczej tam nie było.

Ostatnie miejsce. Klęczała na pościeli, ale jego ręka pod pościelą odchyłała się od ciała pod kątem. Jej kolano znajdowało się pod jego nadgarstkiem. Sięgnęła ostrożnie pod kołdrę, znowu zaskoczona ciepłem, jakie pod nią panowało. Dotknęła rękawa jego koszuli i przesunęła palcami do nadgarstka.

Przypadkiem dotknęła jego ciała i szybko zerknęła na jego twarz. Miał zamknięte oczy i nie poruszał się.

Już miała szukać dalej, kiedy serce zabiło jej boleśnie w piersi. Wstrzymała oddech i zastygła w bezruchu, niepewna, co ją przestraszyło. W domu panowała cisza, drań pod nią nie poruszał się, do świtu wciąż zostało parę godzin...

Sapnęła i przeniosła wzrok na jego twarz. Nie ruszał się! Jego pierś nie wznosiła się i opadała w równym tempie snu. Nie słyszała cichego pomrukiwania w jego gardle.

– Chociaż zwykle nie mam nic przeciwko kobietom w tej pozycji – odezwał się cicho – wyznam, że ten sztylet w twoich ustach nie jest już tak romantyczny.

Sięgnęła po sztylet, ale on był szybszy; chwycił ją za rękę i przycisnął do jej boków. Straciła równowagę i usiadła na nim; pociągnął ją w dół, tak że przewróciłaby się, gdyby próbowała przerzucić nogi na jedną stronę.

– Co ty, właściwie, wyprawiasz?

Nie mogła odpowiedzieć, nie ze sztyletem między zębami; potrząsnęła głową, wskazując ramiona i dając do zrozumienia, że chce, żeby ją puścił.

– O co chodzi? Nie możesz mówić z nożem w ustach? Ryzyko zawodowe, jak sądzę. – Zaczął się podnosić; jej ciało przesuwano się stopniowo wzdłuż jego. Nawet przez pościel czuła jego moc. Jego ręce, zdumiewająco silne, przyciskały jej własne do boków. Nie mogła nic zrobić, żeby się uwolnić. Był o wiele za silny. Właśnie w takich chwilach, jak ta, nienawidziła być kobietą. Gideon uwolniłby się bez trudu. Był także na tyle wysoki, że nie musiałby wdrapywać się na łóżko.

Kiedy drań usiadł, z Marlowe usadowioną wygodnie na kolanach, pochylił się, tak że jego twarz znalazła się tuż obok jej.

– Upuść nóż.

Chciała mu powiedzieć, że to nie nóż, a sztylet, drobna, ale ważna różnica, ale nie mogła mówić i trzymać broni jednocześnie. I nie mogła jasno myśleć z ciałem wtulonym w jego ciało. Czuła mrowienie na skórze i dziwne uczucie w żołądku. Powinna chcieć się odsunąć. Zamiast tego walczyła z chęcią przyłgnięcia do niego jeszcze mocniej. Co, do diabła, złego się z nią działo?

– Upuść nóż albo go zabiorę.

Roześmiała się. A niech spróbuje.

– Doskonale.

Ku jej zaskoczeniu pochylił się bliżej, jego usta znalazły się tak blisko, że czuła jego oddech. Jak całe jego ciało, jego oddech pachniał czystością. Tak się skupiła na jego oddechu i ciepłe jego ciała pulsującym tuż obok niej, że nie pomyślała, żeby cofnąć głowę; drgnęła zaszokowana, kiedy ich wargi się zetknęły. Co on robi? Całuje ją?

Ale potem błysnął zębami i zacisnął je na ostrzu noża, a ona zareagowała za wolno. Wyrwał jej nóż z ust, a ona nie mogła nic zrobić, nie ryzykując skaleczenia.

– Łajdak! – wrzasnęła. Zwolnił jej ręce, chwytając sztylet w dłoń. Uderzyła go i jej pięść zderzyła się z jego policzkiem z satysfakcjonującym plaśnięciem. Satysfakcja trwała jednak krótko, bo otrząsnął się natychmiast i przewrócił ją. Nagle znalazła się pod nim na łóżku i otuliło ją całe ciepło pościeli i jego ciała. Usiłowała go zrzucić, ale był za ciężki i kiedy złapał ją za nadgarstki i przycisnął je do poduszki, wiedziała, że jest w pułapce.

– Będę krzyczeć – zagroziła.

– Proszę bardzo. Drzwi są zamknięte i nikt ich nie wyważy, żeby ratować kogoś takiego jak ty.

Uratować? Czy chciał ją zabić? Szybkie spojrzenie na jego dłoń przekonało ją, że wciąż trzyma sztylet. Metal, ogrzany jej wargami, cisnął ją w nadgarstku.

– Co chcesz ze mną zrobić?

– To zależy. A co próbowałaś zrobić ze mną? – Jego głos brzmiał tak spokojnie, tak obojętnie, że zerknęła na jego twarz, choć w mroku niewiele widziała. Natychmiast tego pożałowała. Nie zdawała

sobie sprawy, jak blisko znajdowały się od siebie ich usta. Zauważyła także, że jego ciało przyciskało jej... w paru delikatnych miejscach. Powinna być wściekła, że jego ręce ją więżą, a ciało przygniata, trzymając w pułapce. Ale w tej pozycji i w tym, że pochylał się tak nisko nad nią było coś tak słodko niestosownego...

– Próbowałam tylko znaleźć klucz. Złóż ze mnie. – Jeśli będzie udawać, że jego dotyk nie sprawia jej przyjemności, może ją uwolni. Nie będzie musiała czuć jego ciepła ani siły jego ramion. Przystanie pragnąć, żeby schylił usta do jej ust i całował ją do utraty tchu.

– Klucz? – Przechylił głowę. – Klucz do pokoju? Nadal próbujesz uciec?

– Tak! Nie możesz mnie tu trzymać wbrew mojej woli.

– Nie próbowałaś poderżnąć mi gardła? – Zignorował kompletnie jej protest przeciwko uwięzieniu i nie wykonał żadnego ruchu, żeby ją uwolnić. A to w tej chwili był jej cel. Nie to, żeby się z nim całować, niech to diabli!

– Jestem złodziejką, nie morderczynią.

– To bardzo pocieszające. – Odrobinę poluzował uścisk na jej nadgarstkach. – Niestety, nie mogę cię wypuścić. Jesteś moim gościem, póki Brook nie przyjdzie rano.

– Chcesz powiedzieć: więźniem! – Potrząsnęła rękami, przypominając mu, jak ją przedtem związał.

– Zgadza się – odparł zamyślony. Marlowe wstrzymała oddech. Może jednak ją wypuści? Żeby się tylko pospieszył i zrobił to, zanim zażąda, żeby ją pocałował, albo upokorzy się w podobny sposób.

– Przyszło mi do głowy, że właściwie powinienem się przedstawić.

Marlowe miała ochotę krzyczeć. Parsknęła rozwścieczona. Ci śmieszni bogacze i ich maniery!

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś! Po prostu mnie...

– ...wypuść. Tak, powtarzasz to w kółko i wobec tego ja także powtórzę, że dałem bratu słowo, że tu będziesz, kiedy on wróci. Ta rozmowa robi się męcząca.

Trzasnęłaby go, gdyby nie trzymał jej za ręce. Nienawidzi go! Rozmowa z nią jest męcząca? Nie obchodzi jej żadna rozmowa!

– No, to może spróbujemy tej rozmowy – puścisz mnie, albo cię może jednak zamorduję.

Zachichotał cicho; jego świeży oddech musnął jej policzek. Niech to wszyscy...! Czuła mrowienie na całym ciele. Za chwilę zrobi coś naprawdę okropnego i rozchyli usta do pocałunku.

– To groźba? – zapytał z rozbawieniem. Żadnego całowania. Mogłaby drania wypatroszyć. – Wiesz chociaż, komu grozisz?

Na końcu języka miała, że jej to nie obchodzi, ale powstrzymała się, bo w gruncie rzeczy była ciekawa.

– Maxwell Derring, hrabia Dane.

Chciała podnieść kciuk do ust, ale jego ręka ścisnęła mocniej jej nadgarstek, przypominając jej, że ją więzi. Wyrzucił z siebie swoje imię tak szybko, że nie była pewna, czy pamięta. Miał na imię Maxwell, ale była jeszcze druga część.

– Maxwell jaki?

Wypuścił powoli powietrze.

– Hrabia Dane. Wiesz, co to jest hrabia?

O, tak. Wiedziała. Satin przeskolił ich w tytułach, jakie nosili możni panowie. Byli książęta, baronowie, rycerze, hrabiowie. Jeszcze jakichś dwóch. Markiz i... Nieważne. Wszystkie znaczyły to samo.

Mamona. Dużo mamony.

I władza.

Ten paniczyk z pewnością opływał w mamonę, ale to jego władza ją zaniepokoiła. A jeśli miał prawo wtrącić ją do więzienia? Bogaci wydawali się mieć szereg przywilejów, których nie mogła sobie nawet wyobrazić. Może wolno im było porywać ludzi z ulicy i więzić w domach.

Zmiana w rytmie jego oddechu ściągnęła z powrotem jej uwagę na sytuację obecną, na fakt, że jego twarde ciało ją przyciska. Wszystkie części ciała miał twarde... Szarpnęła się.

– Nie!

Walczyli chwilę i zdołała uwolnić jedną rękę. Wyciągnęła ją, żeby go podrapać, ale zmylił ją, kiwając się w prawo i znowu uwięził. Tym razem uścisk był bolesny.

– Au! – wrzasnęła z bólu.

– Mała piekielnico! Przestań próbować mnie zabić!

– Przestań próbować mnie zgwałcić!

– Ja nie...

– Ha! Twoja klucha jest twarda. Nie jestem dziwką, ale wiem, co to znaczy. I wiem, gdzie kierować kolano.

– Wcale w to nie wątpię, ale zapewniam cię, że nigdy nie wziąłem i nigdy nie wezmę kobiety wbrew jej woli.

– Ale twoja klucha.

– Moja klucha. Hm, interesujące określenie. Nic na to nie poradzę. Widzisz, z kluchami jest tak, że czasami robią coś same z siebie. Leżę w łóżku, na pięknej kobiecie, ze wszystkimi, powiedzmy... kobiecymi atrybutami, które... moja klucha docenia. Moje ciało pokazuje jedynie, że podoba mu się twoje. Choć rozum wolałby cię raczej udusić, niż się z tobą kochać.

– Myślisz, że jestem piękna? – Nie usłyszała już ani słowa po tym, jak to powiedział. Nikt nigdy nie nazwał jej piękną. Nawet Gideon. W gruncie rzeczy mogłaby na palcach jednej ręki policzyć te okazje, kiedy nazwano ją inaczej niż dziewczuchą, ulicznicą albo brudną złodziejką. Mogłaby go pocałować tylko za sam komplement.

– To w tej chwili nieistotne. Jeśli cię puszczę, powstrzymasz się od bicia mnie czy kopania?

Marlowe nie bardzo rozumiała, dlaczego nieistotne, ale wiedziała, że nie odpowiedział na jej pytanie. Może to była jedna z tych metafor, o której wspomniał wcześniej i wcale nie sądził, że jest piękna. Mężczyźni nie muszą się zachwycać urodą kobiety, żeby ją posiadać. Marlowe znała dziesiątki prostytutek brzydkich jak noc. Ona przynajmniej miała wszystkie zęby i twarz wolną od dziobów po ospie. Nie łudziła się, że może się równać z damami, które wysiadały z powozów na Bond Street czy Covent Garden. Hrabia jakiś tam miał pewnie jedną z tych dam co noc w łóżku. Poczwała, że twarz jej płonie z zakłopotania na myśl, że zapytała go, czy uważa ją za piękną. Był zbyt uprzejmy, żeby roześmiać jej się w twarz.

– Marlowe?

– Nie. To znaczy, tak. To znaczy, nie wiem, o co mnie pytałeś, ale cię nie uderzę. Tylko daj mi wstać.

– Policzę do trzech.

– Och, do diabła! Po prostu puść mnie!

– Z tym miłym akcentem, puszczam cię. – Jak tylko ją puścił, odskoczyła od niego. Ukucnęła w drugim końcu łóżka, gotowa do walki w razie potrzeby. Drań wciąż miał jej sztylet. Teraz musiała mu zabrać dwie rzeczy. Ale nie potrzebowała walczyć. Wyraźnie wcale jej nie chciał. Zszedł z łóżka i zbliżył się do kominka. Chwilę później zapalił dwie świece i nalał sobie jakiegoś płynu.

– Brandy? – zapytał, unosząc brew.

– Dlaczego?

Zerknął w sufit.

– Współczuję twoim rodzicom, Marlowe, naprawdę. Dla lady Lyndon spotkanie z tobą będzie szokiem, z pewnością zemdleje. Marlowe nie umiała na to odpowiedzieć, więc tylko patrzyła, jak nalewa bursztynowego napoju i niesie szklaneczkę w jej stronę. Poruszał się z wdziękiem, który potrafiła docenić, jako że mieszkała ze złodziejami, którzy musieli być zręczni i silni. Ale ten mężczyzna nie był szybki. Poruszał się wolno, z wdziękiem, nawet pięknie. Było coś pięknego w jego pewnej sobie,

dumnej postawie.

– Proszę. – Wyciągnął do niej rękę ze szklanką. Popatrzyła na jego rękę i na twarz.

– Dlaczego mi to dajesz?

– Nie wiem. Może dlatego, że tak jest uprzejmie? Bo nie chcę pić sam? Bo mam wrażenie, że to by ci dobrze zrobiło? Po prostu weź.

Wzięła i powąchała. Pachniało trunkiem.

– Nigdy nie piłaś brandy, prawda? – Poruszył płynem w swojej szklaneczce. – Trochę pali, jak się ją pije, ale potem rozgrzewa całe ciało.

– Jak dżin?

– Och, piłaś dżin? Wcale mnie to nie dziwi. Trochę podobne, ale dużo łagodniejsze. Spróbuj.

Pociągnęła ostrożnie, skrzywiła się, a potem poczuła, jak ciepło rozchodzi się w jej ciele. Nie było złe. Dużo lepsze od dżinu, który zwykle pił Satin.

– Twój werdykt? – zapytał.

– Co?

Uśmiechnął się lekko.

– Smakuje ci?

Wzruszyła ramionami.

– Piłam gorsze.

Roześmiał się; zaskoczyło ją to.

– Wielka pochwała, zaiste. A teraz, moja panno, myślę, że musimy porozmawiać.

– Nie jestem twoją panną.

– Dzięki niech będą Bogu za drobne łaski. – Usiadł na fotelu, gdzie przedtem spała, zostawiając ją na łóżku. – Pomyślałem, że może porozmawiamy jak cywilizowani ludzie. Nie będziesz mnie kopać ani kłaść, jak... cóż, jak ty, a ja będę się starał nie przerzucać cię przez ramię ani nie więzić w łóżku.

– Masz gadane, co?

Uśmiechnął się szeroko.

– Niektóre kobiety uważają, że jestem czarujący.

Zamrugła. Był przystojny, ale nie potrzebowała czarujących mężczyzn. Zwykle chcieli wyczarować gwineę z jej kieszeni.

– Najwidoczniej w twoich oczach nie jestem czarujący. – Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – Niech tak będzie. Chcę zaproponować kompromis.

– Co oznacza, że zgadzam się, żebyś postawił na swoim i przestaję walczyć.

Otworzył usta, prawdopodobnie, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknął i tylko wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że właśnie to znaczy, ale ze spędzeniem tu reszty nocy wiążą się pewne korzyści.

– Jakie?

Wyprostował się.

– Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy mam wrażenie, że możesz zerwać się i uciec w każdej chwili. Nie wspominając już o tym, że trzymasz buty na narzucie, a jest dość droga...

Zeszła z łóżka i stanęła ze skrzyżowanymi ramionami po drugiej stronie, tak że łóżko tworzyło barierę między nimi.

– Dziękuję.

– Miałaś powiedzieć, co dostanę za to, że zostanę.

Wydawał się chwilę rozważać odpowiedź.

– Duże śniadanie.

Och, drań był okrutny. Trafił w słaby punkt. Byłaby w stanie sprzeciwić się wszystkiemu innemu, ale myśli o pełnym żołądku rano nie potrafiła się oprzeć.

– Codziennie jemy owsiankę ze słodką śmietanką, bekonem, wędzonymi śledziami, zimnym pasztetem

cielęcym, kiełbasą, ozorami wołowymi...

Mówił dalej, ale ledwie go słyszała poprzez dzwonienie w uszach. Bekon? Kiełbasa? Słodka śmietanka? Nie mogła sobie w ogóle wyobrazić takiej ilości jedzenia, co dopiero na jeden posiłek.

– Mamy jeszcze świeży chleb i bułki z masłem, miodem, marmoladą albo dżemem z czereśni i jabłek, jakie rosną w naszym majątku na wsi. No i oczywiście herbatę, kawę albo czekoladę do picia.

– Czekoladę?

Dopił brandy i uśmiechnął się do niej.

– Próbowiałaś kiedyś czekolady?

– Jasne. – Ale nie próbowała i, sądząc po wyrazie jego twarzy, wiedział, że kłamie. Kiedy miałyby jeść coś tak niezwykłego, jak czekolada? Och, ale słyszała o niej. Słyszała, jak kurtyzany sobie opowiadały, jak spędziły noc z jakimś możliwym paniczkiem, a rano piły czekoladę. Marlowe myślała, że kłamią. A, jak się wydaje, mogły mówić prawdę, i jeśli zostanie, to rano także ona napije się czekolady.

Tu ją miał. Mógł nie zdawać sobie z tego sprawy – nie byłaby dobrą złodziejką, gdyby z jej twarzy można było czytać jak z książki – ale nie mogła odejść, nie spróbowałszy czekolady.

– Jeśli zostanę – musiała przecież pokazać, że łatwo się nie podda, no nie? – to rano, jak już pośniadamy, mogę odejść?

Poruszył nadgarstkiem, rękaw jego świetnej, białej koszuli pofrunął z wdziękiem do góry i na dół.

– Brook zdecyduje.

– A gdzie on jest? Chcę z nim porozmawiać. – Ruszyła do drzwi i położyła rękę na klamce, kiedy przypomniała sobie o kluczu. Odwróciła się do hrabiego. – Daj mi klucz.

– Żebyś mogła łązić po domu w środku nocy, strasząc służbę, nie wspominając już o mojej matce i siostrze? Nie. Wystarczy szok, jaki zgotujesz im rano.

Położyła ręce na biodrach, a on z jakiegoś powodu otworzył szerzej oczy. No, niech wie, że potrafi być równie twarda i uparta, jak on. Pokaże mu, że nie może jej rozstawiać po kątach.

– No, to idź go znaleźć i przyprowadź.

– Hę?

Sapnęła gniewnie.

– Powiedziałaś, idź po niego!

Jego twarz, taka przystojna i pogodna, pociemniała. Podniósł się powoli, prostując z wdziękiem swoje ciało. Czy przedtem był taki wysoki? Poczowała się nagle raczej mizernie, stojąc pod jego drzwiami.

– Ty, Marlowe, nie będziesz mi wydawać rozkazów. – Ruszył w jej stronę, a ona poczuła się, jak pies osaczony w ślepej uliczce. Cóż, nie mogła się po prostu zwinąć w kłębek i zaskowyczeć. Musi pokazać, że ma zęby. Ale nie chciała, żeby się zanadto wściekł. Była jeszcze kiełbasa, bekon i czekolada.

– Ty mnie chyba też nie.

Twarz mu stężała, wiedziała, że cios trafił w czułe miejsce. Jedno wiedziała o mężczyznach. Nie lubią, kiedy poddaje się w wątpliwość ich władzę. Satin nie znosił tego tak bardzo, że zdarzało mu się dokonywać najbardziej kretyńskich wyborów tylko po to, żeby udowodnić, że to on jest hersztem.

Widziała także, jak Satin zatłukł człowieka na śmierć z powodu głupstwa.

Nie sądziła, żeby ten cały hrabia ją skrzywdził. Skrzywiła się, kiedy walnął pięścią w drzwi obok jej głowy. Z drugiej strony, noc się jeszcze nie skończyła...

Spodziewała się eksplozji bólu w szczęce, ale jej nie uderzył. Spojrzała w prawo i w lewo i stwierdziła, że uwięził ją między swoimi ramionami. Może był nieco bardziej skłonny do przemocy, niż myślała.

– Słuchaj, ty mała...

Czekała.

– Szczurza mordo?

Zmarszczył brwi.

– Kozi bobku? – Była dość niska i nazwano ją tak raz czy dwa. – Wiedźmo? Dziwko?

– Pomogasz mi w dobieraniu zniewag? – Nagle jego twarz straciła mroczny, gniewny wyraz; to, co teraz się na niej pojawiło, zaniepokoiło ją dużo bardziej. Wcisnęła się w drzwi.

– Wydawałeś się potrzebować pomocy.

Ręce, wbite w drzwi, przesunęły się ku jej policzkom. Podskoczyła, poczuwszy niespodziewanie ich ciepło i delikatność, której zupełnie nie знаła.

– Kto cię obrzucał podobnymi obelgami?

Nie byłaby w stanie tego wytłumaczyć, ale poczuła piekące łzy pod powiekami. Nie pamiętała, kiedy ostatnio płakała, ale na pewno nie z tak głupiego powodu, że nazwano ją wiedźmą. Stłumiła łzy i odsunęła jego ręce.

– Nie dotykaj mnie – syknęła, choć pozwoliłaby się dotykać jeszcze bardziej, gdyby zechciał. Nikt nigdy nie dotykał jej w taki sposób, jak on. – Nie twoja sprawa, jak mnie kto nazywał, ale tobie zrobi coś dużo gorszego, jeśli nie pozwolisz mi odejść.

– Znowu to samo. – Westchnął. – Marlowe, posłuchaj...

– Nie, Maxwell. Ty posłuchaj.

Jego twarz znowu stała się mroczna i ponura, i dziwne ściskanie w jej piersi ustąpiło. Gniew była w stanie zrozumieć. Litościwej łagodności z jego strony należało unikać. I dotyku. Nie może pozwolić, żeby znowu jej dotknął.

– Nie zwracaj się tak do mnie – rozkazał.

Zmarszczyła brwi. Zachowywał się tak, jakby go obraził.

– Tak masz przecież na imię, czy nie?

– Masz się do mnie zwracać Dane albo panie.

– Mogę wymyśleć parę innych sposobów, jak do ciebie mówić.

– W to nie wątpię i możesz to robić na własne ryzyko. Ale nie zwracaj się do mnie po imieniu. Nigdy.

– Dlaczego? Ty się tak do mnie zwracasz.

– Ponieważ takie jest moje prawo, jako lepszego od ciebie.

Parsknęła.

– Ty i ja nie jesteśmy w poufałych stosunkach i nigdy nie będziemy. – To ostatnie wypowiedział z twarzą tak blisko niej, że widziała brązowe koła wokół jego brązowych tęczywek. To dlatego wydawały się takie piękne. Znowu ścisnęło ją w piersi. Pchnęła go, zwiększając dystans między nimi.

– To mi pasuje, chłoptasiu. Ale jak mam mówić do ciebie: panie, to się lepiej zwracaj do mnie: panno Marlowe.

Spojrzał na nią przeciągle. Patrzył na nią tak długo, że zaczęła się bać, że może dostał jakiegoś ataku apopleksji i nie jest w stanie się poruszyć.

– Ty naprawdę nie masz pojęcia, z kim masz do czynienia, prawda?

– Ja...

Podniósł rękę, przerywając jej. Ha! A paniczyki podobno takie dobrze wychowane. Odwrócił się od niej i przesunął ręką po twarzy.

– Zamorduję Brooka. Jest środek nocy i chcę spać. – Spojrzał znowu na nią. – Co mam zrobić, żeby móc pójść spać?

Otworzyła usta, a on znowu podniósł rękę.

– Nie mów, że mam pozwolić ci odejść. Porozmawiamy o tym, jak pośniadamy.

To była pewnie najlepsza oferta, na jaką mogła liczyć. Rozumiała to i miała dość rozsądku, żeby się więcej nie kłócić.

– Dobra.

– Dobra. – Znowu potarł twarz. – Teraz mówi: dobra. Może uratujemy jeszcze godzinę i nie pograżę się całkiem w szaleństwie. No, to chodźmy spać.

– Chcę łóżko. – Nawet nie wiedziała, że to powie. Z pewnością nie spodziewała się, że to powie, ale słowa zdawały się wypłynąć z jej ust, nie czekając na pozwolenie. Opuścił ręce i uniósł brwi.

– Chcesz spać w moim łóżku.

Chciała. Nigdy nie spała w łóżku i skoro zamierzał ją tu trzymać siłą, to mógł przynajmniej odstąpić jej łóżko, zamiast przywiązywać do fotela, choć fotel był o niebo wygodniejszy niż jej zwykłe spanie.

– Tak, chcę.

Znowu uniósł brwi; ścisnęło ją w piersi i szybko dodała:

– Sama.

Spojrzał na nią i zauważyła, że szczęka mu drgnęła. Znowu był zły. Dobrze. To znacznie łagodziło to dziwaczne uczucie. Poszedł w stronę łóżka, zerwał z niego poduszkę i wrócił do drzwi, mruczając pod nosem coś jakby: tupet, sprać Brooka, dżentelmen Jackson. Rzucił poduszkę na podłogę pod drzwiami. Odskokzyła, żeby nie znaleźć się na jej drodze.

– Będziesz tu spać?

– Zgadza się. Nawet jeśli ukradniesz klucz, będziesz musiała odsunąć mnie od drzwi, żeby uciec.

– Mogę ci po prostu poderżnąć gardło.

– Masz drugi sztylet?

Wciąż miała swój pierwszy. Co on z nim zrobił? Nie miała innego, ale nie zamierzała mu o tym powiedzieć.

– No, dalej, poderżnij mi gardło – a i tak będzie ci trudno odciągnąć moje martwe ciało od drzwi.

– Dam radę.

– A ja mogę się obudzić, odebrać ci nóż i poderżnąć tobie gardło. Pamiętaj o tym.

Och, nie zapomni. Odwróciła się do łóżka i uśmiechnęła się. Było jej. Ale zanim się na nie wdrapała, powiedział:

– Zdejmij te brudne buciory i może zapnij ostatni guzik przy koszuli. Rozchyła się i mam niezły widok.

5

Z bardzo panięmskim piskiem zapięła guzik i wpakowała się pod jego kołdrę. Na szczęście najpierw ściągnęła buty. Dane spojrział na poduszkę i na podłogę, starając się robić jak najlepszą minę do złej gry. Nie było mu wygodnie ani na boku, ani na plecach, ale na plecach przynajmniej widział sufit, a nie własne łóżko.

Nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Dziewczyna z ulicy spała w jego łóżku, podczas gdy on spał na podłodze. To złościło go nawet bardziej, niż to, że obudziła go przedtem, siedząc na nim z nożem między zębami. To, że dziewczuszyko o niewyparzonej gębie śpi w jego łóżku, wściekało go nawet bardziej niż podejrzenie, że Brook śpi sobie słodko i wygodnie w łóżku jakiejś kobiety, podczas gdy on, nieszczęsny hrabia Dane, leży na zimnej, twardej podłodze.

A co go naprawdę wściekało, to fakt, że chciał być w łóżku razem z nią. W łóżku. Z ulicznicą! Coś musiało być z nim nie w porządku, skoro zniżył się do tego, żeby pragnąć... jak ona się nazwała? Kozi bobek? Wiedźma? Nigdy nie lubił burdeli. Nie lubił też bałaganu, jaki wnoszą w życie kochanki. Był mężczyzną, jak każdy inny, z określonymi potrzebami, które zaspokajał, kiedy spotkał odpowiednią kobietę. Młodą wdowę albo żonę, której mąż oglądał się w drugą stronę – zazwyczaj za inną kobietą. Nie dopuszczał, żeby potrzeby brały nad nim górę, ale widocznie powinien częściej je zaspokajać, skoro zaczynał pożądać panienek z półświatka.

Ale co miał robić, kiedy siedziała na nim z tymi pięknymi, gęstymi włosami, opadającymi jej na ramiona, a które wymknęły się spod śmiesznej czapki? Jego ciało zareagowało na jej ciepło i zapach morelowego mydła, jakiego użyła. Była kobietą, nawet jeśli także złodziejką. Nie jego wina, że miała wielkie niebieskie oczy, zmysłowe usta i patrzyła na niego jakby w ciągłym zachwycie. Wyraz jej twarzy, kiedy wymieniał, co zjedzą na śniadanie, przypominał uniesienie w akcie miłosnym. Będzie musiał wysłać notatkę do kucharki, żeby przygotowała wszystko, co obiecał.

Z drugiej strony, co go obchodziło, czy mała złodziejka dostanie bekon, czy nie? Nic jej nie był winien, ani jej, ani jej podobnym. Niech Brook się o nią martwi. Dane wcale nie miał ochoty oglądać jej po raz drugi przy jedzeniu. Zeszły wieczór w kuchni był dostatecznie szokującym przeżyciem. Jego psy myśliwskie miały lepsze maniery. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby jego matka czy siostra usiadły z nią przy stole.

Ale mógł sobie wyobrazić wyraz przyjemności na twarzy Marlowe. Chciał go znowu zobaczyć i jeśli potrzebny był do tego bekon czy czekolada, dostarczy je. Mógł sobie wyobrazić, jak popija ciepłą czekoladę i sięga małym, różowym języczkiem po kroplę, która spadła jej na brodę. Nie trafia na nią, ponieważ spadła między jej obfite piersi, dobrze widoczne, bo ta przekłeta koszula znowu się rozpięła.

Dane jęknął i poruszył się niespokojnie.

– Co jest? – zapytała.

– Nic – odparł szorstko. – Śpij.

– Śpię.

Przekłete dziewczuszyko powiedziało to niemal wesoło. Będzie jej wesoło, jak ją w końcu wyrzuci ze swojego łóżka i ze swojego życia. Jeszcze tylko parę godzin...

Dane'a z płytkiego snu obudziło lekkie uderzenie drzwi sypialni w jego własną głowę. Byłoby gorzej, gdyby nie usłyszał szczęku klamki i klucza w zamku. Poruszył się, unikając najgorszego. Ale i tak zaklął szpetnie, siadając i pocierając skroń; spojrzął w górę na Crawforda. Crawford, z cienkimi, odętymi wargami pod haczykowatym nosem, odwzajemnił spojrzenie przez szparę w drzwiach. Szef służby wydawał się nieco zdziwiony, co wiele o nim mówiło, jako że wyraz jego twarzy wahał się zwykle między poważnym a ponurym.

– Jaśnie panie – odezwał się Crawford, kiwnąwszy głową. – Czy potrzebuje pan pomocy?

– Nie. – Dane podniósł się i jego plecy i szyja natychmiast zaprotestowały. Kolejna dobra nowina. Jest za stary, żeby bezkarnie spać na podłodze. Crawford pchnął drzwi, otwierając je szerzej i przyjrzał się Dane'owi uważnie. Wydawał się szukać obrażeń cielesnych.

– Jaśnie pan się przewrócił?

– Nie. Ja... – Nie chciał wyjaśniać kamerdynerowi sytuacji. Jakże brakowało mu Tibbs'a, pokojowego. Tibbs wydałby pisk grozy, widząc stan ubrania Dane'a, ale nie oczekiwałby wyjaśnień ani też nie robiłby uwag w związku z tym, gdzie i jak Dane spędził noc. – Czy przyszedłeś, żeby pomóc mi się ubrać?

– Tak, jaśnie panie.

– No, to do dzieła.

– Pozwól, jaśnie panie, że zapytam, gdzie jest ta... ach...

– Wiedźma? – odezwał się kobiecy głos z drugiego końca pokoju. – Ulicznica?

– Pomocna, jak zwykle – mruknął Dane.

– W łóżku? – Crawford zdawał się lekko zaszokowany, co w wyrazie jego twarzy odpowiadało uniesieniu brwi o ułamek cala. – Każę spalić pościel, jaśnie panie – szepnął.

– Słyszę cię – powiedziała.

Mały pagórek na łóżku poruszył się. Dziewczyna na wielkim łożu z wałkami, pół tuzinem – bez jednej – poduszek i pościelą wydawała się maleńka jak krasnoludek. Usiadła, odsuwając włosy z oczu; wyglądała na doskonale wypoczętą. Poziom jego irytacji, już znaczący, podskoczył do nieba. Podniosła ramiona i ziewnęła, przeciągając się i naciągając materiał i tak już za ciasnej koszuli w sposób wysoce nieobyčajny. Dane stanął przed wyborem – patrzeć dalej i najeść się wstydu przed Crawfordem, który zauważy reakcję jego ciała, albo odwrócić wzrok.

Spojrzał na Crawforda. Szef służby był na tyle brzydki, żeby zgasić w nim wszelkie pożądanie. I oto spotkała go kolejna niespodzianka. Crawford, uosobienie etykiety, wpatrywał się w dziewczynę z nieukrywaniem zainteresowaniem. Może Crawford był jednak człowiekiem. Może nawet pod marmurową powłoką było w nim coś z mężczyzny.

– Crawford – powiedział Dane.

Wzrok kamerdynera skupił się natychmiast na punkcie nad łóżkiem.

– Tak, jaśnie panie?

– Może powinniśmy przejść do garderoby i zostawić sypialnię Mar... pannie Marlowe.

– Tak, jaśnie panie.

Dane ruszył za kamerdynerem w stronę garderoby, po czym odwrócił się gwałtownie, wyjął klucz z kieszeni i zamknął drzwi. Mógłby przysiąc, że kiedy mijał łóżko, Marlowe syknęła: łajdak.

Miał na nią także parę stosownych określeń – zwłaszcza, kiedy obrażała go, zanim zdążył wypić poranną herbatę i w dodatku po nocy spędzonej na podłodze – ale był zanadto dżentelmenem, żeby ich użyć.

Przynajmniej na razie.

Godzinę później wyłonił się z garderoby – w znacznie lepszej kondycji. Crawfordowi brakowało finezji Tibbs'a, ale nie zręczności. Dane był czysto ogolony, umyty i ubrany w swoje ulubione bryczesy, granatowy kubrak i odpowiednią kamizelkę; do tego śnieżnobiała, lniana koszula i krawat zawiązany w

stylu koński kołnierz, który wydawał się szczytem możliwości Crawforda w tej dziedzinie. Tibbs zwykle marudził, że *trone d'Amour* jest zbyt surowy, ale Dane lubił surowość i lubił swój zwykły styl.

– Jesteś wreszcie! – powiedziała ulicznica, odsuwając się od kominka i kładąc ręce na biodrach. Dane zacisnął pięści. Naprawdę wolałby, żeby powstrzymała się od tego gestu w tym ubraniu. Wolałby, żeby w ogóle tego nie robiła, bo dobrze urodzone damy w ogóle tak się nie zachowują. Ale doskonale wiedział, że ona nie jest damą.

– Myślałam, że się zgubiłeś w tym teatrze, który nazywasz garderobą. Do diabła. Co ty masz na szyi? – Ruszyła ku niemu z wyciągniętą ręką, żeby dotknąć krawata, ale cofnął się.

– To jest krawat. Sądzę, że zeszłego wieczoru o tym rozmawialiśmy.

– Dlaczego go poskręcałeś i nadmuchałeś w taki sposób?

Dane chyba się mylił – byłoby lepiej, żeby się mylił – ale wydawało mu się, że słyszy chichot Crawforda. Spojrzał oskarżycielsko na sługę i Crawford odchrząknął.

– Jeśli nie jestem już potrzebny, jaśnie panie... – Crawford otworzył drzwi własnym kluczem i wyszedł. Klucz nie zaszcękał w zamku po raz drugi i Dane chwycił Marlowe za łokieć w momencie, kiedy zerwała się do biegu.

– Jeszcze nie śniadałaś.

Wyrwała rękę z jego uścisku.

– Jak zjem, odchodzę. Tylko spróbuj mnie zatrzymać.

– Madame, odprowadzę cię do drzwi z honorami.

Eskortował ją do jadalni, choć trudno to było nazwać eskortą, skoro rzeczona niby dama tupąła za nim jak batalion wojska. Pokojówki z naręczami bielizny mijały ich pospiesznie, rzucając im spłoszone spojrzenia, podczas gdy inne zamierały ze ściereczkami w ręku i otwartymi ustami. Dane prawie ich nie zauważał, nie dało się jednak tego powiedzieć o niewychowanej ulicznicy.

– Na co się gapisz? – napadła na jedną z młodych pokojówek.

Dziewczyna zamknęła usta i dygnęła szybko.

– Na nic, panienko.

Zamiast uspokoić, ten tytuł wydawał się wzbudzić w Marlowe jeszcze większą złość.

– Kpisz sobie ze mnie? – Podbiegła do dziewczyny, która oparła się plecami o ścianę.

– N-nie, panienko!

– Czego mówisz na mnie: panienko? I co to za przysiad, który zrobiłaś przed chwilą?

Dane z westchnieniem ujął Marlowe za łokieć.

– Próbuje być uprzejma – powiedział, odciągając Marlowe. – Mogłabyś się od niej uczyć. – Biedna pokojówka była tak zgnębiona, że Dane niemal przeprosił. – Wracaj do pracy – zwrócił się do niej. – Kiedy spotkam panią Barstowe, powiem jej, żeby ci dała podwyżkę.

– Dziękuję, jaśnie panie. – Dygnęła znowu, ale Dane odciągnął Marlowe, zanim ta znowu ją zaatakowała. Trzymał ją za łokieć, kiedy szli długim korytarzem, mijając portrety poprzednich hrabiów i hrabinek, jego znakomitych przodków. A im się wydawało, że przedtem mieli na co marszczyć brwi.

Zeszli po schodach i dotarli do drzwi jadalni, gdzie znowu musiał interweniować. Przy drzwiach stał lokaj, który otwierał drzwi, a ponieważ Marlowe szła pierwsza, otworzył drzwi przed nią.

– Myślisz, że sama nie potrafię otworzyć drzwi? – warknęła Marlowe. Lokaj był zbyt dobrze wyszkolony przez Crawforda, żeby choćby na nią spojrzeć albo odpowiedzieć. Patrzył w ścianę i jedynie skinął sztywno głową.

– Dzień dobry, Nathanielu – odezwał się Dane, wpychając Marlowe do jadalni. Zwykle nie witał się ze służbą, ale jego życie wywróciło się do góry nogami, odkąd zgodził się pożyczyć Brookowi powóz. Ale teraz, z Bożą pomocą, wszystko wróci do normy. Wszedł do pokoju i natychmiast omiół wzrokiem stół, szukając brata. Znalazł tylko matkę. Siedziała na swoim zwykłym miejscu, z daleka od okna, żeby uniknąć przeciągów i popijała herbatę. Filiżanka zastygła w powietrzu – jedyny znak, że zauważyła coś

niepokojącego.

Jego matka była ledwie dziewczyną, kiedy poślubiła hrabiego, jego ojca, starszego od siebie o dwadzieścia lat. Ojciec zmarł przed trzema laty, kiedy lekki kaszel przeszedł w zapalenie płuc. Przypadek, że zapalenie płuc rozwinęło się po tym, jak złodzieje złupili dom? Dane sądził, że nie. Hrabina obchodziła żałobę przez wymagany okres, ale Dane nie miał wrażenia, żeby śmierć męża odebrała jako realną stratę. To nie było małżeństwo z miłości. Hrabia był dla niej zapewne bardziej ojcem niż mężem, choć para doczekała się pięciorga potomków, z których przeżyło troje. Możliwe, że dwoje, jako że Brook mógł nie doczekać jutra.

Hrabina była kobietą w kwiecie wieku, przed pięćdziesiątką i jej ciemne włosy, wolne od siwizny, wciąż lśniły. Cerę miała młodzieńczą, bez skazy i cieszyła się szczupłą, wiotką figurą, podobnie jak jego siostra, Susanna. Jednym słowem, nie wyglądała na matkę, zwłaszcza matkę trojga dorosłych dzieci. To by wymagało uznania, że młodszy brat jest dorosły, co dla Dane'a pozostawało kwestią dyskusyjną. Często się zastanawiał, dlaczego matka nie wyszła ponownie za mąż. Mogła mieć starających się, gdyby zechciała, ale wydawała się kompletnie tym nie zainteresowana. Choć ją szanował, nie czuł do niej miłości. Jak można kochać marmurowy posąg? Matka miała tyle ciepła i afektu w sobie, co rzeźba Bandinellogo w holu.

Powoli, z gracją, z jakiej słynęła, matka odstawiła, niemal bezdźwięcznie, filiżankę na talerzyk.

– Dzień dobry, Dane. A co to jest?

– To – wyjaśnił Dane, podchodząc do kredensu i biorąc talerz dla siebie i drugi dla Marlowe – jest jedno z zadań Brooka. Obiecałem jej śniadanie, a potem Brook się nią zajmie. A tak nawiasem mówiąc, gdzie on jest?

Hrabina nie spuszczała wzroku z Marlowe, a ta nie była taka głupia, żeby zapytać, na kogo się gapi. W istocie wciąż stała w drzwiach, wodząc wzrokiem po pokoju i lekko rozchylając usta. Starał się spojrzeć na niego jej oczami. Pokój był jasnoniebieski z białą boazerią i dwoma ozdobnymi medalionami, z których zwieszały się kryształowe żyrandole. Żyrandole nie były zapalone przy skromnym, rodzinnym śniadaniu; nawet on uznałby to za ekstrawagancję. Okna wychodziły na Berkeley Street; dom znajdował się bardzo blisko placu o tej samej nazwie. O tej porze dnia na ulicy panował spokój. Po drugiej stronie pokoju stał lokaj, gotów do pomocy. Dane był przekonany, że chociaż udaje, że nie patrzy, stara się usilnie zapamiętać wszystkie szczegóły, żeby później powtórzyć całą historię służbie.

Matka nadal nie odrywała wzroku od Marlowe.

– Nie widziałam twojego brata, odkąd zabrał cię z wieczorku u lady Yorke. Czy mam rozumieć, że... ta dziewczyna jest powodem, dla którego cię wtedy szukał?

– Tak jest. – Nie przestał nakładać smakołyków na talerz Marlowe w nadziei, że widok Marlowe przy jedzeniu sprawi, że matka zapomni o pytaniach. Wolałby nie wyjaśniać, gdzie dziewczyna spędziła noc i jak się tu znalazła.

– Jak masz na imię, dziewczyno? – zapytała hrabina.

Dane odwrócił się i zaniósł ciężki talerz Marlowe i swój lżejszy na stół. Jej talerz umieścił przy krześle Brooka, które znajdowało się akurat obok jego krzesła.

– Marlowe – odparła dziewczyna, kierując wzrok na hrabinę.

Hrabina otworzyła szerzej oczy, zerknęła szybko na Dane'a, a potem znowu spojrzała na Marlowe.

– Czy zawsze jesteś taka impertynencka?

Marlowe otworzyła usta, ale Dane ją uprzedził.

– Zwykle jest bardziej.

Marlowe zmarszczyła brwi.

– Co takiego znowu zrobiłam nie tak?

– Lista jest zbyt długa w tym momencie – stwierdził Dane. – Siadaj i jedz, panno Marlowe.

Brwi hrabiny uniosły się jeszcze wyżej, o ile to możliwe. Musiałyby się schować pod linią włosów,

gdyby zobaczyła, jak Marlowe je.

– Zwracasz się do niej tak poufale?

– Ona nie ma nazwiska – powiedział, odsuwając krzesło dla Marlowe. Usiadła, ale kiedy próbował je przysunąć do stołu wraz z nią, skrzywiła się ze złością.

– Mogę sama przysunąć krzesło.

– Nie mów do hrabiego takim tonem. – Dane rozpoznał ten ton głosu; matka stosowała go, udzielając reprimendy. On i Brook słyszeli go w przeszłości dość często. Biedna Susanna musiała wciąż go słuchać. – A kiedy wchodzisz do pokoju, powinnaś dygnąć, a nie stać z otwartą buzią. A kiedy zwracasz się do mnie...

Marlowe nie słuchała. Spojrzała w dół i teraz niemal się śliniła na widok góry jedzenia na swoim talerzu.

– To wszystko dla mnie?

– I będzie więcej, jeśli zechcesz.

Niebieskie oczy Marlowe otworzyły się szeroko, jakby odkryła skarb piratów złożony z klejnotów i złotych monet.

– Jeszcze mówię do ciebie! – Marlowe nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi. Wzięła gruby plaster szynki i wpakowała go sobie w całości do ust. Hrabina wydała cichy okrzyk zgrozy; nawet Dane był pod wrażeniem. Przeżuwała, z policzkami wypchanymi jak wiewiórka, rozglądając się wokół. Dane był ciekaw, czego szuka – póki nie złapała jego filiżanki i nie wychyliła połowy jego herbaty.

– To paskudne – oznajmiła z wciąż pełnymi ustami, zniekształcając słowa. – Gdzie jest moja czekolada?

Dane dał znak lokajowi, który podszedł z dzbankiem czekolady. Nalał jej do filiżanki przed Marlowe, a ona podniosła ją jak wędrowiec na pustyni mógłby podnieść kubek wody.

– Gorące – ostrzegł Dane.

Zignorowała go, pociągnęła potężny łyk i szybko wypłuka połowę.

Matka zerwała się na równe nogi, rzuciła serwetkę i ze słowami:

– Dość! Nie zniosę tego! – pomaszerowała do drzwi, które z doskonałą precyzją i wyczuciem czasu otworzył przed nią lokaj, tak żeby mogła wypaść na korytarz.

Dotarła do holu, po czym odwróciła się na pięcie i zawołała:

– Chcę, żeby... ta... ta...

– Wiedźma? – odpowiedział usłużnie Dane, podczas gdy Marlowe w tym samym czasie powiedziała:

– Ulicznica?

Dane posłał jej szeroki uśmiech, choć wiedział, że wprawi tym matkę w jeszcze większą złość.

– Osoba. – Jej głos brzmiał piskliwie, gniewnie. – Odeszła z mojego domu przed upływem godziny.

Drzwi trzasnęły przy tych słowach i Dane wydał przeciągłe westchnienie.

– Należało cię posadzić ze służbą. – Wpakowała sobie do ust rogalika i wędzonego śledzia i ponownie upiła potężny łyk czekolady. – Ale dlaczego miałbym się nad nimi znęcać? – mruknął do siebie. Usiłując nie zwracać uwagi na koszmarnie maniery dziewczyny, Dane przekąsił coś ze swojego talerza; po chwili do kuchni wkroczył Crawford ze srebrną tacką, na której środku leżał list.

Marlowe ledwie podniosła wzrok, pochłaniając właśnie łyżkę słodkiej śmietanki, ale Dane otarł usta serwetką i wziął list.

– Dziękuję, Crawford. – Otworzył wiadomość i natychmiast rozpoznał pismo Brooka.

D-

Zatrzymano mnie, pilne sprawy. Nie spuszczaaj lady Elizabeth z oka, póki nie wrócę.

Twój

Brook

Dane zaklął i rzucił serwetkę na krzesło.

– Nie do wiary – mruknął, przemierzając pokój za plecami Marlowe. Przez ostatnich parę chwil nie zwracała prawie uwagi na nic, poza jedzeniem, ale teraz odwróciła się lekko, śledząc go czujnie wzrokiem. Najwidoczniej przywykła chronić tyły i nie podobało jej się, że chodzi za jej plecami... Jeszcze mniej jej się spodoba, że zostanie dłużej jego gościem.

Dane nie mógł powiedzieć, że wiadomość od brata go zaskoczyła. Zeszłego lata Brook wykorzystał swoje zdolności detektywistyczne, żeby odnaleźć zaginionego brata wicehrabiego Cheshama. Chłopiec zaginął przed dziesięciu, czy więcej, laty, a Brook znalazł go, ni mniej ni więcej, tylko w opiumowej melinie w Bath. Tę historię podały wszystkie gazety i teraz Brook miał pełne ręce zleceń dotyczących poszukiwań zaginionych osób. Bez wątpienia dlatego lord i lady Lyndon zwrócili się właśnie do niego. Dane spojrział na Marlowe, która, z ustami wciąż wypchanymi do granic możliwości, wpatrywała się w niego uważnie.

Powinien pozwolić jej odejść i oszczędzić jej rodzicom bólu. To się musi tragicznie skończyć – udowodni, że jest ich córką czy nie.

– Co to? – zapytała, zanim ugryzła kolejny kęs. Dane rzucił kartkę na stół; podniosła ją tłustymi od bekonu palcami i zaczęła studiować. Do góry nogami.

– Nie umiesz czytać? – zapytał, odbierając jej list.

– Tylko trochę.

– Brooka zatrzymano – co znaczy, że nie wróci do domu...

– Rozumiem, co to znaczy.

Rzucił jej powątpiewające spojrzenie.

– A to znaczy, że nie możesz jeszcze odejść.

– O, nie! – Skoczyła na równe nogi, porywając przy okazji bułkę ze stołu. – Obiecałeś, że będę mogła odejść po śniadaniu.

– Nie obiecałem. Tylko zasugerowałem, że to może będzie możliwe.

– Zasugerowałem? To takie fikuśne pańskie słówko na „kłamać”? Nie możesz mnie tu trzymać, lordzie Dane! Mam swoje prawa!

Dane roześmiał się.

– A co ty wiesz o prawach? – Machnął ręką. – Nieważne. Nie rozumiesz nawet, że próbuję ci pomóc. Jeśli jesteś lady Elizabeth, będziesz bogata. Mogłabyś codziennie jeść tak, jak teraz. Miałabyś rodziców, dom, łóżko do spania. Nie chcesz tego?

– Nie! – krzyknęła, kładąc ręce na biodrach. Dane przywołał całą siłę woli, żeby skupić wzrok na jej twarzy, a nie na wypukłości piersi, które jej gest, jak wiedział, znacząco odsłaniał. – Ja ci próbuję pomóc. To ty nie rozumiesz!

– Cóż – przerwał im kobiecy głos, każąc obojgu się odwrócić. – Tego się nie spodziewałam.

– Niech to diabli – mruknął cicho Dane.

– Nie przerywajcie sobie – powiedziała Susanna, otwierając szeroko brązowe oczy. – Nie oczekiwałam rozrywki tak wcześnie rano. Spodziewałam się raczej wyrzutów i reprimendy, inaczej zesłabym już dawno na dół.

– Matka udała się do swojego pokoju – powiedział Dane. – Możesz z nią tam porozmawiać.

– Po co miałabym to robić? – Wpatrywała się uważnie w Marlowe. – Ale rozumiem, dlaczego odeszła. Dane, nie powiesz mi chyba, że sprowadziłeś tu swoją *paramour*.

– Nie! – Dane poczuł się mocno urażony i ta uraza brzmiała w jego głosie. Jak ktoś, nawet jego niewinna siostrzyczka, mógł pomyśleć, że jakaś ulicznica jest jego kochanką? A tak nawiasem, skąd siostra знаła słowo: *paramour*? – To jedno z zadań Brooka.

– Chcę, żebyś przestał o mnie mówić „zadanie”.

– Och, to niegrzeczne z mojej strony. – Susanna zrobiła krok do przodu. – Jestem lady Susanna. Miło

mi cię poznać.

Marlowe spojrzała na Dane'a, jakby pytając, czy to się dzieje naprawdę. Dane przesunął ręką we włosach, rujnując staranne uczesanie, które tyle czasu kosztowało Crawforda.

– Przedstawiamy się sobie, to taki zwyczaj – zwrócił się do dziewczyny.

– Jestem Marlowe – oznajmiła – i wychodzę. – Złapała kolejną bułkę i wpakowała sobie do ust.

– Och, mój Boże! Biedactwo jest głodne – zauważyła Susanna. – Czy Brook jej nie nakarmił?

– Nie wiem nawet, gdzie on jest. – Dane'a zirytowało niezmiernie, że Susanna może sądzić, że Marlowe jest pod opieką Brooka. Bogu wiadomo, że jej nie chciał; ale należy oddać cesarzowi, co cesarskie.

– Nie możesz odejść, póki nie skończysz śniadania – powiedziała Susanna, siadając naprzeciwko Marlowe. Marlowe zerknęła na Dane'a i także usiadła. Dane zauważył, że jej talerz jest prawie pusty; fakt ten uznał za niezwykle, ponieważ jego zdaniem dwóch mężczyzn nie zdołałoby zjeść takiej masy jedzenia w tak krótkim czasie.

– Jeszcze? – zapytał Marlowe.

Kiwnęła głową, z pełnymi ustami i wzrokiem utkwionym w Susannę.

Lokaj nalał Sussannie, jak zwykle, dobrej herbaty, a Dane napełnił talerz Marlowe. Postawił go przed nią, a Susanna powiedziała:

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym ja także wzięła talerz?

Dane uniósł brwi. Susanna nigdy nie jadła śniadania. Poprawka: rzadko jadła przy matce. Dane od dawna podejrzewał, że hrabina źle działała na delikatny system nerwowy siostry, odbierając jej apetyt. Położył rogalik i śmietankę na talerzu i podał jej, po czym zwrócił się do lokaja:

– Zjesz coś, Lloyd?

Lloyd zaczerwienił się.

– Nie, panie.

– Może Crawford miałby ochotę na śledzia, albo pani Barstowe.

– Nie bądź śmieszny, Dane – powiedziała Susanna. – Służba już jadła. – Ponownie zwróciła uwagę na Marlowe. – A zatem jesteś *paramour* Brooka.

– Co to jest *paramour*? – zapytała Marlowe, przełknąwszy. Jej ręka leżała na stole obok talerza i Dane wsunął w nią widelec. Spojrzała ciekawie na ów przedmiot i trzymając go jak broń, wbiła w kawałek szynki. – Czy to jak dziwka?

– Co to jest dziwka?

Dane potrząsnął głową.

– Nie będziemy o tym rozmawiać, Marlowe. Będę wdzięczny, jeśli niczego nie będziesz mojej siostry uczyć. Susanna, przestań zadawać pytania.

Susanna zmarszczyła brwi.

– Sądzę, że mam prawo wiedzieć, z kim jem przy stole.

– Dobrze. – Westchnął ciężko. – Brook sądzi, że to zaginiona córka lorda i lady Lyndon.

– Naprawdę? – Susanna, z błyskiem w oczach, przyjrzała się Marlowe jeszcze uważniej. – Hmm. Ma oczy lady Lyndon i nos Lyndona.

Dane spojrział na nos Marlowe i zamknął oczy. Co on robi? Nie obchodzi go, czy to jest lady Elizabeth, czy nie. Po prostu chce, żeby zniknęła.

– Czy Brook poszedł, żeby sprowadzić Lyndonów?

– Nie wiem, gdzie on jest. – Rzucił jej list, a Susanna szybko go przeczytała. – Spojrzała na Marlowe. – Wydaje się, że będziesz naszym gościem jeszcze trochę dłużej.

– Gościem! – Marlowe niemal zakrztusiła się przy trzeciej filiżance czekolady. – Jestem więźniem. Twój brat porwał mnie wczoraj w nocy i trzyma tutaj wbrew mojej woli!

Oczy Susanna zaokrągliły się jak spodki. Dane nigdy nie widział, żeby były takie wielkie. Zwróciła

wzrok na Dane'a.

– Czy to prawda?

Dane próbował odpowiedzieć, a potem parsknął:

– Jeśli ująć to w ten sposób, to brzmi okropnie.

– To było okropne – powiedziała Marlowe.

– Odstąpiłem ci łóżko! – rzucił gniewnie.

Susanna wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Spała w twoim łóżku?

Dane podniósł rękę.

– A gdzie ją miałem położyć? Poza tym to było zupełnie... cóż, w jakiś sposób... niewinne. Ja spałem na podłodze.

– Przy drzwiach, żebym nie mogła uciec.

– Dane!

Skrzyżował ramiona na piersi.

– Spełniałem tylko prośbę Brooka. Chciał, żebym ją tu trzymał, póki on nie wróci.

– Ale nie możesz nikogo trzymać wbrew jego woli.

– No, właśnie! – rzuciła Marlowe, celując w niego widelcem. Dane skrzywił się, sięgnął ręką i zabrał jej talerz.

– Więcej nie dostaniesz. Poza tym ona nie jest naprawdę kimś...

Marlowe zerwała się z krzesła.

– Ty przekłety draniu! Jak śmiesz...

Dane przyciągnął ją do siebie i zakrył jej usta.

– Au! – Został ugryziony za swój trud, ale przynajmniej potok przekleństw się urwał. Susanna zamrugła jak sowa.

– Mój Boże – szepnęła, czerwieniąc się.

– Próbuję pomóc. – Cofnął stopę, żeby nie zdążyła zmiażdżyć mu palca; trzymał ją mocno, choć się szarpała. – Ale ona wcale nie sądzi, że jest lady Elizabeth.

– Ale Brook tak sądzi? – zapytała Susanna, przekrzykując wycie dziewczyny.

– Tak, Bogu wiadomo, dlaczego. Ja bym stawiał na pomiot szatana. Au! – Odsunął ją od siebie, zanim zdążyła go znowu podrapać. Popatrzył na skaleczenia na swoim ramieniu. – Chyba udało ci się wytoczyć krew.

– Dobrze.

– Dość! – Sięgnął po nią, ale odskoczyła i jego pięść zacisnęła się w powietrzu. – Dość już zniosłem – oznajmił, idąc za nią. Ale była szybka, uciekała między krzesłami, a nawet pod stołem.

– Dane – zawołała Susanna. – Dane! – Chwyciła go za kubrak i potrząsnęła. – Przestań, zanim zrobisz coś, czego pożałujesz.

– Jedyne, czego żałuję, to że nie mogę zacisnąć teraz dłoni na jej gardle.

– Dane. – Susanna pchnęła go, pozwolił podprowadzić się do okien. Jakże chciał wyskoczyć jednym z nich, ale nie mógł zostawić siostry samej z Marlowe. Potrzebował Brooka, żeby zabrał diabolicę. I wszystko będzie tak, jak przedtem.

Nudne i nijakie – nie! Cywilizowane życie. Godne. I wygodne.

– Czy pozwolisz mi porozmawiać z nią przez parę minut? Może jeśli porozmawiamy we dwie...

– W żadnym razie. Nie zostawię cię z nią sam na sam. Nie można jej ufać.

Susanna westchnęła.

– Doskonale. Ale musisz przyrzec, że nie będziesz przerywać.

Jęknął. To było najwięcej, co mógł zrobić. Susanna posłała mu ostrzegawcze spojrzenie i ruszyła w stronę Marlowe, która stała, trzymając krzesło za oparcie z miną mówiącą, że przy pierwszej

sposobności użyje go jako broni.

– Marlowe – powiedziała, obchodząc stół i zbliżając się do niej. Susanna miała na sobie szafirową suknię. Gęste włosy upięto jej z tyłu głowy. Wyższa od Marlowe i zapewne odrobinę młodsza, wydawała się dużo starsza, kiedy stanęła obok dziewczyny. Była o wiele bardziej kobieca i elegancka. Prawdziwa dama – piękna, pełna godności i wdzięku. Marlowe była... cóż, lepiej nie myśleć, czym była. Chłopięce ubranie powinno skrywać bujne kształty, ale wydawało się tylko je podkreślać. Dane odwrócił się i spojrzał na przejeżdżające ulicą powozy i barwne wiosenne kwiaty w słońcu. Przydałby się szybki spacer, w ciągu kwadransa znalazłby się w swoim klubie. Cudowna perspektywa.

– Usiądź, moja droga – powiedziała jego siostra. – Nie skrzywdzę cię.

Dane zachichotał. Jakby ktoś mógł podejrzewać, że Susanna może być niebezpieczna.

– Nie jestem twoja droga – oznajmiła Marlowe. Dane zwrócił na nią ostrzegawcze spojrzenie; siedziała na krześle, za którym przedtem stała.

– Przepraszam. Powiedziałaś, że nazywasz się panna Marlowe.

– Powiedziałam Marlowe. Bez panna.

Susanna potrząsnęła głową.

– Ależ nie mogę zwracać się do ciebie Marlowe. To niewłaściwe, przecież dopiero co się poznałyśmy.

Marlowe uniosła brew.

– Myślisz, że obchodzi mnie, co jest właściwe?

– Myślę, że powinno, jeśli masz wkrótce spotkać lorda i lady Lyndon. To bardzo mili ludzie, ale także tacy, którzy przestrzegają form.

– Nie chcę spotykać tych jakichś tam bogatych państwa. Chcę do domu.

Susanna przechyliła głowę i zapytała po prostu:

– Gdzie jest dom?

– Seven Dials. Ja i mój gang mieszkamy w melinie. Najlepszy gang w Londynie, jakby mnie kto pytał.

– Masz tam rodziców?

Dane zastanawiał się, dlaczego sam nie zadał tych pytań. Czy ma rodziców? Co to jest melina?

Marlowe roześmiała się.

– Nie, nie mam rodziców. Mam Satina. To nasz herszt. Trzyma chłopaków twardą ręką i jak nie wrócę szybko, to on przyjdzie po mnie.

– Czy będziesz w tarapatach, ponieważ zniknęłaś na tak długo?

Wyraz twarzy Marlowe zmienił się. Po raz pierwszy zobaczył strach w jej oczach.

– Potrafię dbać o siebie.

– Nie wątpię, ale chodzi mi o to, że jeśli i tak jesteś już w tarapatach, to dlaczego nie zostać trochę dłużej i nie poznać lady i lorda Lyndonów? Nawet jeśli ten Satin odkryje, gdzie jesteś, nie pozwolimy mu się z tobą zobaczyć, ani z tobą rozmawiać. Lokaje go nie wpuszczą. Zgadza się, Lloyd?

– Tak, jaśnie pani.

– Widzisz? – powiedziała Susanna, wskazując naczelnego lokaja. – Służba cię ochroni. Jeśli Satin przyjdzie, Crawford powie mu, że nigdy o tobie nie słyszał i nie wpuści go do środka.

Dane spojrzał na Marlowe, ciekaw, jakiego użyje argumentu, ale tym razem milczała. Miał wrażenie, że się zastanawia. Susanna urosła w jego oczach.

– Czy chcesz spotkać lorda i lady Lyndon?

Marlowe wzruszyła ramionami.

– Czy możesz mieć pewność, że to nie są twoi rodzice? Możesz być pewna, że nie jesteś lady Elizabeth?

Marlowe podniosła głowę, wyraz jej twarzy był tak łagodny, jakiego Dane jeszcze u niej nie widział. Wydawała się niemal... bezbronna. Była niezwykle piękna. Dane nie był w stanie odwrócić od niej

wzroku, wstrzymał oddech, czekając na jej odpowiedź.

– Nie – szepnęła. – Nie mogę być pewna. Ja... – Potrząsnęła głową, nie chcąc się dzielić tym, czego domyślała się, czy wiedziała o swoim pochodzeniu.

– Więc dlaczego chociaż nie spotkasz się z Lyndonami? Czy możesz sobie wyobrazić, jak długo czekali na ten dzień? Czy możesz sobie wyobrazić, jak będą szczęśliwi, mogąc odzyskać dziewczynkę, którą stracili wiele lat temu? Nie znam dobrze Lyndonów, ale słyszałem, że oboje – markiza i markiz – załamali się po tym, jak porwano ich córkę. Nigdy nie zaprzestali poszukiwań. Lady Lyndon posiwała ze zgrzyoty, niektórzy bali się, że umrze z żalu. Wydawało się, że nie chce dłużej żyć.

Marlowe spuściła wzrok, milczała, splótszy palce. Wydawała się taka mała na krześle, taka młoda. Dane miał ochotę do niej podejść i ją objąć, co było żałosne.

– Chcesz im odebrać tę szansę spotkania własnej córki, ich jedyne dziecko?

Marlowe spojrzała na nią z podejrzaniem błyszczącymi i zaczerwienionymi oczami. Płakała?

– Ale czy nie rozumiesz, że to jest właśnie powód, dla którego nie powinnam się z nimi spotykać? Popatrz na mnie. – Wskazała gestem swoje ubranie, ale Dane miał poczucie, że chodzi o całą jej istotę. – Nie będą chcieli za córkę kogoś takiego, jak ja.

– Oczywiście, że będą chcieli. Myślisz, że ich obchodzi, jak mówisz, albo jak się ubierasz? Jesteś ich dzieckiem.

Jednak Dane rozumiał, co Marlowe chce powiedzieć. On także nie znał Lyndonów, ale jeśli nie byli naprawdę wyjątkowymi ludźmi, to dziewczyny, takiej jak Marlowe, nie chcieliby za córkę. Chciał powiedzieć Susannie, żeby nie robiła Marlowe fałszywych nadziei, ale pragnął z całej duszy, żeby siostra miała rację. Niech go diabli, jeśli nie tęsknił za szczęśliwym zakończeniem, jak każdy inny człowiek.

Nie wspominając już o tym, że tak czy inaczej, Marlowe nie odejdzie, póki Brook nie wróci. Jeśli pragnienie poznania rodziców zatrzyma ją w domu Derring, to niech tak będzie. A on może udawać, że wierzy, że ta historia dobrze się skończy.

– Ale spójrz na mnie – ciągnęła Marlowe. – Nie mówię, jak ty, ani się nie ubieram, jak ty i nie zginam się tak w kolanach, jak ty.

– To wszystko? – zapytała Susanna. – Mogę to zmienić. Nie mówisz tak źle. Ja sama sądzę, że możesz być lady Elizabeth, między innymi dlatego, że czasami słyszę u ciebie akcent sfer wyższych. Musimy tylko nad nim popracować. Możesz pożyczyć jedną z moich sukienek. Mam ich o wiele za dużo; nauczę cię też dygać. Mogę cię nauczyć wszystkich zasad etykiety. Och, panno Marlowe! – Susanna ścisnęła rękę dziewczyny w swoich. – To będzie zabawa.

Nie czekając na odpowiedź, Susanna wstała i ruszyła do drzwi. Otworzyła je szeroko, wołając:

– Gdzie jest Maggie? Gdzie jest moja pokojówka? Sprowadź ją, proszę, Nathanielu!

– Tak, jaśnie pani.

Wciąż w jadalni, Marlowe spojrzała na Dane'a. Uśmiechnął się do niej powoli.

– Teraz to naprawdę wpadłaś.

Rozrywka powinna być przednia.

6

Miał rację. Wpadła. Stała w różowo-białej sypialni lady Susanny, podczas gdy dziewczyna dyrygowała służbą, każąc jej znosić suknię za suknią i suknię za suknią z garderoby. Marlowe rozglądała się ciekawie. Pokój był mniejszy niż sypialnia Dane'a i niezwykle kobiecy. Marlowe w życiu nie widziała czegoś tak kobiecego. Zastłony obszyto koronką, ściany pomalowano na bladoróżowo, a toaletka wydawała się tak delikatna, że Marlowe bałaby się jej dotknąć, żeby się nie przewróciła.

Biała narzuta na łóżku i porozrzucane, miękkie poduszki schowały się niemal pod rosnącym stosem sukien. Kto to słyszał o białej pościeli? W Seven Dials pobrudziłaby się w mgnieniu oka. Na stoliczku przy łóżku leżały trzy książki, jedna na drugiej. Trzy. Marlowe nie widziała dotąd, żeby ktoś miał tyle książek. Wiedziała, że książki są cenne dla tych, którzy potrafią je czytać. Czasami chłopcy przynosili do domu parę książek zwędzonych podczas skoku. Satin zawsze sprzedawał je za niezłą sumkę.

Marlowe dotknęła ciekawie jednej z książek, otworzyła ją i popatrzyła na litery. Nie potrafiła poskładać wyrazów, ale rozpoznawała „ten” i „od”. Jedna ze służących cmoknęła karcąco i Marlowe zamknęła książkę, patrząc na stos sukien, które niemal spadały z łóżka. Pomachała rękami.

– Przestańcie! Potrzebuję tylko jednej sukienki.

Lady Susanna wystawiła głowę z garderoby.

– Nic podobnego. Potrzebujesz co najmniej trzech na dzień. Poranną, koktajlową...

– Trzech? – Zaczęła się cofać w stronę drzwi. – Spędzałabym pół dnia, przebierając się.

Susanna skinęła głową.

– To często kłopotliwe.

Kłopotliwe? Marlowe przez całe życie nie miała nigdy więcej niż jedną sukienkę naraz; wymieniano ją, jeśli z niej wyrosła albo podarła się tak, że nie dało się jej naprawić. Nie mogła sobie wyobrazić posiadania trzech sukni jednocześnie, a tym bardziej zakładania wszystkich trzech w ciągu jednego dnia. To nie był jej świat, ten, w którym wszyscy używali gładkich słówek i żyli jak królowie. Nawet jeśli była tą całą lady Elizabeth, co jej rodzice o niej pomyślą? Będą przerażeni, że nie zna zasad obowiązujących w ich świecie. Z pewnością nie chcieliby takiej córki. Lepiej dla nich, żeby nie żyła.

Dlaczego pozwoliła, by ta dziewczyna przekonała ją, żeby chociaż spróbowała być lady Elizabeth? To był tylko przyjemny sen, marzenie, które przywoływała, kiedy chciała na chwilę zapomnieć o zimnie i nędzy. Czyż każda dziewczynka nie marzy potajemnie, że jest księżniczką, która musi tylko odzyskać należny jej tron? Marlowe miała tak niewiele marzeń w życiu. Czy naprawdę chce zniszczyć to najpiękniejsze tak doszczętnie i na oczach wszystkich?

Będą się z niej śmiać. Patrzcie na tę żebraczkę, której się wydaje, że jest lepsza, niż jest. Dane nie uważa jej nawet za osobę. Czy jej rodzice myśleliby inaczej?

Marlowe cofnęła się jeszcze bardziej.

– Zmieniłam zdanie. To nie jest dobry pomysł.

– Oczywiście, że jest.

Zanim Marlowe sięgnęła do kłamki, lady Susanna podbiegła do niej i chwyciła ją za rękę. Szybka była jak na taką paniusię.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– I zmieniłam zdanie.

Lady Susanna ścisnęła jej rękę, a Marlowe popatrzyła w dół ze zdumieniem. To był taki prosty, przyjazny gest. W jej świecie zdarzały się niezwykle rzadko. Tej dziewczynie przychodziły z taką łatwością i nic w zamian nie chciała.

– Dlaczego zmieniłaś zdanie? Czego się obawiasz?

Marlowe wyprostowała się i podniosła brodę.

– Niczego się nie boję.

– Dobrze. No, to zaczynamy. – Wciągnęła Marlowe w głąb pokoju, bez specjalnego sprzeciwu z jej strony. Dokąd miała pójść? Z powrotem do meliny? Satin stłukłby ją do nieprzytomności za to, że dała się porwać. Mogłaby odsunąć karę, dając mu coś cennego w zamian, informacje, jak włamać się do tego domu. Gdyby pokierowała skokiem i wróciła z rękami pełnymi towaru, uzyskałaby przebaczenie.

Ale jedno spojrzenie na lady Susannę i Marlowe nie chciała, żeby w łapy Satina wpadła któraś z pięknych rzeczy dziewczyny. Nie dbała o lorda Dane'a. Niech idzie do diabła. Razem z bratem i tą wiedźmą, swoją matką. Mogła ich nie lubić, ale czy zasługiwali na to, żeby włamywać się do ich domu? Próbowali tylko jej pomóc na swój głupi, samolubny sposób.

Nie, nie chciała wydać tych ludzi Satinowi, nie chciała ich zranić. A jako że raczej ceniła własne życie, nie bardzo wiedziała, jak może w takim razie wrócić do meliny.

Tak więc musiała tu na razie tkwić.

Lady Susanna podniosła naręczę koronkowej bielizny, mówiąc:

– Może najpierw kąpiel?

– Nie! – wrzasnęła Marlowe. – Znowu?

– Wydaje się dość czysta, pani – zauważyła jedna z pokojówek.

Marlowe pokiwała energicznie głową.

– Brałam kąpiel wczoraj. Teraz nie muszę się kąpać przez parę miesięcy. – Lat, jeśli miałyby coś w tej kwestii do powiedzenia.

Lady Susanna roześmiała się, jakby Marlowe zażartowała.

– Pomyślmy o tym. No, dobrze, to zdejmij to ubranie i pozwól się ubrać w jedną z tych sukien.

Marlowe zmierzyła wzrokiem dwie pokojówki i dziewczynę, które stały przed nią.

– Co? Rozebrać się? Jak wy wszystkie patrzycie?

– Ach! Jesteś skromna. Doskonale. – Włożyła bieliznę w ręce Marlowe i popchnęła ją w stronę prostokątnego, pomalowanego w kwiaty, parawanu. – Możesz się tam rozebrać. Sama nie zasznurowiesz gorsetu, Maggie ci pomoże.

Marlowe spojrzała na służącą, którą wskazała lady Susanna. Kobieta miała około trzydziestu lat, ciemne włosy i pucułowate policzki.

– Nie masz niczego, czego już przedtem nie widziałam, panienko – powiedziała. – Ale myślę, że mogę cię sznurować z zamkniętymi oczami, jeśli tego chcesz.

Marlowe chciała uciec z tego więzienia, gdzie albo wrzucano człowieka do wody, albo pętano niewygodnym ubraniem. Tego chciała. Z westchnieniem schowała się za parawanem i zdjęła koszulę oraz spodnie.

– Włóż najpierw *chemise* – powiedziała lady Susanna.

– Włożyć co? – Marlowe przyjrzała się bieliźnie.

– Koszulę – podpowiedział ktoś, zapewne Maggie.

Marlowe wciągnęła ją przez głowę, a potem założyła halkę. Nigdy dotąd nie miała na sobie takiej pełnej, ślicznej halki. Były jeszcze pończochy i podwiązki, ale nie miała pojęcia, jak je włożyć. Nie zamierzała się w to bawić. I tak nikt nie zobaczy jej nóg. Potem wzięła gorset i zamyśliła się, przyglądając wymyślnym haftom na jedwabiu. W życiu nie widziała czegoś podobnego. Był także dłuższy

niż ten, do którego przywykła. Zawsze nosiła krótki, a ten sięgał jej do bioder.

– Gotowa? – zapytała Maggie.

Marlowe westchnęła.

– Tak.

Po chwili pokojówka znalazła się za parawanem. Nie obdarzyła Marlowe nawet jednym spojrzeniem, tylko odwróciła ją i zajęła się ubraniem. Widocznie Marlowe nie założyła ani koszuli, ani halek, tak jak trzeba, bo zaczęła je przekręcać, odwiązywać i zawiązywać. Halkę nawet zdjęła, pouczając Marlowe, że najpierw należy włożyć gorset. Marlowe miała wrażenie, że jest sznurem w zabawie w przeciąganie liny. Maggie najwyraźniej nie kłamała, mówiąc, że jej nie interesuje, co Marlowe ma pod ubraniem. Odwróciła ją do parawanu i zaczęła sznurować gorset. Przy pierwszym gwałtownym szarpnięciu zaskoczona Marlowe wciągnęła ostro powietrze, a Maggie zauważyła:

– Dobrze. To pomaga.

Środkowa, usztywniona część gorsetu natychmiast wcisnęła się jej w ciało, wymuszając prostą postawę.

– Nie będę mogła się schylać.

– Dama nie musi się schylać.

Marlowe zdecydowanie nie chciała być damą, jeśli to miałyby być jeden z wymogów. Maggie zasnurowała gorset, znowu obróciła Marlowe i zaczęła układać jej piersi – podnosiła je i rozdzielała w sposób dość szokujący.

– Odczep się od moich cycków! – sprzeciwiła się Marlowe. Maggie nie przejęła się tym, gnioła i wypychała, aż znalazły się w połowie poza przeklętym gorsetem. Po co w ogóle gorset, skoro miała z niego wypadać?

W końcu Marlowe pacnęła Maggie po rękach i odsunęła się. Chciała uciec zza parawanu.

– Nie tak szybko! – powiedziała Maggie, wciągając ją z powrotem i każąc wejść w halkę. – Teraz pończochy.

Marlowe potrząsnęła głową.

– Nie mogłabym ich włożyć nawet, gdybym chciała – oznajmiła Marlowe. – Nie mogę się schylać.

Po drugiej stronie parawanu rozległ się chichot.

– Za kwadrans – odezwała się lady Susanna – nie będziesz nawet pamiętać, że masz gorset.

– Ja to zrobię – powiedziała Maggie, sięgając po kostkę Marlowe. Marlowe wierzgnęła gwałtownie.

– Nie! Po co? I tak nikt nie będzie wiedział, że ich nie mam.

– Ja będę wiedziała – stwierdziła Maggie. – Można to zrobić na dwa sposoby: albo ty je włożysz, albo ja ci je włożę. Tak czy inaczej, pończochy znajdują się na twoich nogach. To jak wolisz?

– Och, Marlowe – powiedziała Susanna. – Zgódź się, żeby Maggie ci je włożyła.

Marlowe przewróciła oczami.

– Dobra. – Pozwoliła Maggie złapać się za stopę i wciągnąć pończochę wzdłuż gołej nogi, a potem umocować ją podwiązką. W końcu pokojówka wstała, uznając pracę za wykonaną w stopniu zadowalającym. – Nie włożyłam jeszcze sukienki – zauważyła Marlowe.

– Och, chodź i włóż ją tutaj, tak żebyśmy mogły to zobaczyć – odezwała się Susanna. – Teraz już z pewnością nie masz się czego wstydić.

– Dobrze. – Marlowe wyszła zza parawanu, kierując się w stronę toaletki. Susanna, szybka jak zwykle, chwyciła ją za rękę i odciągnęła.

– Jeszcze nie. Chcę, żebyś miała niespodziankę. Och! Już wyglądasz ślicznie.

Marlowe spojrzała na swoje na pół obnażone piersi.

– Wyglądam, jakbym się mogła przeziębic na śmierć.

Susanna potrząsnęła głową.

– Wiele kobiet dałoby się zabić za taki biust. Ze mną włącznie.

Marlowe spojrzała na piersi Susanny; jak dla niej były całkiem w porządku. Wzruszyła ramionami.

– Dla mnie to tylko kłopot. Zwykle je przewiążuję. Jak chodzę w sukience z wystawionymi cyckami, chłopakom przychodzą głupoty do głowy.

– A chłopaki są twoimi przyjaciółmi?

– Można tak powiedzieć. Tak właściwie to wspólnicy w interesach.

– Złodzieje – syknęła Maggie pod nosem.

– Maggie! – zawołała Susanna karcąco. Susanna spojrzała na Marlowe. – Cóż, rozumiem, że możesz ukrywać swoje wdzięki przed mężczyznami takimi, jak tamci, ale zapewniam cię, że dżentelmeni są zupełnie inni.

Marlowe parsknęła pogardliwie, a Susanna zamrugła. Marlowe popatrzyła na nią zdumiona. Czy naprawdę była tak naiwna?

– Dżentelmeni są najgorsi. Widzę ich cały czas, jak włóczą się po Seven Dials i tylko szukają jakiejś spódniczki.

Lady Susanna otworzyła szeroko oczy.

– Naprawdę?

Maggie odchrząknęła.

– To nie jest odpowiedni temat do rozmowy.

– To nie sprawia, że to kłamstwo. Co powiesz na drobny zakład?

Lady Susanna poruszyła się niespokojnie.

– Mama nie pozwala mi tego robić.

– To jej nie mów. Możesz zaufać Maggie i... – machnęła ręką w stronę drugiej pokojówki.

– Jane. No, dobrze. Co to za zakład?

– Pierwsza rzecz, na którą twój brat spojrzy, jak mnie zobaczy, to moje cycki.

Lady Susanna otworzyła usta, a jej policzki poczerwieniały gwałtownie.

– Dane? Skądże.

– Jest mężczyzną.

– Ale on... – wydawała się szukać odpowiedniego słowa – on jest hrabią, rozumiesz? Nieżonatym hrabią i damy rzucają mu się do stóp przez cały czas. A on nawet nie mrugnie okiem. Nie sądzę, żeby zauważał.

Marlowe była w stanie uwierzyć, że damy się na niego rzucają, ale ani przez chwilę nie wierzyła, żeby nie zauważał ich „wdzięków”. Miał dość rozsądku – och, no dobrze – dość honoru, żeby w towarzystwie siostry udawać, że nie zauważa.

– A więc przyjmujesz zakład? – zapytała.

Lady Susanna zastanawiała się chwilę.

– Tak. O co się zakładamy?

Marlowe rozejrzała się po pokoju za czymś, co chciałyby mieć. Jej wzrok spoczął na stercie książek.

– O tę książkę na górze – oznajmiła, wskazując palcem.

– Sonety Szekspira?

Szekspir, tak. Kiedyś widziała, jak grali jego sztukę.

– Tak, tamtą.

– Potrafisz czytać?

Marlowe położyła ręce na biodrach.

– Czy to ważne? I tak myślisz, że nie wygram. Zakładamy się?

– Co dasz mojej pani, jeśli wygra? – zapytała Maggie.

Lady Susanna myślała długo, a potem wyszeptała:

– Przygodę.

Brwi pokojówki strzeliły do góry, ale Marlowe uśmiechnęła się.

– Niech będzie przygoda – powiedziała. Z lady Susanną będą się świetnie dogadywać.

Lady Susanna podeszła do łóżka i podniosła różową sukienkę.

– Zaczniemy od tej.

– Nie ma mowy. – Marlowe potrząsnęła głową. Różowy? Nie będzie się ubierać na różowo.

Susanna zmarszczyła brwi.

– Co masz przeciwko niej? Nie podoba ci się?

– Jest różowa – odparła Marlowe. Susanna nadal patrzyła na nią ze zdumieniem. Marlowe rozłożyła ręce. – Jest różowa!

– Sądzę, że byłoby ci do twarzy w różowym. Przymierz, jeśli nam się nie spodoba, weźmiemy inną.

– Inną? – sapnęła Marlowe. Ile będzie musiała przymierzyć? Musi się postawić, bo inaczej zaraz ją przystroją we wstążki i kokardki. – Nie włożę różowego.

– A jaki kolor by ci odpowiadał?

– Czarny.

Susanna ściągnęła brwi.

– Czy jesteś w żałobie?

– Myślę, że czarny pasuje do tego, jak się czuję.

Susanna parsknęła śmiechem, a Marlowe popatrzyła na nią w osłupieniu. Czy to możliwe, żeby dziewczyna nie miała wszystkich klepek?

– Och, Marlowe. Jaka ty jesteś zabawna. – Tak, dziewczyna zdecydowanie była nierozgarnięta. – A ta niebieska? Nie spieraj się. Maggie, pomóż jej.

Zanim Marlowe zdążyła choćby otworzyć usta w proteście – bladoniebieska sukienka miała wstążki – Maggie zarzuciła jej suknię na głowę i Marlowe nie widziała nic poza muślinem i koronką. Otoczył ją słodki zapach kwiatów, taki widocznie, jakiego używała Susanna; w końcu jej głowa została oswobodzona. Potem Maggie odwróciła ją i zapięła guziczki na plecach, pchając ją i ściskając, żeby wszystko było na miejscu.

Marlowe spojrzała w dół. Suknia nie była taka zła. Miała dużo skromniejszy dekolt niż te, które przedtem nosiła, ale i tak czuła się, jak ta dama na dziobie statku – z biustem wypiętym do przodu.

– Teraz musimy coś zrobić z twoimi włosami – stwierdziła Susanna i zanim Marlowe się połapała, co się dzieje, posadzono ją na krześle, a jej włosy brutalnie rozczesano i uczesano, o mało przy tym nie wrywając ich z głowy.

– Au! – poskarżyła się. Maggie Okrutnej, jak Marlowe zaczęła o niej myśleć, powieka nawet nie drgnęła. Razem z Jane ściągnęły włosy Marlowe tak mocno, że nieszczęsna podejrzewała, że jej twarz musi się krzywić w szerokim uśmiechu. W końcu tortura się skończyła i Marlowe uwolniono. Wstała, wyciągnęła rękę, żeby powstrzymać dręczycieli i syknęła:

– Z daleka ode mnie! Jak mnie znowu dotkniecie, będziecie żałować. Nikt nie zasługuje na takie tortury. Choćby chciał tego jakiś przekłety król.

– Licz się ze słowami, panienko – rozkazała Maggie.

Lady Susanna o szeroko otwartych oczach ujęła ją tylko w milczeniu pod ramię i poprowadziła w stronę owalnego lustra w kącie. Marlowe już miała strząsnąć jej rękę, kiedy uchwyciła swoje odbicie w lustrze. Kobieta w odbiciu otworzyła usta.

– Co wyście zrobiły? – zapytała kobieta. Marlowe dotknęła swojej twarzy, a obca w lustrze zrobiła dokładnie to samo. To naprawdę była Marlowe.

Ale wyglądała strasznie dziwnie i w ogóle nie przypominała Marlowe. Wyglądała niczym księżniczka. Jak arystokratka. Gdyby Gideon mógł ją teraz zobaczyć, nie uwierzyłby własnym oczom. Uznałby ją za łatwą ofiarę i gwizdnąłby jej torebkę. Gdyby ją miała.

– Nie podoba ci się? – zapytała lady Susanna.

Czy jej się podobało? Nawet siebie nie poznawała. Może gdyby ubierała się w ten sposób przez cały

czas, Satin także by jej nie poznał. Oczywiście, jeśli chodzi o przebrania, to było raczej bolesne – z tymi wszystkimi spódnicami, kawałkiem drewna oddzielającym piersi i szpilkami we włosach.

– Może być – powiedziała ostrożnie. Niewiarygodne, że można wyglądać tak... ślicznie i kobieco. Przywykła starać się ze wszystkich sił, żeby się zamienić w niewidzialnego chłopca. W takim stroju zwracałyby uwagę.

– Udzielasz mi, z pewnością, lekcji pokory – stwierdziła Susanna. – Chodź, pokażemy Dane'owi.

Marlowe już odwracała się od lustra, ale teraz zawahała się.

– Twojemu bratu?

Susanna uniosła brwi.

– Sądzę, że mamy zakład.

Marlowe spojrzała na swój biust. Był przykryty, ale i tak dosyć wyeksponowany. Nie wątpiła ani przez chwilę, że wygra zakład, ale nie była taka pewna, czy chce, żeby ją oglądano w tym stanie. Ostatecznie, wszędzie miała wstążki. Niebieską wstążkę wpleciono nawet w jej włosy.

– Możemy później mu pokazać. Na pewno ma ważniejsze sprawy.

– Boisz się, że nie wygrasz?

– Nie! – odparowała Marlowe natychmiast. – Boję się, że będzie się śmiać z tych wszystkich ozdóbek – mruknęła, pociągając wstążkę przy sukience.

Susanna uśmiechnęła się.

– Będzie pod wrażeniem. Chodź. – Chwyciła Marlowe za rękę i pociągnęła.

Dane siedział w bibliotece, usiłując się skupić na korespondencji. W zeszłym tygodniu zarządca napisał do niego o problemach z irygacją w jednej z posiadłości w Shropshire, a Dane dotąd nie odpowiedział. Usiłował to zrobić teraz, trzymał pióro w ręku, ale nie mógł się skoncentrować na irygacji. Nie wtedy, gdy mała hultajka przebywała w jednym pokoju z jego siostrą. Dlaczego to trwa tak długo? Może mała ulicznica poderznęła Susannie gardło i uciekła przez okno?

Zapominając o liście, wstał i zaczął przemierzać bibliotekę. Było za wcześnie na brandy – chociaż, gdyby udał się do swojego klubu, czego pragnął gorąco, wychyliłby do tej pory co najmniej dwie szklaneczki. Ale matka na pewno zauważyłaby i skarciłaby go, gdyby poczuła od niego alkohol przed godziną czwartą. Na ogół nie dbał o jej zasady. Był przecież hrabią, ale Marlowe nadszarpnęła już jego nerwy i nie chciał ich dalej wystawiać na szwank. Nie znosił wymówek.

Dane podniósł gazetę, w której była mowa o nowej ustawie parlamentu. Naprawdę powinien się z nią zapoznać przed głosowaniem, ale przeczytał ledwie linijkę, kiedy, jak mu się wydawało, usłyszał jakiś dźwięk. Podeszedł do drzwi, otworzył je i wyrzwał na zewnątrz. Crawford, w holu, zamrugał.

– Czy mój brat jest już w domu?

– Nie, jaśnie panie.

– Przysłał choć słowo?

– Nie, jaśnie panie.

Dane zamknął drzwi i znowu zaczął spacerować. Może tylko jeden łyżeczek brandy... Rozległo się pukanie do drzwi i Dane zawołał:

– Wejdz! Czy Brook przysłał w końcu wiadomość, Crawford?

– To nie Crawford – powiedziała Susanna.

Dane odwrócił się. Nie, to zdecydowanie nie był Crawford. Przesunął wzrok na ciemnowłosą piękność, stojącą za Susanną. Była niska i bardzo zgrabna, jej usta wyginały się w czymś w rodzaju kpiącego uśmiechu. Spojrzał znowu w jej oczy. Było w nich coś znajomego.

– Sądzę, że wygrałam – odezwała się cicho Susanna. – Patrzy na twoje oczy.

– Jasna cholera – zaklęła dziewczyna.

– Marlowe? – Dane podniósł gwałtownie głowę. – Jak tyś to, do diabła, zrobiła?

– Wygląda jak prawdziwa dama, czyż nie? – powiedziała Susanna. Dane nie mógł się spierać.

Wyglądała jak arystokratka w każdym calu, tylko że...

– Nie ma pantofli.

Susanna wciągnęła ostro powietrze.

– Nie do wiary, że mogłam o tym zapomnieć! Wrócę za chwilę. – I wyszła.

Marlowe wzruszyła ramionami.

– Nawet nie widzi moich stóp. – Weszła w głąb pokoju. – Jak się to miejsce nazywa?

– Biblioteka – powiedział Dane. Patrzył, jak dziewczyna obraca się, obejmując wzrokiem ciemną boazerię, sięgające sufitu regały i potężne dębowe biurko. Boże, była śliczna. Doskonale, pod każdym względem śliczna. W ustach mu zasychało od samego patrzenia.

– To twoje? – zapytała, zerkając na niego. Przy włosach zaczesanych do góry jej oczy wydawały się jeszcze większe i bardziej niebieskie. Teraz, kiedy byli sami, uświadamiał sobie wyraźniej, jaką jest pociągającą kobietą. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie podziwiać jej szyi. Odślonięta, stanowiła długą, wdzięczną kolumnę. Doskonałą do całowania. Przejęło go pożądanie, które zwalczył siłą woli.

– Każdy może z niej korzystać, ale ja zwykle zajmuję ją w dzień. Pracuję tutaj.

Parsknęła.

– Ty pracujesz? – ponownie zerknęła w jego stronę. – To oszustwo.

– To nie oszustwo. Zarządzam majątkami, swoimi i moich dzierżawców. Zajmuję się sprawami omawianymi w parlamencie.

Odwróciła się do niego.

– Parlament? Tam, gdzie wymyślają prawa?

– Tak. – Suknia, którą dała jej Susanna, nie uwydatniała tak bardzo jej okrągłości, jak koszula i spodnie, które nosiła wcześniej, ale niepokojąco eksponowała jej biust. Mężczyzna zaczynał się zastanawiać, jak wyglądałaby w wieczorowej sukni, kiedy wolno sobie pozwolić na nieco większy dekolt.

– To wszystko wyjaśnia – powiedziała, a potem skrzywiła się gniewnie. – Teraz gapisz się na moje cycki. Nie mogłeś tego robić przy swojej siostrze?

Dane powstrzymał się od odpowiedzi najwyższym wysiłkiem. Przyłapano go, jak niegrzecznego chłopca; zmusił się, żeby znowu spojrzeć jej w twarz.

– Nie wiem, co masz na myśli. – Kiedy stał się takim obłudnikiem? Zasłużył na to, żeby przewróciła oczami, jak w tej chwili. – To wyjaśnia co? – Chwycił się czegoś, co powiedziała wcześniej, cegokolwiek, żeby tylko odwrócić uwagę od dyskusji o jej cyckach. Odchrząknął. – Nie aprobujesz parlamentu?

– A kiedy coś dla mnie zrobił?

– Otóż, całkiem dużo...

– Phi – parsknęła, machając ręką. – Nie obchodzą cię tacy, jak ja. Dbasz o swoje pieski i fikuśne wiejskie domy. A co z sierotami? Albo dziwkami, które sprzedają własne ciało, żeby wykarmić dzieciaki? Nikogo nie obchodzą.

– To nieprawda. Mnóstwo ludzi działa na rzecz klas niższych i tych pokrzywdzonych przez los. – Nie to, żeby on do nich należał. – Weź Williama Wilberforce’a i *Ustawę przeciwko handlowi niewolnikami*.

– Nigdy o tym nie słyszałam.

Dane nie był zaskoczony.

– Mówisz o sierotach i upadłych kobietach. Są miejsca, gdzie mogą się schronić...

– Ha! Domy pracy? Myślisz, że ktoś jest w stanie przeżyć w takim miejscu? Lepiej zostać na ulicy, gdzie jest się przynajmniej wolnym.

– A zatem klasy niższe zasługują na swój los. Rząd nie może pomóc tym, którzy nie chcą pomocy. –

Znowu ta obłuda.

– To prawda. Nie chcę takiej pomocy, jaką mi dajesz. – Odwróciła się od niego, ale Dane chwycił ją za łokieć i obrócił w swoją stronę. Zmusił się, żeby ograniczyć dotyk do łokcia.

– Jakiej pomocy byś chciała, Marlowe?

Szarpnęła rękę, ale jej nie puścił. Susanna nie dała Marlowe także rękawiczek i czuł jej jedwabistą skórę pod palcami. Zdumiewające, że kobieta, która prowadziła tak ciężkie życie, zdołała zachować tak miękką skórę.

– Przyjmijmy na chwilę, że nie jesteś lady Elizabeth. W takim razie my – albo, przynajmniej, Brook – jesteśmy ci coś winni za porwanie i trzymanie cię tutaj siłą.

– Najwyższa pora, żebyś to zrozumiał. – Szarpnęła znowu rękę, ale Dane pociągnął ją w swoją stronę – jeszcze bliżej. To był błąd. Kusiło go, żeby znowu spojrzeć na jej bujny biust.

– Czego chcesz? Pieniędzy? Ile? Pięć funtów? Dziesięć? Dla kogoś takiego, jak ty, to fortuna.

Spojrzała na niego uważnie. Był na tyle blisko, żeby widzieć dokładną barwę jej oczu – niemożliwie niebieskich.

– Książek – powiedziała po prostu.

Dane puścił jej łokieć. Był taki pewien, że będzie chciała pieniędzy.

– Książek? Dlaczego? Nie umiesz czytać.

Skrzywiła się i odsunęła od niego.

– Nie rozumiałbyś.

Jednak rozumiał. Może dzisiaj nie wykazywał się bystrością – oszołomiony jej przemianą – ale nie był całkowitym durniem.

– Chcesz się nauczyć czytać?

Wzruszyła ramionami.

– Może.

– Susanna, być może, mogłaby cię nauczyć. – Podeszedł do jednego z regałów. – Od której książki zacząć? – zastanowił się głośno.

– Wiem, od której – oznajmiła ku jego zaskoczeniu.

– Jakaż to?

– Twoja siostra ma ją u siebie w pokoju. To Szekspir.

Dane poczuł, jak unoszą mu się brwi.

– To się wydaje trochę... trudne.

– Właśnie to chcę czytać.

Dźwięk kroków za drzwiami sprawił, że oboje się odwrócili. Susanna otworzyła je szerzej.

– Mam! – Trzymała w ręce parę skórzanych półbutów. – Przymierz te.

Marlowe otworzyła oczy ze zdumienia.

– Są za delikatne.

– Włóż je. – Dane patrzył, jak Susanna podaje je Marlowe, a ta siada na krześle przy jego biurku, zakłada nogę na nogę i wkłada pantofel. Pokazywała kostkę i kawałek łydki, ale starał się nie patrzeć. Usiłował nie wyobrażać sobie, jak wodzi językiem po krzywiznie jej łydki. Odchrząknął.

– Susanno, Marlowe mówi, że masz w swoim pokoju tom Szekspira.

Zaczerwieniła się.

– Och. – Spuściła wzrok. – Wiem, że mama nie chce, żebym czytała Szekspira, ale...

– Nie obchodzi mnie, co czytasz. Marlowe ma nadzieję nauczyć się na nim czytać.

– Naprawdę? – Twarz Susanny rozjaśniła się, choć Dane nie był pewien, czy to dlatego, że on sam nie ma nic przeciwko Szekspirowi i temu, żeby siostra go czytała, czy też dlatego, że postawił przed nią zadanie do wykonania.

– Nie musisz mnie uczyć – zauważyła Marlowe, zmieniając nogę i wsuwając pantofel na drugą stopę. –

Nie wygrałam zakładu.

– Jakiego zakładu? – zapytał Dane.

– Nieważne – powiedziała szybko Susanna. – I tak zamierzałam dać ci tę książkę. Och, wstań, proszę, żebyśmy mogli zobaczyć. – Marlowe wstała, wysuwając pantofel spod spódnicy. Dane nie interesował się damskim obuwiem, ale musiał przyznać, że w tych Marlowe wyglądała bardzo dobrze. Elegancki złoty łańcuszek, kapelusik i rękawiczki, a nie różniłaby się niczym od dam z jego otoczenia. Zdumiewające. Nigdy by mu do głowy nie przyszło, że brudna ulicznica, którą wczorajszego wieczoru wniósł siłą do kuchni, dziś rano będzie wyglądać tak ślicznie. Prawie jak jedna z nich.

Drzwi otworzyły się i wszedł Crawford.

– Och, Crawford, cieszę się, że jesteś – powiedziała Susanna. – Czy mógłbyś poprosić jedną z pokojówek, żeby przyniosła tom... – rozejrzała się, pewnie chcąc się upewnić, że matka jej nie słyszy – ... Szekspira, który leży przy moim łóżku?

– Tak, jaśnie pani. Jaśnie panie, pański brat wrócił. – Nie dodał: marnotrawny, ale Dane zrobił to za niego.

– Dzięki Bogu. – Dane ruszył do drzwi. – Gdzie on jest?

– Udał się prosto do swojego pokoju, jaśnie panie. Prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

Dane posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Och, doprawdy? Już ja tego dopilnuję. – Wypadł z pokoju.

– Dane! – zawołała Susanna. – Czy możemy zostać w bibliotece?

– Jest do twojej dyspozycji, siostró. – Dane wbiegał po schodach po dwa stopnie, aż znalazł się pod drzwiami Brooka. Nie zawracając sobie głowy pukaniem, wszedł do środka. Wpadł na kamerdynera Brooka, który zbierał brudne ubranie z dywanu Aubusson w królewskich, niebiesko-złoty kolorach.

– Gdzie on jest, Hunt?

– W garderobie, panie. Czy mam...

Dane wszedł do pokoju, gdzie Brook stał w szlafroku. Jego jasnobrązowe włosy, szczesane do tyłu, opadały na kołnierz luźnej szaty.

– Myślę, że dzisiaj włożę niebieski kubrak, Hunt – powiedział, odwracając się. – Ale ty nie jesteś Huntem.

Dane spojrzał jeszcze gniewniej, o ile to było możliwe.

– Nie, nie jestem. Gdzie ty, do wszystkich diabłów, się podziewałeś?

Brook uniósł brew.

– Trudna noc? – Skierował się w stronę drzwi i dał znak Dane'owi, żeby ten szedł za nim.

– Owszem, tak, w istocie. Zostawiłeś tę małą diabolicę pod moją opieką.

– Diabolicę? – Brat przez chwilę wydawał się zmieszany. Dane zamierzał go udusić. – Ach, lady Elizabeth. – Brook zerknął na swojego pokojowca, którego uwagę, jak można było sądzić, składanie ubrań pochłaniało bez reszty. – Hunt, dzisiaj myślę o niebieskim kubraku.

– Ma w sobie bardzo niewiele z damy.

Brook skinął głową.

– Jest trochę dzika.

– Trochę dzika? Dziewczynisko o mało mnie nie zabiło zeszłej nocy. Miała sztylet w bucie. Obudziłem się, kiedy przytknęła mi ostrze do gardła. – No, dobrze, trochę przesadzał. Ale naprawdę miała nóż i jeszcze chwila, a mogłaby mu zagrozić w ten sposób.

Brook zmarszczył brwi.

– Spała w twoim pokoju?

– A gdzie miałem ją wsadzić? Do pokoju Susanny?

– A pokoje gościnne?

– W takim wypadku zniknęłaby do rana, kradnąc z domu wszystko, co nie jest przybite gwoździami.

– Ach. – Brook miał czelność sprawiać wrażenie, że się zastanawia! Po takiej nocy! – Opiera się myśli, że jest lady Elizabeth.

– A co cię skłoniło, żeby podejrzewać, że nią jest? Przecież musieliśmy ją porwać! Wnieść wrzeszczącą i kapiącą do domu!

– Gdzie ona teraz jest? – zapytał Brook, kiedy pokojowiec odwrócił się z naręczem ubrania. Brook wręczył mu szlafrok i naciągnął bryczesy. Dane’owi przyszło do głowy, że Brook ubiera się, żeby wyjść na miasto.

– Dokąd ty się, do diabła, wybierasz?

– Na Bow Street. Otrzymałem bardzo ważną informację dotyczącą jednego z moich dochodzeń.

– Nigdzie nie pójdziesz – oświadczył Dane. – Zabraniam ci. Najpierw zajmiesz się tą kobietą.

– Już się nią zająłem – odparł Brook, przyjmując pomoc pokojowca przy zakładaniu koszuli. – Wysłałem wiadomość do miejskiej rezydencji lorda i lady Lyndon.

– I? Kiedy przyjadą, żeby ją zabrać?

Brook podniósł brodę, kiedy Hunt wiązał mu krawat.

– Tego nie potrafię powiedzieć. Kołatkę usunięto, a kiedy mój człowiek zaczął wypytywać służbę, okazało się, że markiz z żoną przebywa na polowaniu w Szkocji.

– Szkocja? – Dane poczuł, że podłoga usuwa mu się spod nóg. Zachwiał się.

– Tak, wydaje się, że jeżdżą tam co roku. Wyślę list do ich domku myśliwskiego w Szkocji, rzecz jasna, ale...

– To potrwa parę dni, zanim go dostaną – dokończył Dane. Nie mówiąc już o tym, ile czasu zajmie ich podróż powrotna, o ile wyruszą od razu. – Jest szczyt sezonu. Kto, do diabła, poluje teraz w Szkocji?

Brook wzruszył ramionami.

– Wydaje się, że to dobra pora, żeby polować na jelenie. – Brook włożył jedną rękę w kubrak, potem drugą. Hunt męczył się chwilę, żeby go wygładzić i odpowiednio ułożyć.

– Jeśli sądzisz, że pójdziesz gdzieś bez Marlowe – lady Elizabeth – to się mylisz. Nie jestem jej opiekunem.

– Doskonale. Zabiorę ją ze sobą. Jakiż może sprawić kłopot? – powiedział, przewracając oczami. – Mówisz o niej tak, jakby była niebezpieczną przestępczynią, a nie bezbronną dziewczyną, ofiarą takich bandytów.

Dane spojrział na Brooka z politowaniem.

– Kimkolwiek jest ta dziewczyna, z pewnością nie jest ofiarą.

– Gdzie jest teraz? – zapytał Brook, idąc w stronę drzwi sypialni. – Zabiorę ją i pójdę tam, gdzie mam pójść.

– W bibliotece – odparł Dane, idąc za nim. Dlaczego, do diabła, zawsze łąził za bratem? Powinno być odwrotnie. – Susanna uczy ją czytać Szekspira.

– Ach, co za niebezpieczna przestępcza działalność. Szekspir. Drzę na myśl, co może być następne. Byron? Powiedz, że się mylę.

– Przestań – powiedział Dane z ostrzeżeniem w głosie. Bracia byli w połowie schodów, kiedy usłyszeli zamieszanie. Dane ledwie ściągnął brwi, słysząc, jak jakiś mężczyzna przemawia szybko do Crawforda. Brook rzucił się naprzód. Kiedy Dane podszedł bliżej, zrozumiał, dlaczego brat jest tak przejęty. Mężczyzna stojący, a ściśle mówiąc, opierający się o stolik w westybulu, trzymał się za żebra, brocząc krwią.

– Farquhar? Co ci się stało, człowieku? – zapytał Brook.

– Tylko draśnięcie – odezwał się pan Farquhar z chropawym, szkockim akcentem. – Ale jesteś potrzebny natychmiast, sir Brook.

– Oczywiście. Już idę.

– Nie, nie idziesz! – wrzasnął Dane, podczas gdy Brook pomagał Farquharowi przejść przez drzwi,

które otworzył Crawford. – Zabierzesz ze sobą tę małą złodziejkę!

Brook skrzywił się, obejrzawszy się na niego przez ramię.

– Teraz nie czas na to, Dane – powiedział tonem wskazującym, że to rzecz oczywista. – Wrócę po nią za godzinę. – Z tymi słowami wdrapał się do powozu za rannym mężczyzną i odjechał.

Dane stał, wpatrując się w ulicę, a potem spojrzał na Crawforda.

– On nie wróci za godzinę, prawda?

– Prawda, jaśnie panie.

– Nie uwolnimy się od niej, prawda, Crawford?

– Prawda, jaśnie panie.

Wtedy usłyszeli krzyk.

7

Co to ma znaczyć? – zapytała hrabina Dane, stając w progu biblioteki.

Marlowe nie podskoczyła, bo przywykła do niespodziewanych wybuchów Satina. Nieszczęsna Susanna podskoczyła niemal na stopę na krześle. Siedziały za biurkiem Dane'a, na którym leżała otwarta książka z poezją.

– Matko! – Susanna zerwała się z miejsca. Marlowe poszła za jej przykładem, uznając, że w tej chwili najmądrzej będzie naśladować Susannę.

– Co ta... ta osoba jeszcze tu robi?

– Ona... – zaczęła Susanna.

– I dlaczego nosi jedną z twoich sukien?

– Nie sądziłam, żeby spodnie były dla niej stosownym strojem, mamó – wyjąkała Susanna. Marlowe zwróciła uwagę, że Susanna cała drży, ręce jej się trzęsą, przez ciało przebiegają dreszcze.

– A co to jest? – Hrabina podeszła do biurka i porwała książkę.

– Hej, to moje! – Marlowe wyszarpnęła ją z powrotem. Ale hrabina zdążyła zobaczyć.

– Szekspir? Czytasz Szekspira? To absolutnie nieodpowiednie dla takiej młodej damy, jak ty. A ty – machnęła ręką w stronę Marlowe – jak śmiesz wyrywać mi książkę z rąk? Za kogo ty się uważasz?

– Za kogo ty się uważasz? – odwarknęła Marlowe. – To moja książka. Ona mi ją dała.

– Dość. Koniec! – Lady Dane odwróciła się na pięcie. Akurat wtedy Dane z kamerdynerem wpadli do pokoju.

– Matko, co się stało?

– Już ty mi tu nie matkuj – burknęła gniewnie lady Dane, celując w niego palcem. Wydawało się, że tego dnia nikt nie zdoła umknąć przed jej gniewem. Kamerdyner wymknął się pospiesznie, Marlowe żałowała, że nie może zrobić tego samego. – Mam dość tej osoby i jej wybryków. Gdzie twój brat? Musi ją zabrać natychmiast.

Dane zerknął na nią, a Marlowe poczuła zimny dreszcz na plecach. Gdzie ją teraz będą trzymać?

– Co do Brooka... – zaczął Dane.

– Och, mniejsza o to! – powiedziała lady Dane, machnąwszy władczo ręką. – Jeśli ona nie odejdzie, to my odejdziemy. Susanno, każ Maggie spakować swoje rzeczy, jedziemy do Northbridge Abbey.

– Na wieś? – Susanna uniosła wysoko brwi. – Ależ jest środek sezonu.

– Nie obchodzi mnie, jeśli król zaprosił cię na kolację, nie spędzimy ani minuty dłużej pod jednym dachem z tą osobą. – Wskazała na Marlowe, a ta pokazała jej język.

– Marlowe! – powiedział Dane ostrzegawczo.

– Tak, matko. – Susanna posłała Marlowe spojrzenie pełne żalu. Marlowe westchnęła. Tyle, co do szans na pozyskanie nowej przyjaciółki.

Drzwi otworzyły się ponownie i kamerdyner odchrząknął.

– Przybyła księżna Abingdon. Czy mam ją zaprowadzić do salonu?

– Jej wysokość?

Marlowe patrzyła ze zdumieniem, jak czerwone policzki hrabiny przybierają nagle trupio bladą barwę.

– To nasz dzień przyjęć – stwierdziła Susanna. Marlowe nie miała pojęcia, co to znaczy, ale pojawienie się tego kogoś wyraźnie pomieszało gospodarzom szyki, uniemożliwiając ucieczkę, zanim Marlowe zainfekuje ich swoją nieobyczajnością.

– Jak mogłam zapomnieć. Ty – wskazała znowu Marlowe – zostajesz tutaj. Jeśli księżna cię zobaczy...

– Czy mam czekać cały dzień? – rozległ się rozkazujący głos z holu. – A czy chociaż macie salon, gdzie mogłabym usiąść? – Za plecami kamerdynera pojawiła się kobieta odziana w ciemny fiolet. Niska i okrągła, miała królewską postawę i obejście; Marlowe dotąd nie widziała takiej kobiety. Popukała służącego laską i wkroczyła do biblioteki. Powiodła wzrokiem po obecnych. – No, proszę, co za zgromadzenie.

– Księżno! – zawołała hrabina, przesuając się natychmiast, żeby zasłonić Marlowe przed przybyłą. Zgięła nogi w kolanach – jak oni to nazywali? – i wyraźnie zaczęła nadskakiwać starszej kobiecie. – Jesteśmy tacy szczęśliwi, że zechciałaś nas odwiedzić. Pozwól, proszę, zaprowadzić się do salonu. Crawford, dzwoń po herbatę. Susanno!

Susanna podbiegła do matki, gotowa spełniać jej rozkazy. Księżna jednak nie drgnęła. Podniosła wzrok i zatrzymała go na twarzy Dane'a. Podeszedł, skłonił się i ucałował jej dłoń w rękawiczce.

– Księżno.

– Lordzie Dane, jak miło cię widzieć. Chodź, musisz z nami posiedzieć z kwadransik. Mam nadzieję, że to nie zbyt wielkie wymagania.

– Ależ skądże, księżno. – Obdarzył kobietę uśmiechem, jakiego Marlowe, jak uznała, przedtem u niego nie widziała. Nie potrafiła go nazwać inaczej, niż wyjątkowo czarującym.

– A kim jest ta młoda dama? – zapytała księżna, wskazując Marlowe.

– Nikim! – zawołała hrabina, podczas gdy Dane powiedział jednocześnie:

– Daleką krewną.

Księżna uniosła brwi. Hrabina zacisnęła wargi i oznajmiła sztywno:

– Daleka kuzynka, która przyjechała w odwiedziny na bardzo krótko. Będzie ci wygodnie w bibliotece, nieprawdaż, panno...

– Marlowe – dodała Susanna.

– Bzdura. – Księżna machnęła ręką. – Musi napić się z nami herbaty. Kobieta wyprowadziła hrabinę i Susannę z pokoju, a Dane został, zapewne żeby towarzyszyć Marlowe.

Marlowe potrząsnęła głową, kiedy księżna zniknęła za progiem.

– Nie chcę tam pójść – szepnęła.

– Nikt z nas nie chce – zapewnił Dane. – Ale kiedy księżna wzywa, trzeba słuchać.

– Dlaczego? Czy to jej dom?

Oczy mu pociemniały.

– Nie, to mój dom i ona jest tu gościem. Podobnie, jak ty. Przyłącz się do nas, proszę.

Marlowe zastanawiała się, czy by się nie sprzeciwić, ale ciekawiło ją, dlaczego wszyscy wychodzą z siebie, żeby przypodobać się tej księżnej, tak jak chłopcy starali się przypodobać Satinowi. Znajomość z księżną mogła się przydać.

Poza tym wspomniano o herbacie. A to z pewnością znaczyło, że będzie jakieś jedzenie.

– Skoro prosisz – powiedziała, wychodząc zza biurka. Podał jej ramię, ale przemknęła obok niego. Nie chciała go dotykać, jeśli to nie było konieczne. Zanim jednak zdołała uciec, chwycił ją za rękę i przysunął do siebie. Wciągnęła gwałtownie powietrze. Przez chwilę zakręciło jej się w głowie, kiedy poczuła jego ciało tuż przy swoim. Ich spojrzenia się spotkały i świat zawirował.

– Nie wprawiaj w zakłopotanie mnie ani mojej matki, Marlowe – powiedział Dane tonem ostrzeżenia.

Zamrugnęła. Nie przychodziło jej do głowy ani jedno słowo, a wzrok mimowolnie skierował się na jego usta. Jakie to byłoby uczucie, gdyby te usta dotknęły jej warg? A jego ręce spoczęły na jej ciele?

– Marlowe?

Znowu podniosła głowę. Pochylił się blisko, muskając wargami jej policzek, a potem ucho. Zadrżała i nogi się pod nią ugięły.

– Możesz wyglądać pięknie – szepnął, łaskocząc oddechem jej ucho – ale nie zapomniałem, kim jesteś, ani skąd się wzięłaś.

Odskoczyła od niego, tak daleko, jak się dało.

– Nie martw się, Maxwell. Dokładnie wiem, kim jestem. – Okręciła się na pięcie i odmaszerowała.

W salonie Marlowe zatrzymała się, zdumiona. Musiała chwilę ochłonać po tym, jak Dane trzymał ją tak blisko przy sobie. Nie wiedziała, dlaczego tak to na nią działa. Może osłabła z głodu. Ale wszelkie myśli o jedzeniu rozwiały się – no, prawie – kiedy zobaczyła pokój. Każdy pokój w tym domu wydawał się piękniejszy od poprzedniego. Ten był prostokątny i wielki. Ogromne okna wpuszczały tyle światła, że Marlowe czuła się prawie, jak na dworze. Krzesel i kanap było w nim więcej, niż mogła policzyć; w tej chwili właśnie lokaj wprowadził do salonu wózek z wieloma wyglądającymi obiecująco tacami.

Dane wszedł za nią.

– Usiądź – szepnął – i bądź cicho.

Marlowe zrobiła krok do przodu i zatrzymała się znowu. Gdzie powinna usiąść? Za duży wybór dla kogoś przywykłego siadać na twardej, zimnej ziemi. Była raczej wdzięczna, kiedy Dane skierował ją w stronę kanapy i sam usiadł obok. Oczywiście, uświadomiła sobie natychmiast, że jest za daleko od tac z jedzeniem. Ślinka już napływała jej do ust na widok tych wszystkich ciastek i kanapek.

Hrabina naląła herbaty i wypowiedziała parę uwag w stronę księżnej, na co tamta odparła:

– Naturalnie, wobec tego, że mój doroczny bal zaczyna się jutro wieczorem, jestem na skraju wyczerpania. To takie wyczerpujące przygotować bal, zgodzisz się ze mną?

Marlowe nie sądziła, żeby księżna wyglądała na wyczerpaną. W istocie zdążyła już wbić zęby w ciastko i Marlowe trapiła się, że skoro hrabina tak wolno nalewa herbatę, wszystkie słodczyce mogą zniknąć, zanim ona sama zdoła złapać cokolwiek. Pochyliła się, gotowa zwinąć ciastko, ale Dane złapał ją za łokieć i pociągnął w tył.

– Nie ruszaj się – mruknął jej do ucha.

– Och, ale twoje bale są zawsze takie wspaniałe – powiedziała hrabina, podając Susannie filiżankę.

– Dziękuję. – Księżna spojrzała uważnie na Dane'a, a Marlowe zrezygnowała z kolejnej próby sięgnięcia po ciastko, kiedy jej wzrok przelotnie spoczął również na niej. – Lordzie Dane, muszę wyznać, że byłam zaskoczona i zmartwiona, kiedy dowiedziałam się, że nie przyjąłeś zaproszenia na bal.

– Ja... – zaczął Dane, a potem spojrzał na Marlowe. Dziewczyna zmarszczyła brwi. – Dlaczego on, do diabła, patrzy na nią? – Obawiam się, że mam wcześniejsze zobowiązania. Obiecałem panie Marlowe, że ją zabiorę do teatru.

– Och? – Księżna spojrzała na Marlowe. – Twoja kuzynka.

– Daleka kuzynka – wtrąciła hrabina. – Bardzo daleka.

– Rozumiem. – Księżna upiła łyk herbaty i sięgnęła po kolejne ciastko. Marlowe próbowała rzucić się, żeby złapać choć jedno, ale Dane objął ją ramieniem, tak żeby księżna nie widziała i unieruchomił ją na miejscu. Hrabina podała jej filiżankę, ale wziął ją Dane i postawił tak, żeby nie mogła dosięgnąć.

– Oczywiście, muszę zaprosić także pannę Marlowe, tak żebyście mogli przyjść wszyscy.

– Nie! – zawołała hrabina.

– Księżno – odezwał się Dane, zagłuszając matkę. – To niezwykle uprzejme z twojej strony, ale niepotrzebne.

– Nonsens. Damy będą ogromnie zawiedzione, jeśli się nie zjawisz, mój panie. Chyba że... – Przyjrzała mu się znowu uważnie, a potem spojrzała na Marlowe. Marlowe poczuła, jak Dane cofa rękę. Teraz miała szansę ukraść ciastko, ale księżna przygwoździła ją wzrokiem. – Chyba że chcesz, mój drogi, coś nam obwieścić?

– Skądże! – zawołała znowu hrabina. – Nie!

– Ach. – Księżna uśmiechnęła się. – Widzę, że musimy poczekać, żeby życzyć wam szczęścia. W każdym razie – wstała i wszyscy poszli za jej przykładem – muszę wrócić, żeby dopilnować przygotowań. Do zobaczenia jutro wieczorem.

– Och, ale wtedy będziemy w Northbridge – powiedziała Susanna.

Hrabina odwróciła się do córki.

– Nie bądź niemądra, Susanno. Oczywiście, że będziemy na balu u księżnej.

Księżna kiwnęła głową i zatrzymała hrabinę gestem.

– Znam drogę.

Wszyscy spojrzeli na nią, a Marlowe skorzystała z okazji, żeby włożyć dwa ciastka do ust i złapać trzy inne, które schowała za plecami.

– Zatem nie wybieramy się do Northbridge? – zapytała Susanna, kiedy drzwi się zamknęły za księżną.

– Wybieramy się do Northbridge – zapewniła hrabina – ale dopiero po balu u księżnej. Gdyby mnie wcześniej nie rozproszono – błysnęła wściekłym wzrokiem na Marlowe, która wpakowała sobie właśnie kolejne ciastko do ust – pamiętałabym, że bal jest jutro.

Dane złożył ręce za plecami.

– Ja nie pójdę. Mam dość balów.

– Pójdiesz – oznajmiła matka. – Rozgniewałbyś księżną.

– Nie zamierzasz chyba jej zabrać – powiedział, wskazując Marlowe i krzywiąc się, ponieważ ta złapała kolejne ciastko.

– Nie mamy wyboru. – Hrabina podniosła rękę do czoła. – Czuję, że zbliża się migrena.

– Ale, Dane – odezwała się Susanna – jeśli ona jest córką lorda i lady Lyndon, to oni mogą chcieć spędzić z nią trochę czasu, zanim przedstawią ją publicznie.

– Córka markiza Lyndon! – wykrzyknęła hrabina. – Taką historyjkę ci opowiada?

Marlowe położyła ręce na biodrach, przypadkiem zgniatając jedno ciastko.

– A dlaczego tak trudno w to uwierzyć? – powiedziała z buzią pełną bitej śmietany. – Mogę być lady Elizabeth.

– Jeśli jesteś lady Elizabeth – odparła hrabina – to padnę na kolana i ucałuję twoje stopy! Jesteś zwykłą żebraczką, ot co.

– Nie żebrałam ani jednego dnia w życiu – oświadczyła Marlowe. – Nie musiałam.

– Bo kradniesz wszystko, czego chcesz – powiedziała hrabina.

Dane wysunął się naprzód.

– Niestety, kwestia prawdziwego pochodzenia Marlowe musi poczekać. Brook mówił, że Lyndonowie są teraz na polowaniu w Szkocji. Minie parę dni, zanim wiadomość do nich dotrze.

Hrabina opadła na kanapę.

– Potrzebuję toniku. Sprowadź Edwards. Ona wie, co robić.

– Mamo, pozwól się zaprowadzić do twojego pokoju – powiedziała Susanna, pomagając hrabinie wstać. Kiedy poszły, Marlowe usiadła i przyciągnęła tacę z jedzeniem do siebie. Podniosła kanapkę i spróbowała.

– Będziesz ciężka jak słoń, jeśli nie przestaniesz jeść w ten sposób – zauważył Dane.

Marlowe wzruszyła ramionami.

– Nie mogę pozwolić, żeby się zmarnowało.

Usiadł naprzeciwko, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Marlowe zjadła następną kanapkę, starając się nie zwracać uwagi na to, jak bardzo nieszczęśliwy wydaje się hrabia. Ale przecież nie obchodziło jej, czy jest nieszczęśliwy, czy nie, prawda? Oczywiście, jego skwaszona mina odbierała jej przyjemność jedzenia.

– Co jest? – odezwała się w końcu, wzdychając.

Podniósł głowę, patrząc na nią zmęczonymi oczami.

– Nic. Nie przeszkadzaj sobie w jedzeniu.

– Ciężko mi to robić, kiedy siedzisz tu z taką miną, jakby cię ktoś okradł z ostatniego szylinga.

– Pora podjąć decyzję, Marlowe – powiedział. Zaniepokoił ją wyraz jego oczu. Biła z nich determinacja.

– Jaką decyzję? – Poczowała nagle, że ma pełny żołądek i odłożyła ciastko na tacę.

– Musisz zdecydować, czy zostajesz, czy odchodzisz. Brook zajmuje się innym dochodzeniem, a Lyndonowie zjawią się w Londynie może za kilka tygodni. Nie mogę cię tu trzymać dłużej wbrew twojej woli.

– No, to pozwól mi odejść – powiedziała szybko, ale po raz pierwszy nie była pewna, czy rzeczywiście tego chce.

– Tego chcesz?

– Tak. – Czy rzeczywiście?

– Więc możesz odejść. – Osunął się do tyłu, kładąc rozpostarte ręce na oparciu kanapy.

Zmrużyła oczy.

– Tak po prostu? Mogę odejść?

– Możesz. Nie zatrzymam cię.

– Ha! – Podskoczyła, zgarnęła parę ciastek i ruszyła zwawo do drzwi. Otworzyła je i odwróciła się, zerkając na niego. Wciąż siedział na kanapie. Nawet na nią nie patrzył. Naprawdę mogła po prostu wyjść za drzwi. Zbiegła po schodach do westybulu, gdzie stał kamerdyner.

– On – uniosła brodę, wskazując salon – mówi, że mogę sobie pójść.

– Doskonale. Dobrego dnia. – Kamerdyner otworzył drzwi, a Marlowe obejrzała się przez ramię.

Dane jej nie ścigał. Naprawdę postanowił ją uwolnić. Wyszła na zewnątrz, w słońce i rześkie wiosenne powietrze; stanęła na ganku, wpatrując się w wycieraczkę. Wiedziała, jak znaleźć melinę. Poruszanie się po mieście nigdy nie sprawiało jej kłopotu. Idąc szybko, dotarłaby tam w ciągu niecałej godziny. Czy Gideon się nie zdziwi, widząc ją w tak świetnym stroju? Satinowi oczy wyskoczą z głowy.

Oczywiście, będzie musiała to jakoś wyjaśnić i nie pozwolić Satinowi obrabować domu Dane'a. Zażąda, żeby wróciła, udawała, że przyszła w odwiedziny, a przy okazji ukradła parę cennych drobiazgów. Będzie musiała przyklaskiwać jego planom. Sprzeciwi się, ale jak ją pobije parę razy i nie da jeść przez parę dni, zgodzi się na wszystko. Wiedziała, że tak się stanie. I dlaczego nie? Nigdy się nie troszczyła o bogaczy. Mieli dużo więcej, niż zasługiwali. Nie odczują braku paru lichtarzy czy naczyń.

Ale w istocie Marlowe nie chciała okradać Dane'a – ani nikogo innego. Po raz pierwszy w życiu zastanowiła się, jak to jest mieć własny dom, własne świeczniki, własne widelce. A gdyby tak miała prawdziwy dom zamiast kawałka brudnej podłogi w melinie? Gdyby miała rodzinę, która by ją kochała, zamiast gromady chłopaków, czekających tylko, żeby ją wykiwać dla własnej korzyści?

Miała Gideona. To prawda. On był jak rodzina. Ale chociaż Gideon mógł ją do pewnego stopnia chronić przed Satinem, nie mógł zapewnić jej całkowitego bezpieczeństwa. Nie bez narażania własnego życia.

Marlowe usiadła na stopniu i zaczęła gryźć ciastko. Teraz smakowało niemal, jakby było zleżałe. Dane powiedział, że musi podjąć decyzję. Jeśli wróci, znów będzie we władzy Satina. Znowu będzie kraść, głodować, uciekać przed strażą miejską i unikać pięści Satina.

Jeśli zostanie...

Co się z nią dzieje? Jak może nawet myśleć o zostaniu?

Bo jeśli zostanie, będzie miała miękkie łóżko, czyste ubrania, pełny brzuch i szansę. A jeśli jest lady Elizabeth? Jeśli lord i lady Lyndon są jej rodzicami? Jeśli Satin ukradł jej życie, jakie powinna wieść, rodziców, którzy ją kochali?

Kochali ją.

Nikt jej nigdy nie kochał, ale ci Lyndonowie kochali swoją córkę. Szukali jej przez te wszystkie lata.

Musieli ją bardzo kochać.

Marlowe ścisnęła razem ręce i zamknęła oczy. Całymi latami odsuwała od siebie wspomnienia, bojąc się, że uczynią ją słabą, ale teraz otworzyła się na nie. Odgłos kół powozu na bruku, dalekie pokrzykiwanie handlarzy, kościelne dzwony obwieszczające mijanie godzin... Pamiętała... ciepło. Wspomnienie musiało pochodzić z czasów przed Satinem, bo przy nim nigdy nie zaznała ciepła.

Pamiętała... miękkość. I znów... skąd wspomnienie miękkości, jeśli nie z czasów przed Satinem? Zamknęła mocniej oczy i przypomniała sobie kołysanie, miękki biust, zapach... zapach jakiegoś kwiatu. Nie znała nazwy. Przypomniał jej się mężczyzna – w kubraku i z takim czymś na szyi, co Dane nazywał krawatem. Wychodził, wziął ją w silne ramiona i pocałował, włosy na jego brodzie podrapały ją w policzek.

Odwróciła się, stała tam kobieta...

Marlowe otworzyła oczy. Nie, nie pamiętała jej, nie mogła jej teraz zobaczyć. Łzy napływały jej do oczu. Mama. Marlowe zacisnęła dłonie, aż paznokcie wbiły jej się boleśnie w ciało. Nie może płakać. Nie ma mazgajenia się. Musi być silna – a co, jeśli nie musiałyby już być silna? Jeśli, po raz pierwszy w życiu, nie musiałyby sama się o siebie troszczyć?

Odwróciła się i zerknęła na rezydencję za plecami. To nie jej świat, ale może mógłby się nim stać? Chłopcy z gangu zabiliby, żeby mieszkać w takim miejscu. Czy powinna odrzucać tę szansę, nawet nie wiedząc wszystkiego? Gdyby była lady Elizabeth, całe jej życie uległoby zmianie. Jeśli nią nie jest, cóż, nic się nie stanie. Wróci do Satina i wszystko będzie tak, jak przedtem.

Tyle że wiedziała doskonale, że jeśli wróci do tego domu za plecami, to już nigdy jej życie nie będzie takie samo.

Dane zamknął oczy i położył głowę na oparciu kanapy. Odeszła. Po prostu wyszła. To go zaskoczyło. Myślał, że taka złodziejka, jak ona, dostrzeże korzyści z pozostania. Albo nie była dobrą złodziejką, albo miała poczucie moralności. Skrupuły. Przerazająca myśl. Musiałyby zacząć myśleć o niej – o takich, jak ona – w inny sposób.

Dom stał się nagle niesamowicie cichy. Musiał być taki, zanim się zjawiła, ale nigdy nie zauważał, jak kompletna cisza w nim panuje. Powinien to wykorzystać i wrócić do biblioteki, żeby zabrać się do pracy. Wiedział jednak, że na biurku znajdzie otwarty tom Szekspira i będzie myślał o niej.

Może zabrała go ze sobą, chociaż, jako że nie mogła książki zjeść, pewnie ją zostawiła. I co go to obchodziło, czy zostawiła książkę na jego biurku? Co go obchodziło, że może o niej pomyśleć, kiedy spojrzy na krzesło w swoim pokoju albo na łóżko? Odeszła, pozbył się jej i krzyżyk na drogę.

Drzwi salonu otworzyły się i wszedł Crawford.

– Poszła sobie? – zapytał Dane, pozwalając, żeby głowa ponownie mu opadła.

– Tak, jaśnie panie.

Westchnął.

– Cóż, to było parę godzin niecodziennej rozrywki, nieprawdaż, Crawford? Wracamy, jak sądzę, do ksiąg rachunkowych, balów i kłótni w parlamencie. – A także do mizdrzących się panienek, córek baronów i wicehrabiów, mających nadzieję poprawić swój status, poślubiając takiego hrabiego, jak on. Do konwersacji o kapeluszach, koniach i pogodzie.

– Wiesz, Crawford – ciągnął Dane – nie rozmawiałem z nią ani razu o pogodzie.

– To okropne, jaśnie panie.

– Czy tak? Nienawidzę rozmów o pogodzie. Marlowe była... interesująca.

– Najogłędniej mówiąc, jaśnie panie.

– I była... – myślał o słowie „piękna”, ale to by zaszokowało Crawforda – naprawdę całkiem ładna w sukience lady Susanny. Niemal mogłem sobie wyobrazić, że naprawdę jest lady Elizabeth.

- Tak, jaśnie panie.
- Ale teraz jej nie ma.
- Prawie nie ma, jaśnie panie.

Dane wyprostował się na kanapie.

- Co masz na myśli?
- Siedzi na frontowych schodkach, jaśnie panie.
- I co robi?
- Nic, co mógłbym zauważyć. Po prostu siedzi.
- Dlaczego?

– Nie wiem, jaśnie panie. Przyszedłem zapytać, czy mam iść do niej i dowiedzieć się, dlaczego wciąż tam siedzi, czy może kazać lokajowi ją przegonić.

- Jak zbląkanego psa?
- Właśnie tak, jaśnie panie.

Czy mógł winić Crawforda za to, że tak na nią patrzył, skoro on sam nie był lepszy?

- Porozmawiam z nią.
- Pan?

Dane wstał, czując dziwne ożywienie.

- Może czegoś zapomniała.
- Zapomniała, jaśnie panie? – Crawford wyszedł za Dane’em z salonu. – Spaliliśmy jej ubranie, wasza lordowska mość.

– Jest książka Szekspira – powiedział Dane, biegnąc po schodach, spiesząc do biblioteki, przestraszony, że może przegapić swoją szansę.

- Jaśnie panie, zapewniam, że dziewczyna nie potrafi czytać.
- Prezent to prezent, Crawford. – Dane wpadł do biblioteki i porwał książkę z biurka.
- Skoro pan tak mówi. – Crawford ustawił się ponownie przy drzwiach frontowych i otworzył je. Marlowe odwróciła się, raczej zaskoczona jego widokiem. Było tak, jak powiedział kamerdyner. Siedziała na schodku, poranne słońce lśniło w jej jasnobrazowych włosach, sprawiając, że niektóre pasma połyskiwały jak czyste złoto. Podniosła się, a Dane pomachał książką.

- Zapomniałaś czegoś.

Zmarszczyła brwi, a potem zaśmiała się krótko.

- Ta książka należy do twojej siostry.
- Podarowała ją tobie, jak sądzę. – Wziął jej rękę i wsunął w nią książkę. Marlowe spojrzała w dół.
- Nie umiem czytać, a Satin ją po prostu sprzeda. – Wyciągnęła książkę do Dane’a. – Zatrzymaj ją.

Dane nie wyciągnął ręki.

- Dlaczego wciąż tu jesteś, Marlowe?

Potrząsnęła głową, zerkając przez ramię na ulicę. Dane wyobrażał sobie, że tworzą interesującą scenę dla przechodzących sąsiadów. Hrabia Dane stojący na ganku i rozmawiający z młodą piękną dziewczyną. Och, języki pójdą w ruch. Plotkarze ożenią go do końca dnia.

Ale nie dbał o to. Wyciągnął rękę.

- Masz ochotę na spacer?

Uniosła brwi.

- Spacer? Dokąd?
- Po prostu spacer.
- Dlaczego?

Roześmiał się.

- Bo słońce świeci, dzień jest ciepły i możemy się nim nacieszyć.
- Więc spacerujecie dla rozrywki?

– Ja niewiele spaceruję, ale wielu to robi, owszem. Chodź. Może ci się spodoba. – Podał jej ramię, ale ona tylko mrugnęła. Dane, westchnąwszy, wziął jej rękę i umieścił w zgięciu swojego łokcia. Trzymając dłoń na jej ręce, sprowadził ją z ganku. Żadne nie miało rękawiczek. Ona w ogóle nie była właścicielką takowych, a on nie przewidział spaceru i zostawił swoje w domu. Mógł je zabrać, ale Marlowe mogłaby nie czekać i znajdować się już w połowie drogi do St. Giles. Tak więc ich dotyk był dość intymny.

Miała małą rękę – sądził, że u kieszonkowca to raczej zaleta – i chropowatą. Nie trzymał wielu dam za rękę, ale tych parę damskich dłoni, które trzymał w swojej, było pulchnych i miękkich. Dłoń Marlowe była długa, szczupła, pokryta zadrapaniami, odciskami, a nawet śladami oparzeń. Paznokcie miała krótkie i równo obcięte, ale czyste, dzięki kąpieli. Pomimo trudnego życia, które się na jej dłoniach odbiło, były raczej eleganckie. Długie palce ułatwiłyby jej grę na fortepianie albo rysowanie – dwa damskie zajęcia, których z pewnością nigdy nie brała pod uwagę, a co dopiero próbowała.

Dane czuł zupełnie niedzientelmeńską ochotę, żeby przesunąć dłoń na jej delikatny nadgarstek, a potem na blade przedramię. Był ciekaw, czy jej skóra jest tam miększa. Pamiętał miękkość jej skóry z poprzedniej nocy, kiedy była w jego łóżku. Lepiej o tym nie myśleć w tej chwili. To się już nie powtórzy. A jeśli rzeczywiście ma do czynienia z lady Elizabeth, to lepiej o tym nie wspominać.

Skierował ją nieświadomie do parku przy Berkeley Square i kiedy się do niego zbliżali, uświadomił sobie, że chyba popełnił błąd. Z pewnością spotka tam znajomych i jak ma im przedstawić Marlowe? Ale byli już blisko, a być może wielu przedstawicieli socjety nie spacerowało o tak wczesnej porze; odbywali najwyżej wizyty towarzyskie.

– Co ty... – zaczęła i urwała. – Co się robi na spacerze?

Uśmiechnął się. Próbowana naśladować lepszych od siebie i to go dziwnie ujęło za serce. Już mówiła z dobrym akcentem, prawie tak, jakby się z nim urodziła, a potem o tym zapomniała. A może ćwiczyła taką wymowę na użytek jakichś złodziejskich planów. Skąd mógł wiedzieć?

– Ludzie cieszą się świeżym powietrzem.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Zapachem końskiego g... nawozu i dymem z pieców?

Uśmiechnął się szeroko.

– No, tak, świeżym powietrzem można się cieszyć jedynie na wsi. Któregoś dnia zabiorę cię na przechadzkę albo przejażdżkę do Hyde Parku. Są takie ścieżki, na których można zapomnieć, że się jest w mieście. – Dlaczego to mówił? Dlaczego zachowywał się tak, jakby ich znajomość miała trwać?

– Byłam w Hyde Parku.

– Tak, ale tym razem wyszłabyś, nie napełniwszy kieszeni cudzym dobrem.

Wzruszyła ramionami, ani trochę nie zmieszana.

– Co jeszcze robi się na spacerze?

Zastanowił się, zdumiony, że wciąż musi walczyć z chęcią przesunięcia dłonią wzdłuż jej ramienia.

– Och, zwykle rozmawia się o pogodzie.

Spojrzała w niebo.

– Dlaczego? Wiesz, jaka jest równie dobrze, jak ja.

– Nie w tym rzecz. Posłuchaj, ja zacznę. Co sądzisz o tej pięknej, słonecznej pogodzie, jaką teraz mamy?

Spojrzała na niego z ukosa. Jej twarz wyrażała anielską cierpliwość. Najwyraźniej uznała go za durnia.

– Jest... słoneczna.

– Tak, co za cudowna zmiana. Przez ostatnich parę dni było tak brzydko. – Nawet on był pod wrażeniem tego ostatniego stwierdzenia. Elokwencja nigdy mu nie dopisywała w rozmowach o pogodzie.

– A co ci za różnica, jeśli jest brzydko? Nie musisz wychodzić. – To było tak niespodziewane, że Dane

parsknął śmiechem. Tak to zapewne wyglądało z jej punktu widzenia. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że klasy niższe mogą mieć inny stosunek do pogody, niż on i jemu podobni. Dla niego to był banalny temat. Dla nich ulewny deszcz czy chłód mogły być czymś więcej niż drobną niedogodnością. Jak radzą sobie zimą ludzie, których nie stać na węgiel?

Przystanęli przy trawniku w Berkeley Square, gdzie szereg guwernantek i niań spacerowało ze swoimi podopiecznymi. Dane puścił rękę Marlowe i odwrócił się do niej.

– Lubię cię, Marlowe – powiedział. I tak było. Ktoś, kto rozmowy o pogodzie uważał za nieistotne, nie mógł być całkiem zły.

Zmrużyła niebieskie jak niebo oczy.

– Czego chcesz?

Uśmiechnął się.

– Zawsze podejrzliwa. Dobrze. Chcę wiedzieć, dlaczego siedziałaś na ganku przed moim domem.

Nie odpowiedziała, tylko skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na park.

– Mogłaś odejść – powiedział. – Myślałem, że tego chcesz.

Skinęła głową.

– Tak było. To znaczy, tak jest.

– To dlaczego wciąż tu jesteś? Czy chcesz, żeby pani Worthing przygotowała ci lunch do zabrania?

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Zrobiłaby to?

Roześmiał się.

– Jeśli to jest to, na co czekasz.

– Hm. – Wydmuchnęła powietrze. – Widać, że bardzo ci się spieszy, żeby się mnie pozbyć.

– Wcale nie. W istocie chcę, żebyś została. – Czy on naprawdę to powiedział? Owszem i nawet właśnie to miał na myśli. Życie, w którym była Marlowe, wydawało się znacznie bardziej interesujące. Gdyby myślał, jak na hrabiego przystało, kazałby Crawfordowi ją przegonić. W Mayfair nie była na swoim miejscu. Ani w jego domu. Pomimo wszelkich pozorów wciąż była złodziejką, przestępczynią. Mogło się okazać, że jest lady Elizabeth, albo i nie. To nie była w gruncie rzeczy jego sprawa.

Ale nie myślał jak prawdziwy hrabia. Myślał jak mężczyzna, mężczyzna cierpiący nudę na myśl o swoim uporządkowanym, konwencjonalnym życiu. Mężczyzna, który wciąż doceniał towarzystwo pięknej i... pełnej życia – oto właściwe słowo, żeby ją opisać – kobiety.

Patrzyła na niego zdziwiona.

– Dlaczego?

– Mam swoje powody.

– Zapewne niegodziwe.

Uniósł brwi.

– Słowo, które robi wrażenie. Z pewnością nie używa się go często, jeśli w ogóle, w stosunku do mnie. – Odwrócił się do niej. – Odpowiedz na pytanie, Marlowe. Dlaczego wciąż siedziałaś na ganku?

Westchnęła i opuściła ramiona; wydawała się teraz mała i bezbronna. Dane zacisnął ręce, żeby jej nie dotknąć, nie wziąć w ramiona, aby dodać otuchy.

– Byłabym głupia, odchodząc – powiedziała w końcu, choć wątpił, żeby właśnie o tym myślała. – Po co wracać do meliny, skoro mogę mieszkać z bogaczami?

– W istocie, po co? Wspominałaś coś o tym, że Satin może przyjść po ciebie.

Po jej twarzy przemknął cień, ale opanowała się.

– Dam sobie radę z Satinem. Poza tym, jak by mnie teraz rozpoznał?

– Prawda.

Zamilkli na dłużej. Nie odzywał się, tylko patrzył, jak dzieci przeciągają linę. W końcu powiedziała cicho:

– Pomyślałam po prostu, że może jest jakaś szansa. A jeśli jest jakaś szansa, że jestem tą... lady Elizabeth, powinnam zostać i to sprawdzić.

– A więc zostajesz?

Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi. Co ją znowu martwiło? Miała niezwykle wyrazistą twarz.

– To jest, jeśli mogę.

Ach, nie lubiła prosić. Przypuszczał, że rzadko prosiła o cokolwiek. Mógł jej to utrudnić, ale zamiast tego powiedział:

– Czy nadal mamy cię przedstawiać jako daleką krewną?

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

– Chcesz wziąć udział w balu u księżnej Abingdon?

– Masz źle w głowie? Nie pójdę na żaden bal!

– Jeśli zostaniesz, będziesz musiała. Matka nie dopuści, żeby się rozniosło, że gościła w domu kogoś... z niższego stanu. – On też nie mógł na to pozwolić, nawet jeśli zaczynał ją lubić.

– Więc powinnam trzymać się z daleka, żeby nie zawstydzać nikogo, zachowując się jak niski stan.

– Ale jednej rzeczy nie rozumiesz, Marlowe, mianowicie tego, że jedynym celem życia mojej matki jest wydanie mojej siostry za kogoś z bogatej, szanowanej rodziny. Nie osiągnie tego, postępując wbrew woli księżnej Abingdon. Jeśli zostaniesz, to obawiam się, że będziesz musiała pójść na bal. Susanna i ja dopilnujemy, żebyś nie wpadła w tarapaty, a ty poskarżysz się na migrenę i będziemy mogli wyjść wcześniej.

Marlowe przyglądała się dzieciom biegającym po trawie i Dane nie był pewien, czy w ogóle go słucha. Dzieci bawiły się piłką; mały chłopiec kopał ją, a dziewczynka usiłowała ją dogonić.

– Chodź! – wrzasnął chłopiec, a Marlowe drgnęła, prawie tak, jakby ją uderzono.

– Co się stało? – zapytał Dane, ale nie odpowiedziała. Wpatrywała się w chłopca i w piłkę. – Marlowe? – Dotknął jej ramienia. Było zimne jak lód. Cofnęła rękę, patrząc na niego niewidzącymi oczami. – Co, u czarta? Co ci jest, Marlowe?

– W porządku. N-nic mi nie jest.

Ale to nie było nic. Drżała jak liść.

– Muszę już pójść.

Chwycił ją za ramię, zanim zdążyła uciec i skierował do cukierni Gunther'a, która znajdowała się tuż obok.

– Usiądźmy na chwilę.

Pozwoliła się prowadzić przez chwilę, ale potem zabrała ramię i rozejrzała się.

– Dokąd mnie prowadzisz?

– Do Gunther'a. – Wskazał mały budynek w pobliżu.

– Nie wygląda na otwarty.

– Otworzą go dla mnie.

– Świetnie. – Obejrzała się przez ramię, przyglądając dzieciom po raz ostatni, potem pozwoliła się poprowadzić dalej. Dane nie wiedział, co poruszyło go bardziej – dziwny, niespokojny wyraz jej twarzy, czy to, że nie protestowała, kiedy ujął ją pod rękę. Coś mu mówiło, że życie z Marlowe stanie się jeszcze bardziej interesujące.

8

Minęło dobrych parę minut, zanim Marlowe uświadomiła sobie, gdzie jest. Rozejrzała się i zamrugła na widok małego, schludnego sklepiku, pełnego rewerencji sklepikarza, składającego ręce, i stoliczka, przy którym ją posadzono.

– ...Pytałem, czy chcesz lody. – Zamrugła znowu. Sądząc po wyrazie jego twarzy, zadawał to pytanie po raz drugi, jeśli nie po raz trzeci. Dlaczego miałaby chcieć lód? – To do jedzenia – powiedział Dane.

– Och, jeśli tak, to poproszę.

Porozmawiał ze sklepikarzem, a ona rozejrzała się znowu; za oknem widziała zieloną trawę w parku. W tym chłopcu z piłką było coś znajomego – i dziwnie przerażającego. Wciąż drżała, nie rozumiejąc, dlaczego.

Dane naprzeciwno wydawał się elegancki i swobodny. To był jego świat i poruszał się w nim z godną zazdrości pewnością siebie. W jej świecie poruszałby się z taką samą pewnością. Tak jak Satin, był urodzonym przywódcą. Dziwne, że tak go widziała, bo przecież przywództwo zawsze kojarzyło jej się z brutalną siłą i zastraszaniem. Satina słuchano, bo złodzieje za bardzo się go bali, żeby nie słuchać. Dane nie był skłonny do przemocy – z tego, co dotąd widziała – a jednak budził respekt. Czy dlatego, że miał pełną kieszeń? Tytuł, z jakim się urodził? Coś innego? Ile jego pewności siebie brało się z urodzenia, a ile z tego, że wychowywano go jako dziedzica tytułu?

Sklepikarz wrócił z dwiema miseczkami kolorowego lodu. Spojrzała na swój, a potem na Dane'a, który nabrał odrobinę i podniósł do ust.

– Nigdy nie próbowałaś lodów?

Potrząsnęła głową.

Wskazał łyżeczką jej lody.

– Spróbuj. To bardzo odświeżające, zwłaszcza w ciepły dzień.

Jeść lód? Co jeszcze ci bogacze wymyślą? Jadła mnóstwo lodu – topiła go przy słabym ogniu, żeby się napić, wkładała do ust podczas bójek, budziła się z cienką warstwą lodu na poprzecieranym kocu. Nie była miłośniczką lodu. Ale nigdy nie próbowała kolorowego, więc zanurzyła w nim łyżeczkę i wsunęła sobie do ust. Otworzyła szeroko oczy.

– Słodkie – powiedziała.

Dane skinął głową.

– Truskawki.

Ukradła kiedyś garść truskawek i pożarła natychmiast. Wcale nie smakowały jak to.

– Zwolnij albo rozboli cię głowa – powiedział Dane. – Kupię ci więcej, jeśli zechcesz, chociaż nie mam pojęcia, jak zmieścisz kolejną porcję.

Marlowe z zapałem wiosłowała łyżeczką, ale Dane miał rację. Czuła się niezbyt przyjemnie najedzona. Dziwne uczucie. Nigdy by nie pomyślała, że uczucie sytości może być przykre.

– Co cię zaniepokoiło w parku? – zapytał, odkładając łyżeczkę i przyglądając się, jak je Marlowe. Zastanawiała się, czy dopuści, żeby jego lody się zmarnowały.

Marlowe wzruszyła ramionami.

– Och, może akurat ktoś źle o mnie pomyślał.

– Czy tak? – Dane zmarszczył brwi. – Drżałaś i byłaś zimna jak lód.

Skończyła lody i zerknęła na jego niedojedzoną porcję. Dane skinął głową i popchnął miseczkę w jej stronę.

– Zrobi ci się niedobrze.

Marlowe włożyła kolejną porcję do ust, teraz było jej zdecydowanie zimno, ale lody były takie słodkie, że po prostu nie mogła przestać jeść. I spotykały ją gorsze rzeczy, od których chorowała, niż to, że najadła się do syta. Usłyszała znowu, jak dzieci nawołują się na dworze. Chłopiec krzyknął:

– Chodź!

Marlowe spojrzała na Dane'a.

– Było coś znajomego w tym chłopcu.

– Nie możesz go znać.

– Nigdy przedtem go nie widziałam. Ale kiedy patrzyłam, jak bawi się z tamtą dziewczynką, miałam wrażenie, że już to widziałam.

– Może przypomniały ci się czasy, kiedy sama się bawiłaś jako dziecko.

Spojrzała na niego uważnie.

– Nigdy się nie bawiłam. Pracowaliśmy na utrzymanie.

Dane wyprostował się na krześle.

– Chyba miałas dość ponure dzieciństwo.

– Lepsze niż w wielu wypadkach. Byłeś kiedyś w St. Giles? Przechodziłeś przez Seven Dials?

– Oczywiście. Byłem tam raz czy dwa w młodości.

Zaśmiała się gorzko.

– Ach, tak. Młody, znudzony dżentelmen robi sobie wycieczkę po dzielnicy biedaków. To nie jest takie zabawne, kiedy tam mieszkasz i patrzysz na głodne dzieciaki na ulicy. Patrzysz, jak kobieta siedzi na brudnym ganku, z dwoma usmolonymi bachorami, które się jej uczepliły i z trzecim w brzuchu. Ma puste oczy, bo nie może wykarmić tych dwojga, które już ma. Jak nakarmi kolejne? Nigdy nie ma dość jedzenia, a zawsze jest za dużo picia i gdzie byś nie spojrzał, wszędzie brud, zimno i jakiś zasmarkany bachor.

Zamrugął.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

– No, nie wątpię. Twój świat jest czysty, ciepły i pełen – wskazała puste miseczki na stole – lodów. To nie mój świat.

– Nie sądzisz, że mógłby być? Może widok tych bawiących się dzieci poruszył cię tak bardzo, bo sama się kiedyś w ten sposób bawiłaś. Zanim cię porwano.

Zadrżała.

– Jeśli to prawda – a nie mówię, że jest – ale jeśli jest, to gdzie jest moje miejsce?

– Nie rozumiem.

– Czy twoja pozycja to coś, z czym się urodziłeś, czy też wychowano cię na tego, kim jesteś? Nawet jeśli urodziłam się jako lady Elizabeth – to wychowano mnie, jeśli można tak to nazwać – na Marlowe.

Patrzył na nią długą chwilę.

– Interesujące pytanie.

– Interesujące w jaki sposób?

– Nie spodziewałem się, że o to zapytasz.

Skrzywiła się gniewnie, ściągając brwi.

– Możesz mi nie uwierzyć, ale mam głowę i myślę. Jestem człowiekiem takim jak ty.

Machnął ręką, jakby chciał odsunąć tę uwagę.

– Bardzo dobrze, to podyskutujmy o filozofii. Chyba Rousseau powiedział coś w rodzaju: nie wiemy, kim nasza natura pozwala nam być.

– A to znaczy?

Uśmiechnął się.

– Ponieważ rozmawiamy o filozofii, więc zabawię się w mentora i tobie każę odpowiedzieć na to pytanie. Co to znaczy?

Myślała długą chwilę.

– Że mogę być wszystkim.

Kiwnął głową.

– Bardzo dobrze.

– To również znaczy – ciągnęła – że młodzi bogaci paniczykowie nie powinni chodzić do dzielnic nędzy, myśląc, że są lepsi od tych, co tam mieszkają, bo z jakiegoś powodu ci paniczykowie zasługują na to, co mają, a my zasługujemy na to, co my mamy.

– Trafna uwaga.

– Nikt nie zasługuje na to, żeby tak żyć – powiedziała – nawet pies.

Wstał i wyciągnął rękę. Spojrzała na nią.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Pozwól mi na tę drobną uprzejmość. – Jeśli ofiarował uprzejmość, może powiedziała coś, co do niego trafiło.

Włożyła dłoń w jego rękę i pozwoliła pomóc sobie wstać. Jego dłoń była tak duża, że jej własna całkiem się w niej schowała. Miała zdumiewające poczucie, że jest przy nim bezpieczna. Widocznie traci instynkt, bo przecież wcale nie była bezpieczna. Nie mogła mu ufać, nie bardziej niż któremukolwiek z tych paniczyków. Mogła ufać Gideonowi i chłopakom z Covent Garden. I to wszystko. Musi o tym pamiętać.

Wyprowadził ją na słońce i znowu szli parkiem, w stronę jego domu. Dziwne było mijać ludzi i nie zastanawiać się, czy dałoby się ich obrobić. Nie to, żeby się do tego nie przymierzała. Idący szybko mężczyzna bardzo się spieszył, mogłaby na niego wpaść, sięgnąć ręką do jego kieszeni, a on pewnie poszedłby dalej. Kobieta z dwoma psami na spacerze też stanowiłaby łatwą ofiarę. Mogłaby rozdrażnić psy i skorzystać z zamieszania. Kobieta może nie miała dużo pieniędzy w torebce, ale pewnie miała chusteczkę. Jedwabną chusteczkę dałoby się sprzedać, choćby sklepowi z lalkami; nikt nie zadawał pytań.

Dane nie gadał tym razem o pogodzie i mogła się przyglądać ludziom i budynkom. Miała świetną orientację. Zawsze umiała trafić do Seven Dials, ale nigdy nie miała czasu, żeby się porozglądać i nacieszyć otoczeniem. Szli ruchliwą ulicą, zbliżając się do przecznicy, na której końcu znajdował się dom Derring. Panował tu mniejszy ruch, domy były większe i dostojniejsze. Kiedy jednak podeszli bliżej przecznicy, poczuła mrowienie na plecach. Widocznie zeszywniała, bo Dane zapytał:

– Co się stało?

– Nic. – Ale to nie była prawda. Coś było nie w porządku. Bardzo nie w porządku. A potem to zobaczyła. Zobaczyła jego. Chłopak ją obserwował, szacował. Oparł się o drzwi, sprawiając wrażenie, jakby czekał, aż mocodawca wyjdzie ze sklepu, ale ona znała takie sztuczki. Udawał tylko, że nic nie robi. Oczywiście miał bystre jak u jastrzębia. Rozpoznała go. Nie należał do gangu Satina, ale widziała go raz czy dwa. Był z gangu Fleet Street.

Chłopcy z Fleet Street najbardziej lubili publiczne egzekucje. Połowa miasta wylegała na ulice, żeby zobaczyć, jak wieszają skazańców z Newgate albo więzienia przy Fleet. Kiedy tłum oglądał widowisko, nie pilnował kieszeni. Łatwy łup.

Satin gardził gangiem z Fleet Street, mówiąc, że bogacą się na nieszczęściu takich jak oni. Ostatecznie, kogo tam wieszano, jak nie złodziei? Ale Marlowe nigdy nie widziała, żeby Satin zlekceważył choćby grosz, niezależnie od tego, skąd pochodził.

Przez chwilę ona i chłopak na ulicy popatrzyli sobie w oczy. Odwrócił szybko wzrok, udając szacunek. Ostatecznie, wyglądała jak dama. Marlowe wstrzymała oddech, a on spojrzał na nią ponownie. Teraz

gapił się otwarcie, prawie widziała, jak jego umysł wysiła się, żeby ją umieścić na właściwym miejscu. A potem ona wraz z Dane'em minęli go i znalazł się za jej plecami. Wiedziała jednak, że jest w tarapatkach. Chłopak mógł jej nie rozpoznać, ale jego umysł będzie pracować nad rozwiązaniem zagadki. Kiedy ją rozwiąże, pójdzie do Satina.

Kiedy doszli do domu, Dane przystanął. Marlowe wciąż myślała o napotkanym chłopaku i obejrzała się przez ramię, chcąc sprawdzić, czy ich nie śledzi. Nie zauważyła go, ale marny byłby z niego złodziej, gdyby jej się udało.

– Zdajesz sobie sprawę, że kiedy wejdiesz do środka, przygotowania do balu będą w pełnym toku.

– Pani powiedziała, że ma być jutro.

– Tak, ale moja matka będzie się martwiła o to, co ma włożyć Susanna, a Susanna – i moja matka – będą sobie łamać głowę nad tym, jak ty się ubierzesz i jak cię uczesać i czy zabrać coś na wierzch, a może wachlarz, albo i nie... – Zatoczył ręką koło, jakby wskazując, że to wszystko będzie trwało bez końca.

– Brzmi jak koszmar.

Dane roześmiał się. Wydaje się, że śmiał się dość często. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który śmiałby się tak dużo – w każdym razie takiego, który nie byłby chory na głowę.

– Damy wydają się lubić całe to zamieszanie.

– Dlaczego?

– A skąd mam wiedzieć? W każdym razie, wśród tego strojenia łatwo zapomnieć o jednej kwestii i to być może najważniejszej. Czy ty tańczysz?

– Tańczę? Gige?

– Nie. Nie mówię o brykaniu, kiedy upijesz parę łyków błękitnej zarazy. Mówię o walcu, kadrylu, tańcu ludowym.

Marlowe nie miała pojęcia, o czym on mówi, ale mogła policzyć na palcach jednej ręki okazje, kiedy tańczyła. Po prostu w jej życiu nie było specjalnie miejsca na taniec czy świętowanie, a gdyby miała trochę grosza, nie wydawałaby go na dżin. Kupiłaby raczej coś, żeby napchać sobie brzuch. Raz tańczyła z Gideonem. Okręcił ją w koło i pokazał skomplikowane kroki, których, jak powiedział, nauczył się, obserwując bogaczy, kiedy przygotowywał się do skoku. Potknęła się o własne nogi i wylądowała na siedzeniu, śmiejąc się do rozpuku. Podejrzewała jednak, że hrabina i Dane nie uznaliby tego za takie zabawne.

– Nie tańczę.

– I nie będziemy próbować nauczyć cię tego w ciągu jednego dnia. Powiemy, że skręciłaś kostkę, a ja zostanę przy tobie, żeby odstraszać admiratorów.

– Admiratorów? Ha! – Przewróciła oczami, czekając, żeby Dane się roześmiał, jak zwykle. Ale nie zrobił tego.

– Mówię zupełnie poważnie. Mężczyźni zwrócą na ciebie uwagę.

– Bo zauważą, że nie jestem na swoim miejscu.

– Bo zauważą, że jesteś piękna.

Marlowe cofnęła się, jej oczy zaokrągliły się ze zdumienia. Dlaczego powtarzał, że jest piękna? Nigdy nie usłyszała większego komplementu, niż: może być. Dane był przystojnym mężczyzną. Starła się nie patrzeć na niego wprost, żeby się nie zagapić. Był bogaty i utytułowany. Znał pewnie setki pięknych kobiet, a ją uważał za piękną?

– Nie jestem piękna – powiedziała. – Jestem... – Wskazała na siebie, żeby pokazać, że jest... kimkolwiek jest.

Dane uniósł brew.

– Jesteś?

– Szybka, sprytna, zręczna.

– Wcale nie wątpię, że tak jest, ale jesteś także piękna. Czy widziałaś siebie w lustrze?

Owszem i nawet się nie poznała. Marlowe, jaką znała, miała płaski biust, nosiła spodnie i pokrywała ją stała warstwa brudu. Marlowe, jaką znała, krzywiła się, klęta i pluła. Nie trzepotała rzęsami ani nie kołysała biodrami, ani nie robiła innych rzeczy, które, jak się wydawało, czyniły kobietę atrakcyjną w oczach dżentelmenów.

– To – powiedziała, wskazując sukienkę – nie jest tym, kim jestem.

– Nie sądzisz, że mogłoby być? – Myślała, że powie coś jeszcze, ale w tym momencie kamerdyner otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz z wyczekującą miną.

– Matka pyta o pana. Czy mam jej przekazać, że pan teraz rezyduje na podjeździe?

– Nie, Crawford – odparł Dane z westchnieniem. – Już wracamy. – Skinął na Marlowe, wskazując, że ma iść pierwsza. Marlowe obejrzała się za siebie jeszcze raz. Nie zauważyła chłopaka. Może jej jednak nie śledził. Wciąż mogła odejść. Mogła się odwrócić i pójść w stronę Seven Dials i meliny. A potem znowu pomyślała o małym chłopcu z piłką i spojrzała na dom.

Marlowe nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce, ale miała zamiar się tego dowiedzieć.

Gideon nie spał. Wokół niego chłopcy sapali i chrapali, śpiąc jak zabici. On także powinien spać. Włóczył się po mieście prawie do rana, szukając zdobyczy – przynajmniej tak powiedział Satinowi. W rzeczywistości szukał Marlowe. Gideon nie rozumiał, co się z nią stało. W jednej chwili była, a w następnej zniknęła. Joe powiedział, że widział, jak zatrzymał się powóz, jakiś mężczyzna złapał ją i wpakował do środka, po czym odjechał.

Pobiegł za nim, w kierunku, jaki wskazał Joe, ale było zbyt wiele powozów. Nie wiedział, który z nich jest tym właściwym, ani dokąd zmierza. Wrócił do domu, który mieli obrobić, z pustymi rękami. Hałas zaalarmował mieszkańców i Gideon odwołał skok. Satin był wściekły – nie tylko dlatego, że spodziewany łup przeszedł mu koło nosa, ale dlatego, że stracił jednego członka gangu i to nie byle jakiego – najlepszą dziewczynę złodziejki.

Dlaczego ktoś miałby porwać Marlowe? Czyżby zanurkowała do niewłaściwej kieszeni? Czy zobaczył ją jakiś alfons i uznał, że będzie dobrym dodatkiem do jego burdelu? Gideon miał nadzieję, że nie. Marlowe nie miała pojęcia, jak grać słodką, głupią i fałszywie wstydliwą gęś. Nigdy nie przeżyłaby w burdelu.

To nie miało sensu i im bardziej Gideon jej szukał, tym mniej sensu w tym widział. Podejrzewał nawet, że to Satin stoi za porwaniem. Wiedział, że tamten nosi się z jakimiś planami wobec Marlowe. Czy to był jeden z nich?

Gideon był jednym z pierwszych chłopaków w gangu Satina. Miał około dziesięciu lat, kiedy do niego wstąpił, i zrobił to całkowicie z własnej woli – w przeciwieństwie do Marlowe, którą Satin przyprowadził rok czy dwa później. Gideon był na tyle duży, żeby pamiętać swoich rodziców. Pamiętał nędzny pokój, w którym mieszkał z nimi i z babcią. Matka i ojciec pracowali, a babka się nim opiekowała. Nie mieli pieniędzy na szkołę, ale babka nauczyła go pisać i czytać. Opowiadała Gideonowi historie z czasów, kiedy była dziewczynką, o tym, jak widziała kiedyś paradę i król pomachał do niej z karety.

Gideon bywał głodny, ale miał dobrą opiekę. Nie widywał zbyt często ani matki, ani ojca. Za dużo pracowali, wiedział jednak, że go kochają, choć ojciec szturchał go trochę mocniej, niż Gideon gotów był znieść. A potem przysła gorączka i zabrała matkę i babkę. Ojciec nie zniósł straty dobrze, rozpił się. Szturchanie przeszło w regularne bicie.

A potem pewnej nocy ojciec nie wrócił do domu. Jeden z mężczyzn, z którymi ojciec pił, zapukał do drzwi i powiedział, że ojca zabito podczas bójk w szynku. Gideon został sierotą w wieku siedmiu lat. Poszedł do sierocińca, ale życie tam okazało się nieznośne. Jedzenie było wstrętne i chodził cały czas

głodny. Był wysoki jak na swój wiek i nauczył się walczyć, broniąc przed ojcem, więc potrafił się postawić chuliganom, którzy tam rządzą.

Ale kiedy uciekł po raz szósty czy siódmy i spotkał Satina, nie wahał się, czy wstąpić do gangu, mimo że matka zawsze go uczyła, żeby nie kradł. To musiało być lepsze niż sierociniec. I pod pewnymi względami było. Satin był okrutnym człowiekiem, ale w dużym stopniu przewidywalnym. Nie napadał bez powodu czy ostrzeżenia. Gideon mógł sobie z tym poradzić.

Zastanawiał się, jak oskarżyć Satina o porwanie Marlowe, żeby to nie brzmiało jak oskarżenie, kiedy przypomniał sobie, jak Marlowe opowiadała o jakimś frajerze, którego spotkała na Piccadilly, a który nazwał ją Elizabeth. Który pracował dla Bow Street. Gideon znał detektywów z Bow Street. Większość była skorumpowana albo przynajmniej pracowała tylko dla bogaczy, którzy mogli zapłacić za ich usługi. Z paroma detektywami pracował. Kradł coś cennego, a potem negocjował z detektywami wysoki okup. Kiedy właściciel go płacił, Gideon oddawał część detektywom. Oni wychodzili na tym najlepiej, bo dostawali nie tylko część okupu, ale jeszcze „należne” za odzyskanie cennych przedmiotów.

Gideon widział także, jak dziesiątkowano inne gangi, kiedy detektywi namawiali paru naiwnych chłopaków na dobry skok, łapali ich na gorącym uczynku i zgarniali za to nagrodę. A złodziei wieszano.

Gideon nie ufał detektywom i miał powody. Nauczył Marlowe, żeby też im nie ufała. Nie poszłaby z żadnym dobrowolnie, ale Joe mówił, że wrzeszczała i kopała...

Ktoś zapukał do drzwi meliny i Gideon gwałtownie otworzył oczy. Nie poruszył się jednak ani nie zdradził w żaden inny sposób, że nie śpi. Satin i Beezle szeptali ze sobą od pół godziny, planując coś, co Gideon będzie zapewne musiał wprowadzić w życie. Próbował słuchać, ale mówili za cicho. Teraz obaj mężczyźni zamilkli i Beezle podszedł do drzwi. A więc nie był to ktoś, kogo Satin oczekiwał. Któryś z chłopaków podałby po prostu hasło, zapukał i wszedł.

Beezle podszedł do drzwi i obejrzał się jeszcze na śpiących chłopców. Gideon zamknął znowu oczy, udając, że śpi, choć wątpił, żeby Beezle mógł po ciemku cokolwiek zauważyć. Powoli otworzył znowu oczy i patrzył, jak Beezle, z nożem w rękę, uchyla drzwi. Przybysz widocznie powiedział coś, co, zdaniem Beezle’a, powinien usłyszeć Satin, bo wrócił i dał znak Satinowi, żeby ten wyszedł.

Gideon poczekał, aż drzwi się zamkną za Satinem i Beezle’em, po czym wstał i bezszelestnie, zręcznie omijając ciała śpiących chłopców, doszedł do drzwi. Kucnął obok i przyłożył ucho do ściany. Ściany meliny były tak cienkie, budynek tak źle skonstruowany, że bez trudu słyszał rozmowę prowadzoną na dworze.

– Gdzie ją widziałeś? – zapytał Satin.

– W Mayfair – odparł chłopak. – Spacerowałem sobie...

– A jak inaczej – parsknął śmiechem Beezle.

– Hej, jeśli Daget wyniucha, że u was byłem, poderżnie mi gardło. Chcecie wiedzieć czy nie?

– Zamknij się, Beezle – warknął Satin.

Gideon przełknął ślinę. Daget był hersztem gangu z Fleet Street. Gideon widział go raz czy dwa. Z tego, co wiedział, chłopcom z Fleet Street nie powodziło się lepiej niż tym z Covent Garden. Tamci chłopcy musieli mieć nerwy ze stali, żeby kraść w cieniu szubienicy. W razie wpadki sami mogli zadyndać.

– Mów – rozkazał Satin.

– Była ubrana jak damulka, a jej włosy... – Musiał wykonać jakiś gest, bo Satin mruknął w odpowiedzi. Chłopak widocznie mówił o Marlowe. Ale dlaczego była ubrana jak ktoś z wyższej sfery i spacerowała po Mayfair? A jeśli tak, to dlaczego Satin o tym nie wiedział? Nie odkładała nic na boku. Nie w tajemnicy przed Gideonem.

– Wyglądała jak prawdziwa dama i spacerowała z jakimś paniczykiem.

– Powiedz mi coś o nim – powiedział Satin.

– Taki sam jak każdy inny bogacz. Ubrany jak lord, zadziera nosa.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Nie.

– Nic mi po tym – stwierdził Satin. – Jak mam ją znaleźć?

– Wiem, gdzie mieszka.

Zapadła cisza. Gideon wstrzymał oddech.

– Gdzie?

Znowu cisza i w końcu:

– Ta informacja kosztuje.

Gideon potrząsnął głową. Lepiej, żeby informacja okazała się przydatna, bo inaczej Satin zajmie się chłopakiem osobiście.

– Beezle, daj człowiekowi szylinga.

– Dwa – zażądał chłopak. – To dobra informacja.

– Jeśli nie... – powiedział Satin. Nie musiał kończyć. Groźba była wyraźna.

Gideon usłyszał brzęk monet i zamarł.

– Mów. – To był znowu Satin.

Chłopak wypluł numer i nazwę ulicy w Mayfair. Gideon nie znał tamtych okolic tak dobrze jak St. Giles, ale Berkeley Street musiała być w pobliżu Berkeley Square. Co, do czarta, Marlowe robiła na Berkeley Square?

– I jesteś pewien, że ją znajdę w tamtym domu?

– Sam widziałem, jak wchodziła do środka.

Gideon nie czekał, żeby usłyszeć resztę. Przemknął na swoje miejsce na podłodze i zamknął oczy, kiedy drzwi się otworzyły i Satin z Beezle'em wrócili. Znowu zaczęli szeptać. Tym razem Gideon wiedział, co planują. Musiał dotrzeć do Marlowe pierwszy.

9

Marlowe odciągnęła pięść do tyłu, gotowa uderzyć. Jeśli lady Dane zrobi jeszcze jedną obraźliwą uwagę, to tak oberwie pięścią, że wyląduje na siedzeniu i wyjedzie po podłodze za drzwi. To postanowienie musiało się odbić na jej twarzy, bo lady Susanna rzuciła jej zaniepokojone spojrzenie. Marlowe opuściła pięść i wciągnęła głęboko powietrze. Uśmiechnęła się lekko do Susanny i znowu zaczęła słuchać, jak lady Dane powtarza w kółko niezliczone reguły, których trzeba przestrzegać na balu.

Słyszała to już trzy razy. Czy lady Dane brała ją za półgłówka? Satin mówił coś raz i miała to pamiętać. Nie musiała słuchać trzy razy, jak się zwracać do księżnej, albo, że ma pytać o pokój odpoczynku dla pań, zamiast powiedzieć: „Gdzie się mogę wy...?”.

– Słuchasz mnie, panno Marlowe?

Marlowe zazgrzytała zębami.

– Tak.

Hrabina uniosła brwi.

– Tak, proszę pani.

– Dobrze. – Hrabina złożyła ręce za plecami i na nowo podjęła obchód pokoju. Pokoju Marlowe. Tak naprawdę, to nie był jej pokój. Przydzielili go jej pani Barstowe, kiedy dzień wcześniej wrócili z Dane'em ze spaceru. Marlowe nigdy nie miała pokoju dla siebie. Nigdy żadnej przestrzeni nie mogła nazwać swoją. Szczęsioosobowa rodzina mogłaby mieszkać w pokoju, w którym ona spała sama zeszłej nocy. Przynajmniej próbowała spać.

Całe życie marzyła, żeby mieć pełny brzuch i ciepłe łóżko. Miała jedno i drugie zeszłej nocy, a jednak sen nie przychodził. Leżała na miękkim łóżku, z miękką kołdrą podciągniętą pod brodę, ubrana w miękką nocną koszulę i gapiła się w sufit. Przywykła do odgłosów meliny, a ten pokój – ten dom – był zbyt cichy. Ogień trzaskał, uniosła się na łokciu, żeby na niego spojrzeć. Nie sypiała przy odgłosach ognia trzaskającego na kominku. Po pewnym czasie – miała wrażenie, że minęło parę dni – wstała, wsunęła stopy w kapcie, jakie darowała jej lady Susanna – co za rozrzutność – i zaczęła spacerować po pokoju.

Już wcześniej mu się przyjrzała – oceniając wartość wszystkich drobniejszych przedmiotów. Potrafiła liczyć całkiem nieźle, ale wyliczenie sumy, jaką dostałaby po sprzedaniu tych wszystkich skarbów, przekraczało jej możliwości. Przystanęła przy drzwiach i nacisnęła kłamkę. Otworzyły się bez trudu i Marlowe wyjrzała na korytarz. Z dala od kominka panował ziąb, więc szybko drzwi zamknęła. Ale nie były zamknięte na klucz. Mogła odejść w każdej chwili. Mogła wyjść na korytarz, zejść po schodach, na ulicę. Nikt by jej nie zatrzymał.

Ktoś ze służby pełnił straż nocą, ale Marlowe nie sądziła, żeby próbował czy zdołał ją zatrzymać. Z jednym mężczyzną da sobie radę.

Ale nie odeszła. W pewnym momencie nawet zasnęła na miękkim łóżku.

Gdzieś w środku nurtowało ją pytanie, kim jest. Marlowe czy lady Elizabeth? Chciała prawdy. Chciała poznać swoich rodziców. Chciała mieć wybór co do życia, jakie będzie wiodła. Wybór – to był prawdziwy dar. Nigdy nie miała jakiegokolwiek w życiu. Robiła, co kazał Satin. Jadła, co przed nią postawiono. Spała, gdzie ją kopnięto. Nosila ubrania, jakie udało jej się znaleźć.

Teraz Marlowe zerknęła na łóżko i piękną balową suknię, jaka na nim leżała. Suknię w niezwykłym odcieniu fioletu. Marlowe nie widziała nigdy, żeby ktoś nosił strój w tym kolorze. Suknię uszyto z najdelikatniejszej satyny. Kiedy ją wcześniej przymierzała, materiał opłynął miękko jej ciało. Halka miała kolor lawendy i też była śliczna. Marlowe nie wiedziała, jak się ośmieli to wszystko nosić. Suknia należała do Susanny, ale dziewczyna zapewniała, że nigdy jej nie włożyła.

– Nie pasuje do mojej cery i włosów – zapewniła Susanna. Marlowe otworzyła buzię. Czy ludzie naprawdę wybierają stroje, kierując się barwą? I nie noszą ich, bo w takim czy innym kolorze jest im nie do twarzy? Czasami naprawdę miała ochotę złoić skórę tym jaśniepaństwu za ich samolubstwo.

– Panno Marlowe!

Marlowe oderwała wzrok od sukni i skrzywiła się, patrząc na lady Dane.

– Słuchasz mnie? I nie patrz na mnie z tym marsem na twarzy. Musisz przywołać na usta miły i pogodny półuśmiech.

Marlowe uniosła brew, a lady Dane westchnęła dramatycznie. Marlowe znowu zacisnęła pięść.

– Susanno, pokaż jej, proszę.

Susanna natychmiast ułożyła usta w najżałośniejszy uśmiezek, jaki Marlowe widziała. Parsknęła śmiechem, a Susanna nie mogła się powstrzymać, żeby nie pójść w jej ślady. Dziewczęta śmiały się dłuższą chwilę, zanim lady Dane wyrzuciła ręce do góry, mówiąc:

– Poddaję się! Zrób z siebie głupią, jeśli chcesz. Tylko nie mów, że nie próbowałam pomóc. – Wysła z pokoju z szumem spódnicy.

Susanna przestała się śmiać, jej oczy zaokrągliły się.

– Och, Boże. Lepiej za nią pójde.

– Idź – zgodziła się Marlowe. – I powiedz jej, żeby się o mnie nie martwiła. – W gruncie rzeczy Marlowe było obojętne, czy hrabina się martwi, czy nie. Powiedziała to dla Susanny. – Większość życia naśladowałam klasy wyższe. – Nikt na balu nie pozna, że jestem obca.

– Oczywiście, że nie. – Susanna ścisnęła ją za ramię. Marlowe zerknęła na jej dłoń. Dziewczyna zawsze ją obejmowała albo kładła rękę na ramieniu. To było trochę denerwujące. – I postaraj się być nieco łagodniejsza dla mojej matki. Im bardziej jest przerażona, tym bardziej wszystkimi dyryguje. – Susanna otworzyła drzwi i pobiegła za matką. Ale w chwilę potem znowu wsunęła głowę do pokoju.

– Zaraz przyślę ci Jane. Pomoże ci się ubrać – powiedziała i ponownie zniknęła.

Marlowe opadła na krzesło i zapatrzyła się w ogień. Lady Dane przerażona? Ha! Może dlatego Satin tak wszystkich tłamsił. Pewnie też był przerażony. Chciało jej się śmiać. Niektórzy ludzie po prostu rodzą się okrutni. Okrucieństwo lady Dane nie przejawiało się kopniakami i policzkami, ale jej słowa bolały dotkliwie.

Miała wrażenie, że jest najbrzydszą, najbardziej niezdarną, najgłupszą istotą, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi. Lady Dane dopatrywała się czegoś niewłaściwego we wszystkim, co robiła Marlowe, a to tylko wzmagало jej determinację, żeby odnieść sukces. Pójdzie na ten przeklęty bal i będzie – jak to hrabina ujęła? – zachowywać się z godnością i spokojem. I, jeśli Bóg pozwoli, pozna wkrótce lady i lorda Lyndon i położy kres tej farsie. Dowie się, raz na zawsze, kim jest i do którego świata należy.

Marlowe wstała, zbyt niespokojna, żeby długo siedzieć, i znowu zaczęła przemierzać pokój. Swoją pokój. Ledwie mogła w to uwierzyć. W gruncie rzeczy tak całkiem w to nie wierzyła. Czekwała, aż skończy się ta maskarada. Myślała, że to się stanie zeszłej nocy. Spacerowała, jak dzisiaj, i w pewnym momencie podeszła do okna i rozsunęła zasłony, żeby wyjrzeć na dwór. Tam, gdzie mieszkała, nie było ani okna, ani zasłon i teraz zauważyła, że lubi wyglądać. Widok małego ogrodu fascynował ją nieustannie. Teraz też podeszła do okna. Wolałaby widok na ulicę, widziałyby, kto wchodzi i kto wychodzi.

Jej wzrok przyciągnęła kępa krzewów różanych na tyłach ogrodu. Za dnia wydawała się mniejsza niż w nocy. Wyobraziła sobie wówczas, że widzi tam jakiś cień i że coś się porusza. Ale Satin nie mógł jej znaleźć. Jeszcze nie. Chyba że ten chłopak...

Zagryzła kciuk, odsuwając tę myśl od siebie. Nawet gdyby herszt ją znalazł, jak mógłby jej dosięgnąć? Dom był strzeżony. Wewnątrz nic jej nie groziło. Tyle że знаła Satina i wiedziała, że jeśli czegoś czy kogoś chce, to go dostanie.

Marlowe zastanawiała się, czy podzielić się z lordem Dane'em swoimi podejrzeniami. Pewnie powie, że coś sobie wyobraża. Chociaż, w gruncie rzeczy, nie miała pojęcia, jak by zareagował. Nie znała go dobrze, a on wydawał się całkiem o niej zapomnieć. Nie widziała go już po ich wczorajszym spacerze. Służba zawiadomiła ją, że jaśniepan jada w klubie, a damy w swoich pokojach. Pokojówka przyniosła Marlowe tacę i dziewczyna jadła sama. Kiedy zeszła na dół na śniadanie następnego dnia, Dane również się nie pojawił. Dziwne, ale się rozczarowała. Chyba za bardzo się objadła tym jedzeniem bogaczy, że zaczęła sobie wyobrażać, że chce go zobaczyć. Wyjątkowo działał jej na nerwy.

Był przystojny. To prawda, ale znała innych przystojnych mężczyzn. W tej chwili żadnego nie mogła sobie przypomnieć... och! Gideon był przystojny, ale traktowała go jak brata. Sądziła, że teraz rozumie, co Gideon miał na myśli, wspominając o iskrach przy całowaniu. Marlowe wyobrażała sobie, że gdyby Dane ją pocałował, iskrzyłoby, jak nie wiadomo co.

Oczywiście, to były fantazje niemądrej dziewczyny, a Marlowe nie była głupia. Dane nigdy jej nie pocałuje. Chyba podbiłaby mu oko, gdyby próbował. Albo może pozwoliłaby się najpierw pocałować, żeby zobaczyć, jak to jest...

Marlowe przycisnęła pięść do brzucha. Czowała jakieś dziwne mrowienie. Widocznie zjadła za dużo ciastek.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła pokojówka o imieniu Jane. Dygnęła, a mimo że dygnięcie nie było takie głębokie, jak wobec lady Susanny czy hrabiny, to i tak Marlowe nie mogła przestać się dziwić.

– Przy mnie nie musisz się kłaniać czy dygać – oznajmiła Marlowe. – Jestem ostatnią osobą, która na to zasługuje. Albo tego chce.

– Jaśnie pan kazał cię traktować jak członka rodziny – odparła dziewczyna.

Marlowe zamrugała zdziwiona. Dlaczego powiedział coś takiego? Bo istniała jakaś niewielka szansa, że jest lady Elizabeth?

– Nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty, ale nie potrzebuję tych wszystkich ceregieli.

– Oczywiście, panienko.

– Marlowe, nie żadna panienka. – Marlowe westchnęła. – No, dobrze. Miejmy to już za sobą.

Parę godzin później Marlowe prawie zasypiała, kiedy Jane wsunęła jej kolejną szpilkę we włosy. Nie czuła już nawet zniecierpliwienia, nudziła się śmiertelnie. Nabrała szacunku dla tych damulek z towarzystwa. Musiały mieć nerwy ze stali, żeby dzień w dzień coś takiego znosić. Zamrugała, słysząc pukanie do drzwi, a Jane zapytała:

– Czy mam otworzyć?

– Nie. Chyba zasnęłam. Wejść!

Susanna zajrzała do środka i uśmiechnęła się od ucha do ucha. Marlowe nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem.

– Spójrz tylko! – zawołała Susanna. – Wyglądasz jak księżniczka.

Marlowe zerknęła w lustro i zamrugała na widok dziewczyny, która na nią patrzyła. To była ona sama, tylko jej twarz wydawała się... inna.

– Wstań! Niech ci się przyjrze! – Marlowe wstała posłusznie, czując, jak suknia układa się miękko wokół jej ciała. Materiał był tak lekki, że miała wrażenie, że nic na sobie nie ma. Szeleścił cichutko, sprawiając, że dreszcze przebiegały jej po plecach. Przy głębokim dekolcie i odsłoniętych ramionach czuła się niemal naga. Zabawne, że Jane wymusiła na niej, żeby założyła rękawiczki sięgające za łokcie. Ręce miała osłonięte, a cycki na wierzchu!

Susanna odetchnęła z satysfakcją i złożyła dłonie.

– Wyglądasz pięknie. W tej sukni jest ci o wiele bardziej do twarzy niż mnie. Prawie jakby ją uszyto

dla ciebie!

Marlowe spojrziała na suknię.

– Jane musiała ją skrócić.

– Odrobinę – przyznała Jane. – Prawie nic.

– I twoje włosy! – zawołała Susanna. – Taka piękna fryzura. Jane, nie miałam pojęcia, że jesteś taka utalentowana. Musisz mi kiedyś ułożyć włosy.

– Maggie urwałaby mi za to głowę – odparła Jane.

Kobiety roześmiały się, a Marlowe odwróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na siebie w lustrze. Przez długą chwilę po prostu patrzyła, szeroko otwierając oczy. Przywykła już do fikuśnych sukien. Cały dzień widziała siebie w sukience Susanny, ale ta była dużo bardziej – jakiego to słowa użyła Susanna? – elegancka. I wydawała się migotać jak woda. A takiego pięknego, głębokiego fioletu dotąd nie widziała. Całe życie nosiła stroje szare, czarne i brązowe. Nigdy nie wyobrażała sobie, że mogłaby nosić coś fioletowego. Jej oczy wydawały się dzięki niej dużo bardziej niebieskie. Były niemal za duże w jej twarzy, a jej twarz także powiększyła się, ponieważ włosy zaczesano do tyłu i do góry. Wcale nie wiedziała, że ma tyle włosów. Jane splotła je w gruby warkocz i zwinęła na tyle jej głowy w sposób, który Marlowe uznała za niemal artystyczny.

– Podoba ci się? – zapytała Susanna i Marlowe uświadomiła sobie, że przestały rozmawiać i zamiast tego przyglądają się jej.

– Masz włosy takiej samej długości, ale mogę je przyciąć, jeśli chciałabyś mieć grzywkę – oznajmiła Jane.

– Nie! – wtrąciła szybko Susanna. – Wygląda doskonale tak, jak jest. Cóż, prawie doskonale. Przyniosłam ci to. – Wyciągnęła rękę.

Marlowe odwróciła się od lustra, patrząc, jak Susanna otwiera pięść, ukazując mały, złoty naszyjnik. Poczowała, jak szczeka jej opada. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zrobić kroku naprzód. Naszyjnik był taki mały i delikatny – taki piękny.

– Nie mogę tego włożyć.

– Dlaczego? – zapytała Susanna. – Do dekoltu coś by się przydało, chociaż wyglądasz ślicznie bez żadnych ozdób. Ale będę zaszczyczona, jeśli w nim wystąpisz.

– A jeśli go zgubię?

Susanna potrząsnęła głową.

– Nie zgubisz.

Marlowe nie potrafiła na to odpowiedzieć. Odwróciła się i pozwoliła, żeby Susanna zapięła jej łańcuszek na szyi. Spojrzała ponownie w lustro – złoto lśniło i iskrzyło się w świetle. Dotknęła naszyjnika nieśmiało. Nigdy nie nosiła czegoś tak pięknego. Ani czegoś, co kosztowałoby majątek. Nikt dotąd nie uznał, że jest warta czegoś takiego.

– Dziękuję – powiedziała po prostu, czując, że proste słowa nie wystarczą, żeby wyrazić, jak bardzo jest wzruszona.

– Proszę bardzo. Lepiej zejdźmy już na dół. Nie chcę, żeby mama czekała. Crawford ma dla ciebie szal na wierzch.

Naturalnie. Susanna pomyślała o wszystkim. Marlowe wyszła za Susanną z pokoju, drząc wewnątrz. Przedtem nie obawiała się balu, ale teraz, kiedy się zbliżał, martwiła się mimo woli. A jeśli powie coś niewłaściwego? Zachowa się w sposób nieodpowiedni? Zapomni o właściwym akcencie i zabrzmie nagle jak dziewczyna z ulicy?

Nigdy wcześniej nie przejmowała się podobnymi kwestiami, a teraz, wystrojona i uczesana, czuła się bardziej jak lalka niż człowiek. Susanna okazała jej tyle dobroci, jej brat także – na swój sposób. Nie chciała wprowadzić ich w zakłopotanie.

– Lady Susanno – powiedziała, usiłując zapanować nad niepokojem. – Nie zapomniałam, że jestem ci

winna przygodę.

Na twarzy dziewczyny pojawiła się psotna mina.

– Zastanawiałam się, kiedy się tym zajmiemy. Szczerze mówiąc, przygotowywanie cię do tego balu to już była przygoda.

Marlowe potrząsnęła głową.

– Nie, wymyślę dla ciebie prawdziwą przygodę.

– To będzie trudne, bo zaraz po balu wyjeżdżamy na wieś, ale dziękuję ci, Marlowe.

Posmutniała, a Marlowe przeklęła lady Dane pod nosem. Kobieta tyranizowała córkę.

Schodząc po schodach, Marlowe uświadomiła sobie, że na dole czeka nie tylko hrabina – tyran, ale także jej syn. Poczuli się znowu niedobrze, bała się, że zwróci kolację. Czy spodoba mu się jej sukienka? Czy zdoła przetrwać bal, nie wymiotując przy jakiejś ważnej osobie? Widocznie bardzo nie lubi Dane'a, skoro za każdym razem na myśl o nim czuje się chora.

Jednak w holu czekał na nie tylko kamerdyner. Pomógł lady Susannie, a potem Marlowe nałożył wierzchnie ubranie i poinformował, że hrabina i hrabia już schodzą.

W chwilę później pojawili się oboje. Marlowe na widok Dane'a niemal straciła oddech. Falujące włosy starannie zaczesano na czoło, a jeden lok opadał na policzek. Widząc Marlowe, uniósł ciemne brwi i uśmiechnął się lekko. Nie wiedziała, jak nazwać ten wyraz twarzy, ale znowu odczuła wzburzenie w żołądku.

Miał na sobie czarny kubrak i białą koszulę z rodzajem fularu pod szyją, który wydawał się opadać falami w dół. Cały strój, włącznie z kamizelką, był doskonały i lśnił nienaganną bielą. Czarne, dosyć opięte bryczesy, odsłaniały łydki. Zawsze wolała spodnie u mężczyzn, ale teraz gotowa była przyznać, że bryczesy mają swoje dobre strony.

– Wyglądasz ślicznie – powiedział. Ujął dłoń Susanny, pochylił się i ucałował kostki jej palców przez rękawiczkę. Powtórzył ten gest w stosunku do Marlowe. O mało nie parsknęła śmiechem. Ona i Gideon mogli to robić dla kawału, ale w wykonaniu Dane'a ten gest był czarujący. Ciekawa była, czy komplement odnosił się do Susanny, czy do nich obu. Czy sądził, że wygląda ślicznie? I, do diabła, co ją w ogóle obchodzi, co on myśli? Zamieniała się w jakąś niemądrą dzierlatkę.

– Owszem, może być – stwierdziła hrabina, kiwnąwszy szybko głową. Marlowe powstrzymała się od tego, żeby przewrócić oczami. Przypuszczała, że tego wieczoru przyda jej się silna wola, żeby zachować się stosownie, jak oczekiwała hrabina.

Cała czwórka wyszła i usadowiła się w powozie hrabiego. Marlowe weszła za hrabiną i jej córką, a Susanna wskazała miejsce obok siebie.

– Usiądź tutaj, Marlowe. Będiesz czuła się dużo lepiej, siedząc twarzą w kierunku jazdy.

– Ja... nie, dziękuję. – Wszystko, byle uniknąć bliskości hrabiny. Usiadła naprzeciwko Susanny i jej matki; zdziwiła się, kiedy Dane usiadł obok niej.

– Nie chcesz usiąść twarzą do przodu? – zapytała.

– A powinienem?

– Dobry Boże! – zawołała hrabina. – Daj znak woźnicy, żeby ruszał.

Tak więc siedziała tyłem, wyglądając przez przysłonięte firankami okna i nie słuchając toczącej się obok leniwej rozmowy.

– O czym myślisz? – wyrwał ją z zadumy Dane.

– Świat wydaje się strasznie szybko przepływać obok.

– Czy tak? – wyrzwał na zewnątrz, jakby chciał to osobiście sprawdzić. – Czy nie jechałaś dotąd powozem?

– Nie wtedy, kiedy mogłabym cokolwiek widzieć – odparła, nawiązując do nocy, kiedy ją porwano i założono worek na głowę.

– Naprawdę? – zapytała Susanna. – Nawet płatnym powozem?

Marlowe potrząsnęła głową.

– Jeśli musiałam się dostać gdzieś dalej, to szłam. Nogi mam w porządku.

– No, tak. Ale jakbyś musiała dotrzeć gdzieś naprawdę daleko?

Marlowe wzruszyła ramionami.

– No to...

– Nie poruszaj ramionami w ten sposób – zganiła ją hrabina. – To nieeleganckie.

Marlowe zastanawiała się, czy ktoś zauważy w mroku, jak przewraca oczami.

– Czy nigdy nie byłaś poza miastem? – zapytał Dane.

– Pewnie, że tak. Byłam w Field Lane^[1].

Hrabina wciągnęła gwałtownie powietrze. Marlowe skinęła głową. Ta reakcja jej nie zdziwiła. Field Lane nie było miejscem dla takich jak ona. Pożarto by ją żywcem.

– Prawda, że Field Lane znajduje się nieco poza miastem – zauważył Dane. – Ale pytałem raczej o to, czy nigdy nie byłaś na wsi.

– Nie. Czego miałabym tam szukać?

– No, rzeczywiście – mruknęła hrabina.

– Nigdy nie byłam poza Londynem, nigdy nie jechałam powozem, nigdy nie miałam na sobie takiej fikuśnej sukienki – powiedziała Marlowe. – Nigdy nie byłam na balu. Zostawcie mnie lepiej w powozie.

– Ożywiła się w niej nadzieja. Może da się wykręcić od tej męki.

– W żadnym razie – oznajmiła hrabina. Marlowe westchnęła. Miała nadzieję, że przynajmniej Ksantypa stanie po jej stronie. – Księżna cię zaprosiła, więc pójdziesz na bal. Ale nie będziesz się odzywać, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne. I żadnego gadania o Field Lane!

Marlowe modliła się, żeby kobieta nie zaczęła znowu wyliczać tego wszystkiego, o czym musiała koniecznie pamiętać na balu. Jakby sama nie miała dość rozumu, żeby nie opowiadać o Shoe Lane i Saffron Hill^[2].

– Panna Marlowe z pewnością doświadczyła rzeczy, o których my nic nie wiemy – zauważyła Susanna. Marlowe zerknęła na nią z ukosa. Doświadczenia Marlowe wydawały się trochę za bardzo ją interesować.

– To prawda – zgodziła się Marlowe. – Ale to nie są przygody, jakich chciałabyś spróbować. Chociaż może z chodzeniem po mieście w nocy jest trochę inaczej. Miejscami miasto jest takie ciche i jest w nim tak ciemno, że mogę sobie niemal wyobrazić, że tylko ja w nim mieszkam. A w jasną noc, kiedy są gwiazdy, chodzę często nad Tamizę i przyglądam się, jak odbijają się w wodzie. Lśnią tak, jak pewnie lśnią brylanty.

– To brzmi cudownie – powiedziała Susanna.

– Hmm – mruknęła hrabina. – Rzeka śmierdzi.

– Zgadza się – przyznała Marlowe. – Ale to mi tak nie przeszkadzało. Jediną rzeczą, która mi przeszkadza, to głód. Nie lubię być głodna.

– Zauważyliśmy – odezwał się Dane.

– Ale nawet o tym można zapomnieć. Wiele nocy stałam w grupie ludzi przy ognisku i słuchałam opowieści za opowieścią. Mogłam się zagubić w tych historiach. Dlatego chciałam czytać Szekspira – powiedziała, patrząc na Susannę. – Słyszałam niektóre z jego historii.

– Dobrze, zatem nauczysz się czytać – zapewniła Susanna.

Dane milczał, ale dłuższą chwilę czuła na sobie jego wzrok. Potem odwrócił się i wyjrzał przez okno po drugiej stronie. Marlowe wróciła do swojego okna; przyglądała się twarzom ludzi, których mijali, a którzy patrzyli z podziwem na świetny powóz, zastanawiając się, jacy to bogowie nim podróżują. Pamiętała, jak sama parę razy gapiła się na eleganckie powozy, które mijaly ją na ulicy. Zdarzało jej się zauważyć twarz damy w oknie, ale na ogół firanki były zasłonięte i pasażerowie pozostawali tajemnicą. Mijali rodzinę spacerującą po ulicy i Marlowe pomachała małej dziewczynce. Dziewczynka otworzyła

szeroko oczy.

Marlowe o mało nie zachichotała. Teraz dziewczynka będzie miała co opowiadać. Oczywiście, na nikim nie wywarłoby to wrażenia, gdyby wiedzieli, kto jechał powozem. Nikt taki, ktoś, kto tylko udawał.

W końcu przybyli na miejsce. W pewnej chwili napotkali inne powozy zmierzające w tę samą stronę i odtąd poruszali się bardzo wolno. Marlowe pomyślała, że szybciej by dotarła na bal na własnych nogach, ale hrabina zabroniła jej wychodzić.

Powóz Dane'a dojechał wreszcie przed dom księżnej. Służący otworzył drzwi i Marlowe czekała, aż rodzina wysiądzie. Kiedy Dane pomógł jej wysiąść, stanęła nieruchomo, rozglądając się w oszołomieniu. Dom był tak oświetlony, że w środku musiało być jasno, jak w dzień. Nie mogła sobie wyobrazić, ile świec się pali. Sam koszt tych świec stanowił niewyobrażalną fortunę. Z otwartych drzwi domu dobiegały dźwięki muzyki. To było piękne, jak pieśń aniołów. Słyszała, oczywiście, muzykę już wcześniej, ale skrzypek w gospodzie nie mógł się równać z artystami, którzy grali dla księżnej.

– Przystań gapić się z otwartą buzią i rusz się – powiedziała lady Dane, ale Marlowe ledwie ją słyszała. Dane wziął ją pod ramię i pociągnął. Było tyle do oglądania. Gdzie się nie obejrzała, wszędzie przesuwały się kobiety i mężczyźni w strojach pięknych jak z bajki.

I klejnoty. Gdyby Marlowe zdołała położyć rękę na jednym marnym kolczyku, który wypadłby jakiejś damie, byłaby bogata. Dotknęła złotego łańcuszka, który pozwoliła jej założyć Susanna i przysięgła sobie, że tej nocy niczego nie ukradnie. Tak hojnie ją obdarowano. Chciała na to zasłużyć.

Na stopniach prowadzących do drzwi frontowych ustawili się lokaje w błękitno-złoty liberiach. Musiało ich być z dziesięciu. Do tego ci, którzy otwierali drzwi powozów, i ci, którzy służyli w środku. Ile służby zatrudniała księżna?

Dane przychylił się, szepcząc jej do ucha:

– Unieś spódnicę.

Cofnęła się.

– Jeszcze czego!

Lady Dane rzuciła jej gniewne spojrzenie. Marlowe wciągnęła powietrze. Pora odegrać swoją rolę.

– To znaczy, słucham, panie?

– Ma być: proszę pana, nie: panie, i chodziło mi tylko o to, żebyś uniosła skraj spódnicy, inaczej możesz się potknąć na schodach.

– Och.

– A myślałaś, że o co mi chodzi? – Uśmiechał się, jakby sądził, że to wszystko jest niezwykle zabawne. Przypuszczała, że na jego miejscu też by się bawiła. Ale jak na razie nie bawiło jej to w żaden sposób. Musi przyjąć, że ma pewną robotę do wykonania i dzięki temu jakoś przeżyje. A Dane obiecał, że zabierze ją wcześniej do domu. Miała nadzieję, że jej powie, kiedy zacząć udawać migrenę.

Na szczycie schodów powitał ich kolejny lokaj, który wziął od nich wierzchnie okrycia. Susanna i hrabina po prostu mu je wręczyły, ale Marlowe nie była taka ufna.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała, zanim oddała piękny indyjski szal, jaki pożyczyła jej Susanna.

– Zaniosę do szatni – odparł nieco zaskoczony lokaj.

– Czy dostanę... czy zostanie mi zwrócony?

– Oczywiście. – Teraz wydawał się nieco urażony. Ha! Cóż, gdyby tylko wiedział, ile by zarobił na tych wszystkich pelisach i szalach.

Inny lokaj – to była cała armia – wystąpił, żeby ich wprowadzić na salę balową. Hrabina potrząsała głową, a Dane się uśmiechał. Marlowe wiedziała, że znowu popełniła gafę, ale co mogła na to poradzić? Jak tak dalej pójdzie, ta noc nigdy się nie skończy.

Na sali balowej Dane wręczył lokajowi zaproszenie, a następnie wskazał Marlowe.

– Panna Marlowe przysła z nami na osobiste zaproszenie jej wysokości.

– Doskonale, jasnie panie – odparł lokaj, nawet nie patrząc na Marlowe. Odchrząknął.

– Hrabia Dane, hrabina Dane, lady Susanna Derring i panna Marlowe.

Marlowe pomyślała, że to może tylko jej wyobraźnia, ale kilka głów odwróciło się w jej stronę, kiedy wymieniono jej imię. Potem znowu ruszyli – w stronę krótkiego szeregu kobiet i mężczyzn.

– Gospodarze nas witają – szepnęła jej Dane do ucha. Wolałaby, żeby przestał jej szeptać do ucha. Jego oddech ją łaskotał i wywoływał mrowienie na skórze. Było jej o wiele za gorąco i to ją bardzo męczyło.

– Nie zadawaj żadnych pytań. Tylko się uśmiechaj i potakuj głową. Obserwuj moją siostrę.

Marlowe robiła, co jej kazano. Dygała, aż o mało się nie przewróciła, uśmiechała, aż bolały ją policzki i nie otwierała ust, chyba żeby szepnąć:

– To dla mnie przyjemność.

Przywitała się z sześciorgiem dzieci księcia i księżnej Abingdon, ich mężami i żonami, jak również z samym księciem i księżną. Marlowe pamiętała księżną z poprzedniego dnia i ucieszyła się, widząc choć jedną znajomą twarz.

Dane już miał ją odprowadzić dalej, a Marlowe odetchnęła z ulgą, kiedy księżna odezwała się znowu:

– Panno Marlowe, kiedy spotkałyśmy się wczoraj, nie podałaś mi imienia, jakie ci dano na chrzcie.

– Aaaach... to była dla mnie przyjemność, księżno – powiedziała Marlowe, patrząc na Dane'a.

– To z pewnością była przyjemność, ale jak ci na imię, dziewczyno? I skąd pochodzisz? Nie rozpoznaję twojego akcentu.

Dane odchrząknął.

– To nasza kuzynka z północy, księżno.

– Rozumiem. – Księżna pochyliła niskie, krągłe ciało naprzód. Nawet Marlowe, raczej niewysoka, widziała chwiejące się pióro na czubku jej głowy. – Skąd na północy?

– Ach... Bath. – Marlowe wymieniła pierwszą nazwę, jaka jej przyszła do głowy. Satin miewał czasem jakieś interesy w Bath.

– Bath? – Księżna uniosła pytająco brwi.

– Yorkshire – wtrącił gładko Dane. Zerknął na Marlowe. – Wiesz doskonale, że Bath nie leży na północy.

Uśmiechnęła się.

– Jaka jestem niemądra. Tak, pochodzę z Yorkshire.

– Mój mąż ma koneksje w Yorkshire. Czy znasz wicehrabiego Grennocha? Jego rodowe nazwisko to, zdaje się, Marlowe.

– Nie mogę powiedzieć, że bym go znała.

– Panna Marlowe żyje raczej w odosobnieniu, księżno – stwierdził Dane. – Dlatego zaprosiliśmy ją do miasta. Chcieliśmy, żeby poszerzyła swoje horyzonty.

– A jak, powiedziałaś, się nazywasz? – zapytała księżna.

– Marlowe.

– Tak, ale twoje imię własne, dziewczyno.

Marlowe spojrzała na Dane'a.

– Nie musisz chyba patrzeć na niego, żeby powiedzieć mi swoje imię?

– Nie. Tylko... – Nie mogła myśleć. Miała głowę na karku i zachowywała zwykle zimną krew, ale tym razem była zbyt wstrząśnięta. Muzyka, światło, konieczność używania poprawnego akcentu i to gadanie o tym Yorku-jakimś-tam.

– Czy chcesz powiedzieć, że nazywasz się Marlowe Marlowe?

– Nie – powiedział Dane, a Marlowe w tym samym czasie:

– Tak.

Księżna zamrugnęła.

– No, to w końcu jak?

– Moim rodzicom Marlowe podoba się tak bardzo, że jest to także moje pierwsze imię.

– Dziwne – szepnęła księżna.

– Ale na drugie imię ma Elizabeth – dodał Dane. – Często tak się do niej zwracamy, nieprawdaż,

Elizabeth?

Marlowe nie odpowiedziała. Odpowiedź wydawała się zbędna.

– Przyjemnego balu, panno Marlowe – powiedziała księżna. – Spodziewam się, że zatańczysz w

pierwszym tańcu.

Dane odciągnął ją w chwili, kiedy Marlowe mruknęła pod nosem:

– Jeszcze czego. – Ostatecznie, wcale nie musiała udawać migreny. Już czuła, że boli ją głowa.

10

Dane zaprowadził Marlowe do miejsca, gdzie stała jego matka i siostra, obserwujące ich z niepokojem.

– A teraz co? – syknęła matka.

– Wszystko w porządku – zapewnił Dane. – Panna Marlowe wymieniała uwagi z księżną na temat wspólnych znajomych w Yorkshire. – Sam nie wiedział, dlaczego go to bawi. Gdyby księżna dowiedziała się, kim Marlowe jest naprawdę, nazwisko Dane zostałoby skompromitowane na dziesięciolecia. Nigdy nie traktował lekceważąco dobrego imienia i honoru rodziny. Ale kiedy był z Marlowe, wartości istotne dla klas wyższych wydawały mu się tak niemądre i mało znaczące, że było to zdumiewające samo w sobie. Ostatnich parę lat życia spędził, zgłaszając w parlamencie propozycje ustaw mających na celu podtrzymanie podziału klasowego. Dlaczego teraz dziewczyna z dołów społecznych tak go oczarowała?

I dlaczego tak go to bawiło, że Marlowe posłała mu wściekłe spojrzenie, a matka zamknęła oczy?

– Nie sądzę, żeby moje nerwy to wytrzymały.

– Radzi sobie całkiem dobrze, matko. Nie musisz się niczym martwić.

Podszedł do nich dżentelmen i towarzystwo wdało się w krótką rozmowę. Kiedy poprosił o zarezerwowanie pierwszego tańca z Susanną, Dane stracił zainteresowanie i zaczął się rozglądać wokół. Widział tych samych, co zwykle, ludzi – biednych młodszych synów polujących na bogate dziedziczki, zdesperowane dziewczęta odbywające trzeci sezon, debiutantki, już zmęczone sezonowym szaleństwem, oraz te, które lubił najmniej – intrygujące mamuśki. Oby Bóg nie dopuścił, żeby wpadł w ich macki.

– Czy naprawdę myślisz tak, jak powiedziałeś? – zapytała Marlowe. Spojrzał na nią i niemal zapomniał, kim dziewczyna jest naprawdę. W tej chwili wyglądała, jak jedna z nich. Była równie piękna, jak inne damy i tak samo dobrze ubrana. Gdy lokaj zabrał jej szal, Dane mógł interweniować, kiedy Marlowe praktycznie oskarżyła biedaka o chęć kradzieży, ale stracił mowę, widząc ją w fioletowej sukni. Susanna miała ją kiedyś na sobie, ale wtedy ledwie zwrócił uwagę na suknię. Teraz opływała wdzięcznie ciało Marlowe, uwydatniając jej kształty. Dekolt, jak w większości wieczorowych sukien, był nisko wycięty i teraz nie mógł oderwać wzroku od jej cudownego, jasnego ciała, które ów dekolat odsłaniał.

Dane szczycił się tym, że zachowuje się jak dżentelmen. Nie przyglądał się damom pożądliwie, ale teraz pewnie to robił. Podniósł wzrok – jej usta ułożyły się w twardą, zdecydowaną linię. To ją wyróżniało na tle towarzystwa. Nie było w niej miękkości czy frywolności.

– Proszę o wybaczenie – powiedział.

– Powinieneś.

Ach, zauważyła zatem, jak opuścił wzrok.

– Pytałam, czy naprawdę myślisz tak, jak powiedziałeś.

Uniósł brwi, niepewny, o czym mówi.

– Naprawdę myślisz, że dobrze sobie radzę? – Wahała się, zanim to powiedziała, jakby zastanawiała się nad doborem odpowiednich słów i nie zapanowała nad akcentem. Zdołał przekonać księżną, że Marlowe mówi jak osoba z północy kraju. Nie miał pojęcia, czy tak jest rzeczywiście. Na nim jej akcent

sprawiał wrażenie „zardzewiałego” na skutek nieużywania. Czy dlatego, że nie dość często małpowała sfery wyższe, czy też dlatego, że w dzieciństwie nabyła dobry akcent, a potem go straciła?

– Tak myślę – odparł w końcu. – Dużo lepiej, niż przypuszczałem. Czy przynieść ci coś do picia?

Otworzyła szeroko oczy.

– I zostawić mnie samą z twoją matką?

Roześmiał się.

– Podejrzewam, że dasz sobie radę. – Ukłonił się sztywno przed Marlowe, matką i Susanną. – Wróć za chwilę z napojami dla wszystkich.

Matka zmarszczyła brwi. W tłumie krążyli lokaje ze szklankami i kieliszkami na srebrnych tacach. Dane nie musiał ich szukać, ale musiał odejść od Marlowe chociaż na krótko. Kiedy tylko zostawił swoje panie, zaczepił go pan Heyward, młodszy syn barona Wye. Był to miły człowiek, choć miał skłonności do ekscesów. Dane nigdy nie nadużywał trunków ani nie prowadził rozpustnego trybu życia. Dbał o dobre imię rodziny. Nie wspominając już o tym, że matka zażądałaby jego głowy na talerzu, gdyby oddawał się takim rozrywkom jak Heyward.

– Dane – odezwał się Hayward, skinąwszy głową. Wziął kieliszek szampana od przechodzącego lokaja, podał Dane’owi i wziął drugi dla siebie.

– Nie spodziewałem się tu dzisiaj ciebie zobaczyć.

– Nie spodziewałem się, że przyjdę, ale moje usługi okazały się potrzebne.

Mężczyźni stali, przyglądając się gościom napływającym do sali balowej. Dane widział z tego miejsca Marlowe i swoją rodzinę. Matka i siostra zbliżyły głowy do siebie, a Marlowe, sztywno wyprostowana, oceniała wzrokiem wszystko i wszystkich dookoła. Zapewne szacowała wartość przedmiotów.

– Wpadłeś w sam środek matrymonialnego rynku, mój drogi – zauważył Heyward. – Wybrałeś już przyszlą księżnę czy pozwolisz, żeby któraś z brygady zdesperowanych mamusiek zrobiła to dla ciebie?

– Po prostu towarzyszę kuzynce na balu. Jest nowa w mieście i nie przywykła do takich rozrywek.

Heyward zerknął z ukosa w jej kierunku.

– Śliczna kuzynka. Panna Marlowe, czy tak?

– Tak.

– I gdzie ty ją chowałeś?

Dane skrzywił się. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było to, żeby połowa mężczyzn socjety śliniła się na widok Marlowe i łasiła się do niej, chcąc zwrócić jej uwagę.

– Northumberland – odparł Dane. Uznał, że nieco zamieszania wokół miejsca jej pochodzenia pozwoli im ukrywać prawdę do przybycia Lyndonów. Zauważył, że do Marlowe podszedł akurat inny dżentelmen. Dane niemal się uśmiechnął na widok jego spłoszonej miny. Zupełnie nie zwróciła na niego uwagi. Nie spuszczała wzroku z Dane’a; jej oczy nawet z tej odległości wydawały się intensywnie niebieskie i bystre. Nic dziwnego, że szczeniak bał się do niej zbliżyć. Nie miała w sobie elegancji, ale cała jej postawa zdradzała pewność siebie. Unosiła wysoko głowę i patrzyła innym prosto w oczy. Gdyby jego matka na to pozwoliła, pewnie skrzyżowałaby ramiona na piersi i oparła się niedbale ramieniem o ścianę.

A jednak, przy całej swojej pewności siebie, była niezwykle kobieca. Nie była to wystudiowana kobiecość trzepoczących powiek i drżących uśmiechów. Była bardziej przyziemna, zmysłowa, bujna. Nie całkiem jeszcze panowała nad tą cechą, ale kiedy się tego nauczy, niewielu mężczyzn zdoła jej się oprzeć, a wszystkie kobiety ją znienawidzą. Nic dziwnego, że Heyward, mający upodobanie do kurtyzan, zwrócił na nią uwagę. Mogła w przyszłości rozwinąć w sobie tego rodzaju zmysłowy, wolny od fałszywego wstydu, urok.

Z opóźnieniem Dane zdał sobie sprawę, że ktoś się do niego zwraca; odwrócił się – Heyward wymieniał żartobliwe uwagi z księżną Aycliffe i jej córką, lady Edith. Heyward skłonił się i ucałował dłoń lady Edith, ale ona utkwiała spojrzenie w Danie.

Nie mógł powiedzieć, żeby miał coś przeciwko temu, żeby zwracać jej uwagę. Była doskonałą księżną córką. Wysoka i wyniosła, zachowywała iście królewską postawę. Miała doskonałą cerę angielskiej damy – krew z mlekiem – oraz głowę z burzą blond loków. Zielone oczy wydawały się może nieco za duże w jej twarzy, usta odrobinę za małe, a wyraz twarzy trochę zbyt lodowaty, ale nie znalazłby się mężczyzna, który odmówiłby jej urody. Albo zaprzeczyłby, że byłaby doskonałą hrabiną, baronową albo markizą. Gdyby Dane zaczął zabiegać o jej względy, jego matka prawdopodobnie rozpląnęłaby się ze szczęścia.

– Pani – powiedział Dane, postępując do przodu i grając swoją rolę. Po wielu ukłonach, dygnięciach, uwagach na temat pogody – ulubiony temat Dane’a – księżna Aycliffe odsunęła pana Heywarda na bok, pozwalając córce pokonwersować chwilę z Dane’em na osobności. To go nie zaskoczyło. Ostatecznie, księżna z pewnością nie miałaby ochoty, aby córkę poprowadził do ołtarza marnotrawny młodszy syn barona. Swoje nadzieje lokowała znacznie wyżej – w hrabim, takim jak on.

– Przyjemnie widzieć cię znowu, lady Edith – odezwał się Dane swobodnym tonem. – Wieki upłynęły, odkąd się ostatnio spotkaliśmy.

Zatrzepotała powiekami.

– W istocie rozmawialiśmy całkiem niedawno na wieczorku u księżnej Yorke.

– Tak, ale nawet jeden dzień, kiedy cię nie widzę, to dla mnie wieki całe – stwierdził Dane, ukrywając zaskoczenie, że nie pamiętał o niedawnym spotkaniu. Prawda polegała na tym, że odkąd Marlowe wkroczyła w jego życie, wszystko inne zlało się w bezbarwne, nudne tło – jego życie Przed Marlowe. Nie uświadamiał sobie przedtem, że tak widzi swoje życie, ale teraz, kiedy to zrozumiał, poczuł nieprzyjemne mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

– Cóż, dziękuję. Zdziwiłam się, widząc niedawno również sir Brooka. Często czytam o jego bohaterskich czynach.

– Tak. Brook to prawdziwy bohater. – Dane westchnął. Gdyby wiedział, że pół wieczoru będzie musiał wychwalać brata wobec płci pięknej, poszedłby od razu grać w karty. Tam przynajmniej nie byłoby dam rozpluwających się nad dobrymi uczynkami jego brata.

– Jak zdołał odnaleźć młodszego brata lorda Cheshama? Wszyscy sądziliśmy, że nieszczęsny chłopiec zaginął na zawsze.

– Brook jest jak pies z kością. – Nie mógł wymyślić mniej romantycznego porównania, ale lady Edith to nie zniechęciło.

– A ostatnio usłyszałam plotkę, że lord i lady Lyndon zlecili sir Brookowi odnalezienie ich zaginionej córki. Czy to prawda?

Dane znieruchomiał. O ile wiedział, Lyndonowie i Brook trzymali poszukiwania w tajemnicy. No i, oczywiście, nie życzył sobie, żeby rozniosła się plotka, że Marlowe może być lady Elizabeth. Jeśli nią nie jest, Lyndonom będzie jeszcze ciężiej, jeśli wszyscy dookoła będą świadomi ich rozczarowania i pomyłki Brooka. Chociaż, z drugiej strony, Dane nie zmartwiłby się, gdyby okazało się, że braciszek popełnia błędy.

Dane wciągnął powietrze.

– Nie mam pojęcia. Z tego, co słyszałem, lord i lady Lyndon przebywają w Szkocji, a brata nie widziałem. Myślę, że Bow Street daje mu zajęcie, powierzając odzyskiwanie skradzionych dóbr. – Tak. To brzmiało raczej deprecjonująco.

– Coś ciekawego? – zapytała lady Edith. – Bezcenne obrazy albo klejnoty?

Dane odetchnął powoli; od odpowiedzi uratował go książę i księżna Abingdon, oznajmiając rozpoczęcie tańców. Orkiestra zagrała menueta, a Dane patrzył, jak jego siostra zajmuje miejsce na parkiecie. Partner lady Edith przyszedł po nią; dama dygnęła i także odeszła. Heyward pochylił się ku Dane’owi.

– Przekonała cię, żebyś zatańczył z nią walca?

Dane potrząsnął głową.

– Chciała tylko rozmawiać o moim bracie.

Heyward zachichotał.

– Sir Brook to zhora wielu mężczyzn o mniej bohaterskim usposobieniu.

Dane jęknął. Patrząc na tańczących bez entuzjazmu, widział te sceny niezliczoną ilość razy. Matka z pewnością wytknie mu, że nie poprosił młodej damy do tańca. Ale on miał pilnować Marlowe, a nie tańczyć.

Marlowe! Gwałtownie odwrócił głowę i przeraził się, widząc, że Marlowe stoi sama. Nie, nie sama. Jego matki przy niej nie było, ale zjawiał się koło niej dżentelmen, o ile lord Siddon zasługiwał na to miano. Miał zasłużoną opinię donżuana i hulaki, dziwne, że księżna Abingdon w ogóle go zaprosiła.

– Ciekaw byłem, kiedy zauważysz Siddona z twoją kuzynką – powiedział Heyward.

– Niech to diabli – mruknął Dane. Tańce się zaczęły, a musiał przejść przez całą salę, żeby dotrzeć do Marlowe. Kto wie, jakie pułapki zastawią na niego przedsiębiorcze mamuśki?

– Biegnij i ratuj ją – powiedział Heyward ze śmiechem.

– Idź do diabła! – rzucił Dane, ruszając energicznie.

– Lepiej tam niż przed ołtarz! – zawołał Heyward.

Dane przedzierał się przez grupki gości obserwujących tańce. Znał niemal wszystkich, ale nie zatrzymywał się, żeby wymienić uprzejmości, sprawiając, że niejedna osoba zmarszczyła brwi lub uniosła je ze zdziwieniem. Parł naprzód, skupiony na celu, nie zauważając wachlarzy i chusteczek, które rzucano mu pod nogi; młode damy miały nadzieję, że schyli się i poda im zgubiony przedmiot, dając im szansę, aby wyrzucić na nim wrażenie swoją urodą albo inteligencją.

Ale Dane nie chciał grać jak dżentelmen. Ostatnio ta rola przychodziła mu z większym trudem. Nie zwracając uwagi na składane mu, niczym bóstwu, ofiary, dotarł w końcu, niemal bez tchu, do Marlowe.

– Lordzie Dane – powiedział lord Siddon. – Właśnie rozmawialiśmy o tobie z panną Marlowe. Mówiła, że odszedłeś, żeby przynieść napoje. – Opuścił wzrok na do połowy opróżniony kieliszek szampana w ręku Dane'a. Sama Marlowe wydawała się spokojna, opanowana i lekko rozbawiona.

I piękna. Boże, była niewiarygodnie piękna. Nic dziwnego, że zwabiła Siddona. Dane mógł tylko czuć ulgę, że nie kręci się wokół niej chmara innych admiratorów.

– No i wróciłem – powiedział Dane, patrząc Siddonowi w oczy. – Dziękuję, że dotrzymałeś jej towarzystwa.

– Och, nie zasługuję ani nie pragnę podziękowań – odparł Siddon. – Cała przyjemność po mojej stronie. W istocie panna Marlowe właśnie zarezerwowała dla mnie walca.

Dane zerknął na nią, ale dziewczyna wzruszyła ramionami, jakby nie wiedziała, o czym Siddon mówi. Prawdopodobnie nie wiedziała.

– Obawiam się, że to niemożliwe – oznajmił Dane. Panna Marlowe obiecała już walca mnie.

– Zatem inny taniec. – Siddon uśmiechnął się do Marlowe, która spojrzała na niego chłodnym, oceniającym wzrokiem.

– Wszystkie tańce są już zajęte – zapewnił Dane. – Proszę wybaczyć. – Ujął Marlowe za łokieć i odciągnął na bok.

– Sama mogłam to zrobić – powiedziała Marlowe. – Myślałam, że mam być uprzejma.

– Nie wobec takich jak on – powiedział Dane. – Gdzie moja matka? Nie powinna cię zostawiać samej. Marlowe wzruszyła ramionami.

– Wybacz, że odciągnęłam cię od flirtowania. Jeśli chcesz, mogę udawać, że mam migrenę i wyjść sama. – Podniosła głowę. – Czy mam czekać, aż skończy się nasz taniec?

– Nie będziemy tańczyć. – Taniec z Marlowe byłby jego klęską. – Już to ustaliliśmy.

Stali chwilę w milczeniu. Marlowe śledziła wzrokiem tańczących na parkiecie.

– Skąd wszyscy wiedzą, w którą stronę się obrócić? Gdzie postawić krok?

Dane otworzył usta, żeby odpowiedzieć i zawahał się. Odpowiedź uznałaby za żenującą. I, naturalnie, z jej punktu widzenia tak było. Większość czasu spędzała, skupiając się na przeżyciu z dnia na dzień. Jakimż dziwactwem musiałoby jej się wydawać to, że matka wydawała pieniądze na nauczyciela tańca dla swoich dzieci.

– Niektórych tańców można się nauczyć, obserwując tańczących.

Spojrzała mu w twarz. Miała jakąś szczególną zdolność rozpoznawania, kiedy próbował coś ukryć.

– A innych?

– Innych trzeba się nauczyć. Susanna, Brook i ja mieliśmy nauczyciela tańca.

Spodziewał się, że parsknie z pogardą i zrobi jakąś kąśliwą uwagę, ale ona tylko kiwnęła głową i przeniosła wzrok z powrotem na tancerzy.

– To musiało być piękne. – Jej głos był tak pełen smutku i tęsknoty, że serce mu się ścisnęło.

– Myślę, że Susanna to lubiła, ale ja i Brook cierpieliśmy. Ostatnia rzecz, jakiej mógłby chcieć mały chłopiec, to być zamkniętym w domu i musieć uczyć się kroków kadryla. A potem partnerować siostrze.

Na jej ustach błąkał się leciutki uśmiezek.

– Mogę sobie wyobrazić. Ale spójrz na swoją siostrę teraz. Jest najwdzięczniejszą tancerką ze wszystkich. Z pewnością czuje się jak księżniczka.

Dane spojrzał w stronę siostry, ale jego wzrok wracał mimowolnie do Marlowe. Nie wiedział, czy Susanna czuje się jak księżniczka, ale znał jedną damę, która z pewnością na to zasługiwała. I czy każda dziewczyna nie powinna poczuć się jak księżniczka chociaż raz w życiu?

Zakazał jej tańca – i miał dobry powód. Nie znała kroków. Ale nie wziął pod uwagę, że może mieć ochotę tańczyć. Nie wziął pod uwagę, że to może być jedyny bal w jej życiu. Jej jedyna szansa, żeby poczuć się jak księżniczka, zanim wróci do nędzy St. Giles. Walc nie był trudnym tańcem. Może ją poprowadzić. Zasługiwała na jeden taniec, jedną szansę, żeby poczuć się jak księżniczka.

Dane wziął dwa kieliszki szampana z tacy przechodzącego lokaja, podał jeden Marlowe, a drugi wychylił od razu. Patrzyła na niego, unosząc brwi.

– Spragniony?

– Potrzebuję pokrzepienia.

Zmarszczyła brwi.

– Po...?

Zachichotał.

– Odwagi. Matka mnie zamorduje.

Taniec dobiegał końca i Dane mógł mieć tylko nadzieję, że matka wyszła z sali balowej i nie wróci przed pół godziną. A to było tak prawdopodobne jak to, że Jerzy IV i Karolina z Brunszwiku się pogodzą. Wziął jej kieliszek i skinął na lokaja. Kiedy służący podszedł, postawił oba kieliszki na tacy.

– Po co to zrobiłeś? – zapytała.

Dane ujął ją za ramię.

– Ponieważ, panno Marlowe, za chwilę zatańczymy walca.

Potrząsnęła głową.

– Ale mówiłeś, że mam nie tańczyć.

– Zmieniłem zdanie. – Skinął głową w stronę parkietu. – Chodź.

– Nie. Nie umiem tańczyć walca. – Jej akcent znowu się pogorszył, była wyraźnie przestraszona. Ale nie musiała mówić, żeby tańczyć – w każdym razie z nikim poza nim samym.

– Pokażę ci. Po prostu pozwól się prowadzić. – Próbował zaprowadzić ją na parkiet, ale się sprzeciwiła.

– Nie! – syknęła. – Nie chcę tańczyć.

Dane spojrzał na nią przeciągle. Jej niebieskie oczy spotkały jego; uniósł brwi.

– Owszem, chcesz.

Nie odwracała wzroku i przez chwilę myślał, że się pomylił. A potem, powoli, spuściła oczy, wbijając je w podłogę. Dane puścił jej łokieć. Jeśli ma to zrobić, to robi to we właściwy sposób. Sprawia, że poczuje się jak księżniczka. Skłonił się głęboko, kreśląc ręką esy-floresy w powietrzu.

– Panno Marlowe, czy zechcesz ze mną zatańczyć?

Nie odpowiedziała. Spojrzał na nią – rozchyliła usta, jej oczy się śmiały.

– Co ty wyprawiasz?

– Właściwa odpowiedź, to: tak, proszę pana. – Wyprostował się i wyciągnął rękę. Zaproszenie nie pozostawiało wątpliwości. Musiała tylko je przyjąć.

Patrzyła na jego rękę przez, jak mu się wydawało, wieczność. Miał czas, żeby się zastanowić, co robi w razie odmowy. Co najmniej tuzin osób na balu widziało, jak się kłaniał. Jego zamiar był jasny. Przed upływem nocy cała socjeta będzie huczała od plotek, dlatego jego dworna prośba została odrzucona. Nie zazna nawet przyjemności trzymania jej w swoich ramionach, zanim matka go zamorduje.

Ale kiedy pogodził się już z myślą o samotnej śmierci, ciepła dłoń Marlowe dotknęła jego.

– Tak, proszę pana – powiedziała, ponownie z właściwym akcentem. Dane niemal żałował, że go używa. O wiele bardziej wolał jej prawdziwy głos, niż ten sztuczny. Z uśmiechem zaprowadził ją na parkiet, gdzie stały inne pary. Susanna, która wciąż była debiutantką, nie tańczyła walca. Walca uważano za taniec nieodpowiedni dla niewinnych dziewcząt i Dane zawahał się przez chwilę, zastanawiając, czy nie wyrządza Marlowe krzywdy. Ale potem rozbrzmiała muzyka i nie miał już czasu myśleć. Porwał ją w ramiona i udzielając minimalnych wskazówek, poprowadził po parkiecie.

Uczyła się błyskawicznie. Wystarczyło, że raz policzył jej takt, pokazał, jak trzymać ramię i unieść spódnice, a podążała za nim, jakby tańczyła walca tysiąc razy. Spodziewał się, że będzie musiał z nią rozmawiać przez pierwszych parę minut, namawiać, żeby się rozluźniła, liczyć rytm. To wszystko okazało się niepotrzebne.

Tańczyła z taką lekkością, jakby stanowiła jego przedłużenie. Czy zdawała sobie sprawę, że cała sala zapewne ich obserwuje? Na jej twarzy dostrzegł jedynie czystą radość. Uśmiech na jej ustach pozbawił go tchu i sprawił, że zapomniał o matce, księżnej, wszystkich gościach. Jeśli taniec wywoływał uśmiech u Marlowe, gotów był z nią tańczyć codziennie, godzina po godzinie.

– Podoba ci się? – zapytał, choć wiedział doskonale, że tak jest.

– Jakbym fruwała! – powiedziała zadyszana.

Dane roześmiał się.

– Pokażę ci, jak się fruwa. – Zawirował z nią parę razy, aż był pewien, że kręci jej się w głowie. Śmiała się, a jej twarz zaróżowiła się przyjemnie. W tej chwili pomyślał, że nigdy nie widział cudowniejszej istoty.

– Jeszcze! – szepnęła. I Dane nie mógł odmówić. Zakręcił nią, odwracając plecami i przyciągając mocno do siebie. Tańczył szybciej, mijając inne pary, sunąc po parkiecie. Trzymał ją mocno, żeby nie straciła równowagi – tak przynajmniej to sobie tłumaczył. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że bliskość jej ciała wpływa na niego. Była ciepła tam, gdzie jego dłoń w rękawiczce dotykała jej pleców. Jej skóra była równie miękka jak satyna, z której uszyto suknię. Pamiętał swój zachwyt z tego powodu, kiedy siedziała w jego łóżku. Teraz pragnął pogłodzić jej nagie ciało, zdjęć rękawiczkę i dotknąć jej nieosłoniętą ręką. A jeszcze bardziej – zsunąć dłoń przy jej talii niżej, wzdłuż krzywizny bioder. Czuł łagodną wypukłość poniżej miejsca, gdzie jej kibić się zwęzała i tęsknił za tym, żeby dopasować do niej dłoń.

To dlatego walc nie był przeznaczony dla niewinnych panienek. Jak mógł mężczyzna patrzeć na nią i nie pragnąć jej pocałować, nie wyobrazić sobie, jak bierze ją do łóżka, rozbiera, całuje jej pełne piersi? Jeśli istniał taki mężczyzna, to Dane nim nie był. Pożądał jej, a kiedy ich oczy się spotkały, ich ciemny błękit zdradził mu, że ona także tego chce. Patrzyli na siebie i jej usta rozwarły się lekko w literę O, a Dane zacisnął w pięść dłoń, którą trzymał przy jej talii, żeby nie przesunąć jej wyżej, ująć za szyję i

pocałować. Mógł sobie wyobrazić, jak całuje te doskonale różowe wargi. Jak wsuwa między nie język, żeby jej spróbować. Czy smakowałaby szampanem, czy czymś jeszcze bardziej zmysłowym, oszalamiającym?

Wciągnęła głęboko powietrze i jej piersi musnęły jego pierś. Miał na sobie koszulę i kubrak i nie mógł czuć ich miękkości ani ciepła, ale był świadomy ruchu, tak jak szalonego rytmu własnego serca.

– Jest mi trochę gorąco – powiedziała chrapliwym, zadyszanym głosem. Dane miał ochotę jęknąć głośno. Wiedział, że taniec z nią będzie błędem.

– Może powinniśmy wyjść na dwór.

– Tak – odparła, kiwnąwszy głową. Powiódł ją tak, że znaleźli się blisko drzwi ogrodu, a wtedy wziął ją za rękę i wyprowadził na zewnątrz. Lokaj podsunął im tacę z szampanem, ale Dane gestem dłoni nakazał mu odejść. Wyszli w chłodne powietrze wieczoru.

Miała rękawiczki, więc nie czuł jej ciała, ale czuł drzenie. Taniec poruszył ją równie mocno, jak jego. Powinien zabrać ją z powrotem na salę, może dać przedtem chwilę odetchnąć na dworze, ale to wszystko. Światło z sali balowej i latarnie oświetlały ogród i Dane widział, jak Marlowe z trudem chwyta powietrze.

Jeszcze chwila i wróca.

– Pospacerujemy? – Nie, nie to zamierzał powiedzieć.

– Kolejny spacer?

– Tak, ale tym razem nie będziemy rozmawiać o pogodzie. W ogóle nie mieli rozmawiać i dlatego powinien zabrać ją z powrotem na salę. Powinien zachowywać się jak dżentelmen. Znał zasady. Dżentelmen nie chowa się z damą w mroku, gdzie nie można ich zobaczyć. Dżentelmen nie przyciąga damy do siebie. I nie kradnie całusów dziewczynie, z którą nie jest zaręczony.

Ale Dane nie mógł się powstrzymać. Nie rozumiał tego. Nigdy dotąd nie miał problemu z opieraniem się tego rodzaju pokusom. Ale przy Marlowe Dane miał powyżej uszu grania dżentelmena. Zatrzymał się w ciemności przy żywopłocie i odwrócił się twarzą do niej. Ledwie ją widział, z wyjątkiem bieli rękawiczek. Podszedł do niej o krok i wziął ją w ramiona. Nie opierała się. Miał nadzieję, że będzie. Chciał, żeby ktoś go powstrzymał, bo bał się, że bez tego nie zdoła się cofnąć. Kiedy ją raz pocałuje, nie będzie mógł się powstrzymać, żeby zrobić to ponownie.

Jednak poddała się chętnie, wsuwając w jego ramiona. Była tak cudownie ciepła, drobna, miękka. Pragnął ją posiąść i chronić jednocześnie. Doznawał tak silnych uczuć, że miał ochotę zakląć. Zamiast tego pochylił głowę i zrobił jedyną rzecz, która pozwalała zapomnieć o wszystkim innym.

Pocałował ją.

Kiedy dotknął jej ust, wszystko w nim ożyło. Tak, jakby miał na sobie ciężką pelerynę, która przygniatała go do ziemi i tłumiła zmysły. Teraz ją zrzucił i znowu czuł. Miał w sobie taką lekkość, że mógłby biec milami i nie zmęczyć się. Musnął jej wargi ustami jeszcze raz i dreszcz przebiegł przez jego ciało. Przytulona do niego, przekazywała mu słodkie ciepło. Żałował, że nie zdjął rękawiczki, żeby móc przesunąć po jej plecach gołymi palcami.

Ręce, które Marlowe trzymała przy bokach, poruszyły się teraz. Podniosła je do jego piersi i zostawiła tam. Spodziewał się, że być może go odepchnie, ale nie zrobiła tego. Nie odwzajemniła również pocałunku. Stała tylko, jakby niezdecydowana. Dane chciał zmiażdżyć jej usta swoimi, zaspokoić pragnienie, które rosło za każdym razem, kiedy jej dotykał. Nie mógł jednak zapomnieć, że jest dżentelmenem, a ona – jest lady Elizabeth czy nie – zasługuje na jego szacunek.

– Przepraszam – powiedział, uwalniając ją. – Pozwoliłem sobie na zbyt wiele. – Nie zdjęła rąk z jego kubraka; starał się odczytać wyraz jej twarzy, ale opuściła głowę i go nie widział. – Pozwól, że cię zaprowadzę z powrotem na salę. Zapewniam, że to się więcej nie powtórzy.

Teraz podniosła głowę, zauważył, że ma rumieniec na policzkach i oddycha szybko i nierówno.

– Dlaczego?

– Wybacz.

Potrząsnęła głową, prawdopodobnie zirytowana jego uprzejmością.

– Dlaczego to się więcej nie powtórzy?

– Bo... zachowałem się niewłaściwie.

Znowu potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem. Nie chcesz mnie pocałować?

Patrzył na nią zdumiony. Boże, chciał o wiele więcej.

– Chcę cię pocałować.

– Więc dlaczego przepraszasz?

– Ponieważ to... – wskazał ciemny, pusty ogród – jest niewłaściwe. Jestem dżentelmenem i powinienem szanować...

Przesunęła ręce po jego piersi i położyła mu palec na ustach, zmuszając do milczenia.

– Dżentelmeni nigdy mi się do niczego nie przydawali. – Podeszła bliżej, tak że znowu wtulała się w niego. – Całe to gadanie – pozwoliłem sobie na zbyt wiele, wybacz, niewłaściwe – nic dla mnie nie znaczy. Pocałuj mnie.

Teraz z kolei Dane zapytał:

– Dlaczego?

– Bo wreszcie zrozumiałam, co Gideon miał na myśli, mówiąc o iskrach. Pocałuj mnie.

Jak mógł odmówić tak bezpośredniemu życzeniu? Objęła go za szyję, a on zniżył głowę, dotykając jej warg. Wydała ciche westchnienie, a on objął ją i przytulił do siebie, czując, jak drży. Musiał postępować powoli, żeby jej nie przestraszyć. Nie miał pojęcia, jakiego rodzaju doświadczenia miała wcześniej – jeśli w ogóle jakieś. Jego własne nie było szczególnie rozległe, ale kobiety, które znał, nigdy nie drżały w jego ramionach. Czy mogła być niewinna? Przypuszczał, że wstrzemięźliwość nie jest zarezerwowana tylko dla klas wyższych. Przesuwał wargami po jej ustach powoli, ostrożnie, tłumiąc chęć, żeby wsunąć się do wnętrza i poznać jej smak.

Wsunęła mu palce we włosy i przyciągnęła jego głowę.

– Marlowe...

– Pocałuj mnie – powiedziała niskim, chrapliwym głosem.

– Nie chcę cię przestraszyć.

– Czym? Nie nazwałabym tego pocałunkiem, a co dopiero czymś przerażającym.

Dane uniósł brwi.

– Czy to wyzwanie?

– Za wielki z ciebie dżentelmen, żeby je przyjąć?

Dane ściągnął rękawiczki.

– Zobaczysz. – Odrzuciwszy skrupuły i rękawiczki – na ziemię, pocałował ją. Tym razem nie czekał, aż przywyknie do jego dotyku, tylko wsunął język między jej wargi. Jęknęła cicho, ale nie cofnął się. Przesunął dłonią po jej plecach, tęsknił wcześniej za dotykiem tej jedwabistej skóry. Rozsunął palce i położył rękę na jej karku. Przechylił lekko jej głowę. Smakowała szampanem, a kiedy nieśmiało dotknęła językiem jego języka, niemal stracił nad sobą panowanie. Zacisnął pięść w jej włosach i pogłębił pocałunek, aż całkiem się w niej zatopił.

Jego zmysły ożywiły się niezwykle. Czuł miękkość jej gęstych włosów, gładką satynę sukni, słyszał cichy szept wiatru, przytłumione dźwięki balowej orkiestry. Czuł jej szybki, urywany oddech i swój własny, taki sam, jak jej. Jeśli to dłużej potrwa, straci resztki kontroli, rzuci ją na ziemię i posiadzie tu i teraz. Zamiast tego odsunął się, przytrzymując ją jedną ręką, dla równowagi, w talii. Wciągnął z trudem powietrze.

– To był pocałunek – powiedziała zduszonym głosem. – Zrób to jeszcze raz.

– Nie. – Wyciągnął rękę, jakby chciał przekonać ciało, że jego umysł traktuje poważnie to, co kazał

przekazać wargom. – Już byliśmy sami zbyt długo. Musimy się pożegnać i wrócić do domu.

– Twojego domu.

– Tak, mojego miejskiego domu. – Zauważył, że wzburzył jej włosy. Staranna fryzura legła w ruinie, kosmyki włosów spływały na suknię. Wątpił, żeby wiedziała, jak ją poprawić. Może lepiej będzie, jeśli pożegna się w imieniu obojga, przyniesie jej szal i odjadą, nie przechodząc przez salę balową. I tak zaczną się plotki. Schylił się po rękawiczki.

– A co się stanie, kiedy wrócimy do twojego domu?

– Pójdziemy do łóżka – stwierdził, wkładając rękawiczki. – Osobno – dodał szybko. – Marlowe, to był błąd. Nie mogę posunąć się dalej.

– Myślisz, że ja tego chcę? Nie jestem twoją kochanką.

– Nie, nie jesteś. – Naciągnął drugą rękawiczkę. – Przyniosę twój szal i pożegnam się w naszym imieniu. Czy możesz tu poczekać? Obawiam się, że zniszczyłem twoją koafiurę.

– Moje co?

– Włosy.

Dotknęła ich.

– Och. Nie chcesz, żeby wiedzieli, że mnie całowałaś.

– Nie obchodzi mnie, kto o tym wie, ale dla twojej reputacji będzie lepiej, jeśli to pozostanie między nami.

– Kłamczuch. Boisz się, że nie jestem naprawdę lady Elizabeth i wszyscy się dowiedzą, że tańczyłaś ze zwykłą złodziejką z Seven Dials.

Oskarżenie zabolowało, w nie najmniejszym stopniu dlatego, że zawierało prawdę. Dane wyprostował kubrak.

– Wróć za chwilę. Zostań tu. – Odwrócił się i odszedł, klnąc, bo pretensje mógł mieć tylko do siebie. Wiedział, że nie powinien jej całować. Niech to diabli, nie należało pozwolić Brookowi sprowadzić jej do domu Derring. Taki był nieunikniony skutek – atak na jego cnoty ze strony...

Do diabła! Była złodziejką z Seven Dials. Nawet jeśli to rzeczywiście lady Elizabeth, to jest także przestępczynią. Czy miał przejść nad tym faktem do porządku? Zapomnieć, że jest hrabią i ma obowiązek dbać o dobre imię rodziny? Miał udawać, że nigdy nie napadli go zbóje na drodze i że nie obrabowano mu domu? Nie mógł jednak zrzucić winy za swój dzisiejszy postępek na nią. Nie była odpowiedzialna. Stąpił po cienkiej linii i lepiej, żeby pamiętał, po której stronie zostać.

11

Marlowe została sama. Pocałunek oszołomił ją tak, że zapomniała na moment, kim jest i co robi. Nigdy jeszcze się tak nie czuła. Wszystko przez tę iskrę. Nie miała pojęcia, że można się tak całować. W brzuchu czuła dziwny dygot, była roztrzęsiona i nieco przestraszona. Zupełnie, jakby dopadła ją malaria, tyle że wcale nie miała ochoty pozbyć się tych dolegliwości.

Zdecydowanie było z nią coś nie tak. Nie mogła jasno myśleć. Dlaczego pozwoliła mu się pocałować? Dlaczego prosiła, żeby zrobił to jeszcze raz? Wiedziała przecież, że mu się nie podoba. Chyba rozum straciła, że pozwoliła jakiemuś miglancowi się obmacywać... chociaż właściwie wcale jej nie obmacywał. Był czuły i delikatny, i przy tym bardzo przekonujący. Gdyby ją obściskiwał jak prostak, może by się broniła. Ale jak tu się bronić przed czułością?

Jak tu pamiętać, że ten mężczyzna to bogacz, a ona do końca życia będzie awanturnicą? Wystarczy mu pozwolić, a wykorzysta ją bez oporów i zostawi ją z brzuchem i bachorem, którym nie będzie miał się kto zająć. Skończy na ulicy jak wszystkie inne idiotki, które zmiękły i uwierzyły w słodkie słówka jakiegoś lalusia.

Nie była przecież głupią gęsią, nie da się tak zrobić.

– No no, co my tu mamy...

Na dźwięk tego głosu przeniknął ją dreszcz. Wzięła szybki oddech i odwróciła się jak fryga. Dobrze знаła ten głos, ale to niemożliwe, żeby jego właściciel się tu pojawił. Wyobraźnia płata jej figle.

Satin wyszedł z cienia i skłonił jej się nisko.

– Wyglądasz jak fregata pod żaglami.

Spojrzała na suknię pożyczoną od Susanny i przełknęła ślinę. W głowie wirowało jej tysiąc pytań. Jak ją odnalazł? Jak udało mu się zakraść do tego ogrodu? I co zamierzał z nią zrobić?

– Satin... – powiedziała drżącym głosem.

– Niech no spojrzę na ciebie, Marlowe. – Skinął palcem, żeby się obróciła. Stała jak wrośnięta w ziemię.

– Niezła z ciebie sztuka. Nie myślałem, że taka jesteś. Ukrywałaś swoje wdzięki pod tym całym brudem.

– Jakim cudem mnie znalazłeś? – Właściwie to wiedziała. Ten szczeniak, który dostrzegł ją po powrocie z Hyde Parku, był szpiegiem, sprzedał ją za parę groszy. Była tego pewna. Właściwie dlaczego nie? Na jego miejscu zrobiłaby to samo. Satin był potężnym stronnikiem.

– Dużo ważniejsze jest, Marlowe – mruknął Satin, pochylając się tak blisko, że poczuła jego odrażający oddech – dlaczego ty mnie nie szukałaś? Myślałaś, że się mnie pozbędziesz, co?

– Nie. – Potrząsnęła głową. Do głowy by jej to nie przyszło. Wiedziała, że kiedyś ją znajdzie, ale oszukiwała sama siebie, że jest bezpieczna.

– Tylko mi nie mów, że planowałaś dla mnie skok. Nie urodziłem się wczoraj.

– To nie skok, tylko... – Przerwała. Satin nigdy nie uwierzyłby w prawdę. Zresztą, to i tak nie miało znaczenia. Odnalazł ją. Koniec zabawy. – Wcale nie chciałam cię w to wciągnąć.

Musiała jak najszybciej stąd zniknąć, przed powrotem Dane'a. Nie chciała, żeby Satin go zobaczył. A

może nie chciała, żeby Dane zobaczył Satina. To dziwne, jak życie może się zmienić w jeden dzień. Nagle Satin wydał jej się obrzydliwie brudny. Zawsze myślała, że jest czystszy od reszty bandy, ale teraz po prostu śmierdział.

– Wykiwałam cię, ale tylko ten jeden raz.

– Naprawdę? – spytał, krzyżując ręce na piersi.

Wskazała na suknię.

– Możemy to sprzedać za kupę forsy. Szczeniaki najedzą się dziś po wręby, i jeszcze zostanie dla ciebie.

Musiała tylko jakimś sposobem oddać Susannie naszyjnik. Satin go na pewno zauważył. Miał bystre oko. Ale Marlowe za nic by nie sprzedała tej błyskotki.

– Niby dlaczego mamy to sprzedawać? Wygląda na to, że jesteś nietknięta. Z takim wyglądem możemy naciągnąć jakiegoś buca na kasę dziesięć razy więcej wartą od tej sukni.

Marlowe zacisnęła wargi i pięści. Prędzej umrze, niż zacznie sprzedawać się dla Satina.

– Zostałaś burdeltatą? A może tylko zwykłym alfonssem?

– Jeszcze nie, ale przez ciebie zaczynam się nad tym zastanawiać. I nad czymś jeszcze.

– Niby nad czym?

Wcale nie miała ochoty się tego dowiadywać. Naprawdę.

– Dlaczego tak się zarzekasz, że już jest po zabawie. Wkręciłaś się do Mayfair, mieszkasz jak pani i dostałaś tylko tę suknię? Stamtąd można wyciągnąć dużo więcej.

Oczywiście. Dużo, dużo więcej. Tyle, że gały wyszłyby ci z głowy, baranie.

– To prawda, ale poznali się na mnie – skłamała. Muszę się stąd zabierać.

– Podejrzewa cię? – spytał, dłubiąc w zębach długim paznokciem.

– Tak.

Nagle złapał ją za szyję. Zachwiała się na nogach. Pchnął ją na kamienną ławkę i pochylił się nad nią. W oczach jej pociemniało. Kiedy zmusiła się, by otworzyć oczy, jego twarz była o kilka centymetrów. Mimo wszystko dalej modliła się, żeby Dane teraz nie przyszedł. Nie chciała, żeby widział ją w takiej sytuacji. Gorzej, bała się, że Satin coś by mu zrobił.

– No to postaraj się bardziej – powiedział Satin. – Umiesz kłamać jak z nut, Marlowe, ale mnie nie oszukasz. Jedziemy na tym samym wózku, malutka. Rozumiesz?

Spróbowała skinąć głową.

– Nie słyszę. – Uderzył jej głową o ławkę.

Zobaczyła gwiazdy, ale nie te na zamglonym niebie.

– Taaak. Zrobimy razem ten skok. Jesteś moją wtyczką. Rozpoznasz to miejsce i obrobimy je razem. Rozumiesz?

– Jasne, Satin, ale to nie jest byle dziura. Ten facet to hrabia. Jak nas złapią...

– To powiesz. Przynajmniej będziemy wiedzieli, za co. Jutro w nocy spotkamy się przy żywopłocie za domem. Wiesz, gdzie?

Wiedziała. To znaczy, że wtedy naprawdę ktoś się tam ruszał. To Satin ją obserwował.

Szarpnął ją za szyję.

– Nie słyszałem, co powiedziałaś, smarkulo.

– Wiem.

– Masz tam być, jak zegar uderzy dwa razy, bo jak nie, to sam po ciebie pójde.

– Będę.

– Tylko mnie nie wykiwaj. Załatw wszystko i przyjdź sama. Jeśli na mnie doniesiesz, będzie po tobie.

Puścił ją równie szybko, jak ją pochwycił. Upadła na ławkę, mrugając oczyma z bólu, i żeby się nie popłakać. Cholerne łyzy. Nie rozbeczy się przecież. Siedziała i patrzyła, jak Satin otrzepuje swój szmatławy surdut, niby to z kurzu po tej całej scenie.

– Przyjemnie się z tobą pracuje, Marlowe. Do zobaczenia. – Dotknął kapelusza. Zanim zdążyła się cofnąć, złapał paluchami złoty łańcuszek i zerwał go z jej szyi.

– Nie! – krzyknęła, zrywając się z ławki.

Podniósł rękę, więc cofnęła się szybko.

– Lepiej załatw mi więcej takich.

Zagwizdał cicho, wsunął wisiorek do kieszeni surduta i odszedł. Marlowe zamknęła oczy i opadła na ławkę. Właściwie nie miała wyboru. Owszem, mogła uciec, ale Satin i tak dopadłby Dane'a. Kiedy coś mu wpadło do głowy, niełatwo rezygnował. Mogła ostrzec Dane'a, ale czy by jej uwierzył? Zresztą nawet jeśli, to pewnie od razu wsadziłby ją do więzienia, zamiast pomóc w ucieczce.

Gdyby uciekła, co stałoby się z Gideonem i resztą szczeniaków? Satin wiedział, że przyjaźniła się z Gidem. Jeśli ona wyrwie się z jego łap, przyjaciele z bandy drogo za to zapłacą. Poza tym, nawet jeśli ona ucieknie, a Gideon jakoś sobie poradzi, to co potem? Przecież nic nie umie i nikogo nie zna. Będzie musiała wrócić do dawnego życia, żeby przetrwać. Jeśli to robi, Satin natychmiast ją odnajdzie. Kieszonkowcy znają się między sobą, a Satin miał mnóstwo przyjaciół i współpracowników.

– Marlowe?

Poderwała głowę na dźwięk głosu Dane'a i pospiesznie starała się poprawić włosy i wygładzić suknię. Po chwili pojawił się przy niej.

– Tu jesteś... Do licha, co ci się stało?

Jasna cholera. Musi wyglądać gorzej, niż jej się wydawało.

– Ja... ja upadłam, było ciemno i się potknęłam. Pewnie strasznie wyglądam.

Otulił szalem jej ramiona.

– Zabiorę cię do domu.

O mało co nie wybuchnęła śmiechem. Dom. TO nie był jej dom i nigdy nim nie będzie. Dane poprowadził ku bocznym drzwiom pałacyku.

– Jeśli pójdziemy tędy, ominiemy salę balową.

Odwrócił się i popatrzył na nią. Jego wzrok nie zdradzał żadnych emocji. Może jednak nie wyglądała aż tak źle.

Ujął ją pod ramię i poprowadził do przedsionka. Goście w dalszym ciągu przybywali, więc zasłonił ją sobą. Wyszli na zewnątrz i stanęli w cieniu. Całą wieczność czekali na powóz, a kiedy w końcu do niego wsiedli, ruszył w ślimaczym tempie. W środku paliły się lampy, więc Marlowe odwracała twarz. Dane siedział naprzeciwko niej. Skrzyżował ramiona i wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę. W końcu rzuciła okiem w jego stronę. Okazało się, że wygląda przez okno.

Tylko że zasłony były zaciągnięte. Więc jednak mu na niej zależało. Można w takim razie oszukać go i udawać chorą. Drugiej takiej okazji nie będzie.

– Nie czuję się najlepiej – powiedziała. – Chyba jestem chora.

Złapała się za brzuch i zgięła w pół, spoglądając na niego z ukosa.

Spokojnie przeniósł na nią wzrok. Na jego twarzy nie było ani śladu współczucia.

– Domyślam się, że te ślady na szyi są dość bolesne.

Zapomniała o bólu brzucha i złapała się za gardło. Rzeczywiście zabolęło. Co za głupiec z tego Satina! Nie powinien zostawiać śladów. Teraz już łatwo odgadła, co się stało.

Dane wierzył w jej opowiestkę o upadku do chwili, gdy zobaczył ją w blasku lamp. Nie pomyślała, żeby zasłonić szyję. Te ślady na pewno było widać.

– Powiesz mi, co się stało, czy będziesz dalej kłamać?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Czy któryś z gości cię napastował? Daj mi jego imię albo opisz go jakoś. Wyzwę go w godzinę.

Zamrugęła.

– Ktoś z gości? Nie, ja... czy wyzwiałbyś go na pojedynek?

Spoglądał na nią bez słowa.

Otworzyła usta ze zdziwienia. Zupełnie nie jak dama. Gdyby tu była hrabina, na pewno kazałaby je zamknąć, ale Marlowe jakoś się to nie udawało.

– Stoczyłbyś o mnie pojedynek?

– Aż tak trudno ci w to uwierzyć?

– Pewnie!

Przechylił tylko głowę.

– Niby dlaczego?

– Jestem nikim. Nie warto dla mnie ginąć.

– Oni o tym nie wiedzą. Przedstawiliśmy cię jako moją krewną.

Poczuła, jak zimny ból przeszywa jej serce.

– Ach, więc chodzi ci o własny honor, a nie o mój. Twoich ludzi nie wolno traktować tak samo, jak zwykłej złodziejki z przedmieścia. Spokojnie, Dane, nie musisz nikogo wyzywać. To nie był nikt z gości.

– Więc kto?

Pokręciła głową.

– Nieważne.

W jednej sekundzie znalazł się tuż obok niej. Powóz jeszcze przed chwilą wydawał jej się obszerny, ale teraz, w jego bliskości, wszystko stało się dziwnie ciasne i małe.

– Jakiś mężczyzna robi ci coś takiego... – delikatnie uniósł jej podbródek. Szarpnęła się, żeby nie widział, co się stało. – ... a ty mi mówisz, że to nieważne.

– Bo nic mi nie pomożesz.

Powóz w końcu ruszył szybciej. Szarpnęło, i uderzyła głową o oparcie. Było miękkie, ale i tak się skrzywiła. Ręka Dane'a natychmiast powędrowała na tył jej głowy. Syknęła z bólu, gdy palce dotknęły strupa. Odsunął dłoń i spojrzał na poplamione krwią palce.

– Nie wiesz, na co mnie stać.

Potrząsnęła głową.

– Jesteś zepsutym, rozpieszczonym lordziątkiem. Masz wszystko, czego zapragniesz. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak wyglądało moje życie, a co dopiero rozwiązać moje problemy. Trzymaj się lepiej swoich książek, tańców i tych swoich filarów – warknęła, wskazując na jego szyję.

Odchrząknął.

– To nie filar, tylko fular – poprawił ją, przesiadając się na swoje miejsce.

– Proszę wybaczyć, szlachetny panie, że mylą mi się te fikuśne słówka.

Dane podrapał się po nosie, a potem opuścił ręce i spojrzał na nią ciemnymi, brązowymi oczyma.

– Chcę ci pomóc, Marlowe. Dam radę, ale musisz się trochę otworzyć. Jeśli nabierzesz do mnie zaufania, daj mi znać.

Reszta podróży upłynęła w milczeniu. Kiedy dojechali do rezydencji, Dane poszedł prosto do siebie, ale przedtem musiał wydać jakieś polecenia, bo w chwili gdy Marlowe założyła szlafrok i odesłała Jane, dwóch służących wniosło do sypialni wannę i wiadra z wodą.

– Co to ma być?

– Przepraszam, panienko, ale jego lordowska mość polecił to przynieść.

Biedaczka wyraźnie miała stracha, więc Marlowe nie chciała się na niej wyzywać. Nie ma sensu odgrywać się na służących, którzy musieli wtaszczyć całą tą wodę na górę.

– Dziękuję – udało jej się wydusić przez zaciśnięte zęby.

Jane odetchnęła. Chyba cały czas wstrzymywała oddech.

– Jego lordowska mość mówił, że panienka będzie chciała umyć włosy. Mam panience pomóc?

– Nie!

Jane aż odskoczyła.

– Chciałam powiedzieć, dziękuję, ale nie. Sama to zrobię.

W żadnym wypadku nie życzyła sobie towarzystwa, kiedy będzie się kąpać. Albo raczej, kiedy nie będzie tego robić. Przecież kąpała się zaledwie parę dni temu!

W końcu wanna była gotowa i Marlowe została sama. Do tej pory rzadko zdarzały jej się chwile samotności. Czowała się z tym dziwnie i trochę nieswojo, ale przynajmniej miała czas zastanowić się w spokoju nad Satinem. Osunęła się na podłogę i otoczyła głowę rękami, ale do głowy nie przyszło jej żadne rozwiązanie. Zadygotała na zimnej podłodze. Ależ mięczak się z niej zrobił. Przysunęła się do ognia i jednocześnie do wanny. Poczwała ciepło bijące od wody i zanurzyła w niej palce. Pachniały słodko i przyjemnie. Postanowiła zanurzyć stopy w wodzie, żeby się rozgrzały.

Podkasała szlafrok do kolan i weszła do mydlanej wody. Natychmiast zrobiło się jej cieplej. Odprężyła się, ale ból w głowie i szyi nie ustąpił. Delikatnie dotknęła zakrzepłej na włosach krwi. Mogła poczekać, aż skrzep sam odpadnie, albo umyć to wszystko.

Zadygotała na myśl o wilgotnych włosach. Na pewno zaszkodzi jej to na zdrowie. Z drugiej strony, jak tu położyć się w czystej, białej pościeli z taką brudną głową? Zakłęła, zrzuciła szlafrok i zanurzyła się w wannie, przyciągając kolana do piersi. Wyszorowała się najlepiej jak mogła, a potem wysuszyła się miękkimi ręcznikami, które przyniosła Jane. Potem zanurzyła włosy w wannie i wypłukała je kilka razy. Zawinęła je w ręcznik, usiadła przy ogniu i czekała, aż wyschną.

Przez chwilę zadumała się nad miejscem, w jakim się znalazła. Kto by pomyślał, że Marlowe usiadzie kiedyś przy ogniu w takiej komnacie, i będzie miała dość wolnego czasu, żeby wysuszyć sobie włosy? Była najedzona, czysta i ubrana w miękką odzież. Musi zapamiętać to uczucie, przyda jej się w ciężkich czasach, które wkrótce nadejdą.

Jedno było jasne. Jeśli lord i lady Lyndon są jej rodzicami, nie może się z nimi spotkać. Naraziłaby ich na niebezpieczeństwo. Nie przeżyłaby czegoś takiego.

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Marlowe podskoczyła. Po chwili do pokoju zajrzała Susanna.

– Och, jak to dobrze, że nie śpisz.

Ręka Marlowe natychmiast powędrowała do szyi. Jak wytłumaczy zniknięcie naszyjnika? Susanna pomyśli, że go ukradła. Siostra Dane'a weszła i zamknęła za sobą drzwi.

– Mam tylko chwilę. Mama upiera się, żebyśmy się spakowały dziś wieczór.

– Wyjeżdżasz – powiedziała Marlowe.

– Tak. – Susanna wzniosła oczy do sufitu. – Mama uważa, że jesteś wcieleniem szatana i sama twoja obecność mnie zdemoralizuje.

Marlowe pomyślała, że jest w tym trochę racji, szczególnie po wydarzeniach tego wieczoru.

– Nie chciałam wyjechać bez pożegnania. Mam nadzieję, że spotkasz się z rodzicami i wszystko się dobrze ułoży.

Marlowe nie wiedziała, co powiedzieć. Że nie ma takiej możliwości? Mimo wszystko miło, że ta dziewczyna tak się zachowała.

– Dziękuję – odpowiedziała więc po prostu. Susanna spojrzała na drzwi i przysunęła się do niej.

– Ale zrobiliście z Dane'em wrażenie na balu – powiedziała przyciszonym głosem. – Po tym walcu wszyscy o tobie mówili. Chcieli wiedzieć, kim jest ta piękna nieznajoma.

Marlowe skrzywiła się, ale Susanna uniosła dłonie.

– Mówię prawdę! Byłaś na ustach wszystkich.

– Śmiali się, że tak okropnie tańczyłam.

– Podziwiali twoją urodę. Słuchaj, wyglądałaś, jakbyś tańczyła to z tysiąc razy. Wiem, że Dane dobrze walcuje, ale sama byłam zdziwiona. Co się stało później? Nagle zniknęłaś.

Marlowe miała ochotę się jej zwierzyć, ale Susanna i tak by jej nie pomogła.

– Dane uznał, że powinniśmy iść. Zanim zrobię coś, co skompromituje jego albo mnie.

Susanna wybuchnęła śmiechem.

– Raczej nie chciał, żeby inni mężczyźni gapili się na ciebie. Zginęłabyś w tłumie chętnych do następnego tańca.

Naturalnie przesadzała, ale Marlowe wbrew sobie bardzo ją polubiła. Była taka naiwna i słodka.

– Co do tego naszyjnika... – zaczęła.

Susanna machnęła ręką.

– Później mi go oddasz. Muszę się spakować, więc lepiej, żebym zabrała się do roboty od razu, bo nie zmrużę oka przez całą noc.

Ruszyła ku drzwiom.

– Chciałam tylko powiedzieć ci dobranoc i do widzenia.

Przerwała i podbiegła do Marlowe. Objęła ją tak mocno, że o mało jej nie przewróciła.

– Przepraszam – wykrztusiła. – Pewnie nie spodoba ci się to, co powiem, ale wydałaś mi się taka mała i samotna.

Odsunęła się.

– Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy.

Pocałowała Marlowe w policzek i wybiegła.

Marlowe spojrzała na zamknięte drzwi i dotknęła policzka. Co za dziwne zachowanie. Musi chronić tych ludzi, a na to jest tylko jeden sposób. Trzeba usunąć Satina z tego świata.

Zaczęła chodzić po pokoju. Myśli wirowały jej w głowie. Kiedy obmyśliła plan działania, usiadła na łóżku i zamknęła oczy. Tak. To się da zrobić. Są duże szanse.

Ale potrzebuje pomocy Dane'a, nie ma innego sposobu.

Wzięła głęboki oddech, założyła narzutkę, żeby zasłonić siniaki na szyi i cicho otworzyła drzwi do sypialni. W korytarzu było ciemno i cicho, ale nie wzięła świecy. Ciemność była jej sprzymierzeńcem. Szkoda, że szlafrok był biały, ale jeśli ktoś ją napotka, wytłumaczy, że chciała pójść do kuchni i się zgubiła. Pomyślała, że zgłodniała.

Zamknęła drzwi. Stała w korytarzu i zaczęła sobie przypominać rozkład domu. Pokój Dane'a był po przeciwnej stronie. Trzeba będzie przejść obok pokoiów hrabiny i Susanny.

Bezgłośnie przekradła się korytarzem. W obu pokojach paliło się światło i słychać było głosy. W pewnym momencie drzwi do pokoju hrabiny się otworzyły i wyszła stamtąd jej pokojówka Edwards, niosąc lichtarz i stos odzieży. Marlowe skuliła się za krzesłem i poczekała, aż światło zniknie w oddali.

Potem ruszyła dalej. Minęła schody i dotarła do męskiej części domu. Wszędzie było cicho i ciemno. Zatrzymała się pod drzwiami Dane'a. Spod progu nie sączyło się światło. Pewnie już spał. Trudno, trzeba będzie go obudzić.

Dotknęła klamki i zdziwiła się mile, że drzwi nie były zamknięte. Ci ludzie nie będą mieli żadnych szans z Satinem.

Weszła do pokoju. Na kominku płonął ogień, ale poza trzaskaniem polan panowała cisza. Ruszyła w stronę łóżka. Pamiętała, gdzie stoją meble, więc ominęła fotel, na którym spędziła część swojej pierwszej nocy w tym domu.

Dane spał. Spod kołdry widać było jego nagi tors. Jedną rękę zarzucił do tyłu za głowę. Ciemne włosy rozsypały się po poduszce. Ręka była całkiem niezłe umięśniona, podobnie jak tors. Może ta cała szlachta jednak się do czegoś nadaje...

Poczuła się dzięki temu trochę pewniej. Trąciła go w ramię.

– Dane, obudź się.

Nie ruszył się. Trąciła go jeszcze raz.

– Dane? To ja, Marlowe. Muszę z tobą porozmawiać.

Dalej leżał nieruchomo, więc kilka razy poklepała go po policzku. Nagle błyskawicznym gestem złapał ją za rękę i wciągnął do łóżka. Otworzył oczy i wbił w nią wzrok.

– Co tu robisz?

– Puść mnie! – Wyrwała się, ale nie puścił. – Muszę z tobą porozmawiać. Chciałam cię tylko obudzić.

Puścił ją wreszcie. Stała obok łóżka. Kołdra zsunęła się z niego jeszcze bardziej, obnażając go do pasa, aż po pośladki. Był nago.

Może ta nocna rozmowa to był zły pomysł.

Odgarnął włosy z oczu, ale zaraz znowu opadły mu na czoło. Potem spojrzął na nią.

– Nie powinnaś tu przychodzić. To nie uchodzi.

Marlowe przewróciła oczyma.

– Mam to gdzieś. Wieczorem powiedziałaś, że mogę ci zaufać. Nic się nie zmieniło?

Zmrużył oczy.

– Chcesz porozmawiać o tym, co zdarzyło się w ogrodzie? – Wskazał jej gardło. Poprawiła narzutkę.

– Tak. Musisz posłać po swojego brata. Potrzebuję policjanta z Bow Street.

– Po co?

– Potrzebuję, i już. Pomożesz mi czy nie?

Nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią, jakby chciał ją przejrzeć na wylot. Poczula, jak fala gorąca spływa jej z brzucha do stóp. Serce zabiło jej tak mocno, że o mało nie wyskoczyło z piersi. Całe ciało przeniknął dreszcz. Poruszyła się, żeby się go pozbyć. Co się z nią dzieje? Dlaczego jedno spojrzenie tego człowieka przyprawia ją o chorobę?

– Odwróć się – powiedział w końcu.

– Co takiego?

– Nie zamierzam z tobą rozmawiać, leżąc nago w łóżku. Odwróć się. Chyba, że masz ochotę popatrzeć.

– Nie masz tam nic, czego bym wcześniej nie widziała.

Ale mimo wszystko odwróciła się, bo na widok innych mężczyzn nie płonęły jej policzki i serce nie biło tak mocno. Może przez te wszystkie kąpiele w końcu się zaziębiła i teraz umrze. Pewnie dlatego jest jej tak gorąco.

Słyszała, jak chodzi po pokoju. W końcu powiedział:

– Możesz już patrzeć.

Stał przy łóżku ubrany w same spodnie. Blask ognia pełzał po jego nagim torsie. Ten widok przyciągał jak magnes.

– Zapomniałaś włożyć koszulę – mruknęła w końcu.

– A ty zapomniałaś poczekać do rana z tą rozmową. Powiedz mi, dlaczego chcesz wezwać mojego brata.

– Nie. Im mniej będziesz wiedział, tym lepiej.

Skrzyżował ramiona na piersi.

– Wcale mi nie ufasz.

– Gdybym nie ufała, myślisz, że przyszedłbym do ciebie? – Naprawdę trudno było oderwać wzrok od jego nagiej piersi.

Uniósł brew.

– Myślisz, że dybię na twoją cnotę?

Zmarszczyła czoło.

– Dybiesz na cnotę?

Machnął ręką, jakby szukał innego słowa.

– Że chcę się z tobą przespać?

– Nie. Jesteś przecież dzentelmenem.

W jednej chwili znalazł się przy niej, tak blisko, że niemal dotknął jej ciała.

– W tej chwili wcale się tak nie czuję.

Zamrugwała.

– To jednak chcesz się ze mną przespać?

Zaśmiała się krótko i przeczesła palcami włosy.

– Naprawdę jesteś aż tak naiwna? Chyba tak, bo inaczej nie przyszłabyś tu mnie wodzić na pokuszenie. Uniosła brwi.

– Wodzę cię na pokuszenie?

– Oczywiście. Gdyby nie resztki honoru, to...

Popatrzyła na niego. Zacisnął szczęki i pięści. Naprawdę walczył ze sobą. Naprawdę budziła w nim takie uczucia? W jej brzuchu znowu coś zadygotało. Znowu się dziwnie poczuła, ale nie przeszkodziło jej to zapytać:

– To co byś zrobił?

– Coś takiego. – Otoczył ją ramionami, silnymi i mocnymi, a potem przyciągnął do twardej piersi. Przez cienką tkaninę szlafroka czuła żar jego ciała. Zapomniała o narzutce, która się rozchyliła. Zetknęli się ze sobą. Zapragnęła, żeby rozgniół jej wargi swoimi. Czasem próbowali tego różni faceci, którzy nie wiedzieli, jak szybko potrafi podnieść kolano. Zamiast tego zapatrzyła się w jego pierś, która unosiła się i opadała, jakby brakowało mu powietrza. Kiedy mimo wszystko jej nie wziął, podniosła wzrok. Dotknęła ręką jej policzka. Palce musnęły skórę tak lekko, że zadygotała. Ujął w dłoń jej podbródek i spojrzał na nią z miną, której nie potrafiła rozszyfrować.

– Co ty wyprawiasz?

– Dybię na twoją cnotę – szepnął. Musnął jej usta wargami, jak przedtem w ogrodzie. Znowu zadygotała. Na pewno się przeziębila. Ale ten dotyk wcale nie był przykry. Tak jak wcześniej, poczuła przeskok iskry między nimi. Uniosła twarz, żeby ją pocałował. Tylko że on był irytująco powolny. Drażnił ją wargami, aż rozboleła ją od tego całe ciało i zapragnęła czegoś więcej. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Wiedziała tylko, że nie chce, żeby Dane przerwał pieszczoty.

Dotknęła dłońmi jego nagiej talii. Poczuła, jak napina mięśnie pod tym dotykiem, ale nie zabrała rąk. Przesunęła je na plecy, czując, jak cały się napręża. Zamruczał gardłowo i objął jej wargi swoimi. Wbiła mu palce w plecy, walcząc z obłądnym zawrotem głowy. Nie mogła oddychać ani myśleć. Nogi się pod nią ugiwały. Nie czuła własnego ciała, za wyjątkiem miejsc, których dotykał. Gorące wargi przesunęły się po jej ciele, więc próbowała za nimi nadążyć. Nie udało jej się to, więc po prostu poddała się pocałunkom, żeby sam pokazał jej, czego pragnie.

Rozchylił jej wargi i wsunął w nie język. Widziała kiedyś takie pocałunki i zawsze wydawały jej się dziwne i obrzydliwe. Ale teraz dreszcz przeszył całe jej ciało. Nieśmiało dotknęła jego języka swoim. Westchnął i zacisnął dłonie na jej talii. Wycofał się, pocałował ją żarliwie, ale ona zapragnęła, żeby wrócił. Musnęła językiem jego wargi, a on cały zeszywniał. Potem wsunął dłoń w jej włosy, objął głowę i przyciągnął do siebie. Nie zamknął jednak ust, więc wsunęła w nie swój język. Coś w niej zadygotało, jakby dom poruszył się w posadach.

Zasypał ją pieszczotami. Nie mogła ustać na nogach, więc osunęła się na ziemię. Pochwycił ją i wziął w ramiona, nie przerywając pocałunku. Nie wiedziała, gdzie kończą się jego usta, a zaczynają jej własne. Wiedziała tylko, że Dane trzyma ją w objęciach i że jest w nich bezpieczna. Co za dziwne uczucie. Dlaczego miałyby czuć się z nim bezpieczna? Rzadko kiedy miała poczucie bezpieczeństwa.

Poczuła pod plecami miękki materac. Dane pochylał się nad nią. Nie całował jej już, tylko pocierał jej policzek swoim. Wargi przesunęły się na jej szyję, zostawiając gorący ślad. Co za dziwne doświadczenie. Dręczył ją i łaskotał, aż wygięła plecy w łuk, żeby było mu łatwiej. Ale zamiast całować ją dalej, oparł czoło na jej ramieniu.

– Marlowe.

Zamrugnęła, wytrącona z transu. Nagle uświadomiła sobie, że leży na łóżku i czuje na sobie ciężar męskiego ciała. Dane opierał się na ramionach, a jego nogi, nie wiadomo jakim sposobem, znalazły się między jej nogami.

– Co ty wyrabiasz? – spytała, odpychając go od siebie. Nie próbował się opierać, tylko stoczył się na

bok i ułożył na plecach obok niej, zasłaniając twarz dłonią. Nie rozumiała, dlaczego to zrobił. Do tej pory żaden facet nie zostawił jej z własnej woli, zanim pięściami i kolaniem dała mu do zrozumienia, że ma się odczepić. Ale Dane nie protestował, więc spojrzała na niego z ciekawością.

Był taki piękny, kiedy tak leżał w samych spodniach. Zapragnęła położyć dłoń na jego piersi, ale nie po to tu przysłała... chodziło przecież o Satina. Lepiej nie tracić czasu.

– Przepraszam – mruknął. – Jak widzisz, wcale nie jestem dżentelmenem.

Zaśmiała się. Odsunął rękę i spojrzał na nią z ukosa.

– Uważasz, że to zabawne?

– Pewnie. Jesteś... najbardziej dżentelmeńskim dżentelmenem, jakiego widziałam w życiu. Ja cię odpycham, a ty przestajesz. Nie musiałam nawet użyć kolana.

Uniósł brew.

– Często go używasz?

– Pewnie. Czasem ktoś wypije za dużo i zapomina, że nie jestem dziwką należącą do gangu, innym razem któryś ze szczeniaków chce się popisać przed innymi. Trzeba ich wtedy przywołać do porządku.

– Rozumiem.

– Ale ty... Nawet nie próbowałeś macać mnie po balonach.

– Balo... dotykać piersi? – Natychmiast na nie spojrzał, a ją znowu oblała fala kłującego gorąca.

– Większość facetów od razu łapie za cycki.

Uniósł brwi.

– Ja też bym chciał, zapewniam cię. Tylko bardzo się pilnowałem. Mimo licznych pokus.

– Właśnie dlatego jesteś dżentelmenem.

Ułożył się obok i długo się w nią wpatrywał. Tak się gapił, jakby brodawka jej wyrosła na twarzy.

– Dlaczego na mnie tak patrzysz?

– Bo ciągle zbijasz mnie z tropu, Marlowe. Raz jesteś naiwna, a w chwilę potem doświadczona przez życie. Mógłbym przysiąc, że jeszcze się z nikim nie całowałaś, a ty mi mówisz, że mężczyźni ciągle cię obmacują.

Uklękała i spojrzała na niego z góry.

– Nie jestem dziwką. Jak ktoś mnie próbuje macać, zaraz dostaje pięścią.

– Mnie nie uderzyłaś.

Otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. Tego nie przewidywała. Właściwie dlaczego nie uderzyła?

– Podobało mi się, jak mnie całowałaś – odpowiedziała powoli, bo właśnie sama sobie to uświadomiła.

Jęknął i zamknął oczy.

– Źle się czujesz? – spytała.

Potrząsnął głową.

– Nie tak, jak myślisz.

Zapadła cisza. Marlowe siedziała na piętach, rozmyślając, jak bardzo Dane różni się od innych mężczyzn, którzy próbowali ją obmacywać. Był dżentelmenem, to prawda, ale to nie wszystko.

– Kiedy mnie pocałowałaś, poczułam iskrę – powiedziała.

Otworzył oczy.

– Mówiłaś coś o tym w ogrodzie. Wspomniałaś też o jakimś Gideonie. To twój kochanek?

– Nie. Tylko przyjaciel.

– Złodziej?

– Kumpel. Pomagamy sobie nawzajem.

– I opowiadał ci o iskrach?

Marlowe pochyliła głowę. Nie miała ochoty mu o tym opowiadać. Niepotrzebnie wymknęło jej się o tych iskrach. Chyba zwariowała, żeby gadać z nim na takie tematy.

– Całowaliśmy się parę razy – przyznała. – Jak byliśmy młodszy.

Dane usiadł.

– Rozumiem. I co?

Wzruszyła ramionami.

– Gid powiedział, że nie czuje iskry. I że lepiej zostanemy przyjaciółmi. Poza tym, Satin zabiłby nas, gdyby nas nakrył na migdaleniu.

– A czy ty się już z kimś... migdaliłaś? – spytał Dane.

Spojrzała z ukosa.

– To bardzo osobiste pytanie.

– Nie musisz odpowiadać.

– Mówiłam ci już, że nie jestem dziwką – odparła, zadzierając podbródek.

– To znaczy, że jesteś dziewicą. – Przesunął dłonią po twarzy. – Co ja wyprawiam? – mruknął do siebie.

Ale Marlowe nagle poczuła się bezbronna i wystawiona na cel.

– A ty? Jesteś tą... no... dziewicą?

Spojrzał na nią.

– Nie rozmawiamy teraz o mnie.

Wymierzyła mu kuksańca i oparła dłonie na biodrach.

– Ja ci powiedziałam.

Uśmiechnął się krzywo.

– Fakt, sprawiedliwość musi być.

– Właśnie.

– Nie jestem. Ale nie jestem też łajdakiem. Nie sypiam z dziewczynami.

– Pewnie masz gdzieś na boku jakąś babę.

– Kochankę? Nie, jakbym miał, to nie byłbym taki sfrustrowany – mruknął pod nosem.

– Nie przyszedł tu, żeby się z tobą całować.

– Nie. Wolisz mojego brata, jak wszystkie kobiety w tym mieście.

Nawet nie próbowała w to wnikać.

– Potrzebuję gliniarza z Bow Street.

– Po co?

Uniosła rękę.

– Mówiłam ci już przedtem...

Złapał ją za nadgarstek.

– A ja powiem ci coś teraz. Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, to wyjaśnij mi parę spraw. Na przykład, kto cię tak urządził w ogrodzie. – Wskazał jej gardło.

– Mam ci powiedzieć, kto to mi to zrobił? – Zdenerwowała się. Czemu ten głupi facet wszystko utrudnia? – To był Satin. Odnalazł mnie, wie gdzie mieszkasz i zamierza obrobić ten dom z moją pomocą.

Dane patrzył na nią wstrząśnięty.

– Nie chcę mu pomagać, ale zabije mnie, jeśli się mu sprzeciwię. Więc mogę zrobić tylko jedno.

– Co mianowicie?

– Dopaść go, zanim on dopadnie mnie.

12

Wpatrywał się w dziewczynę siedzącą na jego łóżku w białym szlafroku i zwiewnej nocnej koszuli. Znowu zapomniała zasłonić szyję, więc dobrze widział ślady, jakie Satin zostawił na jej bladej skórze. Nawet w półmroku widać było, że miały kształt palców. Wcześniej tego nie dostrzegął. Może i dobrze, bo od razu znalazłby tego drania i się z nim rozprawił.

Chyba że drań zabiłby jego. Zdaje się, że ten cały Satin nie wiedział, co to strach. Nie zawahał się przed napadem na gościa księżnej Abingdon, choć gdyby go nakryto, poniósłby surową karę. Zresztą, dlaczego miałby się bać? Jakiej kary? Wyjawiłby tożsamość Marlowe i to by wystarczyło. Przez jakiś czas byłaby bezpieczna, ale po kilku dniach, tygodniach czy miesiącach nikt by się nią już nie przejmował.

Dane spojrział na nią znowu. Umyła włosy, splukała z nich krew. Ciemne, ciężkie od wilgoci loki spadały jej na plecy. Nie przypuszczał, że skorzysta z wanny, którą polecił jej przygotować. A jednak... Pachniała teraz morelowym mydełkiem. Miał ochotę pochylić się, by mocniej poczuć jego zapach, dotknąć wargami jej szyi i znowu zanurzyć się w chmurze słodyczy.

Potrząsnął głową, nie wiedząc, jak do tego doszło. Żył sobie spokojnie, jak każdy arystokrata, i nagle ta kobieta wdarła się w jego życie bez zaproszenia. Nie powinien się z nią w ogóle zadawać. To Brook miał się nią zająć.

Za dużo o niej myślał. Za bardzo jej pragnął. To było wbrew zdrowemu rozsądkowi. Aż tu nagle w środku nocy ukłękła na jego łóżku, mając na sobie tylko cienkie płótno. A o czym teraz rozmawiali? O tym, jak rozprawić się z londyńskim bandytą.

Zatęsknił za swoim dawnym życiem. Nie obchodziło go wtedy ciężkie życie biedoty ani plany bandziorów. Wszystko toczyło się powoli, z godnością. A do tego nudno i przewidywalnie. Każdy dzień był taki sam. Spotykał tych samych ludzi. Chodził na takie same imprezy. Mógłby to wszystko robić przez sen, nie otwierając oczu.

Teraz się obudził i nie był pewny, czy mu się to podoba. Ale jak tu zasnąć z powrotem? Jak zapomnieć o biedzie, sierotach i złodziejach? Jak zapaść się znowu w tę znajomą, banalną egzystencję? Marzyły mu się przygody. Właśnie dlatego wybrał się razem z Brookiem w tę pamiętną noc, żeby porwać Marlowe. I znalazł się w samym środku przygody.

Przełknął ślinę i odchrząknął.

– Możesz to powtórzyć?

Przewróciła oczami. Nie winił jej za to. Na jej miejscu zrobiłby to samo. Zachowywał się jak kompletny bufon.

– Powiedziałaś, że chcę go dorwać, zanim on dorwie mnie.

Nie miał ochoty zadawać następnego pytania, ale nie potrafił go uniknąć.

– Masz na myśli morderstwo?

Spojrzała na niego jak na durnia.

– Ja nie zabijam. Zresztą, jak miałabym go załatwić? Mam tylko nóż, a on wyrwałby mi go z ręki.

– Więc chcesz, żebym to ja go... załatwił?

– Co? Ty? – Wybuchnęła śmiechem, aż zmarszczył brwi. Potem spochmurniał jeszcze bardziej, bo nie przestawała się śmiać.

– Dlaczego to cię tak bawi?

Zacisnęła wargi, zmuszając się do powagi.

– Ty miałbyś załatwić Satina? – Znowu ogarnął ją pusty śmiech, aż opadła bezsilnie na łóżko.

– Mam pistolety – nadał się. – I myśliwskie strzelby. Umieję się nimi posługiwać.

– Gdybyś pojawił się w Seven Dials, Satin od razu by się o tym dowiedział. Nie przypuszczam, żebyś dał radę wtopić się w tłum. Nie dałby ci się do siebie zbliżyć. Ale ja nie planuję go zabić, w każdym razie nie w ten sposób. Powiedziałam ci, że potrzebuję twojego brata albo innego gliniarza. Na przykład takiego, co nie boi się ubrudzić rączek.

– Po co?

– Bo chcę, żeby dotarł do Satina, nadał mu jakiś skok, przekonał go, że chodzi o dużą kasę i szkoda byłoby to odpuścić. Potem złapałby go na gorącym uczynku i sprzedał jak cielę na rzeź. Wtedy Satin zgnąłby w pierdłu.

Odgadł, że chodzi jej o więzienie Newgate.

– Policja z Bow Street nie robi takich rzeczy. Parę lat temu skończyliśmy z takimi praktykami.

Marlowe znowu się zaśmiała, ale tym razem z goryczą.

– Oczywiście, że robi dalej, i uchodzi im to na sucho.

– Ale Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przeprowadziło śledztwo. Winnych schwytano i deportowano.

Marlowe potrząsnęła głową, rozbawiona jego naiwnością. Pomyśleć, że jeszcze niedawno to on uważał ją za naiwną.

– Po co zarabiać na chleb, jeśli jakiś szczeniak może dla ciebie kraść? Potem zostajesz bohaterem, bo złapałeś złodzieja, a bogaci państwo wypłacają ci kasę. I wszyscy są szczęśliwi, za wyjątkiem tego szczeniaka.

– Mój brat nigdy by nie zrobił czegoś takiego.

– On akurat nie, ale inni owszem. Pytam tylko, czy on by mi pomógł? Dostałby w swoje ręce najgroźniejszego bandziora, szefa bandy z Covent Street. To musi być ktoś, kto zna się na robocie, bo inaczej Satin zaraz go rozgryzie.

Dane skinął głową i zamilkł. Marlowe była mądra. Wiedział o tym wcześniej, ale nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo. Ten plan mógł się udać, ale nie z udziałem Brooka. W każdym razie, nie w takiej roli.

– Porozmawiasz z bratem czy nie? – spytała.

– Nie.

– Łajdak! – Wyskoczyła z łóżka i ruszyła do drzwi. Na odchodnym rzuciła:

– Wiedziałam, że nie powinnam ci ufać. Byłam głupia, myśląc, że pomożesz komuś takiemu jak ja.

– Marlowe.

– Odchodzę. Nie próbuj mnie zatrzymywać.

Złapała za kłamkę.

– Marlowe, przestań wrzeszczeć, bo wszystkich pobudzisz.

– Mam to gdzieś.

– A ja nie, więc jeśli chcesz, żebym ci pomógł, niech to spotkanie zostanie między nami.

Powoli odwróciła się ku niemu, wciąż z ręką na kłamce.

– Już ci powiedziałam, jak możesz mi pomóc. A ty odmówiłeś.

– Bo twój plan się nie uda.

– Co ty możesz o tym wiedzieć, wielki panie lordzie? Dużo takich planów w życiu ułożyłeś?

– Nie, ale sama mówiłaś, że Satin zacznie coś podejrzewać, jeśli pošlesz tam kogoś z Bow Street.

– Tylko wtedy, jeśli gliniarz nie będzie przekonujący.

Zacząła go słuchać, więc Dane wstał z łóżka i podszedł do niej.

– Jeśli ty wiesz o sztuczkiach gliniarzy, to Satin też je zna. Zaufałabyś jednemu z nich, nawet jeśli by się bardzo starał?

Spojrzała na niego, zaciskając wargi w cienką kreskę.

– Nie.

– I wydaje ci się, że Satin zaufa?

Zgarbiła się. Widział, jak opadają jej ramiona.

– Nie. – Pokręciła głową. – Szlag by to trafił. To była moja ostatnia nadzieja. Jestem załamana.

Spojrzała na niego okrągłymi, błękitnymi oczyma, które podejrzenie błyszcząły. Ciekawe, ile wewnętrznej siły musiała użyć, żeby się nie rozpłakać.

– Ty też jesteś załamany.

– Wcale nie. Wprawdzie nie zamierzam mieszać w to brata, ale to nie znaczy, że ci nie pomogę.

– Słucham cię zatem.

Oparła pięści na biodrach ze sceptyczną miną. Niezbyt mu się to podobało.

– Sam przekonam Satina, żeby zrobił ten... no... jak ty to nazwałaś? Skok?

Zamknęła oczy.

– To się nie uda.

– Dlaczego?

– Bo natychmiast się zorientuje, kim jesteś.

– Jakim cudem? Wie, że ten dom należy do hrabiego Dane, ale nigdy mnie nie widział. Nie ma szans mnie rozpoznać. Mogę być na przykład młodszym synem księcia, który chce udziału w bogactwach swojego starego. I chciałby wykorzystać Satina, żeby się do nich dorwać.

Nie odezwała się. Uznał to za dobry znak.

– Powiedziałaś, że jeśli pójdę do Seven Dials, od razu mnie rozpoznają jako obcego. No i dobrze, nawet nie będę udawał, że jest inaczej. Pójdę tam jako dżentelmen, który szuka bandyty do brudnej roboty. Jeśli Satin chwyci przynętę... – przerwał. Na tym jego plan się kończył.

Marlowe nieco się odprężyła.

– Potem możemy się zastanowić, co dalej.

– My?

Odsunęła się od drzwi.

– Jeśli chcesz zwabić Satina, trzeba iść wprost do niego. W przeciwnym razie wyśle na akcję Gideona albo Beezle'a. Chętnie zobaczę, jak Beezle zadynda, ale reszta chłopaków na to nie zasługuje. Zaprowadzę cię do Satina. Powiem mu, że natrafiłam na łatwiejszą robotę niż obrabowanie tego domu.

– Tylko jak zrobić, żeby nie posłał jednego z tych... szczeniaków, żeby odwalił brudną robotę za niego?

– Jeśli powiem mu, że to skok na duże pieniądze, będzie chciał zgarnąć wszystko dla siebie.

– Myślisz, że to podziała?

– Musi. Ale mamy mało czasu. Obgadamy szczegóły i pójdziemy do niego jutro wieczorem.

– Świetnie. W międzyczasie prześpijmy się trochę. – Ziewnął znacząco.

– Jak to prześpijmy? Muszę obmyślić plan. Lepiej wynajmij paru strażników, na wypadek gdyby Satin postanowił obrobić cię bez ostrzeżenia.

Dane machnął ręką.

– Zajmę się tym jutro. Chodźmy spać.

Wrócił do łóżka i zaczął ściągać spodnie, ale przerwał, widząc, że Marlowe się nie ruszyła.

– Zostajesz ze mną? – spytał. Miał wielką ochotę, żeby przytaknęła. Sam by ją zaczął do tego przekonywać, gdyby nie wiedział, że przespanie się z nią byłoby najgorszą z możliwych życiowych decyzji.

Szczerze mówiąc, drugą w kolejności. Ciekawe, czy przeżyje tę aferę z Satinem. Westchnął. Przygód mu się zachciało.

– Nie zostaję. Chciałam tylko...

Kiedy zamilkła, uniósł tylko brew.

– Spojrzeć jeszcze raz na moje cudowne ciało?

Przewróciła oczyma. – Nie.

– Buziaka na dobranoc? Z przyjemnością.

– Nie. Nieważne! Chciałam ci podziękować, ale zapomniałam, jak bardzo cię nienawidzę. – Z tymi słowami otworzyła drzwi i wpadła na korytarz.

Dane pokręcił głową. Pewnie obudziła połowę służby. Spojrzał na zegar. Zresztą, większość z nich i tak już wstała i wzięła się do pracy.

– Nie ma za co – mruknął, rozebrał się i wskoczył do łóżka. Sen długo nie przychodził. Za to stale towarzyszyły mu zapach morelowego mydła i echo jej głosu.

Następnego dnia rano, a raczej po południu, kiedy wstał i się ubrał, pomyślał, że poprosi Crawforda, by przysłał Marlowe do biblioteki. Zresztą, nietrudno było domyślić się, gdzie ją znajdzie. Zamiast wzywać lokaja, po prostu zszedł do jadalni. Wiedział, że pora śniadania dawno już minęła, tym bardziej że matka z siostrą wyjechały o świcie. Otworzył drzwi, i oczywiście Marlowe siedziała za stołem, a przed nią stał talerz pełen jedzenia. Kucharka dobrze się o nią troszczyła. Sądząc po okruszkach, nie było to pierwsze danie. Crawford stał w kącie.

– Dzień dobry – odezwał się Dane.

Spojrzała na niego spod oka, wpychając do ust kolejną parówkę.

– Herbaty, milordzie? – spytał Crawford.

– Dziś proszę o kawę.

– Służę, milordzie.

– Czy hrabina i moja siostra zostawiły dla mnie jakieś wiadomości na odjezdnym? – zapytał. Niespecjalnie go to interesowało, ale wiedział, że wiadomość od matki i tak prędzej czy później do niego dotrze.

– Tak, milordzie. Starsza pani powiedziała, że nie wróci, dopóki ta wulgarna kobieta nie zostanie stąd usunięta. Mam ją powiadomić, kiedy lord i lady Lyndon się jej wyrzekną.

Dane spojrzał na Marlowe. Na moment przestała żuć, ale potem przełknęła i znowu zabrała się za tosta. Jej zachowanie przy stole trochę się poprawiło od chwili przyjazdu, ale wciąż pozostawiało sporo do życzenia.

– A jeśli się jej nie wyrzekną? – zapytał.

Crawford pociągnął nosem.

– Jej hrabiowska mość nie zostawiła instrukcji na taką ewentualność.

Nalał mu kawy i wrócił do swego kąta.

Kawa była nie najlepsza, ale trochę go orzeźwiła po niemal bezsennej nocy. Podejrzewał, że do końca rozprawy z Satinem i tak nie zmruży oka. Ciekawe, czy Marlowe zasnęła. Miała na sobie tę samą suknię, co poprzedniego dnia, a wyszczotkowane włosy uczesała w prosty koński ogon. Zrezygnowała z koafiury albo nie dała pokojówce ich dotknąć.

– Panno Marlowe – powiedział, żeby utrzyć nosa Crawfordowi. – Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać o naszych planach. Spotkajmy się w bibliotece, kiedy skończysz jeść. Crawford, czy mogę cię prosić na chwileczkę?

– Tak, milordzie – odparł lokaj, spoglądając podejrzliwie na dziewczynę.

Gdy wyszli z jadalni, Dane zamknął drzwi.

– Wynajmij kilku dodatkowych służących, ale tylko zaufanych. Takich, z których usług już przedtem korzystałaś. Znajdziesz kogoś takiego?

– Naturalnie, milordzie – nadął się lokaj. – Czy mogę spytać dlaczego? Nathaniel i Jimmy dobrze sobie radzą ze wszystkim.

Dane usiadł przy biurku.

– Nie mam zastrzeżeń do ich umiejętności, ale chciałbym, żeby kilku dodatkowych ludzi strzegło domu przez kilka następnych dni.

– Boisz się złodziei, milordzie? – Crawford spojrział w stronę jadalni.

Dane nie miał ochoty mówić mu prawdy. Im mniej osób będzie wiedziało o tym, co planowali z Marlowe, tym lepiej.

– Wczoraj na balu kilku sąsiadów skarżyło się, że włamano im się do domów. W okolicy chyba zaczął grasować jakiś gang. Musimy się zacząć pilnować, dopóki ich nie złapią. Crawford otworzył oczy, wyraźnie zdumiony.

– Gang złodziei, milordzie? W Mayfair? Nic o tym nie słyszałem.

Pewnie, że nie słyszał, bo Dane wszystko zmyślił.

– Policja z Bow Street nie chce, żeby złodzieje się zbyt wcześnie zorientowali. Liczę na twoją dyskrecję, Crawford.

– Oczywiście, milordzie.

– Jeszcze jedno.

– Pewnie chodzi o pannę Marlowe, milordzie.

– Tak. Po wyjeździe mojej matki i siostry nie powinniśmy mieszkać we dwójkę w tym samym domu. To wbrew przyzwoitości. Mam nadzieję, że nie będziesz rozgłaszać tej sytuacji.

– Postaram się, milordzie. Czy ta panna nie może zamieszkać gdzie indziej?

– Crawford, jeśli to córka lorda Lyndona, powinniśmy się nią zaopiekować. Nie odeślę jej stąd.

– Naturalnie, milordzie.

Ktoś zastukał do drzwi.

– Dziękuję, Crawford. To wszystko.

Lokaj skinął głową i otworzył drzwi przed Marlowe. Dane westchnął i zaprosił ją do środka.

Nie wiedzieć czemu, Dane siedzący za biurkiem wyglądał całkiem inaczej. Jak prawdziwy hrabia. Może przyzwyczała się oglądać go w łóżku, w negliżu. Zresztą, bardziej jej się to podobało, ale wolała nie zagłębiać się zbyt szczegółowo w te rozważania.

Lokaj, chmurny jak zwykle, przeszedł obok niej i zamknął za sobą drzwi. Zostali sami.

– Nie przepada za mną – stwierdziła oczywisty fakt.

– Nie musi – odparł Dane, wstając zza biurka. – Ale gdyby cię polubił, byłby cennym stronnikiem. W każdym razie, kazałem mu wynająć paru ludzi do ochrony.

Wskazał jej krzesło po przeciwnej stronie blatu.

– Dobra. Ale jeśli Satin zechce obrobić to miejsce, nic go nie zatrzyma. Nie będziesz się pilnował do końca życia.

– To prawda, ale jeśli nasz plan się powiedzie, nie będę musiał. – Zmarszczył brwi. – Zdajesz sobie sprawę, że nie mogę usiąść, dopóki nie spocznie na krześle?

Nie wiedziała o tym.

Na jej powitanie nikt dotąd nie wstawał.

– Przepraszam.

Usiadła, on także wrócił na swoje miejsce.

– Głupio się czuję – powiedziała.

– Tak będzie lepiej. Mniej oficjalne sytuacje trochę nas... rozpraszają.

Chodziło mu o pocałunki. Ciekawe, dlaczego nigdy nie mówił niczego wprost. Niepotrzebne

zawracanie głowy.

– Myślałam o tym planie – powiedziała. Wstała i zaczęła spacerować po pokoju. W ruchu zawsze jaśniej jej się myślało.

– Naprzeciwno nory Satina jest tawerna. Możemy tam wynająć pokój. Będziemy mieć bandę na oku. Spojrzała na Dane'a, który stał za biurkiem.

– Przepraszam cię bardzo – powiedziała i usiadła. Z kwaśnym uśmiechem zajął swoje miejsce za biurkiem.

– Jak się nazywa ten przybytek?

– Nie nazwałabym go przybytkiem. To „Piwnica pod różowym jednorożcem”.

– Bardzo ciekawe.

– Znam właścicieli. Nie kochają Satina, ale nie chcą go drażnić. Będziemy musieli uważać.

– Naturalnie. I co potem?

– Zrzucimy przynętę.

Wstała i podeszła do półek z książkami, zastanawiając się, czy ktoś kiedyś przeczytał te wszystkie tomiska. Skąd wzięłyby na to czas? Ona ledwie sylabizowała i czytanie zajmowało jej strasznie dużo czasu.

– Kiedy Satin się dowie, że wróciłam, na pewno do mnie przyjdzie. Wtedy opowiesz mu tę bajeczkę o księciu. Tylko musi być przekonująca, i to bardzo.

– Postaram się.

Odwróciła się. Znowu wstał, ale miała już dosyć siadania.

– Nie wolno ci okazywać, że ci się podobam.

– Co masz na myśli?

Wyszedł zza biurka. Od razu pożałowała, że to zrobił. Był taki przystojny w pantalonach do kolan i granatowym surducie.

– Nie wolno ci pokazywać, że ci na mnie zależy. Zresztą, i tak wiadomo, że ci nie zależy.

Uniósł brwi.

– Myślisz, że mi na tobie nie zależy?

Wzruszyła ramionami.

– Chcę tylko powiedzieć, że gdy Satin dostrzeże twoją słabość, natychmiast ją wykorzysta. Więc żadnych pocałunków.

Odwróciła się, czując, że palą ją policzki. Nie rozumiała, dlaczego od tej rozmowy poczuła dziwne dygotanie w brzuchu. Może parówki były nieświeże.

– Rozumiem. Żadnych pocałunków.

Nagle znalazł się tuż za nią, sądząc po odległości, z jakiej dochodził jego głos.

– Czego jeszcze nie będzie mi wolno robić?

– Nie broń mnie. Nawet jeśli będzie mnie wyzywał albo kopał, nie wolno ci kiwnąć palcem.

Dane sapnął gniewnie. Poczowała na plecach ciepło jego oddechu.

– Tego ci nie zagwarantuję.

Odwróciła się. Był tuż przy niej.

– Musisz. Nie robi mi krzywdy. Przynajmniej na razie. Jetem mu potrzebna, a to znaczy, że jestem bezpieczna.

Uniósł dłonie i dotknął jej policzka.

– Przeszłaś przez piekło, Marlowe. – Pogładził kciukiem skórę. – Chciałbym zmazać te wszystkie wspomnienia.

Dziwne słowa. Od tego dotyku zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco. Serce biło jej jak młotem. Chyba naprawdę była chora.

– Nie rób tak – powiedziała, niemal bez tchu.

– Jak?

– Nie dotykaj mnie w ten sposób.

– Rozumiem. Bo to znaczy, że mi na tobie zależy.

– Nie o to mi chodziło. Powiedziałam tylko, że masz tego nie okazywać. Chociaż zresztą wcale ci nie zależy.

– A gdybym ci powiedział, że mi zależy? I to bardzo?

Pokręciła głową. Nie miała pojęcia, w co on gra i nie zamierzała sobie tym zawracać głowy. Chciała odejść, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

– Nie uwierzyłabyś mi, prawda? Do tej pory nikomu na tobie nie zależało.

To prawda, przynajmniej nie w ten sposób. Gideon był jej przyjacielem, opiekował się nią, na ile mógł, ale tak samo troszczył się o inne szczeniaki.

– Dlaczego komuś miałoby zależeć? Jestem nikim. Nawet jeszcze gorzej. Złodziejką.

– Trudno mi wyjaśniać motywy innych ludzi, ale mogę ci powiedzieć, dlaczego mi na tobie zależy.

Był o wiele za blisko. Delikatnie kreślił kciukiem kółka na jej policzku i gładził szczękę. Wolałaby, gdyby się odsunął. Gdyby zrzygała mu się na buty, pewnie dałby jej spokój. Ale z jakiegoś powodu chciała, żeby miał o niej dobrą opinię.

– Dlaczego? – spytała więc.

– Dlaczego cię lubię? Mam słabość do inteligentnych kobiet. Rzadko je spotykam.

– Uważasz, że jestem inteligentna?

– Może raczej przebiegła.

Zmarszczyła brwi.

– Nawet nie umiem czytać.

– Nauczysz się błyskawicznie. Wiesz, co jeszcze w tobie lubię?

Gładził ją po szyi i muskał po ramieniu.

– Jesteś bezpretensjonalna.

– To dobrze?

– W moim świecie to rzadkość. Poza tym, w odróżnieniu od większości kobiet, masz zdrowy apetyt.

– To znaczy, że jestem ciągle głodna?

– Właśnie.

Położył ciepłą dłoń na jej ręce.

– Ale Crawford powiedział, że przy jedzeniu zachowuję się jak świnia.

Dane wybuchnął śmiechem.

– I nie przyłożyłaś mu za to?

– Za szybki był – odpowiedziała z uśmiechem.

Dane wziął głęboki oddech.

– I jeszcze za to.

– Za co?

– Za twój uśmiech. Jesteś piękna, gdy się uśmiechasz.

Spojrzała na ich splecione palce.

– Jeśli chcesz przekonać Satina, że ci na mnie nie zależy, nie rób takich rzeczy.

– Mam nie trzymać cię za rękę? A tak mogę? – Objął ją w tali i przyciągnął do swojej szerokiej, promieniującej ciepłem piersi. Pachniał mydłem i jakimiś piznowymi perfumami.

– To zły pomysł.

– Naprawdę? – Pochylił się i ucałował jej czoło, powieki, nos i policzki. – Tego też pewnie nie powinienem robić.

– Zdecydowanie.

– To też jest zły pomysł. – Musnął jej wargi swoimi.

Mruknęła niezrozumiale, bo nie była w stanie myśleć. Jego wargi też były ciepłe. Smakowały kawą, cukrem i śmietanką. Od dotyku jego dłoni przechodziły ją dreszcze.

Jego usta żądały pieśczoły, język drażnił i pieścił jej wargi. Zapraęnęła czegoś więcej.

Oderwali się od siebie bez tchu.

– Dobrze, że wszystko sobie teraz wyjaśniamy – powiedział. – Trzeba ustalić zasady.

– To było zdecydowanie wbrew zasadom.

– Nie wolno całować w usta. A tutaj? – Dotknął wargami jej szyi. O mało nie podskoczyła do góry.

– Zde... – Nie skończyła, bo zaczął skubać płatek jej ucha. Potem wrócił na szyję, całując czule okolice gardła.

– Tu wolno? – zapytał, pieścąc oddechem jej ciało.

– Nie.

– Mam przestać?

– Nie. – To był błąd. Powinna kazać mu przestać, ale w głowie jej się mieszało od tej dziwnej choroby i wszystko jej się myliło. Dotyk jego warg był tak miły, ciepły i czuły. Nie chciała, żeby przestał.

Pochylił się jeszcze niżej, muskając wargami dekolt błękitnej sukni. Zaczął się bawić zapinkami u jej stanika. Spojrzał na nią. Oczy miał szeroko rozwarte z pożądania, ale tliła się w nich iskra wesołości. Przypominał jednego z psotnych szczeniaków z jej bandy.

Wtedy zdjął pierwszą zapinkę.

Ona także szeroko otworzyła oczy.

– Mam przestać? – spytał, wyjmując kolejną. Wpatrywał się w nią uważnie. Czowała, jak tkanina zsuwa się z jej ciała.

– Ja...

Kolejna szpilka padła jego ofiarą.

– Tak?

– Co ty wyprawiasz?

– Całuję cię. Tylko tyle.

Ujął miękki materiał i ściągnął go w dół. Miała na sobie tylko gorset i koszulkę, ale ten gorset tak wypychał jej piersi, że prawie całe były na wierzchu. W dodatku dziwnie bolały. Zrobiły się ciężkie i tkliwe.

Jego ręce znalazły się tuż pod piersiami.

– Mogę? – spytał jak prawdziwy dżentelmen.

Tak, pomyślała. Tak, rób wszystko, czego zapragniesz.

– Możesz... – zabrakło jej słów. Zresztą, język był też dziwnie nieposłuszny.

– Mogę cię pocałować? – Dotknął kciukiem twardej piersi. – Tutaj?

– Tak – szepnęła.

– Dobrze – odpowiedział. – Chybabym umarł, gdybyś mi nie pozwoliła.

Musnął wargami napięte ciało. Poczwała falę ciepła w dole brzucha. Jego usta powędrowały ku drugiej piersi, darząc ją delikatnymi pocałunkami.

Złapała go mocno za ramiona. Musiała się czegoś przytrzymać, bo nogi się pod nią ugiwały. Sądząc po objawach, chyba dopadła ją dzuma.

Jego język zagłębił się w zagłębieniu pomiędzy piersiami. Jęknęła cicho i wygięła całe ciało, przyciskając się do niego.

– Jeszcze? – spytał.

Powinna odmówić, ale ciekawa była, co będzie dalej.

– Jeśli Satin zacznie podejrzewać...

– Jego tu nie ma – szepnęła prosto w jej skórę. – A ja chciałbym cię zobaczyć. Mogę? – Znowu się w nią wpatrywał, czekając cierpliwie na odpowiedź. Wiedziała, że jeśli zabroni, Dane odsunie się od niej.

Do niczego jej nie zmuszał, choć był od niej silniejszy. Zresztą, była w takim stanie, że wcale nie musiałyby używać siły.

– Tak – usłyszała swój własny głos.

– Dziękuję – odpowiedział po prostu. Miała ochotę uderzyć go za te ceregiele, ale właśnie wtedy ściągnął z niej koszulkę, obnażając ciało. Myślała, że wtuli twarz w jej piersi. Widziała, jak to robili mężczyźni „Pod jednorożcem”. Ale on się nie ruszał, tylko patrzył. Tak długo, że się zaniepokoiła.

– Wiem, że są duże. Za duże – powiedziała. Chciała z powrotem założyć koszulkę, ale złapał ją za rękę.

– Są cudowne – powiedział. Spojrzał w jej oczy. – Cała jesteś cudowna.

– Nieprawda. Tylko z nimi kłopot, szczególnie że powinnam wyglądać jak chłopak.

– Wcale nie chcę, żebyś wyglądała jak chłopak – powiedział. – Masz ciało kształtnej kobiety.

Pogładził dłonią krągłości jej ciała.

Ujął w dłonie obie piersi i lekko je ścisnął.

– Są takie miękkie. I jednocześnie jędrne. Musnął kciukiem sutek, aż westchnęła.

– Sutki są najlepsze ze wszystkiego – dodał. – Takie twarde i różowe. Tylko czekają, żebym je pocałował. Mogę? – Pieścił je kciukiem. Pomyślała, że zaraz umrze z rozkoszy.

– Och, tak.

Uśmiechnął się.

– Zaczę stąd.

Przesunął wargami po miękkiej skórze piersi, pieszcząc kciukiem sutek. Wilgotny język drażnił drugi z nich. Potem wargi zamknęły się na nim, ssąc delikatnie.

Przeszyła ją iskra czystej rozkoszy. Mimowolnie jęknęła. Przyciskał jej ciało do półki z książkami tak mocno, że czuła na plecach ich chłodne, twarde grzbiety. Znowu ją polizał, a potem zaczął pieścić kciukiem drugi sutek. Głowa opadła jej do tyłu, opierając się o książki.

– Jesteś taka cudowna – powiedział. Otworzyła oczy. Znowu na nią patrzył.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę.

– Udowodnij – zażądała gardłowym głosem, gdy znowu ją obejmował.

– Chciałbym, ale nie wezmę cię tu, w bibliotece.

Zamknęła oczy i zaraz je otworzyła z powrotem. Miała zamęt w głowie. Co ona wyprawia? Nie jest przecież dziwką. Nie chce chodzić z brzuchem ani zabawiać dzieciaka.

– Nie możemy tego zrobić.

Nie spierał się z nią. Skinął tylko głową i się odsunął. Opuścił jej koszulkę i próbował poprawić gorset. Odsunęła jego ręce.

– Sama to zrobię.

Odwrócił się, żeby jej nie krępować.

Po chwili uspokoiła się trochę i zaczęła normalnie oddychać.

– Powinniśmy porozmawiać o naszych planach – powiedział, nie odwracając się. – Im szybciej zacniemy, tym szybciej będziemy mieli to wszystko za sobą.

Ciekawa była, co chce przez to powiedzieć. Czy chodzi mu o ich znajomość, czy o przeprawę z Satinem? Nie zapytała go jednak. Powiedziała tylko:

– Możesz się już odwrócić. Jeśli jesteś gotów, możemy ruszać. Tylko najpierw ci wszystko powiem.

13

Dwie godziny później Dane stał pod tawerną. Pomyślał, że niezły z niego gość. Odwiedził Seven Dials raz czy dwa razy, ale nie przepadał za slumsami. Wiedział, że niektórzy młodzi ludzie uwielbiają takie wyprawy. Pociąga ich niebezpieczeństwo i zmiana otoczenia, a także nieposłuszeństwo wobec rodziców. Dane wolał wygodę, dobrą brandy i święty spokój.

Ze spokojem musiał się pożegnać. Matka wyjechała z Derring House pełna urazy. Marlowe wprowadziła zamęt w jego życie od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Wystarczyło spojrzeć na tawernę, by zwątpić, że kiedykolwiek była tam dobra brandy. Ale Dane nigdy nie uchylał się od odpowiedzialności. Nie mógł przecież puścić Marlowe samej, a poza tym nie życzył sobie, by jacyś złodzieje włamywali mu się do domu, szczególnie po powrocie matki i siostry. Trzeba było powstrzymać tego całego Satina, a Marlowe chyba wiedziała, jak to zrobić. Dane nie do końca rozumiał jej plan, ale przynajmniej znał swoją rolę. Był najmłodszym synem księcia Yorkshire. O ile wiedział, taki tytuł w ogóle nie istniał, ale Marlowe wcale się tym nie przejmowała. Powiedziała, że brzmi dostojnie i śmierdzi pieniędzmi na odległość.

Tak więc znaleźli się pod „Piwnicą pod różowym jednorożcem” w Seven Dials. Zatrzymała się, żeby się rozejrzeć. Rozglądali się więc, a on z trudem powstrzymywał się, by nie osłonić nosa chusteczką. Wokół panował smród nie do wytrzymania. W rynsztokach walały się nieczystości, które wyrzucano do nich wprost z okien. Wszędzie piętrzyły się śmieci. Chyba wszyscy mieszkańcy siedzieli na ulicy. Wszędzie biegały dzieci, tłoczyły się na bruku, siedziały na progach, pełzały po brudnych zaułkach. Kobiety i mężczyźni siedzieli beczynnym na schodach albo krawężnikach, jakby opadli na nie bez siły. Po drodze ciągle nagabywały go prostytutki. Marlowe, ubrana jak chłopak, w spodnie i luźną koszulę, przeganiała je, czasem zwracając się do nich po imieniu. Z jedną z nich o mało się nie pobiła. W końcu Marlowe sięgnęła po nóż i kobieta odeszła, mamrocąc pod nosem jakieś przekleństwo.

Ciekawe, co by zrobił, gdyby Marlowe się poddała. Musiałby się przespać z tą straszną babą? Zadygotał. Miała może ze trzy zęby, w jej włosach mrowiło się coś obrzydliwego, a na twarzy straszły otwarte krosty. Za nic by tego nie zrobił, nawet gdyby mu dopłacali.

Parę razy przyczepili się do niego kieszonkowcy. Ciekawe, czy jeszcze miał chusteczkę. Jeden z nich ukradł mu sakiewkę, ale Marlowe mu ją odebrała. Potem zatrzymała ją przy sobie. Potem kilkakrotnie przepędzała jakieś dzieci. On nawet nie zauważył, że miały go na celu. Tyłu tu było małych żebraków i złodziei. Powinien się lepiej rozglądać.

Jeszcze niedawno przemawiał na ten temat w Parlamencie. Grzmiał, że slumsy to wylęgarnia zbrodni, pełno tu nierobów, którzy wolą kraść, niż uczciwie pracować na życie. Teraz jednak przerażało go cierpienie tych tłumów. Było obezwładniające. Podobno Anglia jest największym mocarstwem świata. Dlaczego mieszkańcy stolicy muszą żyć w takich warunkach? Dlaczego wcześniej nie zwracał na to uwagi?

– Chodź – powiedziała w końcu Marlowe, wskazując drzwi. – Wszyscy śpią, ale Satin zawsze stawia kogoś na czatach. Jeśli nas zauważył, zaraz ktoś do nas dołączy.

Dane ruszył jej śladem, pochylając się w niskich drzwiach. W środku mrok rozjaśniały tanie świece,

ale i tak prawie nic nie widział.

– Chyba jednak nie wszyscy śpią – powiedział na widok kilku mężczyzn i prostytutki, która rozsiadła się zachęcająco. – Na ulicach był tłok.

Marlowe pokręciła głową.

– Poczekaj, aż się ściemni. Za parę godzin będą takie tłumy, że trzeba się będzie przez nie siłą przepychać. Pogadam teraz z Barbarą, żeby dała nam pokój – powiedziała, zostawiając go samego.

Prostytutka w jednej chwili znalazła się przy nim.

– Cześć, szefuniu – powiedziała, głaszcząc go po rękawie. – Wyglądasz na takiego, co umie się zabawić. Marge da ci wszystko, co zechcesz.

Oblizwała się w sposób, który miał być kuszący. Była przeraźliwie chuda i chyba młodsza od jego siostry.

– Jadłaś coś dzisiaj? – zapytał.

Marge uniosła cienkie brwi.

– Miałam nadzieję, szefie, że kapnie mi od ciebie parę pensów i coś sobie za to kupię.

– Zamów, co chcesz – powiedział. – Ja płacę.

Spojrzała podejrzliwie.

– A co mam za to zrobić?

– Nic. Nie interesują mnie twoje usługi. Ale widzę, że jesteś głodna.

– Ja też jestem głodny – odezwał się ktoś od stołu.

– A mnie się chce pić – powiedział potężnie zbudowany mężczyzna. – Może kupisz nam po szklaneczce jagodzianki i miskę kartofli z mięsem, co?

Dane zrozumiał, że popełnił błąd. Ci ludzie raczej nie pogodzą się z odmową.

– Nikomu nie będzie nic kupował – odezwała się Marlowe, która nagle pojawiła się u jego boku w towarzystwie czysto ubranej, starszej kobiety. – On jest ze mną i nie ma przy sobie złamanego grosza. Uratowałam go przed bandą z St. Giles, ale okradli go ze wszystkiego, tylko ciuchy mu zostawili.

Mężczyźni zakleli pod nosem, a Marge napluła mu na buty. Jedno spojrzenie Marlowe przegnało ją precz.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła do niego. – Chcesz, żeby ktoś ci poderznął gardło? Mamy się zobaczyć z Satinem, a nie ze wszystkimi bandziorami w okolicy.

– Przepraszam – rozłożył ręce. – Chciałem tylko pomóc.

– Nie rób tego.

Kobieta stojąca obok odchrząknęła. Marlowe odwróciła się do niej.

– Lordzie Maxwell, to jest Barbara.

Barbara dygnęła.

– To zaszczyt, że milord nas odwiedził. Marlowe powiedziała, że chce pan pokój.

– Tak. Macie jakiś?

– Oczywiście. Dla milorda zawsze. Najlepszy, jaki mamy. Niech no tylko obudzę tego mojego leniwego chłopca. Jak wstanie, zaraz możecie tam iść. – Z tymi słowy poszła na górę.

Dane zamrugał.

– Czy to znaczy, że dadzą nam własny pokój?

Marlowe wzruszyła ramionami.

– Pewnie jest najlepszy. Nie przejmuj się – powiedziała, wskazując na pusty stół. – Nie zamierzamy tu zostać długo, a zresztą zapłacisz im za to. Barbara to moja przyjaciółka.

Dane położył rękę na stole i zaraz ją cofnął, zacierając lepkie palce.

– Co dalej? Czekamy?

Marlowe kiwnęła głową i usiadła na krześle, jakby była przyzwyczajona do tego. W czapce na długich włosach i chłopięcej odzieży nie przypominała kobiety, z którą poprzedniej nocy tańczył na balu. Czapka

przysłała błękit jej oczu. Zresztą, spuściła wzrok, żeby nie przyciągać uwagi.

Byłaby uroczą hrabiną. Już wcześniej przeszło mu to przez głowę. Jeszcze żadna kobieta go tak nie zainteresowała. Naprawdę ją polubił, a teraz zaczął ją darzyć coraz większym szacunkiem. Niełatwo było tu przeżyć. Była nieustraszona, pewna siebie i przebiegła. Nigdy w życiu nie spotkał kogoś takiego jak ona.

Tok jego myśli przerwał jakiś brudny, zabłocony, śmierdzący mężczyzna, który przysiadł się do ich stołu.

Marlowe spojrzała na niego.

– Zjeżdżaj stąd, Bentoit.

– Niby dlaczego? Jestem grzeczny. Dawno cię nie widziałem, Marlowe. Znalazłaś sobie nową zabawkę?

– Nie twoja sprawa.

– Może twój przyjaciel pomoże mi w mojej sprawie. Może ma znajomych, którzy potrzebują usług kogoś takiego, jak ja.

– Nic z tego.

Dane odchrząknął, bo w gardle gryzł go dym, unoszący się w izbie. Nareszcie ktoś, kto ma jakąś pracę Ciekawe, jaką.

– Czym się pan zajmuje, panie Bentoit?

Mężczyzna nadął się z dumy.

– Zmartwychwstaniem, milordzie. Jestem najlepszy w tym fachu.

– Zmartwychwstaniem?

– Okrada groby – wyjaśniła Marlowe. – Najgorsza szumowina. Nie wiem, dlaczego Barbara cię tu wpuszcza. Dlaczego nie pójdziesz do swoich kumpli „Pod żołnierski los”?

Bentoit pociągnął nosem.

– Bo tam śmierdzi.

– Ty sam śmierdzisz – odezwała się Barbara. – Wynocha mi stąd.

Odszedł, powłócząc nogami i mrużąc coś pod nosem. Barbara znowu dygnęła.

– Pana pokój jest gotowy, milordzie.

– Dziękuję.

Hieny cementarne? Kieszonkowcy? Czuł się, jakby wkroczył do innego świata. Pewnie zresztą tak było. Wstał i ruszył za Marlowe i Barbarą do jeszcze mroczniejszej części budynku. Gdyby nie świeca w ręku Barbary, byłoby ciemno jak oko wykol. Na końcu długiego korytarza otworzyła drzwi do niewielkiego pokoiku z pospiesznie zaścielonym łóżkiem i wiekową szafą. Na krześle piętrzyły się ubrania.

– Oto i pokój – powiedziała wielce zadowolona z siebie. – Jak milordowi będzie czegoś potrzeba, proszę wołać.

Marlowe weszła do środka, ale Dane się zawahał.

– Jest tu jakaś lampa?

– Nie – odparła Barbara. – Ale możecie wziąć moją świecę, jeśli zapłacicie.

– Nie – ucięła Marlowe w tej same chwili, kiedy Dane przytaknął.

Spojrzał na nią.

– Tak – powtórzył i wziął od niej świecę.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Dane uniósł świecę, a potem szybko ją opuścił. Lepiej było nie oglądać tego pokoju zbyt dokładnie.

– Jak myślisz, daliby nam czystą pościel?

Pokręciła głową.

– To twoje pieniądze.

– Nie lubię brudu ani ciemności.

– Lepiej się przyzwyczajaj.

– Jak ty tu żyłaś?

Wzruszyła ramionami, ściągnęła ubrania z krzesła i usiadła.

– Da się wytrzymać, jeśli nie wiesz, że może być inaczej. To wszystko, co macie – jedzenie, łóżka, wasze... wasze dywany. Nie miałam pojęcia, że ludzie tak mieszkają. Bywałam w różnych domach, kiedy Satin nadawał mi lepszą robotę, ale w niczym nie przypominały twojego. Teraz zastanawiam się, jak wytrzymam powrót.

– Nie wrócisz tu nigdy – zapewnił ją Dane.

Wpatrywała się w niego przez dłuższy czas.

– Pod warunkiem, że lord i lady Lyndon się do mnie przyznają.

Nie o to mu chodziło.

– Powiedziałem, że nigdy, to nigdy.

– Rzeczywiście? A gdzie niby zamieszkać? U ciebie?

Nie pomyślał o tym. Złożył tę obietnicę, kierując się sercem, a nie rozumem, co było dla niego niezwykle.

– Na pewno znajdę dla ciebie jakieś miejsce.

Uniosła brwi.

– I zostanę twoją kochanką? Nie jestem ladacznicą, nie będę z nikim spać za pieniądze.

– Nie to miałem na myśli. Nigdy w życiu bym ci czegoś takiego nie zaproponował.

– Zrozum, że nie mam wyboru, będę musiała tu wrócić i żyć tak jak przedtem.

Zirytował się.

– Wolisz kraść, niż uczciwie pracować?

– Uczciwie pracować? Ile płacisz rocznie swoim służącym? Sześć funtów? Osiem? Ja potrafię tyle zarobić w miesiąc, a nawet w jedną noc. Więcej zarobię jako żebraczka. Jak myślisz, dlaczego jest tylu żebraków? Bo uczciwa praca wcale nie jest taka uczciwa, jeśli korzysta z niej tylko bogaty szef.

Miała rację, choć Dane niechętnie to przyznał. Nawet gdyby była mężczyzną, brakło jej umiejętności, a bez nich nie znalazłaby dobrej pracy.

Opozycja w Parlamencie często o tym mówiła, ale starał się nie zwracać na to uwagi. Teraz nie mógł już dłużej zamykać oczu na prawdę.

– Nie mam wyboru – podsumowała.

– Postaramy się, żebyś miała.

Do drzwi ktoś cicho zastukał. Dane spojrzał na Marlowe. W jej dłoni błyszczał nóż.

– Kto tam? – spytała.

– Przyjaciel – odpowiedział męski głos.

Dane zaniepokoił się. Barbara miała ich powiadomić, jeśli Satin lub ktoś z jego bandy pojawi się w tawernie.

Marlowe uśmiechnęła się tak promiennie, że aż się zdziwił i skoczyła do drzwi. Otworzyła je szeroko i rzuciła się w ramiona stojącego za nimi mężczyzny. Dave natychmiast zapisał łajdakowi śmierć w duszy. Tamten chyba to wyczuł, bo spojrzał mu w oczy. Był wysoki i szczupły, ciemnowłosy i ubrany w wyświechtaną odzież. Skórę miał ciemną od brudu lub częstego przebywania na świeżym powietrzu, a skroń przecinała mu paskudna blizna, schodząca aż do brwi. Był młody, choć starszy od Marlowe.

– Gideon, prawda? – powiedział Dane.

Tamten skrzywił się.

– Skąd pan wiesz?

Marlowe odsunęła się nieco. Spojrzał w jej stronę.

– Co to za lalusz?

– Powiem ci, ale chodźmy gdzieś, gdzie da się pogadać.

Dane zaprosił go gestem do pokoju.

– Można tutaj.

Marlowe i Gideon potrząsnęli głowami. Dane poczerwieniał.

– Jeśli chcecie być sami, mogę iść na spacer.

– Nie! – sprzeciwiła się Marlowe. – Połowa St. Giles poleci za tobą. Wyjdziemy tylnymi drzwiami do zaułka.

Już chciała wyjść, ale Dane złapał ją za łokieć i wciągnął do pokoju. Gideon postąpił o krok, jakby chciał jej bronić, ale powstrzymała go gestem ręki.

– Nie podoba mi się, że z nim wychodzisz – powiedział Dane półgłosem.

– To stary przyjaciel. Nic mi nie grozi – odparła, spoglądając na Gideona.

– Pracuje dla Satina.

Potrząsnęła głową.

– Kocha go nie bardziej niż my. Nasza wiadomość musi koniecznie dotrzeć do sir Brooka. Poproszę Gideona, by ją dostarczył.

– Aż tak mu ufasz?

– Bez granic. – Chciała odejść, ale Dane przyciągnął ją do siebie.

– Uważaj na siebie.

Nie pytając o pozwolenie, pochylił się i wycisnął na jej wargach długi, głęboki, władczy pocałunek.

Wiedział, że zachowuje się jak kompletny idiota, ale nic na to nie mógł poradzić.

Przytuliła się do niego na moment. Ruszyła w stronę wyjścia, a kiedy Gideon zastąpił jej drogę wymknęła się przez drzwi. Gideon stanął w progu. Zmierzył go spojrzeniem, a potem ruszył za Marlowe.

Dane usiadł na krześle, przeklinając własną głupotę.

– Co to było, do cholery? – spytał Gideon, gdy znaleźli się w śmierdzącym, mrocznym zaułku. Spojrzała na niego.

– Nic takiego – odpowiedziała. – Gdzie Satin? Opowiedz mi wszystkie nowiny.

– Satin? Wszystko w porządku.

Odprężyła się nieco. Gideon zacisnął wargi.

– Ten lalusz wcale nie wygląda na „nic takiego”.

Marlowe westchnęła ciężko. Też jej się tak wydawało. Serce wciąż jej mocno biło. To chyba nie były objawy choroby, tylko obecności Dane’a. Przed pocałunkiem czuła się normalnie.

– Nie muszę ci się tłumaczyć. Ty ciągle się całujesz z dziewczynami.

– Tak, ale wszystkie są stąd.

– Nie życzę sobie na ten temat rozmawiać.

– Aha, pani sobie nie życzy – powiedział drwiąco, z akcentem z wyższych sfer. – Za wysokie progi na moje nogi.

– Nie! Tylko nie rozumiem, dlaczego zawracasz mi głowę tym pocałunkiem.

– W takim razie ci wyjaśnię. On jest obcy. Wykorzysta cię i porzuci. Widziałem to setki razy.

– Ja też. Myślisz, że jestem głupia? Uważam na pułapki. Nie jestem jego kobietą.

– To dlaczego cię całował?

Wzruszyła ramionami. Sama zadawała sobie to pytanie.

– Nie wiem.

– Może ty nie uważasz się za jego flame, ale on ma na ten temat inne zdanie.

– No to się mocno zdziwi.

Gideon kiwnął głową i przyjrzał się jej.

– Jesteś ładna – powiedział w końcu. Marlowe zaczerwieniła się i spuściła głowę.

– Piłeś coś? – spytała.

Gideon uniósł jej podbródek.

– Nie. Zawsze to wiedziałem, ale teraz, kiedy zmyłaś brud, rozumiem, dlaczego ten facet za tobą łązi.

Parsknęła.

– Wcale nie wiedziałeś. – Z lekkim okrzykiem zasłoniła usta. Niepotrzebnie jej się to wymknęło. Teraz będzie wiedział, że był dla niej kimś więcej niż przyjacielem. Czy tak pozostało? Ostatnio w jej myślach królował tylko Dane.

Gideon potrząsnął głową.

– Nigdy nie byłem dla ciebie wystarczająco dobry.

– Jasne, a on jest za dobry.

– Myślisz, że się z tobą ożeni?

– Pewnie, że nie! To hrabia. Mieszka w Mayfair.

Gideon zmrużył oczy.

– Ach, więc to ten. Tak myślałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Satin ma go na oku.

– Wiem. Odnalazł mnie w ogrodzie, na balu u księżnej. Groził mi. Chce obrobić dom hrabiego, z moją pomocą.

– Ale ty się kochasz w hrabim i nie chcesz pomóc.

– Nie gadaj głupot! Nie kocham się w nim. Ale nie chcę go też skroić. On jest... inny. A jego siostra jest dobra i miła. Nie chcę ich skrzywdzić. – Rozejrzała się i dodała: – Nie mam już ochoty pracować dla Satina. Wiem, jak się go pozbyć.

Gideon wciągnął powietrze ze świstem:

– Wylądujesz w trumnie.

– I tak jestem trupem – odpowiedziała. – Satin nie puści mnie od siebie, prędzej zabije. A jeśli zostanę, prędzej czy później dostanie ataku furii i zatłucze mnie jak Sammy'ego albo Zachariaha.

Gideon spuścił wzrok. Nigdy nie mówili głośno o zmarłych. Nie wspominali o tym, co się działo, gdy ktoś rozdrażnił Satina. Nieraz widzieli ciała chłopców pobitych na krwawą miazgę, wyrzucane do rzeki jak śmieci.

– Nie muszę wychodzić za Dane'a – powiedziała Marlowe. – Jest inna szansa. Pamiętasz tego gliniarza z Bow Street? Tego, co myślał, że jestem Elizabeth? To brat Dane'a. Uważa, że jestem zaginioną córką markizy Lyndon.

– A jesteś nią?

– Nie wiem, ale chcę sprawdzić. – Umilkła i przełknęła ślinę. – Staniesz po mojej stronie?

Gideon wziął głęboki oddech i wsadził ręce do kieszeni.

– Powiedz mi, o co chodzi. Zrobię, co się da.

Objęła go, ale nie oddał uścisku. Pospiesznie streściła mu swój plan. Skinął głową.

– To się może udać. Ten gliniarz się zgodzi?

– To brat Dane'a. Pośleliśmy mu wiadomość, żeby się z nami jutro spotkał. Pójdiesz sprawdzić, czy do niego dotarła.

Gideon wyglądał, jakby się miał udusić.

– Chcesz, żebym poszedł szukać gliniarza?

– Przecież cię nie zje.

Oboje jednak dobrze wiedzieli, że policjanci z Bow Street nie patyczkowali się z przestępcami. Mogła tylko mieć nadzieję, że nie pomyliła się co do Brooka.

– Pójdę. Będziesz tu, zanim wrócę?

Skinęła głową.

– Wynajęliśmy pokój od Barbary.

Uniósł brwi.

– Ten z łóżkiem? Szybko się pniesz w górę.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Połaskotało ją, ale poza tym nic nie czuła. Żadnych objawów choroby, żadnych iskier.

– Miej oczy otwarte, Marlowe.

– Jak zwykle.

– Uważaj też na tego lalusia.

Machnęła ręką.

– Dam sobie z nim radę. Chciała wrócić do tawerny, ale Gideon zastąpił jej drogę.

– Jeszcze jedno. Wcale nie uważam, że on jest dla ciebie za dobry. Jak nie będzie się chciał z tobą pobrać, to jest nikim.

Z tymi słowy zniknął w mroku zaułka.

Gideon szedł znajomymi londyńskimi ulicami z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową. Nie chciał się nikomu rzucać w oczy. Nie wiedział, gdzie szukać tego całego Brooka, ale postanowił zacząć od biura gliniarzy na Bow Street. Idąc, mimowolnie zauważył paru frajerów, których mógłby łatwo obrobić, ale z żalem zrezygnował. Obiecał przecież Marlowe, że poszuka gliniarza. Chyba zwariował, że się zgodził pójść na Bow Street, ale nie pierwszy raz narażał się dla Marlowe.

Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Nauczył ją złodziejskiego rzemiosła. Uwielbiał patrzeć, jak pracuje, jak się śmieje i jak śpi. Nieraz w nocy siedział i się jej przyglądał. Kiedy w końcu poprosiła o pocałunek, denerwował się jak dziewczica.

Pocałunek był taki, jak sobie wyobrażał, a nawet lepszy. Nie mógł się nią nasycić, ale zmusił się, żeby się z niczym nie spieszyć. Dopiero po kilku razach uświadomił sobie, że ona nie czuje tego, co on. Chyba jej się podobało, ale serce nie biło jej szybciej, nie traciła tchu ani się nie czerwieniła. On umierał z pożądania na sam jej widok, a na niej nic nie robiło wrażenia. Więc powiedział jej, że nie ma między nimi „iskry” i skończył romans, zanim cokolwiek się zaczęło. Były przecież inne kobiety.

Myślał, że o niej zapomniał, do chwili gdy otworzyła drzwi u Barbary i zobaczył tamtego faceta. Wtedy wszystko wróciło i miał ochotę zamordować tego gogusia, bo zauważył, jak ona na niego patrzyła. Zakochała się. Czuła do tego pięknisia to, o czym Gideon marzył dla siebie. A tamten pewnie traktował ją jak pierwszą lepszą, którą można wykorzystać i porzucić.

Nie wiedzieć czemu, nie powiedział jej o tym. I tak by zresztą nie słuchała, ale chodziło o coś innego. Zatrzymał się pod straganem z jabłkami, żeby się nad tym zastanowić. Od Bow Street dzieliło go ledwie parę przecznic.

– Jabłka! Świeże jabłka! Za szylinga! – zawołał sprzedawca. Gideon zamrugał, wsadził rękę do kieszeni dziurawych spodni i wyciągnął monetę. Rzucił ją sprzedawcy, wybrał czerwone jabłko i ugryzł. Było stare i sparciate, ale jadł w życiu gorsze. Rzucił ogryzek na ulicę i skręcił w Bow Street.

Niezależnie od tego co myślał o Marlowe i jej kochasiu, planowali pozbyć się Satina, a jemu całkiem spodobał się ten pomysł. Sam chciał to zrobić z tysiąc razy, ale Satin od razu by go przejrzał. Nie ufał Gideonowi. Beezle, ten podły szczur, ciągle go szpiegował dla Satina.

Ale po Marlowe nikt by się tego nie spodziewał. Była dziewczyną, a Satin uważał, że dziewczyny nadają się tylko do łóżka. Nie sprzedał jej do burdelu tylko dlatego, że Gideon uparł się, że jest najlepsza w całym gangu. Miała dość rozumu, żeby ukryć swoją urodę i nie przypominać Satinowi, że jest dziewczyną. Ale im była starsza, tym trudniej było to ukryć. Jej oczy były za ładne, usta zbyt pełne, policzki zbyt miękkie. I to ciało. Wprawdzie krępowwała piersi, ale nie mogła ukryć kołysania biodrami ani okrągłego tyłeczka. Przełamał więc opory i wszedł na posterunek gliniarzy. Marlowe musi się

uwolnić od Satina jak najszybciej, bo potem będzie za późno.

Recepcjonista spojrział na niego z niesmakiem. Gideon zignorował jego minę. Wiedział, że jest pokryty bliznami, brudny i wygląda na typowego złodziejaska. Ale przynajmniej był uczciwym bandziorem, w odróżnieniu od gliniarzy. Nikogo nie udawał. Ci tutaj udawali, że mają ręczki czyste jak lilie, a dopuszczali się gorszych rzeczy niż chłopaki z bandy.

– Czego chcesz? – spytał urzędas.

Za jego plecami kręcili się gliniarze. Podłoga skrzypiała pod ich butami. Paru z nich spojrzęło na Gideona, ale zaraz powróciło do swoich spraw. W biurze panował ruch i śmierdziało zepsutym żarciem.

Gideon posłał urzędasowi uśmiech.

– Chcę się zobaczyć z sir Brookiem Derringiem.

Urzędnik, niewiele młodszy od Gideona, wybuchnął śmiechem.

– Do kolejki. Wszystkie damy z całego Londynu chcą się z nim zobaczyć.

Gideon uśmiechał się dalej, choć ręka go swędziała, żeby przyłożyć smarkaczowi w piegowaty nos. Może wtedy ta jego rozlazła gęba nabrałaby jakiegoś wyrazu.

– Nie jestem żadną dziwką, mam sprawę.

– Nazwisko?

– Gideon.

Urzędas pokręcił głową.

– Nie wspomniał nic o Gideonie. Proszę stąd odejść.

– On tu jest? – spytał Gideon, nie ruszając się z miejsca.

– A co to cię obchodzi?

Gideon zadziałał błyskawicznie. Recepcjonista nawet nie zauważył, co się stało. W jednej chwili siedział bezpiecznie za biurkiem, traktując z góry natręta, a w następnej poczuł ostrze noża na szyi.

– Lepiej się zastanów, czy ciebie to obchodzi.

Gideon zdawał sobie sprawę, że w pomieszczeniu zapadła cisza, i z tuzin gliniarzy przygląda się zajściu. Zadynda jeszcze tego wieczoru, jeśli zrobi temu dzieciuchowi choćby najmniejszą krzywdę. A że lubił swoją szyję, starał się być w miarę możliwości sympatyczny.

Teraz, gdy urzędas, nie wspominając o reszcie gliniarzy, zwrócił na niego uwagę, mogli wreszcie porozmawiać na poważnie.

– Muszę się zobaczyć z sir Brookiem Derringiem – powiedział powoli i na tyle głośno, żeby go wszyscy słyszeli. – Jeśli go tu nie ma, powiedz mi pan, gdzie mogę go znaleźć.

– Jest tutaj – wykrztusił dzieciak, patrząc na Gideona ze strachem. – Ale nie wolno mu przeszkadzać.

– Jak się dowie, co mam mu do powiedzenia, nie będzie się czepiał.

– A co chcesz mi powiedzieć, człowieku? – odezwał się ktoś za jego plecami.

Gideon uśmiechnął się mimowolnie. A jednak się udało. Ale nie odsunął noża od gardła tego chłoptasia. Musiał powiedzieć, o co chodzi, zanim go stąd zabiorą. A to byłajedyna szansa.

Poszukał wzrokiem mężczyzny, który się odezwał. Był wysoki, jasnowłosy, o przenikliwym spojrzeniu brązowych oczu. Potem popatrzył na resztę gliniarzy.

– To osobista sprawa. Tu jest za dużo uszu – powiedział.

– Jak nie zaczniesz gadać, to ciebie powieszę za uszy – powiedział sir Brook. Nie ruszył się, nie podniósł głosu, ale Gideon poczuł, jak włosy jeżą mu się na szyi. Wolałby jednak umrzeć, niż wspomnieć publicznie o Satinie albo wyjawic plan Marlowe. Doskonale wiedział, że Satin opłaca paru gliniarzy, żeby przymykali oczy na jego wypadu poza Seven Dials. Na pewno kilku z nich tu jest i słucha.

– W takim razie tylko dwa słowa – powiedział, odsuwając nóż od szyi dzieciucha. – Lady Elizabeth.

Gdy tylko to zrobił, paru gliniarzy skoczyło i złapało go za ramiona. Ktoś zdzielił go pięścią w brzuch. Zgiąłby się wpół, gdyby go nie trzymali.

Nagle wszyscy go puścili. Prawie upadł na twarz, ale udało mu się uklęknąć. Odetchnął głęboko.

Zobaczył przed sobą parę wypastowanych, wysokich butów.

– Wstawaj i chodź ze mną.

Gideon podniósł się z podłogi i nie dbając o twarde spojrzenia gliniarzy, którzy wyraźnie mieli ochotę załatwić go na amen, ruszył za sir Brookiem.

14

Dane spacerował po pokoju tam i z powrotem. Na wargach czuł jeszcze pocałunek Marlowe. Ciekawe, czy ona teraz całuje się z Gideonem. Nie podobało mu się, że tak długo nie wraca. Denerwowało go poczucie bezradności. Chciał pójść za nią, ale nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. To był jej świat, a on był tu gościem, i to niezbyt mile widzianym.

Usłyszał skrzypienie desek w korytarzu. Odwrócił się w chwili, gdy drzwi otworzyły się bezgłośnie. Chwycił Marlowe w ramiona, zanim zdążyła się odezwać.

– Gdzie byłaś tyle czasu, do diabła?

– Mówiłam ci – odpowiedziała zdziwiona.

– Gdzie on jest?

– Poszedł sprawdzić, czy do twojego brata dotarła wiadomość. Powiedziałam ci, że nam pomoże. On też nie kocha Satina.

Wysunęła się z jego ramion i założyła za ucho zbłąkane pasmo włosów.

– Co teraz?

Marlowe wzruszyła ramionami.

– Czekamy. Barbara zawiadomi nas, kiedy pojawi się Satin.

– Jesteś pewna, że będzie chciał się z tobą zobaczyć? Może powinniśmy go poszukać?

Spojrzała na niego, jakby uważała go za kompletnego głupka.

– Poczekamy, aż sam tu przyjdzie.

Usiadła na łóżku, ale zaraz wstała jak oparzona. Dane uniósł brwi. Wyraźnie starała się unikać jego dotyku, co sprawiało, że coraz bardziej chciał jej dotknąć. Przysunął się do niej.

– Denerwujesz się? Wyglądasz na niespokojną.

– Jestem zupełnie spokojna.

Przysunął się bliżej, a ona się cofnęła.

– Czy to ja cię tak denerwuję?

Szeroko otworzyła oczy.

– Skądże!

Przysunął się znowu. Poczł słodki zapach morelowego mydła.

– To dlaczego tak się odsuwasz?

– Bo przy tobie źle się czuję. – Zamknęła oczy, jakby wstrząsnęły nią te słowa. Dane też był wstrząśnięty.

– Przepraszam, ale to prawda – powiedziała ze swą zwykłą szczerością. Policzki oblał jej rumieniec.

Oddychała urywanie.

– Rozumiem. Czy możesz opisać objawy?

– Co takiego? Możesz się trochę odsunąć? W twojej bliskości myśli mi się płaczą.

– Bardzo ciekawe. Co jeszcze się dzieje.

Spojrzała na niego ponuro.

– Gorąco mi. Na całym ciele. Skóra mnie łaskocze. – Uniosła brew, jakby spodziewała się docinków.

– Rzeczywiście, skórę masz zaróżowioną. Mogę? – Poglądził ją po policzku. – Nie jesteś rozpalona, ale twoje oczy... – Pochylił się, a jej zaparło dech w piersiach.

– Co z nimi nie tak? – spytała.

– Są takie duże.

Nie opuścił ręki, ale Marlowe tym razem się nie odsunęła.

– Coś jeszcze ci dolega?

– Brzuch. Czuję się, jakbym się miała porzygać. Jest taki... – machnęła ręką, szukając właściwego słowa – rozdygotany.

Dane z trudem ukrył uśmiech i zmusił się do powagi.

– Motylki w brzuchu, zarumieniona skóra, powiększone oczy. A jak zrobię coś takiego? – Pochylił się i musnął jej wargi swoimi raz, drugi, a potem trzeci. Odsunął się. Spojrzała na niego i choć to wydawało się niemożliwe, jej oczy stały się jeszcze większe i tak niebieskie, że niemal fioletowe.

– Nie mogę oddychać – powiedziała. Dotknęła swojej piersi. – Tu mnie dusi.

– Wiesz, co ja na ten temat sędzę, Marlowe?

– Nie, i nie jestem pewna, czy mnie to obchodzi. Nie jesteś lekarzem.

– To prawda – zgodził się, choć podejrzewał, że lekarzowi też by nie zaufała. Pewnie w życiu u żadnego nie była. – Ale nie muszę być lekarzem, żeby zauważyć, kiedy kobieta jest podniecona.

Zamrugła oczyma.

– Pragniesz mnie, Marlowe. A ja pragnę ciebie.

Nie czekał na zaprzeczenie ani sprzeczkę, tylko znowu ją pocałował, nieco mocniej napierając na jej wargi. Odsunęła się, ale złapał ją w tali jedną ręką. Drugą dotknął policzka i przesunął po jej włosach. Gęste loki opadły jej na ramiona.

Odsunął się, by na nią popatrzeć. Była nieodparcie pociągająca z tymi fioletowymi oczyma, zaróżowioną cerą i wargami czerwonymi od pocałunków.

– Naprawdę cię pragnę, Marlowe, pewnie bardziej niż ty mnie, ale nie zrobię niczego bez twojej zgody.

Znowu pochylił się nad nią, ale nie dotknął jej warg, tylko czekał. Ich oddechy mieszały się ze sobą. Poglądził dłonią aksamitny policzek, dotknął kciukiem kącika ust.

– Mogę?

– Ja... nie rozumiem, co ty robisz.

– Chcę cię pocałować. Tutaj. – Pieścił kciukiem jej wargi.

– Aha.

– Zgódź się.

Umilkła. Przez moment obawiał się, że powie nie. Musiałby ją wtedy puścić, i z trudem by się na to zdobył. W końcu szepnęła wymarzone „tak”.

Zagarnął zwycięsko jej usta, napierając na nie, aż wpuściły go do środka. Badał ich wnętrze, gładził ją, pokazywał językiem, jak chciałby pieścić jej ciało. Pozwoliła mu na to przez dłuższy czas, a potem oddała pocałunek.

O mało nie stracił samokontroli Delikatny, pełen wahania dotyk, a potem mocniejsze, pełne żaru pieśczozy zawróciły mu w głowie. Jęknął cicho, a ona się cofnęła.

– Nie podobało ci się?

– Było cudownie. Jeszcze.

Przyciągnął ją znowu, ale zanim zaczął całować jej wargi, zatrzymał się na moment. Odchyliła głowę, zamknęła oczy, rozchyliła usta. Oddała mu się cała. Może sama o tym nie wiedziała, jednak on to przeczuwał. Ale nie zamierzał jej wykorzystać.

– Chcesz czegoś więcej, Marlowe?

– Tak. – W jej głosie nie było wahania. Kiedy znowu zaczęli się całować, to ona była odważniejsza.

Ssała jego język, mruzczała gardłowo. Przesunął wargi po jej gardle, pieszcząc miękką skórę aż do obojczyka. Chciał ściągnąć z niej to chłopięce odzienie, ale wiedział, że musi działać powoli.

– Chciałbym cię dotykać – powiedział, dotykając wargami pulsu, który bił jak oszalały tuż pod delikatnym uszkiem. – Mogę?

– Tak – szepnęła. Jego dłonie powędrowały ku jej biodrom i wsunęły się pod koszulę. Jej ciało było ciepłe i gładkie, brzuch płaski i twarde. Czuł pod palcami jej żebra. Pogłaskał je, a potem przesunął dłonie na plecy i niżej, ku krągłym pośladkom ukrytym pod szorstką tkaniną spodni.

– Co teraz czujesz? – zapytał.

– Gorąco, jakbym miała stanąć w płomieniach. Serce mi bije tak szybko, że zaraz wyskoczy z piersi. – Była autentycznie zaniepokojona. Dane ukrył uśmiech.

– Zapewniam cię, że nie wybuchniesz, a twoje serce będzie bezpiecznie siedziało w środku. Po prostu cię podniecam. To normalna reakcja ciała.

Podniósł jej dłoń i położył na swojej piersi.

– Widzisz, jak bije moje serce? Czuję to samo, co ty.

Spuściła wzrok. Wiedział, że dostrzegła wypukłość na spodniach. Tyle tylko wiedziała o męskim podnieceniu. Nie próbował nic przed nią ukrywać.

– Pragnę cię – powiedział. – Ale decyzja należy do ciebie.

Spojrzała mu w oczy.

– Chcesz się ze mną kochać.

– Chcę leżeć obok ciebie – poprawił ją. – Chcę cię wszędzie dotykać. Wszędzie całować. Chcę dać ci przyjemność, chcę, żebyś krzyczała z rozkoszy.

Potrząsnęła głową.

– Ty i twoje słodkie słówka.

Uśmiechnął się.

– Prowadzą do jednego, moja słodka, bezpośrednia dziewczyno. Pragniesz mnie?

Przyglądała mu się dłuższą chwilę. Odgadł jej decyzję, zanim ubrała ją w słowa.

Wyraz jej twarzy zapał mu dech w piersiach. W tym momencie zrobiłby dla niej wszystko – walczyłby ze smokami, napadał na dylizansy, wydał wojnę tysiącowi Satinów. W jej oczach lśniło uwielbienie, a Dane wiedział, że Marlowe mało kogo darzy takim uczuciem. A raczej, nie darzy nim nikogo.

– Tak – powiedziała po prostu. – Chcę cię bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Marlowe dokładnie wiedziała, na co się zgadza. Jeśli robi błąd, to trudno. To wszystko i tak za parę dni się skończy. Każde z nich pójdzie swoją drogą. Może będzie do końca życia żałować tej decyzji, ale z drugiej strony, jeśli nie pójdzie z nim do łóżka, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Dane znowu wsunął ręce pod jej koszulę. Zadygotała, ale nie z zimna. Jego dłonie były gładkie, ciepłe i bez odcisków. Zapragnęła, by ją dotykał bez końca, ale on chwycił skraj koszuli i podniósł go w górę.

– Mogę? – Zirytowałaby ją ta kindersztuba, gdyby nie to, że w tej chwili chciała się tylko tarzać z nim po podłodze i całować bez końca.

Skinęła głową, a on ściągnął jej koszulę przez głowę. Gdyby nie jego rozpalone spojrzenie, pewnie zrobiłoby jej się zimno. Nikt nie napalił w kominku, a ona miała na sobie tylko paski płótna krępujące piersi. Dane położył na nich dłoń. Powoli przesunął po tkaninie. Westchnęła, gdy dotknął sutka, choć właściwie nic nie czuła przez płótno. Za to doskonale pamiętała to wrażenie. Palce Dane'a bawiły się supłem, który zawiązała między piersiami.

– Pozwolisz? – spytał.

Skinęła głową. Jego uśmiech uderzył jej do głowy. Wszystko, co robił, sprawiało, że czuła się piękna. Dotykał ją, jakby była z cennej porcelany, patrzył jak na smakowite ciasteczko, pytał o pozwolenie...

czuła się jak księżniczka. Zapraǳnęła nią być dla niego, choćby ten jeden jedyny raz.

Poczuła, jak Dane rozwiązał supeł i zaczął zwijać tkaninę, powoli uwalniając jej piersi, żeby móc się rozkoszować ich widokiem. Na razie jednak patrzył jej prosto w oczy. W końcu rzucił płótno na podłogę i objął ją znowu. Jego dłonie błędziły po śladach wyciśniętych na ciele przez materiał, kojąc podrażnioną skórę. Masował ją delikatnie, aż w końcu ujął w dłonie obie piersi. Je również rozmasował. Sutki naprężyły się natychmiast, a Marlowe poczuła wilgoć między nogami. Uczucie pustki w brzuchu spotężniało i ulokowało się niżej.

– Mogę cię tu pocałować? – spytał, pieszcząc kciukiem sutek.

Kiedy skinęła głową, musnął wargami nadwrażliwe miejsce. Spojrzała na jego ciemne włosy, na swoje blade piersi w jego dłoniach, na ten pocałunek.

– Jesteś idealna. Taka piękna. – Pogładził ją znowu. – Mam nadzieję, że już nigdy nie będziesz musiała nosić tej przepaski.

Zsunął ręce i położył je na jej spodniach.

– Co teraz czujesz?

– Motylki w brzuchu zesły niżej.

Uniósł brew.

– Tutaj? – dotknął jej pępka.

– Niżej.

– Tutaj? – zsunął dłoń o kilka centymetrów. Z trudem powstrzymała drzenie.

– Niżej – szepnęła. Dłoń posłusznie zmieniła pozycję, aż objęła ją lekko.

– Tutaj?

– Tak – szepnęła. – Ale chyba coś jest nie tak... Czuję jakby... – Nie była w stanie tego wykrztusić.

– Mów dalej.

Spojrzała na niego niemożliwie wielkimi oczyma.

– Jest mi mokro. Tam w dole.

Wargi mu zadrżały, jakby chciał się roześmiać.

Myślała, że zabierze dłoń, ale nawet nie drgnął.

– Nie brzydzisz się?

– Marlowe, jeśli twoje maniery przy stole mnie nie odstręczyły, to wytrzymam wszystko.

– Drań! – Odepchnęła go, ale i tak złapał ją z powrotem w ramiona.

– To prawda, jestem draniem – przyznał. Oczy miał tak mroczne, że niemal w to uwierzyła. – Gdybyś znała moje myśli, uciekłabyś, gdzie pieprz rośnie.

– To znaczy, że ta wilgoć jest normalna.

– To dobry znak, bo mówi, że jesteś gotowa.

– Na co?

Rozluźnił pasek u jej spodni.

– Na zdjęcie tych spodni. – Zsunął je z jej bioder. – Co tam masz pod spodem?

– Nic.

Jęknął.

– Proszę, pozwól mi zdjąć je do końca. – Powiedział to takim tonem, jakby go coś bolało.

Skinęła głową i po chwili spodnie opadły na podłogę. Dane podał jej rękę, żeby z nich wyszła. Stała przed nim kompletnie obnażona. Nikomu jeszcze nie pokazywała swojego ciała w ten sposób. Sama też go nie widziała, bo zawsze musiała uważać, żeby nie rozbierać się w bliskości szczeniaków. A szczeniaki zawsze były blisko.

Powinna się zawstydzic, ale spojrzenie Dane'a dodało jej odwagi i pewności, że jest piękna. Przełknęła ślinę i z trudem wciągnęła powietrze.

– Mógłbym na ciebie patrzeć przez cały dzień. I całą noc.

Zaśmiała się.

– Mam się odwrócić?

– Tak, na litość boską.

Ale kiedy zaczęła to robić, położył dłoń na jej łokciu.

– Zachowajmy tę pokusę na później.

– To może być nudne. – Podjęła przecież decyzję, i może wreszcie się przekona, o co ludzie robią tyle szumu. Wiedziała, że na patrzeniu sprawa się nie kończy. Dość się napatrzyła na parki w ciemnych zaułkach i pokojach, żeby odgadnąć, jak to wszystko wygląda.

– Nudne? – Dane uniósł brew. – Obiecuję, że nie będziesz się nudzić.

Przykrył pościel swoim obszernym płaszczem. Odwrócił się, więc myślała, że ją zaprosi, by usiadła, ale zamiast tego chwycił ją w ramiona. Pisnęła, zaskoczona, a potem westchnęła z zadowoleniem, gdy położył ją na wełnianym płaszczu. Tkaninę przenikał jego zapach. Poczowała na sobie jego ciężar, choć oparł się na łokciach. Ale był ciepły i mocny. Objęła go zapraszająco za szyję.

Miała nadzieję, że ją pocałuje i rzeczywiście tak się stało. Czułaby się bezbronna i trochę przestraszona, gdyby nie te czułe i delikatne pocałunki. Nie spieszył się, jakby mieli dla siebie nieskończenie wiele czasu. I rzeczywiście, wydawało się, że czas się zatrzymał. Mijały godziny, może nawet całe dni, ale ona nie zwracała na to uwagi, bo była w jego ramionach. Całował jej szyję i ramiona, a przez jej ciało wędrował spiralą rozkoszny dreszcz.

– Dane – westchnęła. Uniósł głowę.

– Mam na imię Maxwell.

Zamrugwała zdziwiona i z trudem pozbierała myśli.

– Nie mogę do ciebie mówić „Maxwellu”. Wypowiedziała to imię z akcentem godnym królowej.

– Wątpię, że za chwilę będziesz w ogóle w stanie coś powiedzieć, ale jeżeli zamierzasz wykrzykiwać moje imię, nazywaj mnie Max. Tak mówią do mnie przyjaciele.

– To ty masz przyjaciół?

– Nie gadaj tyle.

Przesunął wargami po jej ramieniu, a potem wewnątrz łokcia i rzeczywiście odechciało jej się mówić. Kiedy posadził jej sutek, zaczęła za to krzyczeć. Wygięła biodra i po raz pierwszy poczuła jego twardość. Było jej nawet dość przyjemnie, kiedy przyciskał się do niej, więc ujęła jego biodra i przyciągnęła bliżej.

– Zabijesz mnie – szepnął. – Ale nie zrezygnuję.

– Z czego? – spytała głosem jak ze snu, który brzmiał, jakby należał do kogoś innego.

– Z tego, żeby najpierw zaspokoić ciebie.

Zsunął dłoń z jej piersi na brzuch, a potem jeszcze niżej. Uniósł się, a ciepło jego erekcji zastąpiło ciepło dłoni. Dotykał ją tam i głaskał, aż zadygotała. Palce pieściły ją z takim znanstwem, że nie zdążyła nawet się zawstydzić.

– Mogę? – zapytał. Nie miała pojęcia, na co tym razem mu pozwala, ale z zapalem kiwnęła głową.

Jeden z palców wsunął się w jej wnętrze. Zdziwiona, znieruchomiła i czekała na nowe pieścizoty. Miała wrażenie, że jej ciało spręży się jak do skoku. Wysunął się z niej i dotknął palcem tego wrażliwego miejsca. Nawet nie wiedziała, że coś takiego tam jest. Kiedy zaczął je pieścić, aż krzyknęła.

– Max!

– Mam przestać?

– Zabiję cię, jeśli przestaniesz.

Znowu w nią wszedł. Tym razem ścisnął malutki wyrostek kciukiem i drugim palcem. Powinna być zawstydzona, że jej biodra nie chciały leżeć spokojnie, ale zrobiło jej się wszystko jedno. Chciała czegoś więcej. Na końcu tych pieścizot musi być coś bardzo, bardzo dobrego. Dane wsuwał się i wysuwał, jego kciuk pracował zawzięcie, aż w końcu fala gorąca ogarnęła jej nogi i eksplodowała.

Całe ciało przeszły tysiące iskierek. Odrzuciła głowę do tyłu i rozkoszowała się tym cudownym uczuciem, zaciskając dłonie na jego surducie, żeby mieć jakiś punkt zaczepienia. Iskierki ciemniały powoli, aż zgasły całkiem, pogrążając ją w sennej rozkoszy.

Dane uśmiechnął się do niej.

– Ale się szeroko śmiejesz.

– Wiedziałaś o tym? – spytała.

– O orgazmie? Tak. A ty nie?

Potrząsnęła głową.

– Teraz rozumiem, dlaczego ludzie tak chcą się gzić ze sobą.

Zaśmiał się.

– Mógłbym ci powiedzieć, że nie z każdym jest tak dobrze, ale to byłoby zbyt chełpliwe. Chyba nie jestem aż tak próżny.

– Mam ci powiedzieć prawdę?

– Lepiej nie. – Spowaźniał. – Nie chcę przerywać, ale...

Położyła mu palec na wargach.

– To nie przerywaj. Nie zamierzasz się rozebrać?

Wstał, a ona patrzyła, jak ściąga fular, surdut i przekłada koszulę przez głowę. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego chciał, żeby było jasno. Widziała już przedtem jego pierś, twarde wypukłości i zagłębienia, ale teraz zapragnęła zobaczyć ją znowu. Co więcej, miała ochotę ujrzeć, co skrywa się pod jego spodniami. Usiadł, ściągnął buty, a ona podciągnęła się resztką sił i także usiadła. Przesunęła dłonią po jego plecach. Był bardzo silny. Pocałowała szerokie ramiona. Odwrócił się szybko, zaskakując ją kompletnie i skradł jej pocałunek. Nie był już przekorny i delikatny. Gdyby przed chwilą nie przeżyła tego cudownego... jak to się nazywa... orgazmu, pewnie by się go przestraszyła. Wiedziała, czego ma się teraz spodziewać. Oddała mu pocałunek, wkładając weń całą swoją namiętność. Jęknął, ale nie wycofał się, tylko wszedł jeszcze głębiej i nie przestał, dopóki całkiem nie zabrakło jej tchu.

Wstał znowu, rozwiązał troki i ściągnął pantalonek. Nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na tą część jego ciała, która tak bardzo ją fascynowała. Nigdy nie widziała tego we wzwodzie. Było duże i chyba bardzo twarde.

– Czy mogę... czy mogę go dotknąć? – spytała, wyciągając z wahaniem rękę.

– Proszę – odpowiedział cicho i szorstko.

Pogłaskała wierzchołek palcem. Nie myślała, że będzie taki gładki i aksamitny. Przesunęła dwa palce po całej długości. Był ciepły i poruszał się pod dotykiem.

– W ten sposób – powiedział Dane i zacisnął jej dłoń, pokazując, jak ma go gładzić. Zrobiła to, o co prosił, a on zaczął dyszeć. Obserwowała jego twarz, zaintrygowana rezultatem pieszczot. Nagle złapał ją za rękę.

– Połóż się.

Do tej pory prosił ją o pozwolenie na wszystko, więc to polecenie ją zaskoczyło. Spełniła je jednak. Teraz pewnie rzuci się na nią. Ale on tylko patrzył, zaciskając pięści. Potem z rozmyślną powolnością, przykrył jej ciało swoim. Dotyk jego skóry niewiarygodnie ją pobudził. Wszystko w niej dygotało, iskrzyło i wołało o więcej.

– Tak – zamruczała, przesuwaną dłońmi po jego nagich plecach. Cudownie było czuć ciepłe, męskie ciało pod palcami.

Czuła jego twardość między udami, ale nie wdarł się w nią przemocą. Zamiast tego pocałował ją z niezwykłą czułością. Oddała pocałunek chętnie i pożądliwie. Jego ręce pieściły ją wszędzie, pobudzały i zaspokajały pożądanie. Potem palce znowu powędrowały w to wrażliwe miejsce. Wygięła się, pragnąc, by dotknął ją tam mocniej, by wszedł tam cały.

– Chcę być w tobie – mruknął prosto w jej ramię. Wciąż pieścił ją palcami, ale teraz jej ciało znało

już tę melodię. Rozsunęła nogi i wygięła biodra w łuk.

– Chcę, żebyś była cała moja – powiedział cicho i chrapliwie. Czują na skórze ciepło jego oddechu.

– Jestem twoja – powiedziała, czując wybuchy rozkoszy wywołanej pieszczotą jego palców.

– Jesteś pewna?

– Tak! – Rozkosz targała jej ciałem jeszcze mocniej niż poprzednio. Zagarnęła ją fala przypiływu, a gdy była u szczytu, poczuła gorąco jego ciała tuż przy bramach swojego. Instynktownie napała na niego, a on wsunął się i wypełnił ją całą. Zrobiło jej się jeszcze goręcej i cofnęła się, niezdolna oprzeć się atakowi.

– Przepraszam – szepnął, a potem pchnął. Poczuła ból pośród rozkoszy, ale wtedy jego kciuk odnalazł właściwe miejsce i krzyknęła z ekstazy, a nie bólu. Poruszał się ostrożnie, naciskał i wycofywał się, a potem powracał. Ból, jaki jej to sprawiało, był niczym w obliczu przemożnej rozkoszy.

Otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie. Znowu zaparło jej dech w piersiach. Był dla niej taki czuły. napięta twarz zdradzała, jak bardzo trzymał na wodzy swoje pożądanie. Nie chciał jej skrzywdzić. Troszczył się o nią i pragnął, by czuła tylko rozkosz.

Próbowała odepchnąć wzbierające w niej uczucie. Chciała skupić się na tym, jak ją wypełniał, albo poczuć resztki bólu, gdy się poruszał. Ale mimo najlepszych chęci nie była w stanie zatrzymać ogarniającej ją, potężnej fali miłości. Kiedy doszedł, szepcząc jej imię słodkim, bezbronnym głosem, zamknęła pełne łez oczy. Wycofał się, plamiąc pościel nasieniem, żeby nie począc z nią dziecka. Za to też go kochała. Jak mogłaby inaczej?

Kiedy wziął ją w ramiona, szepcząc przeprosiny za to, że doprowadził ją do płaczu, stopniały resztki lodu w jej sercu. Oddała mu je całe, wiedząc, że na pewno będzie złamane. Nie ma innego wyjścia.

15

Dane obejmował Marlowe, czując się jak kompletny dupek. Płakała przez niego. Skrzywdził ją, a jednak nie był w stanie żałować tego, co zaszło między nimi. Było cudownie, a jej reakcje poruszyły go do głębi. Nie był prawiczkim, ale nigdy w życiu nie przeżył czegoś podobnego. Nie był też libertynem, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że można czuć coś takiego, co właśnie przeżył w ramionach Marlowe. Choć pokój był ciemny i zatechły, a łóżko brudne, chętnie zostałby w nim przez całe życie, jeśli to oznaczało, że będzie razem z nią.

Przeraziła go ta myśl i siła uczucia, jakie w nim wezbrało.

Uniósł się na łokciach i popatrzył na Marlowe. W półmroku trudno było odczytać wyraz jej twarzy. Pogładził kciukiem wilgotny policzek.

– Byłem zbyt gwałtowny. Wybacz.

– Mam ci wybaczyć? – spytała spokojnie, więc pewnie już przestała płakać. – Nie mam nic do wybaczenia.

– Ale sprawiłem ci ból.

– Nieznaczny w porównaniu z wszystkim innym. Warto było.

Zmarszczył brwi.

– Więc czemu płaczesz?

Usiadła, w dalszym ciągu w jego objęciach.

– Ach, to. Wiem, to śmieszne. – Wzruszyła ramionami.

Zwątpił, czy dowie się czegoś więcej. Nie miała ochoty na wyznania.

– Następnym razem się nie rozpłaczę.

Z wrażenia zaparło mu dech w piersiach.

– Następnym razem?

– Chyba że nie będziesz chciał.

– Oczywiście, że będę! Chętnie kochałbym się z tobą znowu, ale wiem, że sprawiłbym ci ból.

To była prawda. Powinien się nią nasycić, ale tak się nie stało – jego głód jeszcze się zwiększył.

Ziewnęła.

– Chętnie bym się zdrzemnęła. Nie miałam pojęcia, że to jest aż tak dobre. To najlepsza rzecz na świecie.

Dane nie uważał się za aroganta, w każdym razie nie bardziej, niż większość mężczyzn, ale aż się nadał z dumy.

– Z wyjątkiem ciasteczek – dodała.

– Ciasteczek? – zmarszczył brwi.

– I bitej śmietany. Aha, boczku też. Uwielbiam go. Ale poza tym... no i jeszcze od lodów! Strasznie mi smakowały lody u Gunthera.

Wstał, zanim skończyła resztę wyliczanki, która wyraźnie się wydłużała.

– Do tej pory nigdy nie musiałem rywalizować z jedzeniem. Rozumiem, że jak długo będziesz najedzona, nie mam się o co martwić.

– Jeśli już mowa o jedzeniu...

Nagle ktoś zastukał do drzwi. Drgnęli oboje.

– Tak? – spytał Dane, sięgając po ubranie. Wciągnął spodnie.

– Przyszedł – zza drzwi napłynął szept Barbary. – I pytał o was.

– Zatrzymaj go tam, Barbaro. Zaraz zejdziemy.

Marlowe wyskoczyła z łóżka i też zaczęła się ubierać. Skończyła przed nim, bo rzadko ubierał się sam.

Pomogła mu wciągnąć ciasny surdut i odgarnęła włosy z czoła.

– Czy wyglądam na księżęcego syna?

– Widać, że nie jesteś stąd – powiedziała, gładząc drogą tkaninę surduta. – Chodźmy.

Poprowadziła go korytarzem do głównej izby. Dane natychmiast rozpoznał Satina. Nigdy go nie widział, ale bez trudu zorientował się, kto cieszy się respektem i władzą wśród gości. Na środku siedział ciemnowłosy mężczyzna. Widać było, że czuje się bezpiecznie i nie musi chronić pleców, zajmując miejsce pod ścianą. Nie miał tu się czego bać.

Jego przetłuszczone włosy zwisały w strąkach, więc trudno było powiedzieć, czy są ciemne, czy tylko brudne. Ubierał się lepiej niż pozostali goście Piwnicy pod różowym jednorożcem, ale jego odzież była pomięta i lepka od brudu. Uśmiechał się krzywo do prostytutki siedzącej mu na kolanach, ale kiedy Dane wszedł do sali, spojrzął na niego i klepnął dziewczynę w tyłek tak mocno, że od ścian poszło echo.

Dane poczuł dziwny dreszcz na kręgosłupie, gdy bandzior przyjrzał mu się małymi oczkami. Nic dziwnego, że Marlowe tak się go bała. Dane też wolałby trzymać się od niego z daleka, gdyby tylko miał wybór. Marlowe ruszyła w tamtą stronę, więc ruszył za nią. Satin nie spuszczał z niego wzroku. Zatrzymali się przy stole.

– Satin – powiedziała dziewczyna.

Ogarnął ją spojrzeniem, ale potem jego wzrok powrócił do Dane'a.

– Nie myślałem, że cię tu zobaczę. Szczególnie po naszej ostatniej rozmowie. – W jego głosie brzmiała wyraźna groźba.

Dane chciał ją zasłonić sobą, ale rozumiał, dlaczego przestrzegła go przed okazywaniem uczucia. Satin rzeczywiście natychmiast wykorzystałby każdą słabość.

– Możemy o tym porozmawiać, jeśli sobie życzysz.

Nozdrza mu zadrgały.

– Owszem, porozmawiamy sobie. Bardzo długo.

Marlowe wcale nie przejęła się jego oczywistym, choć hamowanym gniewem.

– Wiem, że zainteresuje cię to, co ma do powiedzenia lord Maxwell.

Satin uniósł brwi, słysząc ten zmyślony tytuł. Widać było jednak, że nie od razu zgodzi się na współpracę. Podejrzliwie zmrużył oczy.

Dane uznał, że czas odegrać swoją rolę.

– Mam tu stać cały dzień, jak jakiś lokaj? – spytał, starając się w miarę możliwości naśladować zachowanie londyńskich dandysów. – Od wyścigów w Ascot nie nastąpiłem się tyle na własnych nogach.

Marlowe przewróciła oczami. Miał nadzieję, że jej reakcja była częścią gry. Ale być może po prostu zrobił z siebie idiotę.

– Możemy usiąść? – spytała Satina.

Bandzior wskazał im puste krzesło. Dane usiadł na nim, a Marlowe przysunęła sobie drugie od sąsiedniego stołu. Odwróciła je i usiadła na nim okrakiem, krzyżując ramiona na oparciu.

– Posłuchaj, stary – zaczął Dane. – Ta panienska powiedziała mi, że mogę z tobą porozmawiać w interesach.

– Czyżby? – Satin nawet nie mrugnął.

– Nie jestem pewny, czy warto zaufać jej albo tobie. Dużo zaryzykowałem, odwiedzając to miejsce – pogardliwie rozejrzał się wkoło. – Kto wie, jakie choróbska można tu złapać.

Wyciągnął chusteczkę i zasłonił nos.

– W takim razie musisz mieć ważną sprawę, jeśli zdecydowałeś się na takie ryzyko.

– Tak jest – potwierdziła Marlowe. – Ale tu jest za dużo uszu. Może powinniśmy zaprowadzić lorda Maxwella do twoich prywatnych pokojów?

– Nie. – Satin rozejrzał się wkoło. – Czy tak trudno o odrobinę prywatności w tym miejscu? Zjeżdżajcie stąd wszyscy, a może nie poderżnę wam gardeł.

Nieliczni stali goście, którzy jeszcze siedzieli przy stołach, zamruczeli coś pod nosem, ale Barbara wskazała im drzwi, a potem zniknęła w nich sama.

Dane pochwycił na moment wzrok Marlowe. Skinęła głową. Wyraźnie uznała tę sytuację za dobry znak. Dane pomyślał, że w ten sposób oddają się na łaskę i niełaskę tego mordercy. Bez świadków.

Satin spojrzął na nich.

– Powiedziałaś, że chcesz rozmawiać o interesach.

Dane skinął głową.

– Skąd wiem, że mogę ci zaufać?

– Mówiłam ci, milordzie – wtrąciła Marlowe. – Jeśli chcesz załatwić tę sprawę, nie znajdziesz nikogo lepszego.

– A skąd mam wiedzieć, czy on nie zgarnie całego łupu dla siebie? – Dane dostrzegł, że oczy Satina rozszerzyły się, gdy usłyszał o łupie.

– Chodzi o jakiś większy skok? – spytał. – Jestem w tym najlepszy.

Dane skinął głową. Satin był wyraźnie zainteresowany, pewnie o wiele bardziej, niż to okazywał. Dane rozejrzał się demonstracyjnie, czy nikt nie podsłuchuje, i zniżył głos.

– Jestem najmłodszym synem księcia Yorkshire. Słyszałeś o nim?

– Oczywiście – skłamał Satin w żywe oczy.

– Więc wiesz, że to jeden z najbogatszych ludzi w całej Anglii. Wiadomo, że pożycza królowi tysiące funtów, kiedy Jego Miłości brak funduszy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Człowiek na szczycie – przytaknął Satin. – Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Jestem jego najmłodszym synem i mam ośmiu starszych braci, a do tego parę sióstr. Mój udział w tej fortunie będzie bardzo, bardzo mały.

– Lepszy taki niż żaden.

– To prawda, ale oszczędzanie to nie mój styl, a poza tym lubię sobie czasem pograć w faro.

Na twarzy Satina pojawił się uśmiech pełen wyższości. Dane z trudem się powstrzymał, by także się nie uśmiechnąć, bo wiedział, że ma już swego rozmówcę w garści.

– Więc troszkę wpadłeś w długi.

– I nie mam ich jak spłacić – potwierdził Dane.

– Sytuacja niegodna dżentelmena – podsumował Satin, spoglądając na Marlowe. – Ale nie wyglądasz mi na durnia.

Nie spuszczał z niej wzroku, więc Dane też na nią spojrzął. Zacisnął pięści pod stołem, bo jej wygląd zdradzał, jak spędzili ze sobą chwile przed tą rozmową. Satin też musiał to zauważyć. Usta miała opuchnięte i czerwone, policzki zaróżowione, a na szyi otarcia po jego zaroście. Gdyby Dane wcześniej nie przysiągł, że ją stąd zabierze, zrobiłby to teraz. Trudno powiedzieć, co Satinowi przyszło na jej widok do głowy.

– Ojciec nie chce mi pomóc, a wyznaję zasadę „pomóż sam sobie, a Bóg ci pomoże.”

Wzrok Satina powrócił do niego.

– To prawda. Tylko co to ma wspólnego ze mną?

Dane spojrzął na Marlowe, udając, że nie chce sam mówić o nieprzyjemnych sprawach.

Marlowe pochyliła się ku Satinowi.

– Lord Maxwell dowiedział się, że księżę ma niezłe fanty w składzie nad rzeką.

– Co konkretnie?

– Bezcenne antyki – wyjaśnił Dane. – Monety, klejnoty, dzieła sztuki z Europy. Przyplęły na statku parę dni temu.

– Dlaczego są jeszcze na nabrzeżu?

Sensowne pytanie. Co gorsza, nie przygotowali na nie odpowiedzi.

– Bo księcia nie ma w Londynie.

Satin spochmurniał.

– A to czemu? Przecież o tej porze roku wszystkie grube ryby paradują przed królem i królową, co nie?

Marlowe już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale Dane przerwał jej, zanim zdążyła pograć ich jeszcze bardziej.

– Owszem, jest szczyt sezonu towarzyskiego, ale żadna z moich sióstr w tym roku nie debiutuje, więc ojciec pojechał na... polowanie w Szkocji – wyjaśnił, bo przypomniał mu się lord Lyndon. – Wraca za parę dni.

– Co ja zrobię z dziełami sztuki i biżuterią? Sprzedam paserowi?

– Wiem, gdzie je sprzedać, ale najpierw trzeba je zdobyć.

– Ten skład jest strzeżony?

Dane wzruszył ramionami.

– Owszem, ale poradzisz sobie z tym bez trudu, jeśli panna Marlowe powiedziała mi prawdę o tobie.

Satin skrzyżował ramiona.

– Jaki dostanę udział?

Dane udał, że się zastanawia.

– Jestem gotów dać ci trzydzieści procent.

– Pięćdziesiąt. To ja ryzykuję głową, należy mi się połowa.

– Czterdzieści i to moje ostatnie słowo. Czterdzieści procent w tym wszystkim to fortuna, zapewniam cię.

Satin wyciągnął rękę, a Dane przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Była ciemna od brudu i tłuszczu, z połamanymi, żółtymi paznokciami. Nie zdejmując rękawiczki, podał mu swoją.

– Ruszamy dziś w nocy – powiedział, wstając.

– Po co ten pośpiech? – zapytał Satin.

– Mam dług do spłacenia. Jeśli to dla ciebie za wcześnie, znajdę sobie...

– Będzie gotów – przerwała mu Marlowe.

– Dobrze. – Dane spojrział na nią, czekając, aż wstanie, ale uświadomił sobie, że nie może się ruszyć. Satin trzymał łapę na przegubie jej bladej dłoni, nie pozwalając wstać. Dane patrzył na to długo. Miał ochotę szarpnąć za to łapsko, ale zagryzł zęby i podniósł wzrok.

– Spotkamy się tutaj. – Podał mu adres. – O północy?

Satin skinął głową.

– Będę czekał.

Marlowe patrzyła, jak Dane wychodzi i żałowała, że nie może iść z nim. Zamiast tego spokojnie wytrzymała dotyk Satina. Wyrwała rękę dopiero, gdy Dane zniknął za drzwiami.

– Ale się certolisz. Nie jestem dość dobry dla takich jak ty?

– Przyprowaździłam ci jelenia. Czego chcesz jeszcze?

Satin skinął głową.

– Zawsze wiedziałem, że przez ciebie się wzbogacę. Dlatego znosiłem twoje fochy, jak byłaś smarkulą. Mogłem zgarnąć takich setkę. Pełno ich na ulicach, ale miałem przecucia co do ciebie.

Może jeszcze mam ci być wdzięczna, że mnie porwałeś? – pomyślała. Naturalnie, nie miał pojęcia, że

poznała prawdę. I nie dowie się, prędzej powiesz ją go przed bramą Newgate.

– Trzeba było częściej ubierać cię w kiecki. Najpierw załatwiłaś dla mnie hrabiego, a teraz syna księcia.

– Ale po tej akcji wypisuję się z interesu. Mam dość.

– Wypiszesz się, jak ja się zgodzę – powiedział, łapiąc ją z tyłu za szyję, żeby mu się nie wyrwała. – Jasne?

– Tak.

Zanim ją puścił, uderzył jej głową o stół. Potarła bolące czoło. Kiedy wstawał, dostrzegła kątem oka błysk złota w jego podartej kamizelce. Naszyjnik Susanny. Jeszcze go nie sprzedał paserowi. Marlowe też wstała, ale Satin potrząsnął głową.

– Dokąd się wybierasz?

– Do chłopaków. Pewnie będziesz chciał zlecić tę robotę Gideonowi, Beezle’owi i Gapowi.

– Nie, nie. Nigdzie nie pójdziesz. Jeśli choć słowo o tej sprawie wycieknie na zewnątrz, osobiście poderżnę ci gardło.

Pochylił się do niej. Starła się nie wciągać w płuca smrodu gnijącej cebuli.

– To ma zostać między nami. Koniec. Jeśli wciągniesz Gideona albo Gapa, będzie to ostatni skok w twoim życiu. Już ja się o to postaram.

Marlowe patrzyła na niego, pozwalając, by w jej wzroku ujawniła się nienawiść. Ile razy ten drań wyłączał ją i inne szczeniaki z najlepszej roboty? Ile razy głodowali, kiedy on paradował z pełnym brzuchem. Gdyby miała choć cień szansy, zabiłaby go teraz gołymi rękami. Ale wiedziała, że tak nie wygra. Jej jedyną nadzieją byli Dane i Brook.

– Do zobaczenia o północy.

Skinęła głową i odwróciła się, by odejść.

– Jeszcze jedno.

Zatrzymała się, nie odwracając wzroku.

– Jeśli poczuję, że coś jest nie tak, flaki ci wypruję.

Usłyszała, jak wychodzi z pokoju. Przez chwilę stała w samotności, czekając, aż uspokoi się kipiąca w niej nienawiść. Musi ją utrzymać na wodzy jeszcze przez kilka godzin, a potem ten łajdak przepadnie na zawsze.

Gideon rozejrzał się po niewielkim pokoju, policzył, ile by zyskał, gdyby go obrobił.

– Obejrzałeś już wszystko? – spytał sir Brook zza biurka. Siedział, opierając nogi o jego wypolerowany blat. Biurko też było sporo warte, ale trzeba by ze trzech ludzi, żeby je stąd wynieść.

– Na razie – odpowiedział.

– Nazwisko?

– Gideon.

– Masz jakieś nazwisko?

Gideon spuścił wzrok. Miał, ale od dawna go nie używał. Było ostatnią pamiątką po rodzicach.

– Harrow – powiedział, podnosząc oczy. – Gideon Harrow.

– Panie Harrow, na dole wspomniał pan o pewnej interesującej osobie. Czy może pan to powtórzyć teraz, gdy jesteśmy na osobności?

– Lady Elizabeth.

Derring złożył dłonie, tak że zetknęły się czubkami palców.

– Dlaczego pan o niej mówi?

– Bo to ona mnie przysłała. Oczywiście, znam ją pod innym imieniem, jako Marlowe. – Spojrzał na Derringa spod oka. – Może i pan ją zna.

– Co ci wiadomo o lady Elizabeth?”

Gideon wzruszył ramionami.

– Nic. Ale o Marlowe wiem cholernie dużo. I o pana braciszku też. I o tym, że oboje siedzą teraz w tawernie w Seven Dials.

Derring spuścił stopy na podłogę.

– O czym ty mówisz?

– Kazała mi się upewnić, czy dostał pan list. Nie dotarł do pana?

– Jaki znowu... – Machnął ręką i podszedł do drzwi, przy których siedział urzędnik podobny do tego, którego Gideon postraszył nożem.

– Panie Bowker, dostał pan list od mojego brata? Hrabiego Dane.

– Tak, milordzie.

Gideon domyślił się, że gość musiał zatrzymać wiadomość, bo wściekły Derring wypchnął go za drzwi. Z korytarza dobiegły stłumione głosy.

Derring wrócił do pokoju, podszedł do biurka, wyciągnął nożyk do otwierania listów i zerwał pieczęć.

Gideon przechylił głowę. Nożyk był wart co najmniej piąta.

– Do ciężkiej cholery! – zaklął Derring. – Co on sobie wyobraża! – Spojrzał na Gideona.

– Wiesz, o czym mi napisał?

– O planie pochwycenia Satina.

Derring włożył nożyk do szuflady i zamknął ją, rzucając Gideonowi ostrzegawcze spojrzenie.

– Wiesz, kto to jest Satin?

– Tak jakby.

– Jak dokładnie poznałeś lady... to znaczy Marlowe?

– Nie mogę powiedzieć.

– Musicie się dobrze znać, skoro podjęłeś ryzyko, żeby mnie tu szukać.

Gideon wzruszył ramionami.

– Nie mam nic do ukrycia.

Derring wybuchnął śmiechem.

– Raczej w to wątpię. Powinien pan wiedzieć, panie Harrow, że nie współpracuję z kryminalistami.

– A ja nie współpracuję z Bow Street. – Wypowiedział tę nazwę z taką samą pogardą, z jaką Derring wspominał o kryminalistach. – Widzę, że list dotarł. Przekażę to Marlowe. Ruszył ku drzwiom, ale po chwili się zawahał. – Pomoże jej pan?

– A mam jakiś wybór? Jeśli nie wyciągnę brata z tego, sam będę musiał zostać hrabią, a trudno sobie wyobrazić coś gorszego.

– To dobrze.

Gideon ruszył ku drzwiom, ale Derring odezwał się raz jeszcze.

– A ty? Pomożesz nam?

– Już zrobiłem swoje.

– Ale możesz zrobić więcej. Jeśli obaj będziemy się tam czaić, może moglibyśmy... połączyć wysiłki.

Gideon skrzyżował ramiona.

– Ale to jest współpraca, co nie?

– Skądże znowu. Będziemy niezależni. Usiądź, napij się czegoś, a ja wyjaśnię, o co chodzi.

16

Marlowe nienawidziła takich chwil, tej ciszy przed burzą. Nienawidziła oczekiwania na ulewę, błotniste, nieprzejezdne ulice, odkładanie planów. Niebo było jeszcze czyste, ale szło na deszcz, a ona nie mogła sobie pozwolić na odłożenie niczego na później. Zastawiła pułapkę, którą trzeba będzie uruchomić w odpowiednim czasie.

Stała pod pokojem, który dzieliła z Dane'em, wahając się przed wejściem do środka. Owszem, chciała go znowu zobaczyć i wiedziała, że potrafi odwrócić jej uwagę na tysiąc rozkosznych sposobów, które dopiero zaczynała poznawać. Ale nie miała ochoty siedzieć w tym ciasnym, ciemnym pokoiku, uwięziona jak w klatce. Była zirytowana, napięta i musiała się przejść.

Dane pewnie usłyszał jej kroki albo zaczął się o nią niepokoić, bo otworzył drzwi w chwili, gdy chciała ująć za klamkę. Spojrzał na nią.

– Co się dzieje? – zapytał. – Czy Satin...

– Poszedł sobie – zapewniła go. – Ja... ja idę się przejść.

Uniósł brwi.

– Chcesz iść na spacer?

Uśmiechnęła się. – Widzisz, jak mnie zdemoralizowałeś?

– Idę z tobą. – Zamknął za sobą drzwi.

Zaskoczona, cofnęła się o krok.

– Nic z tego. Musisz tu zostać.

– Skądże. Gdzie ty, tam i ja.

– Skończysz z nożem w plecach w ciemniej uliczce i pójdziesz prosto do piekła.

– Śliczny obrazek, ale jakoś dam sobie radę.

Przewróciła oczami i westchnęła.

– Trudno, skoro ci życie niemiłe, to chodź.

Odwróciła się do niego plecami, mrużąc pod nosem coś o szlachetnie urodzonych debilach.

– Wielce zobowiązany! – odparł wesoło, ruszając jej śladem. Przeszli przez pub, który szybko zapełnił się ponownie, choć od rozmowy z Satinem nie minął nawet kwadrans. Marlowe witała znajomych skinieniem głowy. Innych czujnie obserwowała, wiedząc, że Dane postępuje tuż za nią, a każde dziecko i dorosły w pobliżu gorąco pragnie sprawdzić zawartość jego kieszeni.

W końcu wydostali się z mrocznej tawerny na ulicę. Oślepiło ich dzienne światło, choć na szarym niebie nie było słońca. Dane, wyraźnie nie taki głupi, na jakiego wyglądał, był o krok za nią.

– Miałem ochotę pooddychać świeżym powietrzem, ale czuję, że tu też nie ma na to szansy.

– Oddychaj na własne ryzyko – poradziła, omijając wielki stos odpadków piętrzący się tuż przy drzwiach tawerny. Wpatrywała się uparcie w budynek, który był kwaterą jej bandy. Wyglądał jak każda inna ruina, ale był dobrze strzeżony, o czym przekonałby się każdy, kto próbowałby dostać się do środka. Ktoś stojący w progu czujnie się jej przyglądał. Pewnie Beezle. Zawsze tkwił na dole. Ciekawe, czy Gap śpi u siebie i czy Joe jest w domu.

– Mieszkaś tu gdzieś? – spytał Dane. – Może chcesz odwiedzić rodzinę?

– Nie. – Wskazała ruinę ruchem głowy. – Tu mieszka moja banda, ale to raczej nie rodzina.

Dane przyjrzał się budynkowi. Wyobraziła sobie, że patrzy jego oczyma i policzki zapiekły ją ze wstydu. Jego dom był taki ładny i czysty, a ta nora budziła obrzydzenie. Była pochylona na bok, brudna i otoczona stosami śmieci. Dziury po oknach były jak zabito deskami. Marlowe sama poczuła się przez to mała, brzydka i pospolita.

– Podziwiam cię – powiedział.

– Dlaczego? – spytała, zaskoczona jego reakcją.

– Bo udało ci się tu przeżyć. To nie mogło być łatwe. Ja bym nie dał rady. – Spojrzał na nią. – Nie mam w sobie tyle siły.

– Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono – odparła i ruszyła przed siebie, byle dalej od tych wylupiastych oczu, które obserwowały ją, a raczej ich oboje. Dane bez trudu ją dogonił.

– Ile tu dzieci – zauważył, gdy mijali malucha, wyciągającego prosząco rączkę. Parę kroków dalej siedmioletnia na oko dziewczynka piastowała płaczące niemowlę. Matki nie było widać. Kilku chłopców w wieku Gapa obserwowało ich, trzymając ręce w kieszeniach. Posłała im twarde spojrzenie, wiedząc, o czym myślą. Uspokoił się od razu.

– Gdzie są ich rodzice? – spytał, jakby nie zauważył tych chłopaków. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, że są groźni.

– Rodzice? Tu nie ma nianiek ani guwernantek. Dzieciaki muszą się nauczyć życia na własny rachunek, albo giną.

– Ale z pewnością matka tego niemowlęcia...

– Pewnie jest dziwką.

– Och. – W jego głosie zabrzmiał niesmak.

– Świetnie, zadrzyj teraz nosa i walnij mi wykład o tym, że niższe klasy zasługują na swój los. Tylko nie mów, że ten niewinny dzieciak też już zdążył zasłużyć na takie życie. – Przerwała i spojrzała na niego.

Patrzył na nią z uwagą i ku jej zdumieniu naprawdę słuchał. Myślała, że jest bardziej uprzedzony.

– Nie znam matki tego smarkacza, ale z łatwością mogę się domyśleć jej historii. Była sierotą, albo na rodzinę przyszły ciężkie czasy i wylądowała tutaj. Spotkała mężczyznę, który kupił jej jedzenie, wstążkę albo szklankę ginu. Może wzięli ślub. Może nie. Przez chwilę się o nią troszczył, ale pewnej nocy nie wrócił do domu. Albo ją pobił i uciekł. Teraz ma dwójkę albo trójkę bachorów do wykarmienia. A jedyny sposób, żeby coś zarobić, to położyć się na plecach.

– To nie może być jedyny sposób.

Marlowe uniosła brew.

– Może ma zabrać tego dzieciaka do fabryki?

Dane potrząsnął głową.

– Zatrudnisz ją jako sprzątaczkę w swoim pięknym domu? Zajmiesz się tymi bachorami? Ona nie zna francuskiego i nie gra na pianinie. Nie umie czytać. Czego ma uczyć? Może trochę szyje, ale kto ją zatrudni w zakładzie z taką przeszłością?

– Popełniła błąd – powiedział Dane. – Teraz płaci cenę.

– Wszyscy ją płacimy – Marlowe wskazała na kręcące się wszędzie dzieciaki.

– Te smarkacze, ty i miasto, bo ci ludzie mogą tylko kraść i dawać tyłka. Podczas gdy ty – zaczęła naśladować jego akcent – siedzisz w Parlamencie i roztrząsasz problem biedoty, biedota próbuje się jakoś utrzymać przy życiu.

Spojrzał na dzieci, a ona modliła się, żeby dostrzegł ich puste oczy, brudne twarze i wychudzone ciała.

– To nie jest żaden problem. To są żywi ludzie i nie zmieni tego fakt, że nie urodzili się w Mayfair.

Odwróciła się do niego tyłem. Nie miała ochoty wysłuchiwać kontrargumentów.

– Masz rację – odpowiedział po prostu.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co ty powiedziałeś?

– Że masz rację. To przecież ludzie. Zasługują na godne życie i szacunek. A te dzieci... – potrząsnęła głową. – To straszne, że dzieci muszą żyć w takich warunkach. Powiniennem coś zrobić, żeby je nakarmić.

Zamrugła oczyma.

– Dobrze się czujesz?

– Nieszczęśliwie. Strasznie tu cuchnie. Napiłbym się brandy, a do tego jestem wściekły. Ktoś powinien się tym zająć.

Wpatrywała się w niego długo, z niedowierzaniem.

– Jeśli dożyję jutra, przedłożę odpowiednią ustawę.

Spotkali się wzrokiem.

– Zmieniłaś mnie, Marlowe. Wyobrażam sobie, jak w dzieciństwie biegałaś po tych ulicach i chciałbym cię obronić. Ciebie i wszystkie te dzieci.

Miała ochotę go pocałować. Gdyby nie byli w samym środku Seven Dials i gdyby nie to chłopięce przebranie, pewnie by to zrobiła. Tak bardzo kochała go w tej chwili – nie za to, że obudził w niej pożądanie, ale za to, kim był. Dostrzegła jego szczerłość i dobre serce. Zawsze wydawało jej się, że to słabość. Teraz rozumiała, że może to też być siłą. Może naprawdę mógłby – mogliby – zmienić tu coś na lepsze.

Po chwili potrząsnęła głową. Co ona może? Nawet nie umie dobrze czytać. Nie będzie potrzebował takiej pomocy. Podoba mu się jej ciało, fascynują go różne światy, z których oboje pochodzą, ale przecież on nie szuka partnerki ani... żony.

Mimo wszystko była szczęśliwa, że jej słowa coś w nim odmieniły. Że wziął je do serca i uszanował.

Nagle z tyłu spostrzegła jakiś ruch. Ujęła jego łokieć.

– Lepiej stąd chodźmy.

Skinął głową i ruszył, stukając laską o ziemię.

– Myślę, że trzeba zacząć od uczciwej zapłaty za uczciwą pracę. O tym nie można zapominać.

Słuchała nieuważnie. Chłopcy, których wcześniej minęli, wyraźnie szli ich śladem. Niedobrze. Sama łatwo by ich zgubiła. Wróciłyby do bandy i byłoby po sprawie. Ale co zrobić z Dane'em? Chłopaki nie będą bić się po stronie bogatego panicza.

– I od sierocińców. Trzeba wybudować nowe.

– Nie, lepiej zreformować te, które już są. Porozmawiaj o tym z Gideonem.

– Z twoim przyjacielem? – zwołnił. – On coś wie na ten temat?

– Dane...

– Myślę, że mógłbym przeprowadzić dochodzenie.

– Dane.

Serce tłukło jej się w piersi. Nie śmiała obejrzeć się w tył. Gdyby to zrobiła, chłopcy natychmiast by ich zaatakowali. Dane wciąż gadał jak najęty, kompletnie nieświadomy niebezpieczeństwa.

– Tylko czy to powinno być oficjalne śledztwo?

– Maxwell!

– Co znowu, do licha?

Złapała go za rękę.

– Biegiem!

Szarpnęła go mocno, ale zanim zaprotestował, usłyszał z tyłu krzyki. Chciał się obejrzeć, ale ostrzegła go znowu:

– Nie gap się! Biegiem!

Popędził przed siebie. Nie pamiętał, kiedy to robił ostatnio. Mimo wszystko biegł dzielnie, choć nie z takim wdziękiem jak ona. Stale słyszał tupot biegnących za nimi ludzi. Mieszkańcy Seven Dials nie kwapili się z pomocą. Odwrotnie, starali się nie zauważać, że jakaś para ucieka przed trójką młodych chłopców. Skręcili w inną ulicę, potem znowu. Marlowe zgubiła po drodze czapkę, którą natychmiast pochwycił jakiś dzieciak.

Na kolejnej uliczce panował większy ruch i musieli zwolnić. Marlowe rzuciła okiem przez ramię. Widać nie spodobało jej się to, co zobaczyła, bo skręciła w wąski, ciemny zaułek. Pochylone ku sobie domy kompletnie odcinały światło, które i tak ledwie sączyło się przez pokrywą burych chmur.

– Szybko! – powiedziała, pochylając się, by złapać oddech. – Wyjdziemy z drugiej strony i zgubimy ich.

Dane dyszał tak, że nie mógł mówić, ale wbił wzrok w mroczny zaułek. Dostrzegł tam tylko kilka par żółtych kocich oczu, ale nigdzie nie było wyjścia. Marlowe знаła te zakamarki lepiej niż on. Złapała go za rękę. Spojrzał na ich splecione palce – jej drobne i brudne, swoje większe, i również nie najczystsze. Po raz pierwszy w życiu poczuł z kimś wspólnotę. Zrozumiał, że zawsze o tym marzył, ale do tej pory nigdy mu się to nie udało. Ani w szkole, ani w domu, ani w parlamencie, ani w eleganckich klubach. Dopiero tu, w środku slumsów, u boku Marlowe.

Dziwne, ale miał wrażenie, że nagle wszystko znalazło się na swoim miejscu. Ich dwoje przeciwko całemu światu – a raczej przeciwko grupce napastników. Pociągnęła go za rękę, żeby ruszył wreszcie z miejsca. Napotkał jej wzrok. Zaczerwieniona od wysiłku, z włosami opadającymi na ramiona, wyglądała oszałamiająco. Poszedłby za nią na koniec świata.

Ruszyli w głąb zaułka, spłoszyli jakiegoś kota, który zasyczał i schował się w kupie śmieci. Z tyłu rozległy się głosy – jednak ich prześladowcy nie zgubili tropu.

– Już prawie jesteśmy – powiedziała. – Te ulice są jak labirynt. Na pewno ich tu zgubimy. Ruszyła do przodu i nagle się zatrzymała.

– Co do licha... – zaczął niepotrzebnie, bo z cienia wysunął się jakiś mężczyzna. Dane odwrócił się i spostrzegł trzech chłopców odcinających wyjście. Zagnano ich w pułapkę.

– Beezle? – zdziwiła się Marlowe. – Co ty wyczyniasz?

Zbliżył się do nich. Wyglądał jak niewysoki dzieciak. Ale w odróżnieniu od chłopców za nimi był bardziej umięśniony. Miał ciemne włosy i oczy, a jego twarz wykrzywiał uśmiezek, który niezbyt się spodobał Dane'owi.

– To, co Satin powinien zrobić już dawno temu.

Dane obejrzał się. Chłopcy zwolnili kroku, ale ciągle się zbliżali. Marlowe nie spuszczała wzroku z Beezle'a.

– Jeśli to nie Satin cię przysłał, to lepiej daj nam przejść.

– Po co? Żebyście go zwabili w pułapkę. Może i uwierzył w wasze bajdy, ale ja się nie dam nabrać.

– Jesteś zazdrosny, bo cię puścił w trąbę? – Marlowe skrzyżowała ramiona. Chyba w ogóle się nim nie przejmowała. Wyraźnie straciła rozum.

– Marlowe...

– Jeśli mnie dotkniesz – powiedziała do Beezle'a – Satin się o tym dowie i nakarmi tobą rybki.

– Zaryzykuję – Beezle postąpił o krok. – Wreszcie się ciebie pozbędę.

Wzruszyła ramionami.

– Spróbuj tylko.

– A może jakoś to inaczej rozwiążemy – wtrącił Dane, stając między nimi. – Może zapłacę, żebyś nas puścił.

Beezle potrząsnął głową.

– Ciebie zabiję pierwszego.

– Najpierw będziesz musiał sobie ze mną poradzić. – Szybko skoczyła na prawo i kopnęła go mocno.

Zachwiał się, ale nie upadł. Znalazła się jednak z tyłu. Dane miał teraz za plecami trzech młodzików, a Beezle'a przed sobą.

– Uciekaj! – zawołał. – Poradzę sobie z nimi.

Przewróciła oczami – co za irytujący zwyczaj – i zaatakowała Beezle'a od tyłu.

– Bierzcie ich – warknął bandyta i chłopcy zaatakowali. Dane podniósł laskę. Zatrzymali się. Pomachał nią groźnie, utrzymując ich na odległość ramienia. Spojrzał przez ramię i spostrzegł, że Beezle przygniótł Marlowe do ściany. Nie bacząc na to, ścisnęła go mocno za szyję. Jego twarz nabiegła purpurą.

– Na pewno nie chcesz tych pieniędzy? – spytał Dane.

– Mam zaufać takiemu jak ty? – wycharczał bandyta, uderzając uczeploną dłoń Marlowe o mur. Dane skrzywił się.

– Znajdź sobie inną flamę – poradził tamten.

Ktoś szarpnął laskę, którą Dane trzymał w ręku. Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie chciałem tego – powiedział. Przycisnął ukrytą dźwignię i pochwa oddzieliła się od rękojeści. Chłopak zatoczył się do tyłu, a Dane poprawił w dłoni rapier. Jeden z napastników skoczył ku niemu.

Dane zręcznym cięciem rozpruł mu koszulę. Po chwili drugi stracił pasmo długich, ciemnych włosów. Ocenili straty i popatrzyli na Beezle'a. Dane nie spuszczał z nich oczu, ale wyraźnie dosłyszał, że odgłosy szamotaniny z tyłu ucichły.

– Na co czekacie? – zacharczał bandzior.

– Ma kosę! – odkrzyknął świeżo ostrzyżony chłopiec.

– I nie zawaham się jej użyć – uzupełnił spokojnie Dane. – Mam za sobą lata treningu, poćwiartuję was jak jagniętka na rożen. Możecie też wziąć nogi za pas. Wybór należy wyłącznie do was.

Chłopcy popatrzyli na rapier, potem na Beezle'a i uciekli. Dane odwrócił się na pięcie i wymierzył rapier w Beezle'a, który wciąż przyciskał do ściany uczeploną jego pleców Marlowe.

– Puść ją – powiedział.

– Najpierw niech ona mnie puści – zaskrzeczał mężczyzna.

– Uwolnij go, Marlowe.

Powoli opuściła ręce. Dane odsunął się o krok.

– Panie Beezle, zrób krok do przodu. Dobrze. Teraz następny.

Marlowe zsunęła się mu z pleców. Próbował ją złapać, ale Dane przyłożył mu czubek rapiera do gardła i Beezle grzecznie stanął pod ścianą, wyciągając głowę najwyżej, jak umiał.

Dane spojrział na Marlowe.

– Co mam z nim zrobić?

– Powiedziałaabym „załatw go” – zaczęła z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Świetnie.

Wcisnął ostrze w ciało, aż strumyk krwi popłynął po brudnej szyi rzezimieszka.

– Ale nie jestem rzeźnikiem, więc może go tylko zwiążemy i zostawmy tutaj na resztę nocy – powstrzymała go Marlowe.

– Dobrze – zgodził się z nią. – Tylko czym go zwiążemy?

Podeszła do niego i po chwili poczuł jej dotyk na gardle. Zdjęła mu fular.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie mam drugiego? – zapytał.

– Jakoś to zniesiesz.

Westchnął.

– Wiem – powiedziała i strzepnęła cienkie płótno. – Taki niekompletny strój to prawdziwy koszmar.

Machnęła ręką w stronę Beezle'a.

– Odwróć się i załóż ręce do tyłu.

Dane odrobinę cofnął rapier. Beezle posłał mu spojrzenie, które zmiękczyłoby kamień, i odwrócił się

twarzą do ściany. Marlowe ciasno związała mu ręce.

– Zapłacisz za to – odgrażał się stłumionym głosem. – Już ja się o to postaram.

– Ciesz się, że jesteś w jednym kawałku. Jakbym mu pozwoliła, obciąłby ci imponderabilia.

Beezle nie odpowiedział. Jak widać, nie stracił resztek zdrowego rozsądku.

Marlowe pchnęła go tak, że upadł na kolana. Dane skinął głową.

– Imponderabilia. Jak elegancko – pochwalił.

Uśmiechnęła się.

– Uczę się nowego słownictwa.

Spojrzała na niebo, sprawdzając godzinę. Wprawdzie nie miał pojęcia, jak ją rozpoznała, bo szara warstwa chmur przesłaniała wszystko, ale widać miała swoje sposoby, bo powiedziała:

– Pospieszmy się, bo spóźnimy się na spotkanie z Satinem.

Dane podniósł pochwę, udającą laskę, wsunął do niej rapier i otrzepał surdut.

– Damy przodem.

Wyszła z zaułka, nie zaszczycając Beezle'a ani jednym spojrzeniem. Gdy znaleźli się na ulicy, mijając tawerny szybko zapełniające się gośćmi, powiedział:

– Cieszę się, że nie kazałaś mi go zabić. Nie mam pojęcia, jak Tibbs usunąłby krew z tego surduta.

– Szkoda ci ubrania?

Nie musiał na nią patrzeć, żeby wiedzieć, że przewróciła oczami.

– Owszem, a poza tym na widok krwi robi mi się słabo. Wiem, że to niemęskie, ale taka jest prawda.

Spojrzała na niego.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz przy sobie taką kosę?

– Rapier? Nie pytałaś przecież.

– Ukrywasz może coś jeszcze? – ruszyła na wschód, w kierunku rzeki i nabrzeży.

– Dzentelmen zawsze ma jakieś sekrety.

Marlowe czuła ciepło ciała Dane'a przycupniętego obok w cieniu muru. Czekali na Satina w pobliżu składu na nabrzeżu. Byli tak blisko rzeki, że podnosząc wzrok można było liczyć maszty statków zakotwiczonych na Tamizie. W ciszy nocnej niósł się klekot nocnych dorożek. Gdzieś na statku uderzono w dzwon. Pewnie gdzieś blisko przepływała rzeczna policja, więc lepiej było siedzieć cicho. Tkwili tu od ponad godziny. Zegar na kościele św. Jerzego właśnie wybił jedenastą. Jeszcze godzina i Satin zniknie z jej życia. Człowiek, który władał jej życiem i nią samą, znajdzie się w więzieniu.

Pod warunkiem, że sir Brook też stawi się na to spotkanie. Ciekawe, czy Gideon do niego dotarł, czy też oboje z Dane'em marzną tu na wietrze bez powodu? Tylko że Dane wcale nie marzył. Był ciepły jak piecyk. Miała ochotę przytulić się do niego i trochę ogrzać, ale wolała tego nie robić. Tej nocy potrzebowała całej przytomności umysłu, na jaką było ją stać. Musiała być czujna i przytomna. Wyteęzała wzrok, wypatrując sir Brooka. Jeśli pojawi się w niewłaściwym momencie, wszystko będzie stracone. Poza tym, Satin mógł pojawić się wcześniej, jak to miał w zwyczaju. Nie chciała przegapić jego nadejścia. Wiedziała, że jeśli przytuli się do Dane'a, zapomni o bożym świecie.

Pożądała go gorąco, bardziej niż powinna. Nic się nie zmieniło. Z początku myślała, że to przez ten orgazm, i że myli namiętność z miłością, ale bójka w zaułku nie miała w sobie cienia namiętności, a jednak na myśl o tym, jak dzielnie Dane jej wtedy bronił, serce zaciskało jej się w piersi. To była miłość. Nawet teraz, gdy tylko spojrzała, ogarniało ją szczęście. Był tu, był z nią i pragnęła, by tak było zawsze.

Niebezpieczne myśli, zważywszy, że pochodzili z dwóch różnych światów. Ten związek był bez przyszłości, nawet gdyby rzeczywiście była lady Elizabeth. Dane ożeni się z damą, która będzie bardziej odpowiednim materiałem na hrabinę. Na pewno nie z byłą złodziejką.

– Coś tu się rusza – mruknął prosto w jej ucho. Poczwała na skórze ciepły oddech i z trudem pohamowała drżenie.

– Gdzie?

Pewnie kot, ale ostrożności nigdy za wiele. Spojrzała w miejsce, które jej wskazywał.

– Nie. Tutaj. Na godzinie drugiej.

Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Jeszcze nie ma wpół do dwunastej. Przed chwilą słyszałam dzwony.

– Nie, chodzi o to, że... czy ty znasz się na zegarze?

Policzki ją zapiekły, bo znowu czegoś nie zrozumiała.

– Słyszałam, jak bije zegar. Umiem liczyć.

– Ale nie znasz się na zegarku – mruknął. – Trzeba to będzie nadrobić. Z prawej strony. Tutaj.

Spojrzała tam, gdzie wskazywał. Nic tam nie było, nawet kota. Ale w pewnym momencie w cieniu coś się przesunęło. Gdyby nie wpatrywała się tam uważnie, nic by nie zauważyła. Włosy zjeżyły jej się na szyi. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Nie wiadomo, kto to był – Satin, sir Brook, jakiś policjant albo przechodzień. Ukrywał się, a to był zły znak.

– Widziałas? – szepnął Dane prosto w jej szyję. Do licha, mógłby wreszcie przestać ją rozpraszać!

Teraz trzeba się skupić. Skinęła głową i przycisnęła wargi do jego ucha. Pachniał czystością, mimo że tyle tego dnia przeżyli.

– Zostań tutaj, pójdę sprawdzić – mruknęła, starając się nie upajać tym słodkim zapachem. Odsunęła się, ale złapał ją za kostkę i przytrzymał. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, ale pochylił się nad nią.

– Nie ryzykuj. Ja pójdę.

Potrząsnęła głową. Może dobrze radził sobie z szermierką, ale był za duży, by poruszać się ukradkiem.

– Odkryją nas oboje.

– Więc poczekamy, aż ten ktoś sam się ujawni.

Zrozumiała, co ma na myśli i już chciała się sprzeciwić, ale w tym momencie zabrzmiał dobrze znany jej gwizd. Odpowiedziała tym samym.

– Co ty wyprawiasz? – syknął Dane.

– To Gideon – odpowiedziała. Odepchnęła go i usiadła. Ostrożnie wyjrzała zza murka i zobaczyła, jak z ciemności wyłania się znajoma postać. Pojawiła się na moment, dając znać, gdzie jej szukać. W chwilę później pojawił się tuż przy nich i przycupnął pod ścianą.

– Jak się miewa moja panna? – przywitał ją jak zwykle.

– Co tu robisz? – szepnęła.

Dane przyglądał im się z niezadowoleniem, skrzyżowawszy ramiona na piersi.

– Też się cieszę, że cię widzę – odparował. – Przyszedłem chronić twój słodki tyłek.

– Nie wyrażaj się – warknął ostrzegawczo Dane.

Marlowe rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Od kiedy zacząłeś troszczyć się o moje dziewicze uszy?

– Nie chodzi mu o uszy tylko o tyłek. Nie myślę się, prawda, lalusiu?

– Cieszę się, że się rozumiemy.

– Co do tego nie ma dwóch zdań – odparł Gideon. – Gdybym wcześniej wiedział, jaki z ciebie dupek, nie zwracałbym sobie głowy tym wszystkim. – Spojrzał na Marlowe. – Zrobiłem to dla niej, nie dla ciebie.

– To znaczy, że widziałeś się z Brookiem.

– Owszem. Musiałem zajść do niego do biura na Bow Street, ale go znalazłem.

– Przyjdzie? – spytał Dane.

Gideon nawet na niego nie spojrzał.

– Mam taką nadzieję.

– Nie jesteś pewny?

Gideon wzruszył ramionami.

– A ty jesteś pewny, że Satin tu będzie?

Marlowe uniosła brew.

– Potrafię zmyślać nie gorzej niż każdy z was.

– To prawda. W takim razie zostawiam was samych. Muszę być na miejscu, gdy pójdzie wiadomość, że zdjęliście Satina. Może przekonam paru chłopców, żeby nie przechodzili do innych band. Ale Beezle i tak ich nie puści.

– Beezle nie będzie ci przeszkadzał – rzuciła Marlowe, patrząc w kierunku składu.

– Naprawdę? Co mu zrobiłaś?

– Unieszkodliwiłam na pewien czas. Zrób dla chłopaków wszystko, co się da. Szczególnie dla Gapa i Tiny'ego.

– Chętnie pomogę, jeśli zechcesz – wtrącił Dane ku jej zaskoczeniu.

Gideon skrzywił się.

– Niby jak? Wsadzisz ich do sierocińca? Większość z nas miała szczęście, że udało nam się stamtąd uciec.

– A jeśli zatrudnię ich u siebie na wsi jako stajennych? Będą z dala od Londynu, nauczą się zawodu, może nawet pójda do szkoły.

– Dlaczego? – spytała Marlowe, uprzedzając Gideona, który ze zdziwienia otworzył usta na oścież.

Dane zamyślił się na chwilę.

– To nie jest dużo. Kropla w morzu potrzeb, ale trzeba od czegoś zacząć. Mówiłem ci, że chcę przeprowadzić ustawę przez Parlament.

Gideon parsknął ironicznie.

– Jasne. Wiesz pan, gdzie nas szukać, jeśli te wspaniałe idee nie wywietrzeją razem z pożądaniem.

Marlowe skurczyła się, jakby dostała w twarz. A więc tak o niej wszyscy myśleli? Naprawdę Dane jej tylko pożąda? Czy te wszystkie zmiany były udawane, żeby zaciągnąć ją do łóżka?

– Wyzwałbym cię za to na pojedynek – warknął Dane groźnie. – Ale czego innego mogłem się po tobie spodziewać? Nie jesteś dżentelmenem.

– I nigdy nim nie będę – odparował Gideon. – Honor nie pozwoliłby mi tak się tytułować.

Dane skoczył ku niemu. Gideon zrobiłby to samo, gdyby Marlowe nie zainterweniowała. Przerwała już w życiu ze sto bójek albo i więcej i doskonale wiedziała, na co się zanosi. Stała między nimi i mocno odepchnęła ich od siebie, żeby oprzytomnieli. Nie miała ochoty znaleźć się w środku wymiany ciosów.

– Ty pójdziesz tam – poleciła Dane’owi. – A na ciebie już czas. Zabieraj się stąd – powiedziała do Gideona, wskazując go palcem.

– Z przyjemnością – odpowiedział, otrzepując spodnie. – Ale jeszcze ze sobą nie skończyliśmy.

– Absolutnie nie – zgodził się Dane.

Marlowe posłała Gideonowi złowrózbną spojrzenie, więc skłonił się i zniknął. Dane przysunął się do niej, ale pokręciła głową i dalej wyglądała przez mur.

– Zrobiłeś sobie wroga z naszego jedyne go stronnika.

– Faktycznie, nie najlepiej to wyszło.

Przewróciła oczyma.

– Więc dlaczego to zrobiłeś?

Spojrzał na nią. Serce zabiło jej mocniej. Coś w jego oczach sprawiło, że zaschło jej w gardle. Próbowwała przełknąć ślinę, ale tylko cicho jęknęła.

– Bo należysz do mnie – odpowiedział.

Potrząsnęła głową, ale on złapał jej podbródek w palce.

– To prawda. To nie pożądanie, Marlowe. Ja... nie mam pojęcia, co to jest, ale nie pozwolę nikomu cię szkalować.

Spojrzała spod oka.

– Byłeś o mnie zazdrosny?

Obliznął wargi, a potem pochylił się i pocałował ją lekko.

– Tylko dureń by nie był.

Gideon kłnął pod nosem, kierując się w mroku w stronę St. Giles. Nie miał pojęcia, po co przyszedł na nabrzeże. Śmierdziało tu gorzej niż w najgorszych ściekach w Seven Dials i ciągle musiał omijać portowe dziwki i pijanych w sztok marynarzy. Wyraźnie mieli ochotę go stłuc na kwaśne jabłko. Głupi był, że tu przyszedł. Tak głupi jak Marlowe, wymyślając całą tę akcję. Przynajmniej ten jej bubek był mniejszym tchórzem niż większość tych wszystkich dandysów. Gideon chętnie rozkwasiłby mu nos w tej ładnej buzi, żeby ją trochę zdefasonować.

Zresztą, to by nic nie zmieniło. Marlowe już wybrała. Jak widać, padło na tego bubka. I bardzo dobrze. Teraz nic go nie wiąże, będzie mógł wynieść się ze slumsów i zacząć nowe, lepsze życie. Tylko dlaczego tak mu żal po jej stracie? Dlaczego nogi ma ciężkie jak z ołowiu? Przecież zawsze wiedział, że ona

wywrwie się z tego życia, a on będzie tkwił w Seven Dials do śmierci. Może uda mu się uratować paru chłopaków od najgorszego losu.

Zgarbił się na widok kolejnej grupki marynarzy. Nie chciał przechodzić obok nich, więc skrył się w cieniu budynku. Nagle ktoś złapał go za ramię. Nawet nie zdążył krzyknąć, bo druga ręka tego kogoś zacisnęła mu się na gardle.

– Nie ruszaj się – mruknął znajomy głos prosto w jego ucho. Gideon zamarł. Nacisk na szyi powoli zelżał, pozwalając mu nabrać tchu. Wtedy Gideon postąpił krok do przodu i wymierzył łokciem solidnego kuksańca w tył, tak że napastnik głośno sapnął.

Gideon pochylił się i zajrzał mu w oczy.

– Następnym razem nie rób mi takich niespodzianek.

– Następnym razem zawołam cię po imieniu. Na pewno nie zwrócę tym niczyjej uwagi – odparł sir Brook.

– Spóźnił się pan.

– Skąd wiesz? Nigdy w życiu nie miałeś zegarka, chyba że kradziony.

– Ano wiem. Spóźnił się pan.

Sir Brook wzruszył ramionami.

– Już jestem.

– Mieliśmy się spotkać przy składzie.

– Wypatrzyłem cię po drodze i poszedłem za tobą. Czy Dane i Marlowe dalej czekają na Satina, czy już jest po wszystkim?

– Czekają.

– Więc co tu robisz?

– Pana brat nie życzył sobie pomocy.

– Co za idiota. Myślałem, że omówiliśmy nasz plan.

Gideon skrzywił się.

– Mówiłem, że nie współpracuję z glinami.

Sir Brook milczał. Gideon czuł na sobie jego przenikliwe spojrzenie. Inspektor nie groził mu wcześniej i teraz też nie musiał tego robić, ale było oczywiste, że bez trudu uprzykrzy Gideonowi życie, jeśli tylko zechce.

– Dobrze – westchnął złodziej. – Pokażę, gdzie oni są.

– Tylko po cichu.

Wtedy właśnie usłyszeli krzyk.

Była za kwadrans dwunasta, kiedy Marlowe usłyszała kroki Satina. Dawno nauczyła się rozpoznawać jego nietypowy chód. Zawsze starała się usuwać mu z drogi, by unikać bolesnych kopniaków. Teraz musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Rzuciła okiem w stronę Dane'a, który nonszalancko opierał się na lasce. Nie wiedziała, czy odgrywa swoją rolę, czy jest aż tak beztroski.

– On tu jest – mruknęła.

Dane wyprostował się na widok bandyty. Uchylił kapelusza i złożył wystudiowany ukłon, ale nie zrobił tym szczególnego wrażenia na Satinie.

– Bierzmy się do roboty.

– Nie jesteś zbyt gadatliwy, co? – skomentował Dane.

Marlowe chętnie przewróciłaby oczami, ale wolała bacznie wpatrywać się w Satina. Coś jej się tu nie podobało. Miała wrażenie, że kościste palce przesuwają się jej po plecach. Przesunęła się nieco do przodu.

– To ten? – spytał Satin, wskazując pobliski budynek.

– Tak mi się wydaje – odparł Dane, kiwając głową. – Z drugiej strony mamy furgon. Ty masz się tylko dostać do środka, ominąć ludzi mojego ojca i czterdzieści procent twoje.

Satin zmrużył oczy.

– Pięćdziesiąt albo zabieram się stąd.

Dane westchnął ciężko.

– Dobrze. Pięćdziesiąt.

Satin spojrział na skład.

– Nie widzę strażników.

– To nie znaczy, że ich nie ma – Marlowe odezwała się po raz pierwszy. – Może siedzą w środku.

– W takim razie zajmujemy się nimi we dwójkę, co?

Marlowe potrząsnęła głową.

– To twoje zadanie, Satin. Ja zostaję z lordem Maxwelllem.

– Idziesz ze mną. – Sięgnął do kieszeni, wydobył pistolet, a drugą ręką złapał ją za przegub dłoni.

Krzyknęła zaskoczona, ale on jednym błyskawicznym ruchem przycisnął ją do cuchnącej piersi i przyłożył lufę do jej skroni. Zesztywniała z przerażenia. Nigdy przedtem nie chodził z pistoletem. Skąd go wziął? Dlaczego ona tego nie przewidziała?

Satin ciągnął ją za sobą w stronę budynku. Opierała się, jak mogła, szukając wzrokiem Dane'a. Trzymał laskę w gotowości, ale potrząsnęła głową. Jeśli wydobędzie rapier, Satin po prostu ją zastrzeli i zwieje. Naturalnie, jeśli sir Brook będzie czekał za drzwiami, żeby przymknąć tego drania, ona też pożegna się z życiem. Ręka bandziora trzęsa się cały czas. Jeden fałszywy ruch i będzie po niej.

– Puść ją, Satin – polecił Dane. Postąpił o krok do przodu, ale nie wyciągnął rapieru z pochwy.

– Dlaczego? We dwójkę poradzimy sobie szybciej. Lubimy pracować razem, prawda, Marlowe?

– Jasne – odparła. W jej głosie dźwięczała pewność siebie, której nie czuła. – Możesz odłożyć pistolet. Wystarczyło poprosić.

Nie modliła się od lat – albo raczej nigdy – ale teraz zwróciła myśli do Boga. Nie prosiła go o życie. Prawdopodobnie nie zwróciłby na to uwagi. Ale z całych sił modliła się, by Satin nie zmienił zdania na temat tego skoku. Sir Brook musiał złapać go na gorącym uczynku. Jeśli nie, będzie musiał puścić go wolno. Chyba Bóg widzi te wszystkie krzywdy i okrucieństwa, których ten drań się dopuścił.

Nie spuszczała wzroku z Dane'a. Czuła jego emocje.

Noc była ciemna, a cienie długie, ale chmury kłębiące się na niebie przez cały dzień ustąpiły wreszcie i zaświecił księżyc. Dane stał na otwartej przestrzeni i wpatrywał się w nią z napięciem.

Może jej się wydawało, ale przysięgłaby, że w jego oczach było coś więcej niż zwykła sympatia i troska. Tak, chciała dowodów, że on czuje to samo co ona. Czy to coś złego, iść na śmierć, wiedząc, że twoje marzenia się spełniły?

– Jeśli tak chcesz pomóc, to idź pierwsza – powiedział Satin. Jego oddech śmierdział cebulą.

Oderwała wzrok od Dane'a i spojrziała w stronę składu. Był bliżej, niż myślała. Jej wysiłki nie zdały się na nic.

W składzie nie było nikogo. Wiedziała to na pewno, bo Dane sam wynajął ten magazyn. Gdy tylko Satin otworzy drzwi, zorientuje się, że go nabrali.

Tylko że drzwi niełatwo było otworzyć. Dane dostał klucz do kłódki, ale nie mogła go tak po prostu od niego wziąć. To by było podejrzané. Po co zatrudniać włamywacza, mając klucz do drzwi?

– Otwieraj – syknął Satin.

Potrząsnęła głową.

– Wiesz, że jestem w tym beznadziejna. Poza tym nie mam narzędzi.

– Na pewno masz wytrych. Zawsze go nosisz przy sobie. I lepiej bądź cicho. Nie chcę, żeby ktoś zaczął coś podejrzewać.

Marlowe zdjęła czapkę i poszukała wytrychu we włosach. Mogła zliczyć na palcach jednej ręki, ile

razy go użyła, ale mimo wszystko lubiła go mieć pod ręką. Drżącymi palcami wyciągnęła go spod spinek i o mało nie upuściła na ziemię.

– Uważaj – szepnął Satin. – Czego się denerwujesz? Nie wydałaś mnie chyba, co?

– Ja nie donoszę – skłamała. – Tylko nie lubię, jak ktoś mnie trzyma na muszce przy pracy.

Mocniej chwyciła wytrych i włożyła go do kłódki. Nieraz widziała, jak Gideon posługuje się podobnym. W jego rękach wyglądało to jak dziecinna zabawa. Wcale tak nie było, ale wiedziała, że jeśli się skoncentruje, to jej się uda. Zamknęła oczy, starając się zignorować chłód metalu na skroni i powstrzymać obłędne bicie serca i szum krwi w uszach. Obracała narzędziem na wszystkie strony, dopóki nie usłyszała, jak zaskakuje jedna z zapadek. Teraz musi odsunąć pozostałe, nie puszczając tej pierwszej.

Pot zaperlił jej się na skroni. Nie tak chciała spędzić ostatnie chwile życia. Wiedziała, że będą ostatnie, jeśli w środku nie czeka na nich sir Brook, żeby przymknąć Satina. Na co ten gliniarz czekał? Jeśli był tu gdzieś blisko i patrzył, to widział wyraźnie, że Satin – a raczej ona – włamuje się do środka. Dlaczego nie zaskoczy go teraz, zanim ten łajdak wpakuje jej kulkę w głowę?

Zaskoczył kolejny ząbek, a Marlowe zaczęła się modlić, żeby został jej tylko jeden, nie więcej. Poruszyła wytrychem raz jeszcze. Teraz musi wyczuć zamek. W wyobraźni widziała jego budowę. Obróciła wytrych i poluzowała zapadkę o milimetr. Zaskoczyła. Zamek był otwarty. Popatrzyła na drzwi i dygocąc, ujęła klamkę.

– Dalej – polecił Satin. – Otwieraj.

Gideon pchnął sir Brooka w cień rzucany przez opuszczony budynek i sam schował się obok.

– Gdzie jest Marlowe, do ciężkiej cholery? – zirytował się.

– Zobaczę – powiedział Brook.

– Ja pójdę – sprzeciwił się Gideon i pociągnął go za surdut.

– Z drogi! – Brook odepchnął go i wyjrzał na zewnątrz. Gideon też wbił wzrok w ciemność. Czekał tam lord Dane, napięty i czujny, wpatrując się w drzwi składu, który wybrali z Marlowe jako miejsce skoku. Ale gdzie była dziewczyna?

– Jest z tamtym – powiedział sir Brook i wskazał skinieniem głowy magazyn.

– Z kim?

– Z facetem, który czeka przy drzwiach.

Gideon zmrużył oczy i zaklął po cichu.

– To Satin?

– Co za łajdak. Zmusił ją, żeby otworzyła zamek. Musimy się dostać do środka. Kiedy otworzy drzwi, Satin natychmiast się zorientuje, że go oszukali.

Brook wskazał na wysoko umieszczone okienko.

– Jeśli cię podniosę, dasz radę wyjąć po cichu szkło i wpełznąć do środka?

Gideon popatrzył uważnie.

– Nawet przez sen. A jak pan się tam dostanie? Czy też mam panu podać Marlowe z powrotem przez to okno?

– To nie włamanie, panie Harrow.

– Szkoda, bo przynajmniej mógłbym liczyć na kumpli. Jaką mam gwarancję, że pan mnie nie wystawi i nie zwieje, jak już będę w środku?

Brook wzruszył ramionami.

– Żadną. I nie myśl, że mnie nie kusi, by was na siebie napuścić i patrzeć, jak się nawzajem mordujecie.

– To po co pan tu przyszedł?

Brook skinął głową w stronę brata.

– Bo on tu jest. Chodźmy.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Dane miał ochotę krzyknąć. Bez trudu mógł przebić Satina rapierem, ale za każdym razem, kiedy go zaswędziała ręka, myślał o lufie pistoletu przyłożonej do skroni Marlowe.

Brook nie przyjdzie. To było oczywiste. Dane został sam. Marlowe będzie bez szans, gdy tylko Satin wejdzie do składu. Dane dopadnie bandziora, zanim ten zdąży przeładować pistolet, ale dla Marlowe będzie już za późno. Mimo wszystko, trzeba coś zrobić. Nie może jej stracić.

Marlowe wyprostowała się i otworzyła drzwi. Satin wepchnął ją do środka i wszedł sam. Dane rzucił się biegiem w tamtą stronę, wyciągając rapier z pochwy.

Marlowe potknęła się, wpadając do składu i natychmiast rzuciła się na prawo. Tam było ciemniej. Satin nie da rady jej zabić, jeśli nie będzie jej widział.

– Co jest, do diabła? – spytał bandyta, patrząc na puste wnętrze. – Żegnaj się z życiem, mała.

Marlowe wstrzymała oddech, gdy wymierzył w nią z pistoletu. Widocznie nie udało jej się dobrze schować, bo celował prosto w nią. Schyliła się, czekając na strzał, ale zamiast tego usłyszała czyjś krzyk.

– Nie! – Gideon rzucił się naprzód. Zeskoczył na podłogę w chwili, gdy drzwi stanęły otworem. Podniósł wzrok, zobaczył wykrzywione usta Satina, błysk odwodzonego kurka i skoczył przed siebie.

Dane zobaczył, jak Satin podnosi pistolet i unióś rapier. Był niemal w progu, kiedy spadło na niego coś ciężkiego. Przewrócił się na ziemię. Napastnik przygniótł go sobą. Dane nie puścił broni, choć tamten próbował ją wyrwać. Zamachnął się lewą ręką i trafił tamtego w pierś, tuż poniżej gardła.

– Cholera jasna, Dane!

Dane powstrzymał następny cios i spojrzał na swojego brata.

– Co tu robisz, do diabła?

– Ratuje ci życie, ty durniu.

Wtedy właśnie usłyszeli wystrzał.

– Gideon! – krzyknęła Marlowe. Na moment zasłoniła się rękami, ale zdążyła zobaczyć, jak jej przyjaciel pada na ziemię. – Nie! – Podniosła się na kolana, ale Satin uderzył ją w głowę rękojęcią pistoletu.

– Chciałaś mnie zrobić? – ryknął. – Mnie? – Rozwałę ci łeb, a potem cię posiekam na plasterki, ty podła zmijo. – Odciągnął kurek, ale Marlowe wymierzyła mu kopniaka w jaja. Nie był zbyt mocny, ale i tak męczyzna zgiął się w pół.

Błyskawicznie odskoczyła na bok, ale w chwilę potem znowu był blisko. Opuścił pistolet, więc odtoczyła się na bok. Skrzywiła się, gdy broń wypadła mu na podłogę. Przynajmniej z tym będzie spokój.

Ale Satin bynajmniej z nią nie skończył. Rzucił się na nią. Od impetu zaparło jej dech w piersi. Nie miała z nim szans, ale знаła parę brudnych sztuczek i zaprzysięgła sobie w duchu, że zdrowo mu naszkodzi, zanim pójdzie na spotkanie z kostuchą.

Wydała przenikliwy okrzyk i rzuciła się do walki, kopiąc, gryząc i drapiąc, gdzie popadło. Wymierzył jej potężny cios w głowę, aż zobaczyła gwiazdy, ale to jej nie powstrzymało.

Nagle powietrze rozdarł krzyk. Miała nadzieję, że to Satin, i że upuściła mu krwi. Jego ciężar

raptownie zniknął i rozległ się czyjś odległy głos. Z trudem opanowała rozszalałe ciało. Potem otworzyła oczy. To był Dane.

18

Marlowe wpatrywała się w niego niewidzącym wzrokiem. Potem zamrugła, uspokoiła się i wróciła do przytomności. Natychmiast wziął ją w ramiona. Ale ona za nic miała spokój i pieczyoty. Odepchnęła go i usiadła.

– Gdzie Satin?

Dane wskazał głową swojego brata, który właśnie zakuwał bandytę w kajdanki.

– Mamy go – zapewnił ją. – Udało ci się.

Ale ona tylko pokręciła głową i próbowała wstać.

– Masz całą twarz we krwi, kochanie. Leż spokojnie.

– Nie! Gideon – załkała i ruszyła przed siebie. Dane przechylił głowę i dopiero wtedy dostrzegł ciało leżące na podłodze pod oknem. Marlowe upadła przy nim na kolana i wzięła mężczyznę w ramiona.

Kochała tego mężczyznę. Prawda uderzyła Dane'a jak obuchem. Słusznie był o niego zazdrosny. Patrzył nieruchomo, jak pochyliła się nad ciałem i wybuchnęła płaczem. Czy za nim ktoś rozpaczaliby tak głęboko? Czy zostałby po nim tylko suchy nekrolog w Timesie?

Dane wstał i zmusił się, by do niej podejść i pocieszyć. Nawet jeśli zajmował w jej sercu drugie miejsce, i tak się na to zgodzi. Urodził się z hrabiowskim tytułem. Zawsze był pierwszy do wszystkiego. Ale bez Marlowe wszystko traciło sens.

Mężczyzna poruszył się. Dane wstrzymał oddech.

– Marlowe.

Nie słyszała ani słowa, tylko zalewała się łzami, kryjąc twarz w dłoniach.

– Marlowe, on żyje.

– Co? – Popatrzyła na niego z niedowierzaniem na zapłakanej twarzy.

Gideon jęknął i przewrócił się na bok.

– Dzięki Bogu – mruknął z tyłu Brook. – Nie będę musiał się tłumaczyć z trupa.

– Taka troska chwyta za serce – mruknął domniemany nieboszczyk, usiadł i postukał się pięścią w pierś.

– Nie jesteś ranny? – spytała Marlowe. Dane stanął za nią.

– Tylko duma ucierpiała. Uderzyłem głową o podłogę, uchylając się przed kulą. Nie weszła w ciało.

Przyjrzał się sobie, jakby sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu.

Marlowe rzuciła mu się w ramiona. Choć była to najtrudniejsza chwila w jego życiu, Dane zacisnął tylko pięści i nie mieszał się do tego. Spojrzał na brata, który eskortował Satina na zewnątrz. Brook posłał mu w odpowiedzi współczujące spojrzenie. Po raz pierwszy w życiu ktoś się nad nim uzalił, i nie było to miłe.

Marlowe pomogła Gideonowi wstać i wyprowadziła go ze składu. Dane wyszedł w ślad za nimi.

– Może ktoś pomógłby mi przytrzymać złodzieja – powiedział Brook. Przyłapałem go na włamaniu do tego składu.

– Zabiję cię! – ryknął Satin. – Pozabijam was wszystkich!

– Z przyjemnością – zaofiarowała się Marlowe. Podeszła, zamachnęła się i wymierzyła Satinowi cios

w sam środek twarzy. Była drobna, ale umiała siębić. Głowa bandyty poleciała do tyłu. Nie stracił przytomności, ale przynajmniej się zamknął. Podeszła bliżej.

– Za to, że tyle razy biłeś słabszych i mniejszych. Pomyśl o mnie, jak cię zepchną ze stołka w Newgate. Nie mogę się doczekać, kiedy cię powieszają.

– Dlaczego...

Brook stanął między nimi.

– Dostyc tego.

– Zadynda? – spytał Dane.

– Z tym, co wiemy o jego sprawkach? Chętnie powiesilibyśmy go dwa razy, gdyby tylko się dało.

Dane usłyszał westchnienie Marlowe. Ramiona jej opadły. Miała to już poza sobą. Wreszcie była wolna.

– Pójdę z wami – zaproponował Gideon. – Żeby przypadkiem nie uciekł.

Brook uniósł brew.

– Z własnej woli wejdiesz do więzienia?

– Tego nie powiedziałem, ale odprowadzę was pod bramę.

– Chodźmy.

Zanim odeszli, Dane odchrząknął.

– Brook?

Brat odwrócił się do niego.

– Dziękuję. Bez ciebie nie dalibyśmy rady.

Brook uśmiechnął się.

– Wiem, że niełatwo ci to przyszło. Czasem warto mieć brata bohatera.

Uchylił kapelusza i odszedł.

Marlowe spojrzała na Dane'a.

– Nie dziwię się, że go nie lubisz.

– Czasami bywa pomocny.

– To fakt.

Spojrzał na jej rękę. Trzymała w niej złoty łańcuszek.

– Co to takiego?

Uśmiechnęła się.

– Mój ostatni fant.

W głowie mu się zakręciło od tego wszystkiego.

– Muszę odprowadzić furgon. A potem, panno Marlowe, jak chciałaby pani spędzić pierwszy dzień bez Satina?

Potrząsnęła głową. Powstrzymał się, by nie ujął jej twarzy w dłoń i nie przyjrzeć się spuchniętemu policzkowi. Jutro będzie tam miała siniaka. Pewnie teraz boli ją głowa.

– Uwierzysz, jeśli powiem, że mam ochotę wskoczyć do wanny?

– Nie.

– Ale taka jest prawda. Naprawdę mnie rozpieściłeś, lordzie Dane.

Ujął jej rękę.

– Dopiero zaczynam.

Kiedy wrócili do domu, zamówił dla niej kąpiel. Dla siebie zresztą też. Miał dużo pracy, ale wszystko to mogło poczekać. Kiedy był już czysty i ogolony, założył spodnie, płócienną koszulę i ruszył do biblioteki, gdzie czekał na niego Crawford. Przez następną godzinę Dane wydawał polecenia i pisał list do swojego prawnika.

W końcu wzrok odmówił mu posłuszeństwa. Właśnie wybierał się do łóżka, kiedy w drzwiach stanął Brook.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę.

– Satin już siedzi?

– Pod kluczem – odpowiedział Brook, kierując się do tacy zastawionej kilkoma karafkami z alkoholem. Nalał sobie brandy i sączył ją powoli.

– Świetnie. A Gideon?

– Wrócił tam, skąd przyszedł.

Dane potrząsnął głową.

– To straszna nora. Szkoda, że nie widziałeś, w jakich warunkach mieszkają tam ludzie. Jutro tam pójdę, chcę dać pracę paru znajomkom Marlowe. Mogą zostać stajennymi albo forysiami.

Brook uniósł brew.

– Obrobią nas ze wszystkiego.

Dane wzruszył ramionami.

– Muszę dać im szansę.

– Co w ciebie wstąpiło? Do tej pory nie obchodziła cię ani dobroczynność, ani dobre uczynki. Jak to kiedyś powiedziałaś? „Ubogich zawsze macie u siebie”.

Dane zirytował się.

– To nie ja powiedziałem, tylko Chrystus. Zresztą, nieważne. Myliłem się.

Brook aż podskoczył.

– Słucham? Możesz to powtórzyć? Ja chyba śnię.

– Dobrze słyszałeś. Byłem idiotą.

– Mów dalej. Słucham cię pilnie.

– Ale się zmieniłem.

– Chyba wiem dlaczego. Ona tu jest?

Dane spojrział w sufit.

– Na górze. Pewnie śpi.

Brook sączył brandy.

– Oświadczysz się jej?

Teraz z kolei Dane był w szoku.

– Zwariowałeś? Nie mogę się z nią ożenić.

– Nawet jeśli to lady Elizabeth?

– Mimo tego. Jej życie w slumsach... skandal... wszyscy nasi przodkowie przewracaliby się w grobach.

– Nie myślałem, że zależy ci, co o tobie mówią. Ale w sumie do tej pory nie zrobiłeś nic, co dałoby powody do plotek. Byłeś idealnym spadkobiercą tytułu. Dopóki nie pojawiła się Marlowe. Dobrze ci robi ta dziewczyna.

Dane skrzywił się.

– Wcale nie.

– Racja. Źle ci robi, i tego ci właśnie potrzeba. Za każdym razem, kiedy przemawiasz w Parlamencie, boję się, że ludzie zaczną umierać z nudów.

– Mam nadzieję, że cię to bawi.

– Pewnie. Zdaje mi się jednak, że przez parę następnych dni nikt tu się nie będzie nudził.

Dane przeszedł obok niego.

– Idę spać.

– Jeszcze jedno, braciszku – rzucił Brook takim głosem, że Dane zatrzymał się pod drzwiami. – Dziś wieczór dostałem wiadomość, że lord i lady Lyndon są już z powrotem w mieście.

Dane odwrócił się do niego.

– Szybko się uwinęli.

– Zdaje się, że i tak już wracali, ale gdy dotarła do nich wiadomość, jeszcze bardziej się pospieszyli.

Pewnie odwiedzą nas z rana.

– Powiem Marlowe.

– Postaraj się lepiej, bo ją stracisz – zawołał za nim Brook.

Co to miało znaczyć, do diabła? Zastanawiał się Dane, wspinając się po schodach z lichtarzem w dłoni. O mało jej nie stracił parę godzin temu i nie zamierzał tego ponownie ryzykować. Otworzył drzwi do sypialni, zdziwiony, że Tibbs na niego nie czeka.

Oczywiście, poszedł spać. Sam mu przecież na to pozwolił. Napalił jednak wcześniej w kominku i zostawił na stoliku dwa kieliszki wina. Jak to: dwa kieliszki?

Wzrok Dane'a powędrował w kierunku wielkiego łóża, zdobnego w czerwień i złoto. Wstrzymał oddech.

Wśród poduszek leżała wsparta na łokciu Marlowe. Gęste, ciemne włosy opadały jej na ramiona, kontrastując z białą płócienną koszulką, tak cienką, że niemal widać było przez nią ciało.

– Myślałam, że nigdy nie położysz się spać – powiedziała z uśmiechem.

– Jak tu się dostałaś?

– Otworzyłam sobie drzwi.

– Oczywiście. – Trudno mu było zebrać myśli w jej kuszącej obecności. – A po co przyszłaś?

– Czy to nie jest oczywiste?

– Owszem, dzięki Bogu.

Podszedł do łóżka, ale zanim ją przytulił, usiadła i sama otworzyła ramiona. Pachniała morelami, a włosy miała wilgotne po kąpieli. Odnalazł jej wargi, a ona z żarem oddała mu pocałunek. Potem odsunęła się i spojrzała na niego, odgarniając mu włosy z czoła.

– Wiesz, jak długo na to czekałam?

– Gdybym wiedział, przyszedłbym tu o wiele wcześniej.

Pochylił się, by znowu ją pocałować, ale położyła mu palec na wargach.

– Od chwili, gdy wyciągnąłeś tę kosę – rapier z laski i pokazałeś go tym chłopakom. – Zachichotała. – Ale mieli miny! A ty stanąłeś jak szermierz, jakbyś się chciał pojedynkować.

Skinął głową.

– Trochę przesadziłem z tą szermierczą pozycją.

– Trochę tak, ale nie narzekałam. – Głos jej nieco opadł.

– Dlaczego?

– Bo na ten widok zrobiłam się bardzo, bardzo chora.

Zmrużył oczy.

– Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

Roześmiała się.

– Sam mi tłumaczyłeś, że ta choroba to objawy podniecenia.

– Podnieciło cię to?

Jej oczy przybrały ciemną, szafirową barwę.

– Nadal mnie to podnieca.

– Więc co zrobimy z tymi twoimi.. dolegliwościami?

– Jest tylko jeden sposób.

– Jaki?

Wstała, pochyliła się do jego ucha i szeptem powiedziała, czego chce – wulgarnie i opisowo. Dane nigdy nie słyszał takich słów z ust damy, ale w tym momencie był bardzo zadowolony, że Marlowe nie jest damą. Kiedy skończyła, zaschło mu w gardle i kompletnie stracił głos. Skinął tylko głową, zagłębił palce w jej włosy i przyciągnął ją do siebie. Smakowała winem i sobą samą.

Jego palce znalazły skraj koszuli. Przesunął po ciepłej, gładkiej skórze ud i podniósł materiał wyżej.

Po chwili koszulka pofrunęła na podłogę. Westchnął głęboko.

W tawernie było zbyt ciemno, by mógł podziwiać jej wdzięki tak jak teraz. Była cudowna, szczupła, długonoga, o krągłych biodrach i szczupłej talii. Przesunął dłońmi do góry, by zważyć w nich piersi.

Były pełne i ciemne, a różowe sutki stwardniały z podniecenia. Potarł jeden palcem, a Marlowe odchyliła głowę do tyłu. Po kolejnej pieszczocie jęknęła.

Chciała, żeby wziął ją natychmiast, ale on nigdy nie słuchał rozkazów, nawet gdy były po jego myśli.

Pieszcząc językiem sutki i delikatną skórę, wsunął jedną dłoń między jej nogi. Była ciepła, a po chwili zrobiła się też wilgotna. Wsunął palce w delikatnie ciało, masując delikatne zgrubienie, które dawało jej taką przyjemność. Zaczęła poruszać się w rytmie pieszczoty, cicho jęcząc z rozkoszy. Poczł, jak sam twardnieje. Im bardziej ją pobudza, tym bardziej sam był podniecony. Mimo tego mógłby ją tak pieścić całą noc, nie biorąc nic w zamian. Chciał dać jej wszystko, czego pragnęła, i jeszcze więcej.

Wsunął w nią drugi palec.

– Och, tak. Tak! – jęknęła.

Była blisko szczytu, tak bardzo, że zaczynała już dygotać. Ale chciał dać jej więcej. Chciał, żeby fala rozkoszy tak ją oszołomiła, żeby wszystkie myśli uleciały jej z głowy. Chciał, żeby czuła się tak, jak on, kiedy na nią patrzył. Więc w ostatniej chwili przełożył ją na skraj łóżka, rozsunął szeroko jej nogi i wziął ją ustami.

Wygięła całe ciało w łuk, kiedy pieścił, ssał i łaskotał ją językiem, i błagała, by przestał, bo już więcej nie wytrzyma. Wtedy ukląkł i rozluźnił spodnie.

Wpół otworzyła oczy zamglone rozkoszą i pogładziła jego napiętą męskość.

– Na to czekałam. Ma być mocno i szybko.

– Jak sobie życzysz.

Jedną ręką przełożył ją na brzuch i znalazł się na niej. Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Tego chciałaś? – mruknął jej do ucha.

Naparła na niego.

Modlił się, żeby się zgodziła, bo nigdy w życiu nie pragnął czegoś bardziej, niż wziąć ją w ten sposób.

– Tak.

Złapał ją za biodra i podciągnął. Rozsunął jej nogi. Oparła się na łokciach, odwróciła i uśmiechnęła się do niego.

Wdarłby się w nią, ale nie chciał jej skrzywdzić. Wszedł powoli, po kawałku, aż zagłębił się cały. Jęknęła, więc zaczął się w niej poruszać, manewrując jej biodrami, powstrzymując jak najdłużej własne szczytowanie.

Kiedy poczuł, że za chwilę dojdzie, znalazł dłonią nabrzmiały, czuły punkt i pogłaskał go lekko.

– Dane – zawołała, napinając się cała.

– Moje imię, Marlowe.

– Maxwell – wydyszała, dygocąc w spazmach napiętności.

Po chwili oboje znaleźli spełnienie i oboje pogrążyli się w ciemności.

W kilka godzin później Marlowe, osłabła i nasycona, leżała w łóżku Dane'a. Zastony baldachimu były zaciągnięte, ale przez złocistą tkaninę sączyły się pierwsze promienie słońca. Obok niej spał Maxwell. W nocy wziął ją jeszcze kilka razy, ona jego też, a teraz wszystko ją rozkosznie bolało.

Co za wszechstronny człowiek. Czuły i delikatny, a zarazem szorstki i władczy. Podniecał ją do szaleństwa. Może następnym razem poprosi go, żeby przypiął rapier, a potem przybrał pozę szermierza. Zachichotała na tę myśl i natychmiast spowaźniała, bo w korytarzu rozległy się kroki.

Służba już się pobudziła, zaraz ktoś przyjdzie dołożyć do kominka. Potem zjawi się lokaj, żeby go ubrać. Kucharka już przygotowuje śniadanie. Łatwo byłoby się przyzwyczaić do takiego życia. Łatwo by

zapomniała, skąd pochodzi i co zostawiła za sobą. Mogłaby też zrobić wiele dla tych, którzy na zawsze utkwili w slumsach takich jak Seven Dials. Ale to były pozory. Znalazła się w jego łóżku, ale niekoniecznie w sercu. Kochanka to nie żona, szczególnie dla takich jak Dane, szczególnie jeśli ta kochanka jest zwykłą złodziejką. Nigdy się z nią nie ożeni, nie ma na to co liczyć.

Szkoda, że go tak mocno pokochała. Kilka dni temu pękłaby ze śmiechu na myśl, że marzy o małżeństwie z hrabią Dane. Teraz wcale jej to nie bawiło. Chciała, by należał tylko do niej, tak jak on chciał ją mieć tylko dla siebie. Kilka dni temu zgodziłaby się na rolę kochanki, ale wtedy nie była w nim zakochana. Do szału ją doprowadzała sama myśl, że mógłby patrzeć na inną, dotykać innej albo spać z inną. Trąciła go szorstko łokciem.

Mruknął coś i otworzył oczy.

– Co się dzieje?

– Jeszcze nic.

Zmarszczył brwi, a potem wziął ją w ramiona.

– Śpij – mruknął prosto w jej szyję.

Byłoby cudownie, ale nie należał do niej, więc nie mogła tu zostać. Usiadła, podciągając kołdrę pod szyję.

– Ludzie już się pobudzili. Zaraz przyjdzie pokojówka, a potem lokaj.

– Mam to gdzieś.

– A ja nie. Nie powinni mnie tu widzieć.

Otworzył jedno oko.

– Bo to nieprzyzwoite?

Skinęła głową.

– I tak już szepczą za moimi plecami. Nie jestem dziwką.

Usiadł i popatrzył na nią.

– Nikt tak nie myśli. A już na pewno nie ja.

Chciała się spytać, co w takim razie o niej myśli, ale duma jej nie pozwoliła.

Wyskoczyła z łóżka i nałożyła nocną koszulę.

– Muszę już iść.

– Do swojego pokoju?

Pokręciła głową.

– Nie. Z powrotem do...

Seven Dials nie było przecież domem.

– Tam, skąd przyszedłam.

Dane natychmiast wstał i złapał ją za ramię, nie bacząc na to, że jest całkiem nagi.

– Nie. Powiedziałem ci przecież, że tam nie wrócisz.

– Nie mam dokąd iść. Wiesz, gdzie mnie znaleźć, kiedy lord i lady Lyndon wrócą ze Szkocji i będą w dalszym ciągu zainteresowani spotkaniem.

– Mogą się z tobą spotkać tutaj.

Potrząsnęła głową.

– To twój dom, a nie mój. Nie należę do tego świata.

– Tego nie wiesz. Jeśli jesteś lady Elizabeth, to może właśnie należysz.

– Chcesz powiedzieć, że w takim przypadku ożeniłbyś się ze mną? Tylko wtedy naprawdę stałabym się jego częścią.

Odwrócił wzrok. Nie potrzeba było słów. Nie chciał się z nią ożenić. Nic dziwnego. Kto z jego pozycją by tego chciał? Była głupia, że w ogóle poruszyła ten temat. Wiedziała przecież, że będą razem jedną noc, albo najwyżej dwie. Powiedziała sobie, że to musi jej wystarczyć. Tylko że jej serce było innego zdania. Chciało iść na całość.

– Marlowe, zależy mi na tobie, ale małżeństwo to...

Pokręciła głową.

– Nieważne. Nie wiem, po co o tym wspominałam. To jasne, że byłabym ci tylko kulą u nogi. Chyba dlatego, że jestem idiotką i się w tobie zakochałam.

Puścił ją i odsunął się o krok, kompletnie oszołomiony.

– Co ty powiedziałaś?

– Nic takiego. Idź swoją drogą, Dane, a ja pójdę swoją. Nie musisz mnie odprowadzać.

Znalazła zarzutkę i otuliła się nią. Dane przez cały czas stał jak skamieniały, jakby jej słowa wprawiły go w trans.

Dopiero kiedy podbiegła do drzwi i chwyciła za klamkę, powiedział w końcu.

– Nie możesz teraz odejść.

– Nie zatrzymasz mnie.

– Nie o to mi chodzi.

Spojrzała na niego.

– Twoi... lord i lady Lyndon wrócili już do Londynu. Chcą się z tobą spotkać dziś rano. Przyjdą tutaj.

19

Pod Marlowe ugięły się nogi. Chyba się przesłyszała. Przecież Lyndonowie byli w Szkocji.

– Brook powiedział mi o tym w nocy – potwierdził Dane. – Już byli w drodze do domu, ale kiedy dostali od niego wiadomość, jeszcze bardziej pospieszyli się z powrotem.

– A ty mi nic nie powiedziałaś?

Zrobił zawstydzoną minę.

– Na twój widok... zapomniałem o wszystkim. Przepraszam. Zostaniesz, żeby się z nimi spotkać?

Skinęła głową.

– Dobrze, a potem...

Nie wiedziała, co się potem stanie.

– Potem zejść ci z drogi. Jeśli można, ubiorę się dziś w suknię, którą pożyczyła mi Susanna. Oddam ją, kiedy tylko będę mogła.

Potrząsnęła głową.

– Zatrzymaj ją sobie.

– Nie. Już nie jestem złodziejką.

Zamknęła drzwi i pospiesznie ruszyła do swego pokoju, nie dbając o mijanych po drodze służących. Nie miała ochoty napotykać ich ciekawskiego spojrzenia, nie chciała, żeby widzieli łzy wzbierające w jej oczach. Naprawdę z nią skończył. Nawet jej nie prosił, żeby została. Nie próbował jej przekonać. Dał jej na odchodnym kieckę i posłał do diabła. Nie chciał, żeby się czuła jak dziwka, ale tak właśnie wyszło.

Zanim Jane zastukała do drzwi, Marlowe zdążyła się już umyć. Z wdzięcznością przyjęła pomoc pokojówki przy ubieraniu, ale zamiast fryzury poprosiła o zwykły koński ogon.

– Nie chcę wyglądać jak tort – powiedziała. – Jestem tym, kim jestem.

W końcu była gotowa. Rozejrzała się po pokoju, w którym mieszkała tak krótko. Pierwszym, który należał wyłącznie do niej. Spojrzała na pierwsze łóżko, w którym spała... a raczej na drugie. Kiedy tu weszła po raz pierwszy, była zupełnie inną osobą. Teraz pozbyła się Satina. A Dane złamał jej serce.

Zeszła na dół. Usłyszała szcęk widelca. Zajrzała do jadalni. Brook siedział przy stole i popijał herbatę. Crawford jak zwykle podpierał ścianę, wpatrując się w przestrzeń.

Brook wstał na jej widok.

– Jesteś już. – Uśmiechnął się. – Jak się spało?

Skrzywiła się.

– Czy to miał być żart?

Czy w tym domu wszyscy już wiedzieli, że spędziła noc z Dane'em?

– Nie. To rodzaj uprzejmego porannego powitania.

Może jednak nie wiedział.

– Aha. W takim razie, dobrze.

– A gdzie Dane?

– Skąd mam wiedzieć?

Broke uniósł ręce.

– Zdaje się, że ciągle coś mówię nie tak. Zaczniemy od początku. Dzień dobry, Marlowe. Napijesz się herbaty? – wskazał na Crawforda.

– Nie. Dziękuję.

Brook przysunął jej krzesło.

– Usiądziesz?

– Dziękuję – odparła z westchnieniem i zajęła miejsce. Przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę. Marlowe pierwsza odwróciła wzrok. Kiedy wreszcie przyjdą ci Lyndonowie? Chciała odejść stąd jak najprędzej.

– Nałożyć ci coś do jedzenia? – zapytał. – Zazwyczaj jemy tu bufetowe śniadania.

– Wiem, co należy robić. Po prostu nie jestem głodna.

– Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek to od ciebie usłyszę – odezwał się Dane z progu. Nie słyszała, jak schodzi po schodach. Był taki przystojny. Powinna się stąd zabierać jak najprędzej.

– Powiedziałaś jej? – spytał Brook.

Dane wszedł i usiadł naprzeciwko niej.

– O rodzicach? Owszem.

Brook skinął głową i uśmiechnął się do niej.

– To pewnie z nerwów.

– Kiedy tu będą? – spytała pospiesznie. – Nie mogę tu tkwić przez cały dzień.

– Ano tak, masz pilne sprawy w Seven Dials – przytaknął Dane. Jeśli można, pójdę razem z tobą.

– Co takiego?

– Powiedziałem...

– Dlaczego? – Nie chciała, żeby szedł z nią. Chciała się przecież znaleźć jak najdalej od niego.

– Zobaczę, czy ktoś z twojej bandy nie chciałby się zająć uczciwą pracą. Zawsze przyda się nowy stajenny, a Lloyd może wyszkolić nowego lokaja.

Crawford jęknął jak ranny łoś, ale na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad emocji.

– Dlaczego chcesz to zrobić? – spytała.

– Żeby pomóc ludziom, dla których los nie był tak łaskawy jak dla mnie. Chcę zrobić dobry początek.

– Nie licz na to. Kto by chciał zostać niewolnikiem, jeśli może być kieszonkowcem? – Spojrzała na Crawforda. – Bez urazy.

– Zapewniam panienkę, że nie ma za co przeproszać.

– Bo za uczciwą pracę nikogo nie czeka konopny sznur – podsunął Brook.

– Albo wycieczka za morze – dodał Dane. – Nikogo nie będę przecież zmuszał, po prostu im to zaproponuję.

Miał rację. Dlaczego miałyby stawać na drodze Gapa, Tiny'ego albo Stuba i odmówić im uczciwej pracy? Nie chciałyby przecież zobaczyć żadnego z nich na szubienicy. Jeśli Dane ich zatrudni, czeka ich lepsza przyszłość. W odróżnieniu od niej samej. Nie wiedziała przecież, co będzie robić jutro, pojutrze lub za tydzień. Poza tym, że nie może tu zostać.

Dane poprosił o herbatę. Wypili ją w milczeniu.

Ciekawe, ile będzie musiała tu siedzieć i czekać, żeby się dowiedzieć, kim naprawdę jest?

Mimo wszystko dźwięk kołatki kompletnie ją zaskoczył.

– Kto to może być o tej porze? – mruknął Crawford i wyszedł. Lloyd, szef lokajów natychmiast zajął jego miejsce pod ścianą.

– Jeśli to lord i lady Lyndon, poproś ich do salonu – rzucił Dane obojętnym głosem, nie spuszczać wzroku z Marlowe.

Miała nadzieję, że dostrzegł, jak się trzęsie. Myślała, że uda jej się symulować obojętność, ale kiedy nadeszła decydująca chwila, zaczęła się denerwować. Bała się, że Lyndonowie jej nie rozpoznają i

równie mocno obawiała się, że się do niej przyznają. Co będzie, jeśli się okaże, że naprawdę jest lady Elizabeth? Jak sobie poradzi, kiedy wszystko w jej życiu ulegnie zmianie?

Czuła się jak we śnie.

Crawford wrócił. Pewnie zaanonsował Lyndonów, bo Brook i Dane wstali z krzeseł i gestem polecili jej, żeby poszła razem z nimi. Jej ciało usłuchało, ale czuła się, jakby straciła kontrolę nad swoimi ruchami. Poszła za Brookiem po schodach, żałując, że nie zgodziła się na bardziej wyszukaną fryzurę. Czuła się taka pospolita. Damy na pewno tak o sobie nie myślą.

Dane szedł za nią i coś mówił. Sądząc z tonu głosu, chciał ją uspokoić, ale nic nie słyszała. Szum w uszach głuszył wszystko. Nagle znalazła się pod drzwiami salonu, Crawford je otworzył i stanęła twarzą w twarz ze starszym, eleganckim mężczyzną. Patrzyła na niego i bardzo chciała go rozpoznać, ale wyglądał obco. Jak każdy inny bogaty gość. Miał na sobie drogie ubranie, trochę pogniecione po podróży. Ciemne włosy przyprószyła siwizna. Był niski i krępy i spoglądał na nią zmrużonymi oczyma.

Mężczyźni rozmawiali przez chwilę, ale Lyndon nie odwracał od niej wzroku. Ona też zresztą była w niego wpatrzona.

W końcu zamknęła oczy, przełknęła ślinę, a kiedy je otworzyła, usłyszała:

– To ma być ona?

– Tak – powiedział Dane. – To jest Marlowe. Sir Brook wyjaśni, dlaczego doszedł do wniosku, że może być... osobą, której szukacie.

– Gdzie ją odnaleźliście?

Wygląda na to, że mu się nie spodobała. W jego głosie brzmiał chłód. Marlowe miała ochotę uciec z tego pokoju. To wszystko było bez sensu. Wcale nie była żadną lady Elizabeth.

– Mieszkała w Seven Dials, należała do bandy kieszonkowców – wyjaśnił Brook. – Moim zdaniem przywódca bandy Satin porwał ją w dzieciństwie. W tej chwili siedzi w więzieniu i podczas przesłuchania przyznał się do tego.

Marlowe przeniosła wzrok na Brooka. Kiedy zdążył przesłuchać Satina? Czy Satin powiedział prawdę, czy wyznał to, co mu kazali, żeby zasłużyć na lżejszą karę?

– To nie znaczy, że jest moja – powiedział Lyndon. Popatrzył na nią.

– Jak masz na imię, dziewczyno?

– Ja... – głos jej się załamał. Musiała odchrząknąć i zacząć od nowa. – Nazywam się Marlowe.

– Miałaś kiedyś jakieś inne imię?

– Nie, milordzie – odpowiedziała. – W każdym razie nie pamiętam tego.

Wprawdzie pamiętała jak za mgłą, że kiedyś rzeczywiście nazywano ją Elizabeth, ale może to było tylko dzieło wyobraźni. Jeśli powie temu człowiekowi, że pamięta to imię, on pewnie pomyśli, że kłamie, bo chce zostać jego córką. Była przecież złodziejką. Nikt nie będzie się po niej spodziewał uczciwych motywów, będą posądzać ją o chęć zysku. Więc nic mu nie powiedziała o swoich wspomnieniach. Uświadomiła sobie, że skubie zębami kciuk i pospiesznie opuściła dłoń.

– Pamiętasz coś z dzieciństwa? – spytał lord Lyndon. – Czy ten Satin powiedział ci, skąd pochodzisz?

– Powiedział, że jestem niechcianym dzieckiem prostytutki. Zabrał mnie od niej.

Lord skrzywił się z niesmakiem. Sądząc po spojrzeniu, jakie posłał Brookowi, uważał to za stratę czasu.

– Płacę ci, żebyś odnalazł moją córkę, a nie bachora jakiejś ladacznicy.

Dane postąpił o krok.

– Proszę uważać na swoje słowa. Niezależnie od tego, czy jest twoją córką, czy nie, powinieneś traktować ją z szacunkiem, milordzie.

Lyndon pochylił głowę.

– Naturalnie. Przepraszam, lordzie Dane.

– Porozmawiamy niedługo – zwrócił się do Brooka. – Dzięki za starania, ale to nie moja córka. Proszę

mnie nie odprowadzać.

Drzwi do salonu otworzyły się i zamknęły. Pod Marlowe znowu ugięły się nogi. Upadła na eleganckie krzesło. Dane natychmiast znalazł się przy niej.

– Przepraszam, Marlowe. Ja naprawdę myślałem...

Uniosła dłoń.

– Nie ma za co przepraszać. Cały czas ci mówiłam, że nie jestem dzieckiem z lepszej rodziny.

– Myli się – powiedział Brook. – Szukałem cię długie miesiące. Wszystko przemawia za tym, że jesteś lady Elizabeth. Historia twojego życia, twój wygląd, nawet zeznania Satina.

– Skłamał – odpowiedziała. – A ja mam to gdzieś. Dosyć tego.

Poczuła przypływ sił i wstała.

– Co ty robisz? – spytał Dane.

– Odchodzę. – Ruszyła ku drzwiom.

– Pójdę z tobą, tylko wezmę laskę.

– Nie. Spojrzała wprost na niego. – Nie chcę cię już nigdy widzieć. Ja... – głos jej się załamał. – ... ja już tego nie wytrzymuję.

– Marlowe.

Machnęła ręką i wybiegła przez otwarte drzwi salonu, a potem popędziła po schodach. Przy wejściowych drzwiach stał Crawford.

– Z drogi, fagasie.

– Z rozkoszą się usunę. – Odszedł na bok, a ona wybiegła na dwór.

Odchodzi, pomyślał Dane. Odchodzi i już nie wróci. Powinienem ją puścić. Tak będzie najlepiej. Jestem hrabią, a ona zwykłą złodziejką. Nawet gdyby lord Lyndon ją uznał, niczego by to nie zmieniło. Z takimi kobietami nie należy się żenić. Mam przecież obowiązek wobec całych pokoleń naszego rodu.

Marlowe odchodziła. Nie zdawał sobie sprawy, jaki mu to sprawi ból. Miał uczucie, że każdy jej krok wrywa mu serce z ciała i ciągnie za sobą na ulicę.

– Tak po prostu pozwolisz jej odejść? – spytał Brook niemal obojętnie.

Jak on może być taki beztroski, kiedy Dane cierpiał katusze?

– Przecież ją kochasz, to widać – dodał Brook.

Dane spojrzał na niego.

To było to. To właśnie czuł. Kochał ją. Nigdy przedtem nikogo tak bardzo nie kochał. I nikogo już nie pokocha.

– Kocham ją.

Wydawało mu się, że te słowa powiedział ktoś inny. Były przepełnione zachwytem i podziwem. Oczywiście, że ją kochał. Czy inaczej poszedłby z nią do Seven Dials, pozwolił jej mieszkać pod swoim dachem, postanowił przeprowadzić ustawę o pomocy biedocie? Ojciec przewróci się w grobie, ale to nieważne. Dane kochał Marlowe, a ona jego. Sama mu to powiedziała.

– Kocham ją – powtórzył.

– Więc? – spytał Brook.

– Kocham ją! – wykrzyknął Dane. – Naprawdę!

– Nie zamierzasz nic z tym zrobić?

Dane zmarszczył brwi.

– Zrobić?

Brook uniósł brew.

– Na przykład jej zatrzymać?

– Zatrzymać?

Oczywiście. Przecież powiedziała, że odchodzi. Nie może jej na to pozwolić. Najpierw wyzna jej swoje uczucia, będzie błagał o przebaczenie, o to, żeby za niego wyszła, żeby powtórzyła, że go kocha. Dlaczego nie powiedział jej tego rankiem? Dlaczego nie zdawał sobie sprawy, że może ją utracić?

Była dla niego wszystkim.

Popędził ku schodom, skacząc po dwa stopnie. O mało co nie spadł i nie skręcił szyi. Byle tylko ją dogonić.

– Zatrzymaj ją! – ryknął do Crawforda, widząc, że ten właśnie przepuszcza Marlowe do drzwi.

Odwróciła się ku niemu, otwierając usta ze zdziwienia. Musiał wyglądać jak dzikus. Albo wariat. Wybuchnął śmiechem. Nieważne. Do diabła z kindersztubą, obowiązkami i całym światem. Ja ją przecież kocham!

Zatrzymał się tuż przed nią. Szeroko otworzyła oczy i patrzyła na niego, nie mogąc znaleźć słów.

– Nie możesz mnie zostawić – wysapał. – Błagam, nie odchodź. – Chwycił ją za rękę.

– Dlaczego nie? – spytała, patrząc na ich dłonie.

– Bo... – Dane spojrzał na Crawforda, który gapił się na nich bezwstydnie i nawet nie próbował tego ukryć. Z jadalni wyglądał Lloyd. A po schodach powoli zstępował Brook. Do diabła z tą całą widownią, wszystko mu było jedno. Mógłby wykrzyknąć to wyznanie nad dachami Londynu.

– Bo cię kocham. – Ukląkł przed nią. Crawford jęknął boleśnie, ale Dane o to nie dbał. – Bo chcę się z tobą ożenić. Proszę cię, Marlowe. Czy zrobisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Wpatrywała się w niego długo. Tak długo, że zaniepokoił się, czy go słyszała. Wiedział, że wypowiedział te słowa na głos, bo Crawford zamknął oczy i skrzywił się boleśnie.

W końcu Marlowe otworzyła usta, zamknęła je, a potem powiedziała:

– Nie.

Dane miał wrażenie, że świat zapada się w głąb, w otchłań zapomnienia. Stracił ją. Na szczęście, nie umiał przegrywać, więc i tak ją zdobędzie. Była warta wszelkich wysiłków.

– Jeśli myślisz, że zrezygnuję, to się mylisz.

Wstał i złapał ją za rękę, żeby nie uciekła.

– Będę ci się oświadczał codziennie. Udowodnię ci, ile dla mnie znaczysz. Nigdy się nie poddam, Marlowe.

Potrząsnęła głową.

– Musisz. Nie rozumiesz tego? Jestem niczym. Nie możesz się ze mną ożenić. Jaka byłaby ze mnie hrabina?

Miała rację. Miała absolutną rację. To będzie niesłychany mezalians. Gdyby ktoś inny się tak zachował, Dane byłby wstrząśnięty i pełen niesmaku. Ale w chwili, gdy spotkał Marlowe, coś się w nim odmieniło. Niegdyś traktowałby ją jak niegodną miana człowieka. Podobnie jak całą biedotę. Teraz uważał, że on sam jest niegodny tego miana. Był egoistą, zachowywał się jak zwierzę.

– Kiedyś by mnie to niepokoiło – przyznał. – Ale teraz nie ma to żadnego znaczenia. Liczą się ludzie, nie przynależność klasowa. Jesteś moją Marlowe. I jesteś mi potrzebna.

Wskazał ręką dom i służbę.

– Nie widzisz, że wszystko to będzie dla mnie nieważne, jeśli zabraknie tu ciebie? Ty jesteś dla mnie wszystkim.

Poraziła go prawda tych słów. Naprawdę poza nią nic się dla niego nie liczyło.

Chciała uwolnić rękę, ale jej nie puścił.

– Ale ja nie wiem, jak być hrabiną. Nie wiem, jak się zachowywać w twoim świecie.

– Więc zamieszkamy w twoim.

Szeroko otworzyła oczy z przerażenia.

– Nie mówisz chyba serio.

– Ależ tak. Odejdę stąd w jednej chwili. Powiedz tylko słowo.

– Max, nie.

Nazwała go po imieniu. To był chyba dobry znak.

– Albo zbudujemy nasz własny świat, Marlowe. Wszystko mi jedno, gdzie będziemy mieszkać i co robić, jeśli będę z tobą. Kocham cię, Marlowe. Nikogo nie kochałem tak jak ciebie. Całe życie będę się starał, żebyś była szczęśliwa. Tylko powiedz „tak”.

Potrząsnęła głową, ale dostrzegł uczucie w jej oczach, ślady łez na policzku i drżenie warg.

– Pozwól mi się uszczęśliwić, Marlowe.

– Ja...

Pełną napięcia ciszę przerwało ciche stukanie do drzwi. Dane zaklął, Marlowe podskoczyła z napięcia, a Crawford odchrząknął i z wielką godnością poszedł otworzyć.

Dane ze zdziwieniem spostrzegł w drzwiach lady Lyndon.

– Lady Lyndon? Proszę wejść – wykrztusił.

Marlowe do bólu zacisnęła palce na jego dłoni. Oczy lady Lyndon pobiegły w jej stronę. Skinęła głową na powitanie i weszła.

– Przepraszam, że przeszkadzam.

– Rozminęłaś się ze swoim mężem, milady.

Kąciki ust markizy opadły, a Dane zamrugął ze zdziwienia. Marlowe robiła dokładnie taką samą minę, gdy coś ją zdenerwowało.

– Skądże znowu. Siedzi w powozie. Przedtem ja tam czekałam. Nie mogę odjechać, nie zobaczywszy się z nią.

Spojrzała na Marlowe.

– Czy to ona?

– Nazywam się Marlowe, milady. Przykro mi z powodu twojej córki. Szkoda, że przejechałaś taki kawał drogi tylko po to, żeby się rozczarować.

Brook poszedł do nich.

– Czujesz się rozczarowana, milady? Tak jak pisałem, przeprowadziłem śledztwo w sprawie porwania twojej córki i dokładnie zbadałem historię życia Marlowe. Naprawdę jestem przekonany, że ona jest lady Elizabeth.

Dane też był tego pewny. Wystarczyło spojrzeć na nie obie. Podobieństwo rzucało się w oczy. Matka i córka miały takie same gęste, ciemne włosy i wielkie oczy, ten sam kształt nosa i zdecydowanie zarysowaną szczękę.

Lady Lyndon nie odrywała spojrzenia od Marlowe.

– Czy ty... czy ty mnie pamiętasz?

Marlowe spojrzała na Brooka, na Dane'a, a potem potrząsnęła głową.

Naprawdę było jej przykro. Siwowłosa kobieta wydała jej się dobra, szczerą i nieszczęśliwą. Nie pamiętała jej jednak. Zawsze myślała, że jeśli kiedyś zobaczy swoją matkę, pozna jej twarz, głos i zapach. Ta dama była jednak obca. Po spotkaniu z lordem Lyndonem Marlowe ścisnęło się serce. Przed chwilą, kiedy odrzuciła tę kobietę, po prostu pękło na pół. Cały czas hołubiła nadzieję – niebezpieczne i bezsensowne uczucie w Seven Dials. Teraz drogo zapłaci za swoją głupotę.

Dama uśmiechnęła się smutno i odsunęła się od niej.

– W takim razie nie będę nadużywać waszej uprzejmości. Dziękuję.

Odwróciła się, a Crawford, który dopiero co zamknął za nią drzwi, znowu chwycił za klamkę. Ale zanim je znowu otworzył, lady Lyndon jeszcze raz się obejrzała.

– Nie mogę odejść, nie zadawszy ci jednego pytania.

– Postaram się na nie odpowiedzieć, milady.

– Czy pamiętasz swoją matkę, Marlowe?

Marlowe już chciała potrząsnąć głową, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i przytaknęła. Nikomu poza Gideonem nie mówiła o tych wspomnieniach. Za bardzo się bała. Teraz także pojawił się cień strachu, ale powiedziała sobie, że Satin już jej nie może zagrozić. Nie skrzywdzi jej nigdy więcej. Mocno ścisnęła dłoń Maxa, a potem ją puściła.

– Trochę pamiętam.

Lady Lyndon podeszła bliżej.

– Powiedz mi, co sobie przypominasz.

Marlowe zamknęła oczy i próbowała wrócić w myślach do tamtych dawnych czasów. Natychmiast powrócił ból w piersi, ale nie mógł być gorszy niż ten, który ją czekał po rozstaniu z tą kobietą.

– Pamiętam, że zawsze się śmiała. Była taka szczęśliwa. I ślicznie się ubierała. Przynajmniej tak mi się wydawało – dodała z uśmiechem.

Przełknęła ślinę. Pozostało jeszcze jedno wspomnienie, z którego do tej pory nikomu się nie zwierzyła.

– Ja... pamiętam, kiedy mama kładła mnie spać zamiast niani. Zawsze śpiewała mi kołysankę.

– Jaką? – naciskał kobiecy głos.

– Nie pa... – ale pamiętała. Wyteżyła pamięć i napłynęło wspomnienie.

– Elisabeth ma dziewczynka, zawsze słodka jak rodzynka... – zaśpiewała cicho tyle, ile zapamiętała.

Jeszcze coś było... – Dam jej...

– Dam jej buzi na powitanie – zaśpiewała z nią lady Lyndon – gdy znów zobaczę moje kochanie.

Ostatni wers zaśpiewały razem. Kiedy skończyły, zapadła głucha cisza.

Marlowe otworzyła oczy i pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była dłoń w rękawiczce, trzymająca ją za rękę. Potem podniosła wzrok i spojrzała w oczy damy. Po jej twarzy strumieniem płynęły łzy.

– Zna pani tę kołysankę – szepnęła Marlowe.

Lady Lyndon skinęła głową.

– Śpiewałam ją swojej córce Elisabeth. A za to ją ciągle karciłam – powiedziała, wskazując na kciuk, który, nie wiedzieć kiedy, powędrował do ust Marlowe.

Marlowe skinęła głową, ale wciąż nie była w stanie dopuścić do siebie nadziei.

Wtedy lady Lyndon – matka – chwyciła ją w objęcia. Marlowe zeszywniała, ale kiedy otoczył ją zapach tej kobiety, kiedy poczuła dotyk jej ramion, zrozumiała, że dotarła do domu. Wreszcie znalazła się tam, gdzie zawsze pragnęła być.

20

Wciąż nie rozumiem, dlaczego aż dwa tygodnie kazałaś mi czekać na odpowiedź – dąsał się Max. Marlowe podejrzewała, że za bardzo się tym nie przejmuję, tym bardziej że zaczął głaskać ją po nagim brzuchu.

– Przystaniesz w końcu? – spytała z udawaną irytacją. Podniosła książkę, z której uczył ją czytać. Nie był to Szekspir. Max obiecał, że kiedyś będą czytać jego sztuki, ale na razie wybrał dla niej coś łatwiejszego. – Próbuję czytać.

Zrobiła zeza, sylabizując w myśli trudne słowo, na które właśnie natrafiła.

– Jak ci idzie? – Ręka przesunęła się wyżej, na pierś, sprawiając, że jej sutki natychmiast stwardniały. Marlowe przełknęła ślinę.

– Jakoś.

– Wkrótce będę miał żonę intelektualistkę – powiedział, przesuwał dłoń w dół. Lektura stała się niemożliwa.

Marlowe odłożyła książkę. Max wykorzystał to natychmiast, zamknął tomik i odłożył go na podłogę.

– Naprawdę chciałbyś mieć intelektualistkę za żonę? – spytała.

– Pod warunkiem, że to będziesz ty – odpowiedział, muskając ją opuszkami palców, aż zadygotała.

– Dlaczego kazałaś mi tak długo czekać na odpowiedź? – nie dawał jej spokoju.

Przewróciła oczami. Znowu wrócił do tematu oświadczyn.

– Bo byłam zajęta, wiesz? Poznawałam na nowo rodziców. Potem trzeba było się zająć Gideonem i chłopcami. Nie miałam głowy do myślenia o małżeństwie.

– Mogłaś przynajmniej powiedzieć „tak”. Wiesz, że Susanna była szczęśliwa, planując całą uroczystość.

– Uwielbiam Susannę – powiedziała – ale wątpię, czy twoja matka ci kiedykolwiek wybaczy, a mnie zaczniesz tolerować.

– Owszem – odparł spokojnie. – Jeżeli dasz jej wnuki.

Hrabina wdowa wcale nie wyglądała na miłośniczkę dzieci. Ale może była inna, niż się wydawała. Może z czasem...

Max znowu przesunął rękę i Marlowe zapomniała o całym świecie.

– Będzie zadowolona, kiedy pojawi się dziedzic rodu – szepnął. – Lepiej zacznijmy się o to starać.

– Zaczniemy? – zaśmiała się. – Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu dni i przez cały ten czas ty nic, tylko się starasz, żebym zaszła w ciążę.

Położył się na niej, więc westchnęła z rozkoszy.

– Może jednak wolisz sobie poczytać? – zapytał.

Objęła go ramionami za szyję, żeby się nie odsunął.

– Skądże znowu – odpowiedziała.

Pochylił głowę i pocałował ją czule i niespiesznie.

– Zrobiłem coś jeszcze – pochwalił się, kiedy zabrakło im tchu. Marlowe dyszała spazmatycznie, chwytając wielkie hausty powietrza.

– Zniosłem mój projekt ustawy o pomocy dla biednych do konsultacji w parlamencie, i poleciłem prawnikowi uwolnić fundusze na działalność jadłodajni z zupą. Zadbalem też, żeby Gap i Tiny zadomowili się na wsi.

– Dziękuję – powiedziała. Położył jej palec na ustach.

– To nie ze względu na ciebie. Niewiele mogę zrobić, ale to dopiero początek.

Nie miała co do tego wątpliwości. Czuła się trochę winna, że tak niewielu chłopców postanowiło opuścić Seven Dials. Odwiedziła siedzibę bandy dopiero po kilku dniach od spotkania z rodzicami. Do tego czasu Beezle został przywódcą bandy, zajmując miejsce Satina. Udało jej się porozmawiać z Gideonem. Błagała go, żeby odszedł, ale odmówił. Dokąd miał pójść? Na służbę? Nie nadawał się do takiego życia. Poza tym, czuł się odpowiedzialny za chłopców. Chciał ich w miarę możliwości chronić przed Beezlem.

Powiedziała mu, że Dane chce dać chłopakom uczciwą pracę na wsi. Gideon przekonał Gapa i Tiny'ego, by odeszli z gangu. Miała nadzieję, że więcej chłopców zapragnie nowego życia, ale tak się nie stało. W każdym razie przynajmniej ta dwójka wymknęła się z łap Beezle'a. Wiejska posiadłość Dane'a była o pół dnia drogi konno od Londynu, ale odwiedził ich już dwa razy i powiedział, że dobrze sobie radzą. Przybrali na wadze, a wiejskie powietrze wyraźnie im służyło. Obiecał, że ją tam zabierze za parę dni. Cieszyła się, że zobaczy chłopaków, ale wcale nie miała ochoty na spotkanie z hrabiną wdową, która przeniosła się na wieś w ramach protestu przeciw małżeństwu syna. Marlowe było serdecznie żal Susanny, która musiała tkwić tam z matką.

Matka... co za szczęście, że ją odnalazła. Lady Lyndon – a właściwie mama, jak od niedawna o niej myślała – była dobra, czuła i ciągle ją do siebie tuliła. Z początku Marlowe czuła się z tym nieswojo. Nie była przyzwyczajona do okazywania uczuć. Ale Dane i matka powoli przyzwyczajali ją do miłości. Nawet ojciec w końcu zmiękł. Wcale nie był taki, jak przy pierwszym spotkaniu. Wtedy ze wszystkich sił bronił się przed rozczarowaniem. Teraz, gdy zaakceptował ją jako swoją córkę, bez przerwy chodził uśmiechnięty.

Ślub z Danem też był niesamowity, choć wolałaby go nieco odwlec i pobyc z nim trochę razem. Ale Dane był niepowstrzymany. Zdobył specjalny indult i uparł się, żeby pobrali się jak najszybciej. Nie dbał o to, że zgorszył większość przyjaciół i rodziny.

Zdumiewała ją zmiana, jaka w nim zaszła. Podobnie jak zmiany, które zaszły w jej życiu. Przez długie lata była niepotrzebna nikomu. A teraz dostawała tyle miłości, że czasem nie wiedziała, co z nią zrobić.

– O czym myślisz? – zapytał. Uświadomiła sobie, że przez dłuższy czas nie odzywała się ani słowem. Spojrzała mu w oczy.

– O miłości.

– Ach. Mój ulubiony temat. Ucałował jej nos, policzki i usta.

– Kocham cię, Maxwell – szepnęła.

– Ja też cię kocham, i zawsze będę cię kochać, Marlowe Elizabeth Grafton Derring, hrabino Dane. Teraz. – Wycisnął pocałunek na jej wargach.

– I jutro. – Pocałował ją jeszcze raz.

– Już jest jutro – zauważyła.

– Więc na zawsze.

Otoczyło ją ciepło jego kochających, bezpiecznych ramion.

Podziękowania

Dziękuję moim bajkowym agentkom, Joannie MacKenzie, Danielle Egan-Miller i Abby Saul, za wsparcie i komentarze na temat tej powieści i całej serii. Mam wielkie szczęście, że mogę z wami pracować.

Dziękuję też mojej wieloletniej przyjaciółce i krytyczce Terze Lynn Childs za to, że przeczytała pierwszą wersję książki i podsunęła mi swoje sugestie i komentarze.

Podziękowania należą się również mojej fantastycznej, niesamowitej, cudownej przyjaciółce i asystentce Gayle Cochrane. Gdyby nie ty, pewnie bym zwariowała i nie sypiała po nocach. Dziękuję też moim przyjaciółkom z grupy Shananigans za nieustanne wsparcie. Dzięki Sarah, Sue, Susan, Floro, Misty, Ruth, Patti, Barbaro, Nicole, Liso, Connie i Kristy!

Mam szczęście należeć do grupy RWA w West Houston. Jej członkowie nie szczędzą mi poparcia, a szczególnie moje przyjaciółki Jo Anne Banker, Kay Hudson, Mary Lindsey, Sophie Jordan, Lily Dalton, Nicole Flockton, Vicky Dreiling, Colleen Thompson i Lark Howard. Jestem też wdzięczna grupie Beau Monde za pomoc i odpowiedzi na wszystkie trudne pytania w sprawach, których sama nie potrafiłam rozgryźć. Dziękuję też Brainstorm Troopers—Robyn DeHart, Anne Mallory, Emily McKay, a szczególnie Margo Maguire, która podsunęła mi pomysł tego cyklu.

Dziękuję również mojej redaktor Deb Werksman i Danielle Dresser, której ta książka jest dedykowana i która zajmowała się jej reklamą, oraz wszystkim wspaniałym fachowcom, z którymi mam przyjemność pracować w wydawnictwie Sourcebooks.

Przede wszystkim zaś dziękuję mojemu mężowi i córce za cierpliwość i miłość. Księżniczka Galen ze szczególną niecierpliwością czekała na ukazanie się w druku (a nie w wersji ARC) tej „gorącej powieści”.

Przypisy

- [1] Część miasta w pobliżu Newgate; dzielnica nędzy i przestępczości.
- [2] Część miasta, w której handlowano, m.in., kradzionymi jedwabnymi chusteczkami.

Table of Contents

Tytułowa	
Redakcyjna	
1	
2	
3	
4	
5	
6	
7	
8	
9	
10	
11	
12	
13	
14	
15	
16	
17	
18	
19	
20	
Podziękowania	
Przypisy	